

Charon.Smok u wrót

Chalker Jack

Książka III z Świat Rombu



calibre 0.9.43

Jack L. Chalker

Charon: Smok u wrót

Cykl: Światy Rombu tom 3

Przekład Konrad Majchrzak

Wydanie polskie: 1995

2024

Prolog

CZAS NA REFLEKSJE

1

Narile zatoczyły szerokie koło i ustawiły się pod wiatr, gotowe do śmiertelnego ataku. Przez szczeliny w skórze wysunęły ostre jak brzytwa ostrza, po czym zaczęły pikować w dół.

Mężczyzna rozpaczliwie rozglądał się wokół, nie przerywając pełnego desperacji biegu. Pustynia nie oferowała mu żadnego schronienia, a jej popękana powierzchnia była twardsza od betonu.

Narile były stworzeniami powietrza: ogromnymi, szybkimi czarnymi pociskami, z wielkimi jajowatymi oczyma, a macki falujące z tyłu ciała, spełniające funkcję i ogona, i steru, wspomagały ich lot. Każdy z tych czarnych potworów posiadał na podbrzuszu dwie zakrzywione półksiężycowate, kościane płyty, z których wysuwały się śmiertelnie groźne, twarde jak stal ostrza, zdolne pociąć ofiarę na kawałki.

Mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, iż nie ma gdzie się skryć, postanowił więc podjąć walkę na miejscu, na tym otwartym i płaskim terenie. Jeden z marili runął na niego z niewiarygodną prędkością, ale on padł na ziemię i przekoziółkował. Zdążył wykonać ten prosty manewr na ułamek sekundy przed uderzeniem ostrzy, przez co o mało nie spowodował kolizji napastnika z twardą jak skała ziemią. Szczęście mu jednak do końca nie dopisało, zerwał się więc ponownie na równe nogi, w duchu przeklinając siebie za to, iż wyruszył tak późno. Sprawdzał położenie obydwu stworzeń. Wiedział doskonale, że powinien je mieć przed sobą, a nie na flankach, tak jak teraz. Przywołał wszelkie rezerwy swych sił – zdolne się pojawić jedynie w sytuacji zagrażającej bezpośrednio życiu – i pobiegł pod ostrym kątem w kierunku krążących potworów.

Narile posiadały inteligencję, ale poza tym były nazbyt pewne siebie. Dysponowały przecież kilkoma kilometrami kwadratowymi otwartej przestrzeni pozwalającej na wszelkie manewry i na

zabawę, nie mogły więc mieć najmniejszych wątpliwości, jaki będzie rezultat takich manewrów. Tymczasem chciały mieć trochę uciechy.

Mężczyzna ponownie się zatrzymał, by stawić czoło swym dręczycielom. Tak jak się spodziewał, para połączyła się i wydawała się teraz unosić bez ruchu w powietrzu, obserwując go żółtymi, pozbawionymi wszelkiego wyrazu oczyma, ukrywającymi – nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości – wielką uciechę i wielkie rozbawienie.

Wiedział, że ma bardzo niewiele czasu.

Z punktu widzenia narili wyglądało jakby stał w miejscu, zwrócony ku nim twarzą, z wyciągniętymi ramionami. Potraktowały to jako wyraz rezygnacji i poddania się, a ponieważ takie rozwiązanie było dla nich najnudniejsze z nudnych, ruszyły na niego, by tym razem go po prostu zabić.

Opuściły się bardzo nisko, na wysokość około jednego metra ponad powierzchnią pustyni, i pędziły w jego kierunku, smakując najwyraźniej ostatnie momenty przed dokonaniem zabójstwa. Kiedy zbliżyły się do swej ofiary, rozległ się potężny grzmot i wyglądało jakby sama ziemia się rozstępowała. Wokół mężczyzny wyrósł kamienny mur, a on sam otoczony teraz, zatopił się częściowo w ziemię. Drapieżcy byli tak zaskoczeni, iż uderzyli z dwóch przeciwległych stron w ciągle jeszcze wznoszącą się ścianę. Posypały się iskry, kiedy ich ostrza wbijały się w kamień, jednak obydwaj zachowali dość równowagi, by utrzymać się w powietrzu i poderwać ponownie w górę.

Wewnątrz tej nagle powstałej studni, w cieniu kamiennego, czterometrowego muru, prawie kompletnie wymęczony mężczyzna słuchał syku wściekłych narili. Zużył już półdniową porcję wody. Jego forteca musi wytrzymać. Opadłszy na ziemię, rozkoszował się miłym chłodem swej maleńkiej twierdzy i nasłuchiwał.

Narile błyskawicznie dostosowały się do nowej sytuacji i próbowały skruszyć mury. Waliły z całej siły i pod odpowiednim kątem. Co prawda narobiły trochę szkód, ale jeszcze większą krzywdę wyrządziły sobie samym, w końcu ich groźne ostrza zbudowane były ze zwykłej tkanki kostnej. Wkrótce zrezygnowały więc z dalszych prób.

Usiadły na szczycie budowli, blokując dostęp światła. Mężczyzna stwierdził, iż właściwie ocenił wymiary ścian; obydwie stwory były zbyt duże, by opuścić się w głąb studni przypominającej komin.

W końcu, co było do przewidzenia, jeden z nich usiadł na obrzeżu muru i spuścił swe długie macki do wnętrza fortecy. I znów okazało się, jak precyzyjnie mężczyzna określił wielkość tej budowli, chociaż mimo wszystko było to dla niego przerażające doświadczenie – leżeć tam, na dnie, bez dostępu światła dziennego i słuchać trzepotania macek tuż nad głową. Wkrótce i to się skończyło. Mógł się nieco odprężyć. Doszedł już tak daleko, tak bardzo daleko i choć na krótką chwilę był bezpieczny, ale czuł, że jego rezerwy są na wyczerpaniu.

Usłyszał jakiś ruch nad sobą i za moment... po prostu obrzydliwie go znieważono. Potwory nie

mogły dopaść go w żaden inny sposób, usiłowały więc teraz wykurzyć go z kryjówki... wypróżniając się na niego.

Usłyszał wściekły pomruk i naril odfrunął, wpuszczając do środka studni nieco światła. Chciałby wierzyć w to, że odleciały oba, ale na pewno jeden z nich czaił się na zewnątrz, podczas gdy drugi wzniósł się prawdopodobnie w kierunku najbliższej chmury, by pobrać z niej wilgoć, bez której nie mogły się obyć. Sam oddałby wszystko za troszkę tej wilgoci, byleby w innej formie niż to czym teraz był cały ubabrany.

Chmury... Próbował skupić myśli. Jak wyglądało niebo? Uwagę jego przykuwało bezpośrednio niebezpieczeństwo. A przecież zawsze gdzieś były jakieś chmury. Są, ale wysoko, a to znaczy, że mają mniej wilgoci, niż on by potrzebował. Jednak...

Skoncentrować się... skoncentrować! Gdyby miał tylko więcej sił! Z najwyższym wysiłkiem zamknął oczy i usiłował odciąć się od wszystkiego, z wyjątkiem wrażliwości na *wa*. Nie było to łatwe, kiedy odchody narili piekły się w upale i potwornie cuchnęły. Wiedział, że wkrótce sam się upiecze, bowiem jego forteca była wprawdzie prymitywnym, ale i bardzo skutecznym piecem.

Myśl... myśl! Myśl jedynie o *wa*...

Naturalnie odczuwał *wa*, które pozwoliły mu zbudować tę twierdzę, ale te, których potrzebował teraz, były inne. Sięgał na zewnątrz, *wa* do *wa*, jego własne do innych, i uwolnił swe widzenie. Znów mógł obserwować pustynię.

Po narilach nie było najmniejszego śladu, natomiast w pobliżu znajdowały się dwa krzaki. Przedtem ich tam nie było. Uśmiechnął się do siebie w duchu, choć powodów do uśmiechu miał niewiele. Marile były wprawdzie inteligentnymi zwierzętami, ale nigdy by im nie przyszło do głowy, iż krzaki w takim miejscu mogą tak samo zwracać na siebie uwagę, jak one same. Zresztą te krzaki niewątpliwie były narilami!

Fakt, iż ciągle tak cierpliwie czekały w tym upale potwierdzał jego najgorsze obawy. Niewątpliwie były szkolone i ślepo posłuszne rozkazom. Kto wie, może to nawet myśliwi samego Yateka Moraha?

Czuł *wa* gęstego pustynnego powietrza i cząsteczek wody wokół, ale je zignorował. Sięgał wyżej, znacznie wyżej i modlił się pełen nadziei, iż gdzieś w jego zasięgu jest dość chmur, by uformować to, co niezbędne.

Naturalnie, były tam, ale bardzo wysoko i w niewielkich ilościach, oby – w wystarczających. Musi ich wystarczyć.

Powoli, ostrożnie sięgnął do *wa* chmury, cząsteczek wody, przemawiał do nich, prowadząc je ostrożnie i łącząc we wzory i grupy, coraz bardziej i bardziej gęste, skupiał w jednym miejscu, dokładnie nad jego maleńkim fortem.

Nie był pewien, czy posiada dość mocy, ale w tej chwili tyle tylko mocy i siły był w stanie

zebrać. Musi wystarczyć, Po prostu musi...

Teraz *wa* chmur leć! W górę, wznies się ku słońcu, swej gwiazdzie – karmicielce. Wznos się... wznos...

Przyczajone opodal dwa „krzewy” zadrgały, zamigotały i ponownie zmieniły się w narile. Nie rozumiały chyba, co się dzieje, ale ujrzały cień na ziemi i poczuły jego chłód. Wielkie, żółte oczy spojrzały w niebo i zobaczyły zbierające się chmury, które gęstniały i ciemniały sto razy szybciej niż zwykle. Narile nie rozumiały przyczyn tego zjawiska, ale wiedziały – wyczuwały to swymi zmysłami – iż nad ich głowami, w sposób zupełnie nienaturalny, zbiera się potężna burza. Odczuły prawdziwy lęk. Przez chwilę wahały się pomiędzy tym lękiem i swym naturalnym instynktem a otrzymanym rozkazem, by dopaść i zabić tego człowieka. Jednak grzmot, który wydobył się z tej dziwnej, niezwykłej chmury i odbił się niesamowitym echem na rozległych przestrzeniach pustyni, spowodował, że lęk i instynkt zwierząt jednak zwyciężyły. Narile uniosły się w powietrze i pognały w kierunku rozświetlonej słońcem pustyni, poza granice cienia rzucanego przez chmurę.

Spadł deszcz. Gęsty i równomierny. Padało nad małym fortem i nad niewielkim terenem wokół. Mężczyzna nie tracił czasu i natychmiast nakazał *wa* ścian powrót do poprzedniego kształtu. Kiedy mury opadły, stał znowu na powierzchni pustyni; na której nie pozostały już żadne ślady budowli. Odchody narili ciągle go oblepiały, zrzucił więc z siebie wszystko; pozostawiwszy jedynie przy sobie pustą manierkę i czarny pas, i pozwolił; aby deszcz obmył go całego. Stał tak minutę czy dwie, czerpiąc radość z deszczu i chłodu, jednak wiedział, że nie wolno mu stać beczynnym, gdyż wody było niewiele, a i tej wkrótce mogło zabraknąć.

Narile doszły już do siebie i pojęły, że to ich przeciwnik sprowadził burzę. Odzyskały pewność siebie i zaczęły znowu krążyć na obrzeżu chmury. Czekają aż przestanie padać.

Wysuszona ziemia, na którą deszcz nie spadł od dwóch lub trzech ludzkich pokoleń, nie była w stanie przyjąć takiej ilości wody. Zwykle twarda powierzchnia po burzy stała się śliska i zdradliwa. Centrum ulewy przesunęło się wraz z podążającym naprzód mężczyzną, a narile dotrzymywały mu kroku, czekając na koniec ulewy na obrzeżach chmury. Deszcz uszkodziłby ich delikatne, błoniaste skrzydła, normalnie niewidoczne podczas lotu. Koniec ulewy oznaczał sygnał do ataku.

Mężczyzna modlił się o to, żeby deszcz nie przestał padać. Niewiele brakowało, a uwierzyłby w skuteczność modlitwy, znalazł się bowiem w odległości zaledwie jakichś stu metrów od podnóża gór w momencie, gdy ulewa ustała. Całe *wa* świata nie było w stanie wyczarować deszczu, jeśli nie było wody, a on nie miał dość czasu, by wykorzystać pozostającą z tyłu wilgoć i ponownie przekształcić ją w deszczową chmurę.

Narile jednak, obawiając się jakichś sztuczek z jego strony i podejrzewając, iż powstrzymał deszcz po to tylko, żeby zwabić je w pułapkę, nie zdecydowały się na atak. Zyskał więc trochę czasu, tyle by dobiec do najbliższych skał.

Jeden z narili, widząc desperację ofiary, zapomniał o ostrożności i sycząc wystrzelił wprost za nim. Dogonił go w momencie, kiedy mężczyzna był ledwie o krok od pierwszych skał. Zadał mu cios w plecy. Ścigany zawył z bólu i pod wpływem ciosu potoczył się na sterczące kamienie. Na

szczęście naril zapomniał wysunąć swe śmiertelne niebezpieczne ostrza, i, choć uderzenie było bardzo silne, nie był to jednak cios ostateczny.

Oszłomiony mężczyzna wczołgał się w szczelinę pomiędzy skałami i zaklinał tak głęboko, jak tylko mógł. Mimo to wiedział, że nie ma szans. Pozbawiony resztek sił, bez żadnych już sztuczek w zapasie, wiedział, że szczelina jest zbyt płytka, by ochronić go przed mackami prześladowców. Był tak wycieńczony, że nie zależało mu już praktycznie na niczym. Stracił przytomność. Zdążył tylko pomyśleć, że przynajmniej śmierć przyniesie wytchnienie.

– Jatic?

Głos wydawał się bardzo daleki. Odejdź! krzyczał w myślach. Ja jestem martwy! Pozwól mi odpocząć!

– Jatic, musisz wysłuchać mego głosu – usłyszał znowu.

Głos był bliższy, rozkazujący, trudny do zignorowania.

– Jatic, tu Koril. Musisz ze mną porozmawiać.

– Przecież ja umieram – wyszeptał niemal ze złością. – Pozwól mi odejść.

– Tak, jesteś martwy – przyznał głos Korila. Ani ja, ani nikt inny nie ma dość mocy, żeby cię uratować. A przecież tak długo jak twoje *wa* płonie i walczy wewnątrz ciebie, możemy się ze sobą komunikować. Proszę cię, Jatic, byłeś zawsze dzielny i lojalny. Nie odchodź, zanim nie odzyskasz sił dzięki twym słowom.

Mężczyzna zmagał się ze sobą, usiłował sobie coś przypomnieć. Słowa... Misja...

– Jatic, gdzie są pozostali?

Pozostali?

– Nie żyją. Nikt z nich nie żyje.

– Wobec tego jesteś ostatni. Pośpiesz się, Jatic, bo czasu jest coraz mniej, a moja moc, utrzymująca cię przy życiu, słabnie. Muszę wiedzieć. Czy udało ci się tam dostać? Czy byłeś świadkiem spotkania?

Spotkania... jakiego spotkania? Zmagał się z własną pamięcią. Ach, tak, spotkanie. O Boże! Spotkanie...

– Wi... widziałem – wydusił z trudem. – Czterech Władców w Diamentowej Skale. Czterej Władcy i tamci. O Boże!

– Tamci... skup się, Jatic! Wytrzymaj jeszcze chwilę! Tamci! Jak oni wyglądali?

– Potworni... Monstrualni. Przebrani co prawda za ludzi, ale nie byli w stanie nas oszukać. Są okropni, Koril, potworni! Diabelski pomiot. To przekracza ludzką wyobraźnię. Oślizgli, ohydni! Jakby narodzili się w piekle.

– Czterej Władcy... czy istnieje jakiś sojusz?

– Tak, tak! O Boże! Musisz ich unicestwić, Koril! Nie wolno ci pozwolić, by sprzedali ludzkość komuś takiemu! Potworność! Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić! Modłę się do Boga, byś nigdy nie musiał napotkać ich na swej drodze. Na sam ich widok Latir i Mohar utracili zmysły.

– Jak te piekielnie pomioty wyglądają? Skup się, Jatic! Wytrzymaj jeszcze!

– Wyglądają? Boże, ja tylko dlatego nie zwariowałem, że odrzucam od siebie ten obraz. To Monstra... Miazga... Breja... W nich jest potworne zło! Zło, jakiego człowiek nie jest w stanie pojąć. Oni pożą człowieka, pożą Czterech Władców i nas wszystkich. Musisz...

– Jatic! Jatic! Nie odchodź! Jeszcze chwilę! Jatic! Wracaj! Ja muszę wiedzieć... Do diabła, to na nic. Odszedł od nas.

Koril westchnął i pokręcił głową, po czym wstał z kolan i rozejrzał się po swym pustynnym królestwie ścierwa dwóch narili drgały jeszcze w miejscu, dokładnie tam, gdzie rozprawił się z nimi.

Niemal całą godzinę spędził na przearanżowaniu scenerii, która była świadkiem ostatnich wydarzeń. Wiedział, że wcześniej czy później jakaś grupa wysłana z Diamentowej Skały natrafił na to miejsce. Chciał zmylić tych, którzy w tej chwili już podążają śladem pogoni i walki. Koniecznie powinni uwierzyć, że narile i Jatic zginęli walcząc ze sobą. I oni w to uwierzą. Dotarcie aż tak daleko wymagało olbrzymich sił, przecież on sam trafił tu tylko dlatego, że z daleka zauważył wywołaną przez zmarłego burzę i rozpoznał w niej to, czym rzeczywiście była – autografem swego twórcy. Przybył niestety za późno, za późno dla biednego Jatika...

A jednak sporo się dowiedział od zmarłego. Jatic potwierdził jego wcześniejsze informacje i najgorsze obawy. Ale Koril był stary... Stary i teraz już samotny. Choć mocy miał pod dostatkiem, istniały jednak granice wytrzymałości starego człowieka.

Wiedział, że potrzebna mu jest nowa grupa, a tę niełatwo będzie zebrać i utworzyć, szczególnie pod bacznym okiem Matuzy. Niewątpliwie Matuze dowie się, że żaden z jego posłańców nie złożył sprawozdania. A to oznacza, że domyśli się, kim byli naprawdę i kto ich posłał.

Mimo to wiedział, co należy robić. Był stanowczy i zdecydowany. Niezależnie od szans, to musi być zrobione. Słowa Jatika wstrząsnęły nim do głębi. I on, i zmarły urodzili się i wychowali na światach bardzo odległych od tego, na którym się teraz znajdował, obaj zdążyli zobaczyć kawał kosmosu, zanim zesłano ich do tego piekła.

Charon to piekło. Każda potworność, każdy horror, jaki kiedykolwiek powstał w umyśle człowieka, istniały naprawdę, a krajobraz, klimat i tutejsza fauna bardziej na miejscu byłaby zapewne w ostatnim kręgu piekła Dantego.

Koril był tego świadom i wiedział, że Jatic – również.

Cóż więc takiego mógł ujrzyć, co tak go przeraziło? Cóż mogło spowodować, że przestępca uwięziony w piekle z tysiącami innych przestępców nazwał coś niewyobrażalnie złym?

Co było aż tak potworne, iż nawet mieszkańców piekieł napawało wstrętem i przerażeniem?

Jatic był sadystą i wielokrotnym mordercą, nie odróżniał dobra i zła. Same te pojęcia były dla niego czymś obcym. A przecież... nawet on ujrzał coś tak potwornego, że – zanim umarł – poznał prawdziwe zło. Była w tym niewątpliwie jakaś symetria.

Jedno było pewne. Czterej Władcy weszli w jakiś układ z czymś, co znajdowało się tutaj, na Charonie. Ich niewyobrażalny egoizm stanowi dla nich ochronę, pomyślał z goryczą. Przynajmniej na razie.

Według ludzkich norm Czterej Władcy byli złem wcielonym. Tak oceniała ich nawet sama Konfederacja. Ale przecież nie Jatic.

Cóż więc takiego widział? W jaką niewolę Czterej Władcy, powodowani chorobliwym egotyzmem i ułudą wielkości, oddali siebie i ludzkość?

Na skalistej, otwartej przestrzeni pustyni było bardzo gorąco, mimo to Koril poczuł nagły chłód, kiedy odwróciwszy się odchodził od ciała zmarłego mężczyzny.

2

Najgorsze dla militarnej potęgi jest odkrycie, że znajduje się ona w stanie wojny, odkrycie dokonane dopiero w momencie, kiedy nieprzyjaciel rozpoczął już pierwsze uderzenie. A jeszcze bardziej wkurza to” iż mimo ujawnienia nieprzyjacielskiej akcji, nie można dostrzec samego wroga.

Konfederacja stanowiła kulminację całej ludzkiej historii i kultury. W odległej przeszłości człowiek zdecydował, że ekspansja kosmiczna będzie najbardziej interesującym i najbardziej praktycznym sposobem dokonywania postępu cywilizacyjnego, bez ryzyka popełnienia gatunkowego samobójstwa. Instykt sportowego współzawodnictwa, zakorzeniony głęboko w ludzkiej mentalności, zaczął dominować, kiedy człowiekowi przedstawiono stojące przed nim nowe wyzwanie. Współzawodnictwo pomiędzy narodami było tym, co wszyscy ludzie, niezależnie od pochodzenia i wyznawanej ideologii, doskonale rozumieli. Dla idei takiego współzawodnictwa mogli pracować, popierali je i czerpali z tego satysfakcję.

W wieku dwudziestym i dwudziestym pierwszym polityka stawała się coraz mniej racjonalna, a totalne unicestwienie było coraz pewniejsze, człowiek przypomniał sobie, że po raz pierwszy postawił stopę na Księżycu tylko dlatego, iż chodziło o szczególny zakład sportowy – wyścig w

kosmosie. Naturalnie od tamtego czasu nie zapomniano o kosmosie. Prawdę mówiąc, interesowały się nim wszystkie państwa na Ziemi, ale były to jedynie powolne technokratyczne i wojskowe programy, bez większego udziału i poparcia poszczególnych narodów. W dziewiętnastym wieku każdy, kto miał duszę pioniera, mógł ruszyć na szlak w Oregonie albo – pod koniec dwudziestego wieku – wykroić miasto z zamrożonej syberyjskiej tundry. Ale właśnie ci ludzie, którzy w czasach minionych byli pionierami, nie mogli się teraz znaleźć na pograniczu. Biedacy pozbawieni ziemi i praw, uchodźcy i marzyciele zaludniali i cywilizowali stare pogranicze, lecz w wieku kosmicznym nie mogli uzyskać biletu na Księżyc. Tylko najwyższej klasy specjaliści albo ludzie bardzo bogaci mieli szanse znaleźć się w kosmosie. Zwykły człowiek, gdyby nawet chciał polecieć, nie mógł, a nudnawy i powolny bieg wydarzeń, związanych z podbojem kosmosu nie oferował już takiej ekscytacji, jaką wywołały wcześniejsze odkrycia z epoki współzawodnictwa.

Wiedziały o tym rządy na Ziemi, dostrzegając również, że świat, z ciągle rosnącą populacją i niewiarygodnie szybko malejącymi zasobami naturalnymi, staje się coraz bardziej apatyczny. Stałe obniżanie się standardu życia na całym świecie było oczywiste. Komputery oceniały ten stan jako tolerancję trwałą i nieuniknioną, a żądania każdej grupy, żeby to właśnie jej kraj uniknął obniżenia jakości życia, powodowały olbrzymie naciski nawet na najbardziej totalitarne reżimy i zwiększały tylko prawdopodobieństwo wybuchu totalnej wojny.

Jednakże technologia oferowała drogę wyjścia z tej sytuacji, drogę, na którą wiele narodów wstąpiło bardzo niechętnie, ale ze świadomością braku alternatywy. Uczni dokonali w końcu rzeczy niemożliwej i przełamali obowiązującą do tej pory barierę szybkości. Była to sprawa wielce skomplikowana i dotyczyła takich praw fizyki, które nie były sprzeczne z teorią Einsteina; a to dlatego, iż dotyczyły tych obszarów nauki, na których wspomniana teoria po prostu nie obowiązywała. Gwiazdy czekały teraz na swych odkrywców. Nie oznaczało to, iż odległości międzygwiazdne magły zniknęły; w pierwszym wieku eksploracji było tak wiele nowych miejsc do zbadania i tak olbrzymie przestrzenie do pokonania, że podróż z jednego krańca opanowanego przez człowieka kosmosu do pogranicza na jego drugim krańcu, trwała trzy lata tak zwanego czasu subiektywnego. To stosunkowo niewielka cena, w porównaniu z czasem trwającym całe pokolenia, który byłby niezbędny do pokonania tej samej odległości przy dawnych możliwościach. Jakby nie liczyć, dotarcie do Kalifornii zabierało amerykańskim pionierom od czterech do sześciu miesięcy... Ten nowy system posiadał jeszcze jedną olbrzymią zaletę. Budowa statków kosmicznych i potężnych silników wymagała co prawda dużego kapitału, ale kiedy już powstały, ich eksploatacja była tania, a rozmiary, nie licząc magazynów powietrza i żywności, nie stanowiły istotnej pozycji w kosztach.

Tylko jedna planeta na tysiąc mogła być ukształtowana na podobieństwo Ziemi, ale mimo to, nadających się do zamieszkania światów było całe mnóstwo. Dlatego zamiast konkurować o niewielkie kawałki zużytej Ziemi różne państwa zaczęły tworzyć takie systemy motywacji, że zarówno biedacy, jak i marzyciele wyruszali w drogę na podbój nowych planet. Zmniejszyło to ciśnienie społeczne na Ziemi i dostarczyło ludzkości nowych bodźców do działania. Znowu panowała atmosfera podniecenia: w podbojach mógł uczestniczyć każdy, a zasoby czekające na odkrycie były nieograniczone.

Wraz z narodzinami kolejnych pokoleń na nowych światach, ludzi, którzy nigdy nie oglądali Ziemi, dla których Rosja, Ameryka, Brazylia i Ghana były jedynie abstrakcyjnymi pojęciami, takie

pojęcia jak narodowość były nieostre, a w końcu zupełnie bez znaczenia. Nim przeminęły trzy generacje, zniknęli Amerykanie, Rosjanie czy Brazylijczycy, a pojawili się tubylcy nowych światów, jedynych światów, jakie znali. Poza tym olbrzymie odległości i rosnąca stale liczba nowych światów nie ułatwiała rządów na sposób kolonialny. Teraz – bez groźby wzajemnego wyniszczenia, troskając się jedynie o to, aby nie pozostać w tyle za innymi i nie być odrzuconym przez nowe społeczeństwa, rządy starych państw przestały współzawodniczyć; a zaczęły współpracować i łączyć się ze sobą. W ciągu jednego zaledwie wieku stworzono Konfederację – jednolitą strukturę z klasą biurokratyczną; zdominowaną przez stare potęgi, a przewodniczącą kongresowi, w którym zasiadali przedstawiciele wszystkich nowych światów.

Połączone w ten sposób środki i rozwijająca się nieustannie technologia przekształcały światy jeden za drugim, czyniąc wiele z nich rajem; o jakim ludziom na Ziemi nawet się przedtem nie śniło. Zlikwidowano wiele chorób, mężczyźni i kobiety uczyniono pięknymi i niemal doskonałymi. Ostrożnie wprowadzane zmiany genetyczne i kulturowe stworzyły populację, mającą co prawda równy, ale jednocześnie szeroki dostęp do wszelkich dóbr. Ludzi wychowywano i przysposabiano do wykonywania konkretnych prac i prace te wykonywali jedynie najlepsi. Była to więc cywilizacja bez napięć i lęków – rajską nieomal. Światy, które uzyskały taką doskonałość nazywano światami cywilizowanymi. Choć wspaniale się na nich żyło i pracowało, duchowo i kulturowo były one martwe – w stanie totalnej stagnacji.

Konfederacja naturalnie mogła kontrolować i utrzymywać ten stan praktycznie w nieskończoność, ale była przecież dziedzicem całej ludzkiej historii. Ludzkość mogła w tym rajskim błogostanie trwać i milion lat, ale kiedy gasła ostatnia iskierka ekscytacji i chęci tworzenia, zamierała. W takiej sytuacji ratunek był tylko jeden: nie zatrzymywać się. Wysyłano więc zwiadowców, których zadaniem było odkrywanie nowych światów. Zasiadali je potem i urządzali różni dziwacy i nieudacznicy. Pogranicze stało się więc nie tylko kresem ekspansji Konfederacji, ale także pewnym rodzajem religii, czymś, czego powstrzymać nie wolno, ponieważ jedynie ono stanowiło wentyl bezpieczeństwa, źródło twórczej wyobraźni, tę iskrę nadającą sens ludzkiej egzystencji.

Człowiek zasiedlił już prawie czwartą część swej galaktyki i w trakcie wędrówek natknął się na obce rasy. Nie było ich wiele – o wiele mniej, niż się spodziewał – ale jednak tam były. Niektóre z nich zamieszkiwały światy, które nie nadawały się do życia dla rodzaju ludzkiego i te pozostawiono w spokoju, poddając jedynie stałej obserwacji, aby wykluczyć ewentualne zagrożenie z ich strony. Inne światy, które dysponowały surowcami potrzebnymi człowiekowi, traktowano podobnie jak w przeszłości. Te obce cywilizacje, które mogły być zmodyfikowane i potrafiły dostosować się do systemu obowiązującego w Konfederacji, przyłączano do wielkiej rodziny bez pytania o zgodę. Te, które z jakichś powodów nie mogły ulec kulturowej asymilacji, bezwzględnie likwidowano, dokładnie tak, jak niegdyś rozprawiano się z indiańskimi plemionami Ameryki i Aborygenami z Tasmanii. Większość obcych światów była całkiem prymitywna, tylko niektóre bardziej rozwinięte cywilizacyjnie; wszystkie jednak posiadały jedną wspólną cechę: były mniejsze, słabsze i mniej bezwzględne od Konfederacji.

Pewnego dnia władze Konfederacji uzmysłowiły sobie, iż nadszedł wreszcie ten moment, którego od dawna się lękały – pojawił się ktoś mądrzejszy od nich. I pierwszy dał o sobie znać.

Robot – produkt tak wyrafinowanej technologii, że znajdowała się ona poza możliwościami Konfederacji – choć o włos zaledwie – w tak doskonały sposób udawał urzędnika Dowództwa Systemów Militarnych, iż udało mu się zmylić wieloletnich przyjaciół tego człowieka, jego współpracowników, a nawet skomplikowane systemy bezpieczeństwa Dowództwa. Przedostał się do wnętrza pilnie strzeżonego budynku, wykradł tajne informacje i niewiele brakowało, by dokonawszy tego wszystkiego, uciekł. Udało mu się dwukrotnie przetrwać w próżni, przebić przez trzydziestocentymetrowe, stalowe ściany, wzbic się na orbitę okołoziemską, ukraść statek kosmiczny i wystartować w przestrzeń. Dowództwu Systemów Militarnych udało się w końcu namierzyć robota i zniszczyć go. Tylko dzięki temu odkryto dokąd zmierzał.

Robot kierował się wprost do Rombu Wardena. Nawet w takim idealnym społeczeństwie jak Konfederacja, zdarzali się ludzie nieprzystosowani, wyrastający znacznie ponad przeciętność. Udoskonalenia środowiska naturalnego, postęp genetyki, a nawet idealne rozwiązania społeczne miały także skutek uboczny – powstała klasa przestępców doskonałych. Było ich niewiele, ale istnieli, a ponieważ potrafili współpracować nawet w społeczeństwie światów cywilizowanych i całymi latami nie udawało się ich zdekonspirować, stawali się przez to najlepszymi z najlepszych. Mieli w sobie tę iskierkę, na której tak zależało Konfederacji. Drobniejsi spośród nich mogli być „redukowani” albo poddani praniu mózgu i wyposażeni w mowę osobowość. Jednak mistrzowie, owi geniusze zbrodni i przestępstwa byli zbyt cenni, by zmarnować w ten sposób ich intelekt. Żadne cywilizowane więzienie nie było dla nich wystarczająco doskonałe, więc przestrzenie pogranicza stały się nieograniczonym terenem ich działania.

Schwytanie ich nie stanowiło wielkiego problemu, choć wielu z nich poczyniło olbrzymie szkody, nim ich ujęto. Konfederacja także nie pozostawała w tyle wyhodowała superglinę, detektywa – mistrza, który co najmniej dorównywał umiejętnościom swoim przeciwnikom. Takich idealnych gliniarzy również było niewiele. Lękano się ich tak samo jak przestępców, których chwyтали. Oni i zaprogramowane przez nich, posiadające pewien stopień samoświadomości komputery analityczne pracowali bez zarzutu: wyłapywali skorumpowanych polityków, superprzestępców, psychopatów, najbardziej niebezpiecznych mężczyzn i kobiety, jakich ludzkość wydała. Gdzie jednak mocna ich było umieścić? W jakim więzieniu?

Romb Wardena stanowił ostateczną odpowiedź na te pytania.

Haldem Warden – już za życia legenda dalekiego zwiadu – odkrył ten układ planetarny jakieś dwieście lat przedtem, jak w Dowództwie Systemów Militarnych stwierdzono obecność wrogiego robota. Warden nie cierpiał Konfederacji, a w szczególności jej obywateli, ale tylko taki aspołeczny typ był w stanie wytrzymać samotność oraz fizyczne i psychiczne trudy związane z kosmicznym zwiadem.

Warden był jednak jeszcze gorszy niż większość zwiadowców. Spędził tak mało czasu, jak to tylko było możliwe, „na łonie cywilizacji”, często tylko tyle, ile zajmowało – tankowanie paliwa i ładowanie świeżej żywności. Latał dalej, dłużej i częściej od jakiegokolwiek innego zwiadowcy, a jego odkrycia zdumiewały samą ich liczbą. Na nieszczęście dla jego szefów Warden uważał, iż jego jedynym zadaniem jest odkrywanie nowych światów, i nic poza tym. Resztę, włącznie z badaniami wstępnymi i sprawozdaniami, pozostawiał tym, którzy lecieli za nim. Nie chodziło o to, że nie wykonywał swoich obowiązków, ale o to, że przysyłał informacje tylko wówczas, kiedy miał na to

ochotę, a czasami czynił to dopiero po kilku latach od dokonania odkrycia.

Dlatego też, kiedy nadszedł sygnał „4AP” nastąpiło wielkie poruszenie i wszystkich ogarnęło podniecenie – cztery planety klasy A, nadające się do natychmiastowej kolonizacji, w jednym systemie! Było to wręcz niesłychane i nie mieściło się w żadnej skali prawdopodobieństwa statystycznego, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę fakt, iż znalezienie pojedynczej planety tego typu stanowiło już nie lada wyczyn. Czekano więc z niecierpliwością na imiona nadane nowo odkrytym planetom przez znanego z lakoniczności zwiadowcę i na ich wstępny opis.

Potem nadeszły szczegóły, potwierdzające ich najgorsze obawy. Przyznać jednak trzeba, że podawał kolejność planet zgodnie z obowiązującą formułą, od najbliższej słońcu do tej najbardziej odległej.

- Charon – przekazywał w swoim pierwszym raporcie. – Ma wygląd piekła.
- Lilith – kontynuował. – Wszystko co piękne musi mieć gdzieś ukrytego węża.
- Cerber – tak nazwał trzecią planetę. – Wygląda jak prawdziwy pies.

I na koniec:

- Meduza. Ten, kto tu mieszka, musi mieć chyba kielbie we łbie.

Po czym podał współrzędne i kod świadczący o tym, iż dokonał pewnych badań, tyle że pośrednio – to znaczy, nie wylądował na powierzchni, do czego nie był zresztą zobowiązany – i wreszcie kod „ZZ”, który poważnie zaniepokoił władze Konfederacji. Oznaczał on bowiem, iż jest coś wielce dziwnego w tym miejscu i należy je traktować z maksymalną ostrożnością.

Przeklinali szalonego Wardena za brak bardziej szczegółowych informacji, jednak wysłali ekspedycję, złożoną z dwustu najlepszych, najbardziej doświadczonych członków Grup Eksploatacyjnych, wspomaganych przez cztery uzbrojone po zęby ciężkie krążowniki.

Problem z raportami Wardena polegał na tym, iż prawie zawsze opisywały sytuację poprawnie, tyle że nie wiadomo było, o co w nich chodzi, dopóki nie dotarło się na miejsce.

Masywna gwiazda typu F posiadała olbrzymi system planetarny, zawierający jedenaście gazowych olbrzymów – osiem otoczonych pierścieniami – a także wiele komet, asteroidów i dużych planet z materiałów stałych, z których żadna nie wyglądała zachęcająco. Jednak były tam jeszcze cztery światy – cztery klejnoty – różniące się diametralnie od pozostałych, cztery światy bogate w tlen, azot i wodę.

Kiedy członkowie ekspedycji ujrzeli je po raz pierwszy, znajdowały się prawie pod kątem prostym względem siebie.

Romb Wardena.

Planety te oczywiście krążyły po różnych orbitach i tego rodzaju konfiguracja była rzadkością.

Prawdę mówiąc, nie powtórzyła się ona jeszcze od czasu ich odkrycia.

Obserwatorzy mieli dziwne uczucie, że w Rombie Wardena – zwanym potocznie Diamentami Wardena – jest coś nienaturalnego. Grupa Eksploatacyjna była podejrzliwa, podobnie jak sam Warden, i podwójnie ostrożna.

Charon, położony najbliżej słońca, był gorący i parny. Prawie nieustannie tam padało, a dominującą formą życia były gady, przypominające wyglądem ziemskie dinozaury. Większość powierzchni pokrywały morza i atmosfera nie była zbyt przyjemna, ale od biedy człowiek mógł tam żyć.

Następna była Lilith, świat prawie podręcznikowo doskonały. Nieco mniejszy od Charona, w około siedemdziesięciu procentach był pokryty wodą, lecz jego klimat był u wiele bardziej umiarkowany, a krajobraz znacznie łagodniejszy. Wokół niewysokich gór rozciągały się wielkie równiny i bagna. Nachylenie jego osi było tak niewielkie, że różnice pomiędzy porami roku musiały być minimalne, a temperatury niezbyt wysokie. Był to świat niebiesko – zielony, bogaty w roślinność, która – choć różna od ziemskiej – nie była zbyt różna od tej znanej człowiekowi z innych planet; jego faunę stanowiły owady – od ogromnych potworów do małych stworzonek – wyglądające nie tylko na nieszkodliwe, ale robiące wrażenie użytecznych. Krótko mówiąc, był to taki rodzaj świata, jaki fachowcy od przystosowywania planet do życia stawiali sobie jako ideał do osiągnięcia i do którego nigdy metodami sztucznymi nie udało im się dojść... I ani śladu węża.

Cerber był bardziej surowy, ale nie przesadnie. Choć dwudziestopięciostopniowe nachylenie osi powodowało ekstremalne zmiany pór roku, to były one jednak znośne dla człowieka, a w okolicach podzwrotnikowych było dość miejsca na osiedlenie. Ściśle mówiąc – byłoby, gdyby znajdował się tam jakiś stały ląd. Problem polegał na tym, iż cały świat pokryty był ogromnym, głębokim oceanem. Istniała tam jednak dość dziwna flora, z roślinami wyrastającymi z dna oceanu, przebijającymi jego powierzchnię i sięgającymi chmur. Kolonie tych olbrzymów, silnych i powiązanych ze sobą, tworzyły coś na kształt lądu stałego. Wody prawdopodobnie skrywały w swych głębiach wielkich i groźnych drapieżców. Nie był to świat łatwy do zasiedlenia i nietrudno było zrozumieć, dlaczego Warden nazwał go pieskim, szczególnie kiedy porównało się go z Lilith.

Ostatnią i najdalej od słońca położoną planetą była Meduza. Skalisty świat zamrożonych mórz, oślepiających śniegów i poszarpanych, ostrych, wysokich szczytów górskich, jedyny, na którym widoczne były oznaki działalności wulkanicznej. Było tam trochę lasów, ale przeważała tundra i stepy. Surowe i nieprzyjemne miejsce.

A przecież na starej Ziemi człowiek potrafił żyć i budować swoje osiedla w miejscach równie niegościnnych jak Meduza. W strefach umiarkowanych, poświęciwszy wiele czasu i nakładem ciężkiej pracy, można by nawet zbudować cywilizację. Jednak, żeby mieć ochotę się tutaj osiedlić i uczynić to miejsce swym domem, cóż – chyba rzeczywiście trzeba by mieć kiełbke we łbie.

Cztery światy: od parującego piekła do lodowatej tundry. Cztery światy, których ekstremalne temperatury były jednak do zniesienia, których powietrze i woda nadawały się do użytku. Było to wręcz niewiarygodne, fantastyczne – a przecież prawdziwe.

Członkowie Grupy Eksploatacyjnej nie byli szaleni – wybrali Lilith jako bazę główną i założyli obóz na pięknej wyspie, położonej w tropikalnej lagunie. Mniej więcej po tygodniu od wylądowania wysłano mniejsze zespoły na pozostałe trzy planety, by założyły tam tymczasowe bazy.

Wszystkie Grupy Eksploatacyjne zostały poddane przez Konfederację ścisłej kwarantannie, obejmującej wszelkie kontakty zewnętrzne, także handlowe i wojskowe. Wstępne badania miały trwać co najmniej rok. W tym czasie członkowie grup byliby zarówno świnkami morskimi, jak i badaczami obstukującymi i sondującymi otoczenie, zanim pozwolono by komukolwiek innemu postawić stopę na którymś z tych światów. Dysponowali wahadłowcem przystosowanym do lotów wewnątrz systemowych, a także pojazdami do poruszania się w atmosferze i na powierzchni planet, ale nie udostępniano im statków kosmicznych do podróży międzygwiazdnej. Byłoby to bardzo ryzykowne; człowiek sparzył się już zbyt wiele razy, by podjąć takie ryzyko.

Naukowcy nadali mu długą i niezrozumiałą nazwę, ale wszyscy i tak nazywali go „organizmem Wardena” albo nawet „żyjątkiem Wardena”. Było to maleńkie stworzonko, nie przypominające żadnej ze znanych form życia i dlatego odkryto je o wiele za późno. Występowało absolutnie wszędzie: Podłączone było do każdej molekuly ciał stałych, a także cieczy, jakie tylko występowały na Lilith – zarówno organicznych jak i nieorganicznych – będąc praktycznie składnikiem ich struktury molekularnej. Nie było inteligentne, nic tak małego i elementarnego nie mogło myśleć – ale było wszechobecne i... wiedziało, czego chce. Nie podobały mu się cząsteczki, w których nie umiało się zagnieździć i niszczyło wszystko, co było dla Lilith obce, zamieniając w pył wszystkie urządzenia, a nawet ubrania badaczy. „Organizm Wardena” nie mógł przeżyć w związkach syntetycznych, a wiele z tego, co Grupa Eksploatacyjna używała i nosiła było syntetykami. Sami naukowcy i część ich instrumentów zbudowani byli na bazie węgla organicznego, z którym wardenowski organizm radził sobie bez najmniejszego trudu. Przedostał się więc bardzo szybko do wszystkich komórek i zadomowił się w nich; modyfikując je w sposób ułatwiający mu symbiotyczne współżycie. Stanowiło to jednak niewielką pociechę dla sześćdziesięciu dwóch wstrząśniętych i nagich uczonych, iż od tej pory nie muszą się przejmować przeziębieniami, a nawet drobnymi skaleczeniami, które goić się miały same z siebie.

Założenie baz na trzech pozostałych światach spowodowało – jak przypuszczano – nieświadome przeniesienie tam „organizmu Wardena” przez tych, którzy się na nich osiedlili. Naturalnie planety te różniły się znacznie od Lilith, charakteryzowały się bowiem inną grawitacją, innymi poziomami promieniowania i inną równowagą atmosferyczną. „Organizm Wardena” nie był w stanie zaadaptować całych tych światów do standardu Lilith, ale to supermikroskopijne stworzonko posiadało piekielny wręcz instynkt przetrwania. Na przykład na Meduzie – przystosowało do siebie organizmy nosicieli – ludzi, roślin i zwierząt – zapewniając im, a tym samym i sobie, przeżycie w tamtejszych warunkach. Na Cerberze i Charonie wytworzył w organizmach nosicieli taki stan równowagi, który mu najbardziej odpowiadał. Produktem ubocznym były dość dziwne zmiany fizyczne u zainfekowanych osobników.

Szukano lekarstwa, ale bez rezultatu. Wyglądało na to; iż „organizm Wardena” zmieniał metabolizm wewnętrzny nosiciela w taki sposób, że nie był on dłużej w stanie funkcjonować bez swego nosiciela. A poza tym istniało coś jeszcze – coś, co nie było całkiem jasne. Kiedy

zainfekowana osoba opuszczała Romb, „organizm Wardena” ginął, a wraz z nim – jego nosiciel.

Mutacja była tak powszechna, że mieszkający na jednym ze światów Wardena mogli prze – nosić się z planety na planetę, ale już nigdy nie byli w stanie opuścić systemu. Mogli żyć, pracować i budować tylko wewnątrz Rombu Wardena.

Tym samym, stał się on doskonałym więzieniem dla superkryminalistów.

Pierwsi zatem byli naukowcy – badacze; po nich przyszła elita przestępcza. Po ponad dwustu latach na wszystkich czterech planetach mieszkała także ludność tubylcza i stanowiła ona zdecydowaną większość mieszkańców. Jednak elitą i klasą rządzącą były elementy kryminalne. Przestępcy ci nienawidzili Konfederacji za to, jak z nimi postąpiła, a mając już w sobie „organizm Wardena”, nie czuli się stuprocentowymi ludźmi, lecz kimś innym, obcym, bez poczucia lojalności czy chociażby jakiegoś pokrewieństwa i wspólnoty ze światami cywilizowanymi. Bardzo szybko zyskali kontrolę nad własnymi światami i szybko też wykorzystali łączność międzygwiazdną, by wznowić kontakty z rozrzuconymi po całej galaktyce imperiami przestępczymi, włącznie z tymi, które znajdowały się na terenie samej Konfederacji. Dość wcześnie uświadomili sobie fakt, iż Romb Wardena z jednej strony co prawda trzyma ich na miejscu, lecz z drugiej utrzymuje Konfederację z daleka.. Dzięki – temu sami kontrolowali los wszystkich zesłanych na Romb Wardena i nawet najlepsi agenci Konfederacji nie dość, że musieli znaleźć się na ich łasce, to w dodatku, tak jak wszyscy inni, wpadali w pułapkę bez wyjścia, bez żadnej możliwości odwrotu.

Zazwyczaj trwało to jakiś czas, nim owi agenci uświadamiali sobie, z którą stroną wiążą ich interesy. Ich starzy kumple „na Zewnątrz” zorientowali się bez trudu, iż wszędzie, z wyjątkiem Lilith, można skraść „Mono Lisę” i zostawić ją gdziekolwiek w Rombie na widoku publicznym; a nikt jej nawet nie tknie, nie mówiąc już o próbie odzyskania. A przecież; skoro „Mono Lisa” wykonana była z naturalnych barwników i płótna, i była nieożywiona; nie mogła „umrzeć” w sytuacji, gdyby złodziej zażądał jej wycofania poza zasięg życia wardenowskiego. Romb Wardena był więc doskonałą przechowalnią, bowiem nawet policja nie miała najmniejszych szans skonfiskowania znajdujących się tam dowodów rzeczowych.

Z powodu swojej całkowitej niedostępności Romb stał się dla władców Konfederacji sejfem barokowym. Wiele dóbr i wiele sekretów ogromnego międzygwiazdznego imperium przepływało przez Romb Wardena, który tym bardziej zyskiwał, udowadniając, jak można polegać na jego kompetencji i dyskrecji.

Przywódcy jego czterech światów – najlepsi spośród najlepszych, elita kryminalna, najzdolniejsi przestępcy, jakich mogła stworzyć ewolucja – zgromadzili olbrzymią władzę i bogactwa, stając się prawdopodobnie najpotężniejszymi spośród wszystkich żyjących ludzi.

Czterej Władcy Rombu.

Mimo to nienawidzili Konfederacji tak bardzo, iż byli gotowi uczynić wszystko, by się na niej zemścić.

A teraz okazało się, że jakaś obca rasa o nieznanym kształcie, nieznanymi rozmiarach i nieznanymi

celach, odkryła istnienie ludzkości, nim ludzkość była w stanie odkryć jej istnienie. Odkryła, badała i sondowała tak długo, aż doskonale poznała system stworzony przez człowieka.

Poznawszy sposób, w jaki Konfederacja potraktowała inne obce cywilizacje, wiedziała, iż wojna jest nieunikniona, ale nie była całkowicie przekonana, że ją potrafi wygrać. Dlatego właśnie obcy skontaktowali się z Czterema Władcami Rombu, zawarli z nimi spektakularny układ.

Przyjęli kontrakt na likwidację cywilizacji człowieka.

Czterej Władcy, których motywację stanowiła zemsta i jakieś nieznane zachęty ze strony obcych, mieli uzyskać pełen dostęp do obcej technologii, wspomagającej ich własną, szeroko rozbudowaną sieć przestępczą i ich własne doświadczenia zdobyte na czterech izolowanych światach. Obcy mieli pozostać w ukryciu, podczas gdy Czterej Władcy staliby się tak potężni, iż byliby praktycznie nietykalni.

– Macie rzeczywiście twarde orzech do zgryzienia – powiedział młody mężczyzna ze zrozumieniem. Nie macie na światach Wardena nikogo, na kim moglibyście polegać, a ci którzy są zdolni zrobić to, co należy, natychmiast przechodzą na drugą stronę. Cóż więc możecie uczynić?

Komandor Krega, szef Bezpieczeństwa – Urzędu Ochrony Konfederacji, skinął głową, przyznając rację swemu rozmówcy.

– Jest dokładnie tak, jak mówisz. Sam widzisz, w jakiej to nas stawia sytuacji. Naturalnie, mamy tam swoich ludzi. Żaden nie jest godzien stuprocentowego zaufania i każdy z nich poderznąłby ci gardło, gdyby tylko uważał, że leży to w jego interesie. Mamy też pewne przekonujące argumenty – zapłata w tej czy innej formie, mały szantaż wobec tych, którzy mają bliskich krewnych w Konfederacji – to daje nam pewne możliwości manewru. Niestety niewielkie, bowiem Czterej Władcy są całkowicie bezwzględni, gdy uznają, że ktoś ich zdradził. Naszym jedynym atutem i szansą jest fakt, że te stosunkowo niedawno odkryte światy, są jeszcze dość rzadko zaludnione. Na żadnym z nich nie istnieje totalitarna kontrola wszystkich i wszystkiego, na każdej z czterech planet panuje inny system społeczny i inna hierarchia władzy.

Młodszy mężczyzna pokiwał głową.

– Mam dziwnie nieprzyjemne uczucie, że do czegoś zmierzasz. Może ci przypomnieć to, co mi powiedziałeś o agentach z przeszłości? A poza tym byłbym jednym, jedynym agentem na całej dużej planecie!

Komandor Krega uśmiechnął się.

– To nie całkiem jest tak. Jesteś cholernie dobrym detektywem i dobrze o tym wiesz. Zdarzało ci się wyśledzić i dopaść faceta w miejscu, w którym nikt inny by go w ogóle nie szukał; mimo niewątpliwie młodego wieku przechrzyłeś i wyprowadziłeś w pole najbardziej wyrafinowane komputery i najbystrzejszych przestępców. Jesteś przecież najmłodszym oficerem w randze inspektora w całej historii Konfederacji.

– Stoją przed nami dwa różne problemy. Pierwszy – to ustalenie tożsamości i miejsca, skąd pochodzi ta obca rasa. Musimy odkryć kim są, gdzie się znajdują i jakie mają zamiary. Pewnie już jest za późno, ale i tak musimy działać. Drugi problem – to neutralizacja ich kanału informacyjnego, czyli, inaczej mówiąc, wyłączenie z gry Czterech Władców. Jakbyś się do tego zabrał?

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

– Zapłaciłbym Czterem Władcom więcej niż obcy. Niech pracują dla nas – zasugerował.

– To niemożliwe. Myśleliśmy o tym – odpowiedział komandor ponuro. – Nie, zawarcie jakiegoś układu nie wchodzi w grę. Po prostu, nie mamy żadnych kart w ręku.

– To oznacza, że musicie wysłać kogoś na każdą z tych planet, żeby poszukał informacji dotyczących obcych. Przecież muszą się kontaktować z nimi bezpośrednio, muszą odbierać informacje i przekazywać swoje zabaweczki, takie jak ten genialny robot. Agent może co prawda zdradzić, ale jeśli będzie ochotnikiem, nie będzie nim kierować chęć zemsty i będzie się czuł bliższy ludziom, a nie jakiejś obcej rasie o nieznanym wyglądzie i strukturze.

– To prawda. Musi być także najlepszym z najlepszych. Kimś, kto nie tylko przeżyje, ale i dostosuje się do miejscowych warunków, potrafi zebrać dane i przesłać je na zewnątrz. Jest tylko jeden szkopuł brakuje nam czasu.

Młody człowiek ponownie się uśmiechnął.

– To łatwe. Przynajmniej łatwo to sformułować, bo samo wykonanie może być praktycznie niemożliwe. Należy zabić wszystkich Czterech Władców. Zanim ich następcy nie okrzepną, możemy zyskać kilka miesięcy, jeśli nie lat.

– Rozumowaliśmy podobnie – przyznał Krega. I tak też zaprogramowaliśmy komputery: mistrz wśród detektywów, lojalny, ochotnik z Licencją Skrytobójcy. Potrzeba nam czterech takich, plus koordynator, bowiem robota musi być wykonywana jednocześnie, a nie będzie powodów do kontaktu pomiędzy nimi, ani zresztą takiej możliwości. I dodatkowo, jako zabezpieczenie, ewentualni zmiennicy, których można by wysłać, gdyby się coś przydarzyło tym pierwszym. Takie właśnie cechy i wymagania podaliśmy komputerowi i... zrobił nam ciebie.

Młody człowiek roześmiał się bez odrobiny wesołości.

– Nie wątpię, Mnie i kogo jeszcze?

– Nikogo więcej. Tylko ciebie.

Był to najbardziej wyrafinowany i skomplikowany z programów Konfederacji, i otoczony najściślejszą tajemnicą. Nazwano go Procesem Mertona, od nazwiska twórcy, a dotyczył transferu osobowości. Był jeszcze dość zawodny, bowiem nowa osobowość nie tylko niszczyła całkowicie poprzednią, ale cały ten proces udawał się jedynie, mniej więcej, raz na trzydzieści przypadków. Ci, których osobowość ulegała zniszczeniu, ginęli często w potwornych męczarniach. Konfederacja

dysponowała jednak dużą liczbą „świnek morskich” i nie zaprzętała sobie nimi głowy. Pierwotnie wymyślony jako środek zyskania nieśmiertelności dla rządzących Konfederacją, a także dla najlepszych umysłów będących na jej usługach, teraz został ów proces poddany najsurowszemu z testów.

Dokonano bowiem kompletnego zapisu osobowości jednego osobnika, i w postaci cyfrowej zmagazynowano ten zapis w komputerach Mertona, by posłużyć się nim do stworzenia jego czterech „sobowtórów” wyposażonych w jego osobowość i jego intelekt, ale znajdujących się w czterech różnych ciałach. Oryginał tymczasem miał przebywać w przestrzeni kosmicznej, w specjalnym module, w towarzystwie specjalistycznego komputera. Małeńkie, organiczne nadajniki wszczepione w mózgi jego odpowiedników przebywających na planetach Rombu Wardena, miały mu umożliwić przyjmowanie od nich raportów – wszystkiego, co widzieli i robili. Dane te, potem przeanalizowane przez komputer i przez niego samego, pozwoliłyby na sporządzenie własnego, subiektywnego sprawozdania. Kombinacja taka – obiektywne dane i subiektywne sprawozdania – miała umożliwić chłodną analizę danych, zebranych przez agentów na powierzchni czterech planet.

Młody mężczyzna zastanawiał się chwilę.

– A co się stanie, jeśli odmówię? Albo inaczej: co się stanie, jeśli ja się zgodzę, a moi alter ego, już tam na miejscu, podejmą decyzję o zerwaniu współpracy?

Krega uśmiechnął się.

– Pomyśl, co ci proponujemy. Mamy możliwości, by uczynić cię nieśmiertelnym. Oczywiście jeśli odniesiesz sukces. W takim wypadku żadna nagroda nie będzie za wysoka. Jesteś ateistą, wiesz przeto, że jeśli się tam udasz, to już na zawsze – chyba że odniesiesz wspomniany sukces. Wówczas i ty, i twoi alter ego będziecie istnieć nadal. Będziecie nadal żyć. Sądzę, iż to bardzo przekonujący argument.

Młody mężczyzna zamyślił się.

– Zastanawiam się, czy oni podobnie będą widzieć tę sytuację – wyszeptał do siebie.

Czterej Władcy Rombu. Czterej potężni i inteligentni mężczyźni, których trzeba zabić. Cztery klucze do tajemnicy, która może oznaczać koniec rodzaju ludzkiego. Pięć problemów, pięć zagadek.

Szczerze mówiąc, Krega nie musiał oferować mu żadnej nagrody. I bez niej trudno byłoby oprzeć się takiej propozycji.

orbitującego w sąsiedztwie Rombu Wardena, tuż poza zasięgiem „Wardenowskiego organizmu”. Statek, całkowicie zabezpieczony, był praktycznie wielkim miastem unoszącym się w kosmosie, ze wszelkimi udogodnieniami, zapewniającymi wygodę, i bezpieczeństwo. Jednak nikt z tysięcy ludzi znajdujących się na pokładzie tego badawczego statku, na którym odbywała się kwarantanna; nie wiedział, co ten człowiek tu robi i nikomu nie wolno było wejść do modułu, czy też w jakikolwiek inny sposób próbować odkryć jego tajemnicę.

– Nie było cię przeszło trzy dni – odezwał się komputer prowokująco. – Przez cały ten czas napływały dane z Charona.

– Wiem, wiem – mruknął. – Ja po prostu... potrzebowałem trochę czasu. To wszystko. Chciałem mieć jakiś kontakt z Konfederacją i jej ludźmi.

Trochę się wstydził tego ostatniego wyznania, nawet przed samym sobą, to nie było w jego stylu, jednak zdążył się zmienić od chwili, gdy po raz pierwszy wszedł do tego modułu. Doświadczenia, które dzielił ze swoimi odpowiednikami na Lilith i na Cerberze zmieniły go w dużym stopniu. Nie podobało mu się to wszystko arii trochę. Przecież tak naprawdę nie otrzymywał raportów od jakichś obcych agentów tam z dołu; do diabła, przecież ci ludzie byli nim.

Zaludniane socjopatami światy Czterech Władców przeczyły każdej zasadzie, którą wyznawał i każdej idei, która mu była droga. Nie chodziło mu o widzenie Konfederacji i jej wartości oczyma kryminalistów – to było jeszcze do wybaczenia, skoro się ma do czynienia z takimi czy innymi psychopatami. Jednak kiedy on sam, tam w dole, na tych planetach, zaczynał się wahać, kusiło go, by wreszcie zgruchotać te wszystkie niezachwiane ideały... To już było zupełnie co innego.

Konfederacja oglądana z zewnątrz, nie wyglądała już tak dobrze, nie była już takim rajem, i pogląd taki był trudny do obalenia. Najbardziej bał się utraty zdrowych zmysłów i stąd ta obawa związana z następnym raportem, z doświadczeniem uzyskanym z drugiej ręki, z jeszcze jednym szalonym wyzwaniem, rzuconym temu uporządkowanemu kosmosowi. Wiedział to wszystko, rozumiał nawet, ale niewielką to było dla niego pociechą.

Prawda była taka, iż nie cierpiał odkrywać, że jest równie ludzki jak resztą rodzaju ludzkiego, poddany tym samym lękom, emocjom i klęskom. Zawsze uważał się za kogoś lepszego, ponad tym wszystkim. Nigdy więcej, nigdy więcej...

Nie umknął jego uwadze również fakt, iż dowiaduje się nazbyt dużo, że wie zbyt dużo, już nawet w tej chwili. Był tylko narzędziem Konfederacji, takim jak piła, wiertarka, młotek, czy... cóż, komputer – ten także był jedynie narzędziem. Użytecznym, by wykonać jakąś pracę, ale jeśli takie narzędzie stawało się, Powiedzmy, radioaktywne, po wykonaniu pracy, bez najmniejszych skrupułów niszczone je. Nie oszukiwał sam siebie. Nie musieli się martwić podtrzymywaniem w nim życia – znajdował się przecież tam ma dole, w czterech osobach, na czterech różnych planetach.

W chwili, gdy w końcu rozwiąże zagadkę Czterech Władców Rombu, będzie już trupem. Jego wierny komputer może po prostu wystrzelić jego moduł wprost w słońce, wysadzić go w powietrze albo zwyczajnie podłączyć do wysokiego napięcia. Najgorsze było to, że nie mógł się teraz wycofać, nawet gdyby zgodził się na pranie mózgu. Wyciągnęliby sobie zapis mertonowski, stworzyli go

jeszcze raz, wyposażyli tego nowego w te same doświadczenia... i znalazłby się dokładnie w tym samym punkcie, w którym znajdował się obecnie.

Wpierw jednak to on musi rozwikłać tę zagadkę. On i tylko on – nawet nie komputer – zdecyduje, kiedy ten okropny moment nastąpi. Była to pełna ironii i straszna alternatywa, z której doskonale zdawał sobie sprawę. Los całej cywilizacji, być może nawet życie wszystkich ludzi, spoczywały w jego rękach. A on mógł ocalić albo ich, albo siebie. Innej możliwości nie było.

Jego ostateczne, zrodzone wśród wahań i bólu decyzje i tak musiały być pewnym kompromisem. Po pierwsze, rozwiązać zagadkę. Potem zdecydować, jak postąpić z tym rozwiązaniem. Najbardziej martwiło go coś innego. Zaczynał podejrzewać, że natura zagrożenia przez obcych nie miała tak czystego, opartego na opozycja: dobro – zło, charakteru, jak w to początkowo wierzył.

Usiadł przed ekranem i myślał przez chwilę.

– Pokaż mi duże powiększenie organizmu z Lilith polecił komputerowi.

Ekran zaświecił i ukazało się na nim przedziwne powiększenie. Najbliższym krewnym tego organizmu był zapewne wirus, ale on był od wirusa nieskończenie mniejszy i wyglądał jak abstrakcyjny wzór cienkich linii i nierówności, zdolny do połączenia się na poziomie atomowym z konkretnymi molekułami. Molekułami! Nie było to żywe stworzenie, lecz jedynie kilka dodatkowych składników chemicznych na końcu łańcucha cząsteczki, składników, które jakimś sposobem, nie zmieniając samej molekuly, kontrolowały ją.

Po połączeniu „organizmu” z cząsteczkami, ponowne ich rozdzielenie i usunięcie „organizmu” było zabiegiem stosunkowo prostym, znajdował się on bowiem zawsze na końcu łańcucha. Tylko w cząsteczkach węglowych „organizm Wardena” znajdował się w środku struktury. Usunięcie go z łańcucha węglowego powodowało rozpad tego łańcucha i – tym samym rozpad całego „zainfekowanego” osobnika. Związki syntetyczne, podobnie jak cząsteczki węglowe; przyciągały „organizmy Wardena” swoimi dziwnymi i nienaturalnymi łańcuchami i, choć udawało się im do nich podczepić, to jednak nie mogły się tam dłużej utrzymać. Syntetyki po prostu się rozpadały.

Z punktu widzenia Konfederacji miało to pewną zaletę. Utrzymywało bowiem Czterech Władców i ich światy w technologicznym opóźnieniu w stosunku do Konfederacji i uzależniało ich przemysł od surowców miejscowych i wszelkiego śmiecia, jakie krążyło w kosmosie wewnątrz systemu, o ile „organizm Wardena” rozpoznawał je jako „naturalne”. Na żadnej z planet Rombu nie było metali ciężkich; kopalnie na asteroidach i na księżycach najbliższego spośród gigantów gazowych, Momratha, dostarczały surowców tym, którzy potrafili z nich zbudować jakąkolwiek bądź maszynę. Byli tam tacy, którzy potrafili zbudować nawet statek do podróży międzygwiazdnej, ale brak im było odpowiednich – materiałów, by tego dokonać.

Cóż, kiedy...

Ta rzecz na ekranie nie mogła być żywa! Nie w takim sensie, w jakim biologowie rozumieli życie: Więcej nawet, ona zupełnie nie pasowała, w każdym razie nie do Rombu. Co prawda te cztery światy tam na dole były inne, ale każdy z nich zbudowany był na logicznych i racjonalnych

podstawach, jakie stanowiło życie na bazie węgla. To życie nie było nawet tak egzotyczne, jak życie na wielu planetach samej Konfederacji.

Nigdzie jednak nie było najmniejszych śladów czegoś, co przypominało „organizm Wardena”. Najwyraźniej nie pasował on do tych światów. Nie posiadał żadnych przodków, nie miał żadnych krewnych, nie było też widać żadnych ślepych zaułków jego ewentualnego rozwoju. Prawdę mówiąc, nie miał w ogóle prawa tu ewoluować.

– A zdalnie sterowane sondy – te, które poprzedzały pierwsze lądowanie na wszystkich czterech światach? Dlaczego pobrane przez nie próbki nie ujawniły „organizmu Wardena”?

– Instrumenty nie były zaprojektowane i nastawione gna szukanie czegoś takiego – odpowiedział komputer. Dopiero, kiedy dowiedzieli się, iż coś tam jest, mogli to coś znaleźć.

– Bardzo kiepskie procedury – zauważył. – Przecież cała idea badań eksploracyjnych polega na odkrywaniu tego rodzaju zagrożeń.

– Jeśli nie postawi się pytania, to rzadko kiedy uzyska się odpowiedź – odparł komputer filozoficznie. – Innymi słowy, nikt nigdy nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. A w ogóle, – skąd to zainteresowanie starymi próbkami? Nie sądzisz chyba, iż „organizm Wardena” i obcy to jedno?

– Nie, naturalnie, że nie. Jest on czymś niewiarygodnie dziwnym i obcym, ale nawet gdyby traktować go jako istotę kolektywną, nie posiada zapewne świadomości. Wiesz, istnieją takie światy w naszych katalogach, gdzie coś takiego nie byłoby w stanie zadziwić ani mnie, ani naukowców, ale tutaj? On zupełnie tu nie pasuje. To tak, jak gdyby odkryć nagle górę lodową w świecie tropików. Nie ma w tym żadnej logiki.

– To samo zauważyło już wielu spośród badaczy i teoretyków. Niektórzy wymyślili nawet teorię, według której obcy pochodzi z przestrzeni międzygwiazdnej, przybył na meteorycie i zdomował się na Lilith. Teoria ta zresztą jest obecnie powszechnie uznawana. Pokiwał głową.

– Ale dlaczego tylko na Lilith? I czy na pewno jedynie na Lilith? Skąd pewność, że to my przenieśliśmy go na trzy pozostałe planety? Możliwe, iż światy te zostały „zarażone” znacznie wcześniej, o ale w ogóle tak było.

– Owszem, zakładano też, że „organizm Wardena” występował już wcześniej na wszystkich czterech planetach – powiedział komputer. – Badanie próbek przeprowadzono ze statku – bazy, znajdującego się poza zasięgiem „organizmu Wardena”. Ponieważ jednak rośliny nie rozkładały się w ów charakterystyczny dla obcych sposób, przyjęto po prostu, iż „organizm Wardena” tam nie występuje.

– Przyjęto... Zastanawiam się. A co w takim razie z roślinami z Lilith?

– Właśnie to sprawdziłem. Okazuje się, że cała roślinność w próbkach, pochodzących z Lilith, zginęła. Można to było wytłumaczyć tysiącem całkiem naturalnych przyczyn, więc nikt się tym nie

przejmował. Nic nadzwyczajnego, jeśli chodzi o badanie wstępne nowych światów. Wiele obcych roślin wykazuje tę podwójną zależność i od organizmów, i od biosfery niezbędnej do ich przeżycia, na przykład takiej, która charakteryzuje się stałymi wartościami ciśnienia czy temperatury. Próbki z Lilith co prawda zginęły pierwsze, ale przecież po jednym dniu, a najdalej po dwu, zginęły też wszystkie pozostałe próbki. To całkiem normalne i tego należy oczekiwać. Nie mowna przecież odtworzyć idealnie warunków, niezbędnych do funkcjonowania kompletnie obcych form życia. W każdym razie, obecnie twoje przypuszczenia dotyczące pochodzenia „organizmu Wardena” nie mogą być już ani potwierdzone, ani obalone. Występuje on teraz na wszystkich czterech planetach.

– Mimo wszystko są to bardzo interesujące rozważania.

– A niby dlaczego? Jeśli teoria obcych sporów jest poprawna, a wydaje się ona najbardziej logiczna, to spory te mogły przecież trafić jednocześnie a wszystkie cztery planety. To nie dowodzi absolutnie niczego.

– Może i nie – mruknął do siebie. – Może... Wstał i podszedł do konsoli kontrolnej. – Kogo teraz mamy?

– Charona.

– Szkoda. Wolałbym Meduzę. Zaczynam podejrzewać, że tam, a może jeszcze dalej należy szukać potwierdzenia moich teorii. Charon zapewne nie dostarczy mi żadnej nowej informacji w tym względzie.

– A może chcesz po prostu uniknąć czekającego cię doświadczenia?

Zatrzymał się i, zakłopotany, rozejrzał wokół. Może rzeczywiście tak było? Przecież naprawdę lękał się tego nowego doświadczenia. Oszukiwał siebie samego, czy tylko komputer?

Usiadł wygodnie w fotelu. Komputer opuścił małe sondy i umieścił je w odpowiednich punktach na jego głowie, po czym ta myśląca maszyna, stanowiąca integralną część modułu, zaaplikowała mu odmierzaną porcję iniekcji i rozpoczęła wczytywanie zapisu głównego.

Przez chwilę unosił się w półhipnotycznej mgle, powoli jednak w jego mózgu zaczęły powstawać obrazy, tak jak zdarzało się to już przedtem. Tyle, że teraz wydawały się one bardziej ostre, wyraźne, bardziej podobne do jego własnych myśli.

Środki farmakologiczne i sondy wykonały swoje zadanie. Jego własny umysł i osobowość ustąpiły pola; a ich miejsce zajął podobny, a jednak zupełnie inny układ.

– Agent ma zgłosić się na rozkaz – polecił komputer, przesyłając tę komendę głęboko w jego umysł który już nie był tak całkiem jego własnością.

Włączyły się urządzenia rejestrujące.

Mężczyzna w fotelu chrząknął kilkakrotnie. Z jego ust poczęły wydobywać się pomruki, jęki, dziwaczne słowa i dźwięki. W tym czasie umysł odbierał olbrzymie ilości danych i trzymał się nad

ich sortowaniem i klasyfikowaniem.

W końcu mężczyzna zaczął mówić równo i płynnie.

Rozdział pierwszy

ODRODZENIE

Po przemówieniu Kregi i po drobnych zabiegach związanych z uporządkowaniem spraw osobistych miało to potrwać trochę dłużej – zgłosiłem się do Kliniki Służb Bezpieczeństwa Konfederacji. Naturalnie, byłem tam już wiele razy przedtem, nigdy jednak świadomie w tym właśnie celu. Było to przecież miejsce, gdzie programowa – no nas przed wykonaniem misji i doprowadzano do pierwotnego stanu po jej zakończeniu. Moja praca, to rozumiałe, często była „pozalegalna”. To termin, w moim odczuciu, bardziej właściwy ad – „nielegalna”, w końcu nie miałem zamiaru popełniać przestępstwa. Robota tak delikatna, iż w żaden sposób nie wolno jej było ujawnić. By uniknąć najmniejszego ryzyka, wymazywano z pamięci agentów wszelkie informacje o misji. Zdarzało się to każdemu z nas.

Takie życie, w którym delikwent nie wie nawet, gdzie był i co robił, może wydawać się komuś dziwne, jednak ma ono swoje plusy. Skoro potencjalny wróg, czy to polityczny, czy militarny, wie, iż wymazano ci co trzeba, możesz sobie żyć praktycznie normalnym, spokojnym życiem po zakończeniu każdej misji. Nie ma sensu cię likwidować, bo przecież nie posiadasz wiedzy na temat tego, co zrobiłeś, dlaczego to zrobiłeś czy dla kogo to zrobiłeś. W nagrodę za te przerwy w życiorysie, agent Konfederacji prowadzi żywot przyjemny i luksusowy, otrzymuje niemal nieograniczoną ilość pieniędzy i wszystko, co jest mu niezbędne do życia w komforcie. Ja lubiłem obijać się tu i tam, pływałem, uprawiałem hazard, jadałem w najlepszych restauracjach, grałem w różne gry zręcznościowe i w tenisa. Byłem w tym nie tylko niezły, ale pozwalało mi to również utrzymywać dobrą kondycję fizyczną. Życie takie sprawiało mi wielką przyjemność, oczywiście z wyjątkiem regularnych, sześciotygodniowych treningów, związanych z ciągłym przekwalifikowaniem – treningów przypominających szkolenie wojskowe, tyle że o wiele bardziej przykre. Treningi nie pozwalały, by ciało czy umysł zmiękły od zbytniego komfortu. Implantowane na stałe czujniki monitorowały bezustannie wszystkie najważniejsze parametry i decydowały o tym, kiedy przydałaby się odnowa biologiczna.

Często zastanawiałem się nad tym, jak bardzo wyrafinowane są te czujniki. Z początku irytowało mnie to, że cała służba bezpieczeństwa – może oglądać moje ekscesy, ale po jakimś czasie nauczyłem się w ogóle o tym nie myśleć.

Życie, jakie oferowano w tym zawodzie, było po prostu bardzo miłe. Poza tym i tak nie miałem

żadnego wpływu na te wszystkie sprawy. Ludzie na większości cywilizowanych światów mieli wszczepione podobne czujniki, tyle że nie tak wyrafinowane technologicznie, jak moje. Jakże bowiem inaczej dałoby się utrzymać w porządku, „postępie” i pokoju tak olbrzymie masy ludności?

Kiedy jednak przychodziła pora na misję, nie można było przecież rezygnować z nabytego uprzednio doświadczenia. Wymazanie danych z mózgu, bez zmagazynowania ich gdzieś indziej, byłoby wielce niepraktyczne, bo przecież dobry agent staje się coraz lepszy dzięki temu, że nie powtarza swoich błędów. Dlatego właśnie należało się udać do Kliniki Służb Bezpieczeństwa, gdzie przechowywano to wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyłeś. Na powrót wpisywano to do pamięci, tak żebyś przed następną akcją mógł być... „kompletny” i na ciele, i umyśle. Zdumiewał mnie zawsze mój stan, kiedy wstawałem z fotela tuż po przywróceniu całej pamięci. Dziwiłem się bardzo, że to właśnie ja, spośród wszystkich ludzi na świecie, zrobiłem to czy owo. Tym razem wiedziałem jednak, że proces ten pójdzie o jeden krok dalej. Nie tylko cały ja wstanę z tego fotela, ale ta sama pamięć zostanie odcisnięta w innych umysłach, w innych ciałach – w tylu, ilu będzie trzeba dla skutecznego planowania misji.

Zastanawiałem się, jacy oni będą, jakie będą te cztery wersje mnie samego. Fizycznie prawdopodobnie będą się ode mnie znacznie różnić. Przestępcy, których tu spotykałem, na ogół nie pochodzili z żadnego z cywilizowanych światów, gdzie ludzi standaryzowano w imię równości. Nie, ci ludzie wywodzili się z pogranicza, spośród kupców, górników i wolnych strzelców. Egzystowali na obrzeżach cywilizacji i byli niezbędni. Wiadomo, warunki, w jakich żyli, wymagały olbrzymiej indywidualności, samodzielności, oryginalności i wyobraźni. Głupia władza zlikwidowałaby ich wszystkich, ale głupia władza degeneruje się szybko i traci witalność i możliwość dalszego rozwoju właśnie przez głupie upieranie się przy standaryzacji.

Ten problem tkwił zresztą u podstaw Rezerwatu Rombu Wardena. Niektórzy z tych twardzieli z pogranicza mieli tak silne poczucie niezależności, że stanowili poważne zagrożenie dla stabilności światów cywilizowanych. Kłopot polega bowiem na tym, że ten, który potrafi rozluźnić więzy utrzymujące nasze społeczeństwo w całości, na ogół należy do kategorii najbardziej bystrych, przebiegłych, bezwzględnych i najbardziej oryginalnych umysłów wyprodukowanych przez to społeczeństwo. Takiemu komuś trzeba lekką ręką wymazać zawartość jego mózgu. Romb mógł skutecznie zatrzymać ten gatunek ludzi na zawsze, dostarczając im jednocześnie twórczych możliwości rozwoju, które pod subtelną kontrolą, mogłyby ewentualnie dać coś wartościowego samej Konfederacji.

Naturalnie przestępcy zsyłani na planety Rombu bardzo chcieli tam na miejscu okazać się przydatni. Jediną alternatywą dla nich była przecież śmierć. W rezultacie wiele twórczych umysłów stało się niezbędnymi dla Konfederacji. Zapewniły sobie tym samym własne przetrwanie. Przewidziano to zresztą i nikt nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Podobnie jak organizacje przestępcze w przeszłości, te obecne również świadczyły usługi, które – choć uważane za nielegalne czy niemoralne – cieszyły się ogromnym popytem.

Ta cholerna sonda sprawiała mi ból jak wszyscy diabli. Zazwyczaj odczuwałem jedynie mrowienie, po którym następowało uczucie senności i sen, z którego budziłem się po kilku minutach w świetnej formie. Tym razem mrowienie przeszło w ból, który wydawał się wwiercać wprost do czaszki, skakać w jej wnętrzu i obejmować kontrolę nad całą moją głową. Było to tak, jak gdyby

olbrzymia dłoń objęła mój mózg, ścisnęła, puściła, znowu ścisnęła, a wszystko to w ogłuszającym bólem rytmie. Tym razem nie zasnąłem. Straciłem przytomność.

Przebudziłem się i jęknąłem cicho.

Bolesne pulsowanie ustało, ale pamięć o nim była zbyt świeża i zbyt żywa. Minęło kilka minut, nim znalazłem w sobie dość sił, żeby usiąść.

Napłynęły stare wspomnienia, a ja zdumiewałem sam siebie, przypominając sobie niektóre z dawnych przygód. Zastanawiałem się też, czy moje „sobowtóry” poddane zostaną podobnej kuracji, skoro ich pamięci nie da się wymazać po zakończeniu misji, tak jak mojej. Uzmysłowiłem sobie, iż będą oni musieli być zlikwidowani, jeżeli są w posiadaniu całej zawartości mojej pamięci. Gdyby tak się nie stało, zbyt wiele tajemnic znalazłoby się na planetach Rombu Wardena i mogłyby one wpaść w ręce ludzi, którzy wiedzieli, jaki z nich zrobić użytek:

Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, kiedy nagle uświadomiłem sobie, iż coś jest nie tak. Rozejrzałem się po małym pokoiku, w którym się obudziłem i natychmiast zorientowałem się, co jest grane.

To nie była Klinika Służb Bezpieczeństwa; to nie było żadne ze znanych mi miejsc. Malutkie pomieszczenie, około dwunastu metrów sześciennych objętości, z tym że sufit usytuowany nieco wyżej niż normalnie. Znajdowała się tutaj koja, na której się przebudziłem, a poza tym maleńka umywalka, standardowy zasobnik na jedzenie i wysuwana toaleta w ścianie. To wszystko. Nic więcej... chociaż...

Rozejrzałem się wokół i bez trudu zauważyłem to, co było najbardziej oczywiste. Tak, nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, który nie byłby rejestrowany przez kamerę i mikrofon. Drzwi były prawie niewidoczne i na pewno nie dałoby się ich otworzyć od wewnątrz. Pojąłem natychmiast, gdzie jestem:

To więzienna cela.

Co gorsza, poczułem delikatną wibrację. Nie pochodziła z żadnego konkretnego źródła. Uczucie nie było zbyt irytujące; w rzeczywistości wibracja była tak słaba, iż prawie niezauważalna, ale ja wiedziałem, co ona oznacza. Znajdowałem się na pokładzie statku, poruszającego się gdzieś w przestrzeni.

Wstałem, zataczając się lekko pod wpływem nagłego zawrotu głowy, który przeszedł równie szybko, jak się pojawił, i przyjrzałem się sobie: Moje ciało było drobne i gibkie; prawie żylaste, świetnie umięśnione i pozbawione zbędnego tłuszczu. Kilka blizn po ranach to nic nadzwyczajnego: może z wyjątkiem faktu, iż sądząc po ich wyglądzie, ran tych nie opatrywał na pewno żaden lekarz. Skóra miała naturalny ciemny odcień; cera w kolorze oliwkowym, choć nieco niezwykła, nie robiła wrażenia nienaturalnej. Było to więc ciało człowieka zrodzonego w sposób naturalny, a nie takiego, który jest rezultatem inżynierii genetycznej. Zapewne niełatwo mi będzie pogodzić się z tym, że jestem nie tyle niski, co wręcz mały. Nie wiem, jak długo stałem tam bez ruchu. Ostatnie odkrycia

ogłuszyły mnie.

Przecież to nie ja! Jestem jednym z nich! Jednym z tych sobowtórów!

Usiadłem na pryczy, powtarzając sobie, że to nie możliwe. Wiedziałem przecież, kim jestem, pamiętałem wszystko, każdy szczegół ze swego życia i ze swojej pracy.

Po jakimś czasie szok ustąpił miejsca wściekłości. Wściekłości i frustracji. Byłem kopia, imitacją kogoś, kto wciąż żyje i działa. Kto, być może, obserwuje mój każdy ruch i zna każdą moją myśl. Nienawidziłem wtedy tego drugiego, nienawidziłem go z taką siłą, która nie ma nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Siedzi tam sobie wygodnie i bezpiecznie, i obserwuje moją pracę, obserwuje sobie to wszystko. A kiedy to się skończy, wróci do domu, by złożyć sprawozdanie, wróci do tego przyjemnego życia, podczas gdy ja...

Zamierzali rzucić mnie na któryś ze światów Rombu Wardena, zatrzasnąć mnie w tej pułapce jak jakiegoś superkryminalistę, uwięzić mnie na resztę mojego żywota, to znaczy – na resztę żywota tego ciała. A co potem? Kiedy zadanie zostanie wykonane? Sam pomyślałem o tym, tuż po przebudzeniu, sam wydałem już wtedy na siebie wyrok. A tyle wiedziałem! Jasne, będę poddany ciągłej obserwacji. I zabiją mnie, jeśli wydam którąś z tych tajemnic. Zresztą po zakończeniu misji i tak mnie zabiją. Choćby ze względów bezpieczeństwa.

W tym momencie jednak moje wyszkolenie i profesjonalizm wzięły górę nad szokiem i gniewem. Odzyskałem panowanie nad sobą i usiłowałem przemyśleć wszystko, co wiedziałem.

Obserwacja i stała kontrola? Bez wątpienia – dokładniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Przypomniało mi się, co mówił Krega o jakiejś organicznej łączności. Dobrze się teraz bawisz, ty sukinsynu? Masz wielką przyjemność doświadczając moich przeżyć?

Jestem wyszkolony, jestem profesjonalistą – uspokajałem sam siebie. Nieważne, przecież dobrze wiem, co on sobie myśli, a to już daje mi pewną przewagę. Ze wszystkich ludzi na świecie, on wie najlepiej, że niełatwo mnie będzie zabić.

Odkrycie, iż nie jest się tym, kim się było, a jedynie jakimś sztucznym tworem, stanowiło ogromny wstrząs. Całe życie, które ma się w pamięci, nawet jeżeli osobiście go się nie doświadczyło, odeszło na zawsze. Nie będzie już więcej cywilizowanych światów, nie będzie kasyn i pięknych kobiet, nie będzie więcej szastania łatwymi pieniędzmi. Kiedy tak sobie tam siedziałem, mój umysł automatycznie przystosowywał się do nowej sytuacji. Dlatego właśnie wybierano takich jak ja. Posiadaliśmy umiejętność przystosowywania się i adaptowania do praktycznie każdych okoliczności.

I choć nie było to moje ciało, to jednak ciągle to byłem ja. Człowiek to pamięć, myśl i osobowość. Człowiek to nie tylko jego ciało. Wmawiałem sobie, że ciało to jest jedynie rodzaj biologicznego przebrania, choć wyjątkowo wyrafinowanego. Wydawało mi się, że ta osobowość i te wspomnienia w równym stopniu należą do mnie, co do tamtego osobnika. I tak przecież byłem kimś innym aż do momentu, w którym podniosłem się z fotela w Klinice. Wtedy już część mojej pamięci i moich doświadczeń przestała istnieć. Ten stary ja, z okresu pomiędzy misjami, był tworem

sztucznym. Ten nieciekawy playboy w rzeczywistości nie istniał; jego osobowość była rezultatem manipulacji. Prawdziwy ja został zakonserwowany a zmagazynowany w komputerach psychochirurgicznych. Pozwalano mu się ujawnić jedynie wówczas, kiedy był do czegoś – potrzebny, i nie bez racji. Na wolności stanowiłem takie samo zagrożenie dla struktur władzy, jak i dla tych, przeciwko którym władza mnie wysyłała.

Byłem dobry. Najlepszy, jak twierdził Krega. Dlatego właśnie znalazłem się tutaj, w tym cieple, w tej celi, na tym statku. I nie wyczyszczą mi pamięci, nie zabiją mnie, jeśli tylko uda mi się temu zapobiec. Ten drugi ja, siedząc tam przy konsoli... Jakoś przestałem odczuwać do niego nienawiść, stał mi się wręcz obojętny. Kiedy to się skończy jeszcze raz wymażą zawartość jego pamięci, być może nawet go zlikwidują, jeśli ja i moi bracia – agenci na Rombie dowiemy się zbyt wiele. W najlepszym wypadku powróci on do stanu ospałego i bojaźliwego mięczaka.

Z drugiej strony... ja będę tutaj. Będę sobie żył dalej. Prawdziwy ja. Stanę się pełniejszym od niego.

Nie miałem jednak żadnych złudzeń. Zabiją mnie, jeśli tylko będą mogli, o ile nie zrobię tego, na czym im zależy. Uczynią to zdalnie, z satelity – robota, bez najmniejszego wahania. Przynajmniej ja bym tak zrobił. Grozi mi to dopóty, dopóki nie opanuję nowej sytuacji i nie dostosuję się do nowego środowiska, na które zostałem skazany. Byłem tego wszystkiego pewien, znałem bowiem ich metody i ich sposób myślenia. Muszę za nich wykonywać brudną robotę, ale tylko tak długo, jak długo nie znajdę sposobu jej obejścia. Można ich przecież pokonać, nawet na ich własnym terenie. Po to zresztą zatrudniali ludzi mojego pokroju: byśmy demaskowali tych, którzy po mistrzowsku zacierali swoje ślady, maskowali swoje życie i działalność, znikali jak duchy z ich najlepszych monitorów; byliśmy po to, żeby ich znaleźć i likwidować.

Jednak nie wyślą za mną nowego agenta po to, żeby mnie dopadł. Postawiliby bowiem kogoś innego dokładnie w takiej samej sytuacji, w jakiej ja się znajduję.

Zrozumiałem wtedy coś, do czego oni bez wątpienia doszli przede mną; wiedziałem, że nie mam wyjścia i muszę wypełnić tę misję. Tylko tak długo, jak będę wykonywał to, czego ode mnie oczekują, będę przez nich ubezpieczony. Potem zaś...: No cóż, zobaczymy.

Ogarnęło mnie podniecenie. Towarzyszyło mi zawsze w takiej sytuacji, kiedy stało przede mną wyzwanie. Należy rozwiązać zagadki, osiągnąć wskazane cele. Lubię zwyciężać, a zwycięstwo przychodzi łatwiej, kiedy nie ma się emocjonalnego stosunku do sprawy, gdy myśli się tylko o samym wyzwaniu, problemie, o przeciwniku. By sprostać wyzwaniu potrzebny jest fizyczny i intelektualny wysiłek. Muszę dowiedzieć się czegoś na temat zagrożenia ze strony obcych. Prawdę mówiąc, nie przejmowałem się zbytnio tym zagadnieniem. I tak byłem na zawsze uwięziony w świetle Wardena. Jeśli obcy zwyciężą w nadchodzącej konfrontacji, mieszkańcy Rombu przetrwają jako ich sojusznicy. Jeśli obcy przegrają, nie będzie to miało większego znaczenia, sytuacja będzie wyglądała tak, jak w tej chwili. Jednym słowem, cały ten problem z obcymi był problemem czysto teoretycznym. To dobrze.

Drugi cel misji stwarzał podobną sytuację. Znaleźć Władcę Konkretnego Diamentu i – jeśli potrafię – zabić go. W pewnym sensie dokonanie tego będzie znacznie trudniejsze: muszę działać na

obcym terenie i dlatego będę potrzebował więcej czasu i ewentualnych sojuszników. Jeszcze jedno wyzwanie. A jeśli go dopadnę, poprawi to na pewno moją pozycję na dłuższą metę i poszerzy znacznie moje możliwości. A jeśli to on mnie dopadnie? Cóż, rozwiąże tym samym wszystkie moje problemy. Jednak nie lubiłem myśleć o przegranej. Z mojego punktu widzenia cały ten pojedynek mógł wyglądać nie najgorzej: zabójstwo poprzedzone tropieniem ofiary to najbardziej wyrafinowana gra. Albo wygrywałeś, albo umierałeś. Tak czy siak ginie musiałeś żyć z myślą o przegranej.

Przyszło mi nagle do głowy, że jedyną rzeczywistą różnicą pomiędzy mną a którymś z Władców Diamentu jest to, że ja pracuję dla prawa, a on – czy ona – przeciw prawu. Nie, to chyba nie tak. Na jego świecie, to on stanowił prawo. Ja będę działał przeciw niemu, czyli przeciw prawu. Świetnie. Pod względem etycznym wychodził mi remis.

Jedyne co mi się w tym momencie naprawdę nie podobało, to fakt, że rozpoczynałem wykonywanie zadania w tak niekorzystnej dla siebie sytuacji. Zazwyczaj programowano bowiem całą istotną informację w moim mózgu przed wysłaniem mnie na misję. Tym razem tego nie uczyniono. Możliwe, pomyślałem sobie, iż wpłynęły na to cztery programowania przed czterema kolejnymi misjami i obawa przed dodawaniem jeszcze czegoś do mojego mózgu, bezpośrednio po dokonaniu transferu, który sam w sobie był już operacją trudną. Jakby nie było, taka metoda spowoduje, że znajdę się w poważnych tarapatkach. Ktoś po winien był o tym pomyśleć.

Ktoś pomyślał, ale odkryłem to dopiero po jakimś czasie. Mniej więcej godzinę po przebudzeniu usłyszałem dzwoneczek przy podajniku z żywnością. Podeszedłem do niego. Prawie natychmiast ukazała się tam gorąca taca razem z nożem i widelcem. Bez trudu rozpoznałem, że przedmioty te należały do kategorii tych, które ulegają samorozkładowi. Po pół godzinie rozpuszczają się, tworząc kałużę lepkiej cieczy, po czym wyschną na sypki proszek. Standardowa procedura w przypadku więźniów.

Jedzenie było okropne, ale nie spodziewałem się lepszego. Witaminizowany sok owocowy był natomiast całkiem dobry; wypilem go z dużą przyjemnością, a cienki, przezroczysty nierozpuszczalny pojemnik zachowałem jako naczynie na wodę; tak na wszelki wypadek. Całą resztę włożyłem z powrotem do podajnika, gdzie elegancko wyparowała. Szybkość i czystość. Tylko z kranu i tak nie udawało się wycisnąć więcej jak napaścerek wody na raz.

Praktycznie jedyną rzeczą, której kontrolować nie potrafili, były funkcje fizjologiczne. Jakieś pół godziny po posiłku moje nowe ciało zaczęło domagać się swoich praw. Na ścianie była płytką z napisem „Toaleta” i mały pierścień do pociągania. Proste, standardowe rozwiązanie, takie jakie spotykało się w tańszych kabinach statków pasażerskich. Pociągnąłem za pierścień, całość się opuściła... i niech mnie licho porwie, jeśli w zagłębieniu z tyłu nie ujrzałem cieniutkiej jak papier sondy.

Usiadłem więc na sedesie, oparłem się wygodnie i ulżyłem sobie, w czasie kiedy przekazywano mi dodatkowe instrukcje.

Sonda działała na zasadzie kontaktu ze skórą. Nie pytajcie mnie nawet, jak. Nie mam zdolności technicznych. Ten system nie był tak dobry jak programowanie, ale umożliwiał im przekazywanie mi informacji słownej, i nie tylko. Mogli mi również przysyłać filmy, które tylko ja byłem w stanie

widzieć i słyszeć.

– Mam nadzieję, że wyszedłeś już z szoku, wywołanego odkryciem, kim i czym jesteś – głos Kregi brzęczał mi bezpośrednio w mózgu. Wstrząsnęło mną, kiedy sobie uświadomiłem, iż strażnicy więzienia, w którym się znajdowałem, nic nie słyszą i nic nie widzą.

– Jesteśmy zmuszeni dostarczać ci informację w taki właśnie sposób, ponieważ sam proces transferu jest bardzo delikatny i nie należy z nim przesadzać. Och, nie przejmuj się, dokonał się na stałe. Wolimy jednak dać twojemu mózgowi tyle czasu, ile trzeba, żeby się zaadaptował do nowej sytuacji bez zbędnych, dodatkowych wstrząsów. Poza tym nie mamy dość czasu, byś mógł „osiąść” całkowicie, że się tak wyrażę. Ta metoda musi więc wystarczyć, a szkoda, bo coś czuję, że masz przed sobą wyjątkowo trudne zadanie.

Moje podniecenie rosło. Wyzwanie, wyzwanie...

– Twoim celem jest Charon, najbliższa słońcu planeta spośród kolonii Rombu – ciągnął głos komandora. – Jeśli istnieje we wszechświecie miejsce, które ze zdrowych na umyśle jest w stanie uczynić szaleńców, a szaleńców doprowadzić do ekstazy, to miejscem takim jest Charon. Nie ma sposobu, by wytłumaczyć to, co tam się dzieje. Musisz tego doświadczyć sam. Wszelkie niezbędne informacje otrzymasz na miejscu, po wylądowaniu.

– Choć możliwości tego urządzenia są dość ograniczone – mówił dalej – jesteśmy w stanie przesłać ci za jego pomocą jedną podstawową rzecz, która albo ci się przyda na Charonie, albo też i nie. Mam na myśli mapę fizyczną całej planety, tak dokładną i aktualną, jak to tylko było możliwe.

To ostatnie mnie zdumiało. Dlaczego niby taka mapa miałaby się okazać nieprzydatna? W takim razie co to za miejsce? Nim zdążyłem przetrwać dokładniej ten problem i poprzeklinać trochę na sytuację, która nie pozwalała mi zadawać pytań, poczułem ostry ból w plecach, a po nim zawroty głowy i nudności. Kiedy te nieprzyjemne dolegliwości ustąpiły, stwierdziłem, że rzeczywiście mam w głowie wyraźną, szczegółową i kompletną mapę Charona.

Odebrałem jeszcze nieprzerwany strumień faktów, dotyczących tego miejsca, na tyle drobiazgowych, iż mogłyby się znaleźć w każdym fachowo prowadzonym wykładzie indoktrynacyjnym. Planeta miała z grubsza 42 000 kilometrów w obwodzie i to zarówno na równiku, jak i wzdłuż południków, z niewielkimi różnicami wynikającymi z układu topograficznego. Podobnie jak trzy pozostałe Diamenty Wardena, była praktycznie kulą – co jest rzeczą dość niezwykłą, jeśli chodzi o planety, chociaż większość ludzi, włącznie ze mną, uważa, iż wszystkie większe planety mają kulisty kształt.

Przyciąganie wynosiło tam z grubsza 0,88 normy, co oznaczało, że na Charonie będę lżejszy, a moje skoki będą dłuższe. Zanotowałem sobie w pamięci, że koniecznie trzeba przećwiczyć manewry, przy których zgranie ruchów w czasie stanowiło o ich skuteczności.

Tlenu było minimalnie więcej, niż wynosiła norma, natomiast cała atmosfera przesycona była parą wodną, co zresztą mogło tłumaczyć ten nadmiar tlenu.

Nachylenie osi mogłoby sugerować dużą różnicę pomiędzy poszczególnymi porami roku, ale wynosząca 158 551 000 kilometrów odległość od gwiazdy typu F, pozostawiała niewielki wybór: gorąco, bardziej gorąco, jeszcze bardziej gorąco i piekielnie gorąco. Czap polarnych nie było. Ich powstawaniu nie sprzyjały ciepłe prądy oceaniczne, ale w samym środku zimy lód zdarzał się w rejonach arktycznych i antarktycznych, tak że nawet na tym zdecydowanie tropikalnym świecie można było zmarznąć. Obydwa bieguny znajdowały się w miejscach pokrytych wodą, więc istniała niewielka szansa na to, że akurat tam wyląduję.

Temperatury na równiku były bardzo wysokie i sięgały tego, co uważane jest za kres – ludzkiej wytrzymałości; pomiary wykazały sześćdziesiąt i ponad sześćdziesiąt stopni Celsjusza, a także wysokie poziomy promieniowania w tych porach dnia, kiedy słońce świeciło pod największym kątem. Strefy umiarkowane miały dość ładu stałego dla tych zaledwie jedenastu milionów mieszkańców. Te umiarkowane strefy, prawdę mówiąc, nie były nazbyt umiarkowane – na szerokościach o najgęstszym zaludnieniu temperatury latem sięgały powyżej pięćdziesięciu stopni i rzadko spadały poniżej dwudziestu pięciu stopni w samym środku zimy. Ale i tak były lepsze od terenów równikowych. Trzy główne kontynenty leżały powyżej, poniżej i na samym trawniku, dzięki czemu wszyscy żyli jak w cieplarni. Doba trwała 29 standardowych godzin, co nie było aż tak wielką różnicą, by wymagało specjalnego przystosowania. Rok natomiast to 282 tych „krótkich” charonowych dób.

Trzy kontynenty – jeden górzysty i pustynny, pozbawiony znaczących opadów; za to dwa pozostałe – pokryte tropikalną dżunglą, gdzie deszcze praktycznie nie przestawały padać. Pomyślałem sobie, iż nie jest to zachęcające miejsce i przypomniało mi się, że stary Warden nazwał je po prostu piekłem.

Cóż, będę musiał polubić tę planetę, będzie moim domem, chyba że popełnię samobójstwo.

– Charon jest jedynym spośród światów Rombu; którego Władcą jest kobieta – kontynuował Krega. Nie spodziewaj się jednak, iż twój niewątpliwy urok oczaruje Aeolię Matuze. Jest ona geniuszem polityki, twardym i cynicznym. Kiedyś zasiadała w Radzie Konfederacji i wielce prawdopodobne, że mnóstwo informacji, dotyczących naszej struktury politycznej i militarnej, obcy uzyskali właśnie od niej. Jej przestępstwem było coś, co moglibyśmy nazwać przerostem ambicji; tak umiejętnie manipulowała całymi rządami i poszczególnymi, kluczowymi członkami tych rządów, że niewiele brakowało, by poprzez zamach stanu zyskała całkowitą kontrolę nad Konfederacją i zastąpiła Radę. Nie śmieć się... była bardzo bliska celu. Oczywiście miała takie układy, że zesłano ją na Romb, gdzie po piętnastu latach pobytu, cztery lata temu, przejęła władzę. Jej poprzednik rzekomo przeniósł się na emeryturę, ale na pewno Matuze maczała w tym palce. Nie lekceważ jej! W innych czasach niż obecne pewnie oddawalibyśmy jej cześć jako bogini.

Aeolia Matuze. Pamiętałem ją z odległej przeszłości i z sesji indoktrynacyjnych. Z tego, co sobie przypominałem, umarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. A teraz dowiedziałem się prawdy o niej i muszę przyznać, że prawda ta była fascynująca. Zaiste groźny przeciwnik. Zastanawiałem się, czy ta arystokratyczna uroda, jaką miałem w pamięci, jest nadal, po dziewiętnastu latach spędzonych na Charonie, tak uderzająca.

Pozostałe informacje były czysto rutynowe. Po zakończeniu przekazu podniosłem się z sedesu i

umieściłem go na powrót wewnątrz ściany. Usłyszałem odgłos splukiwania i kiedy następnym razem korzystałem z toalety odkryłem, iż moje odchody nie były jedyną rzeczą, która stamtąd zniknęła. Bezpośrednia transmisja danych trwała mniej niż minutę, a upakowano w tej minucie mnóstwo informacji. Nadzwyczaj kompetentni są ci chłopcy z ochrony, mruknąłem do siebie. Nawet wiecznie czujni strażnicy, znajdujący się po drugiej stronie soczewek i mikrofonów, nie przypuszczali, iż mógłbym być kim innym.

A jeśli chodzi o to, kim byłem, to pierwszy obraz samego siebie uzyskałem podczas tego krótkiego przekazu i instruktażu. Moje odczucie, że jestem drobny, potwierdziło się – miałem zaledwie 157 centymetrów wzrostu i ważyłem 46 kilogramów. Fizycznie – musiałem przenieść się do dzieciństwa, by znaleźć właściwe określenie – wyglądałem jak elf. Niewysoki, szczupły, żyłasty, z poważną twarzą, z nazbyt dużymi uszami i gęstą, czarną czupryną ostrzyżoną na pazia. Pozbawiony byłem zarostu na twarzy i na ciele. Z wyjątkiem ciemnych brwi w kształcie litery V. Prawdę mówiąc, gdyby mnie ubrać w jakiś nieokreślony rodzaj odzienia, wyglądałbym raczej na jedenastoletnią dziewczynkę, a nie na dojrzałego dwudziestosiedmiolatka, o jakim informowało moje dossier. Może na tym polegał problem prawowitego właściciela tego ciała?

Ciało należało do Parka Lacocho, „Rzeźnika z Bonhomme”. Pamiętałem jego sprawę z najnowszych raportów prasowych – najnowszych przynajmniej dla oryginalnego mnie. Rzeczywiście miał coś przeciwko kobietom i był postrachem pogranicza.

Zaskakujące było to, że był kolonialnym administratorem okręgu – i dlatego tak długo nie można go było schwytać. Między innymi, do jego obowiązków należał nadzór nad lokalną policją, która usiłowała go złapać, a poza tym dysponował też komputerami i laboratoriami naukowymi całego okręgu. Zgodnie ze sprawozdaniami, był świetnym administratorem. Sam czar i urok. Jego problemem było to, iż lubił zabawiać się z paniami w sposób ogólnie nie aprobowany. Potrafił je uprowadzić z rolniczych terenów pogranicza; zabierał je do prywatnego laboratorium i w sposób systematyczny doprowadzał torturami do śmierci. Dokonał tego siedemnaście razy w ciągu jednego roku i dopiero ciężka praca jednego z jego kolegów, sprowadzonego zresztą na jego własne życzenie, doprowadziła do wytropienia i ujęcia sprawcy.

Wręcz podręcznikowy przypadek dewiacji psychicznej. Mając taki wygląd, był zapewne celem okrutnych żartów w okresie dorastania i trudno mu było zmusić innych, by traktowali go poważnie. Posiadał jednak bystry umysł i ukończył studia z administracji z pierwszą lokatą. Niemałe osiągnięcie dla kogoś urodzonego na pograniczu i nie będącego uwarunkowanym genetycznie i kulturowo mieszkańcem światów cywilizowanych. Zwrócił na siebie uwagę wyjątkową kompetencją w swoich działaniach. Przyczyny, dla których stał się „Rzeźnikiem” stanowiły szerokie pole spekulacji dla prasy, ale były one zapewne bardziej skomplikowane niż te, o jakich mówiła popularna psychiatria. Zbrodnie jego były tak odrażające, tak sprzeczne ze wszystkimi standardami kulturalnego zachowania, iż jedynie śmierć lub zesłanie na Romb Wardena wydawały się, politycznie rzecz biorąc, do zaakceptowania. Stał się na tyle znany w całej Konfederacji, że nie mógłby w niej pozostać nawet po całkowitym wypraniu mózgu.

Z tych powodów, a także z powodu swej wielkiej inteligencji, był idealnym kandydatem do zsyłki. Byłaby to też doskonała przykrywka dla jego działalności, choć jednocześnie minusem mógłby tutaj być fakt, iż był tak szeroko znany. Do diabła, ja sam co prawda lubiłem kobiety w sposób

bezsprzecznie bardziej normalny niż on, ale na pewno trudno mi będzie zaprzyjaźnić się z którąkolwiek, jeśli tylko zna ona historię kryminalną Lacocho. Cóż, być może wymyślę jakąś sensowną historyjkę, która w razie czego postawi mnie w lepszym świetle.

Położyłem się na pryczy i wprawiłem w lekki trans. Przebiegałem w myślach nowe informacje, sortowałem je i usiłowałem zapamiętać. Dane dotyczące życia i pracy Lacocho były szczególnie ważne, bo tutaj istniało największe prawdopodobieństwo popełnienia jakichś gaf i pomyłek. Przeanalizowałem również jego manieryzmy, przyzwyczajenia i tym podobne. Próbowałem wczuć się w sytuację takiego drobnego” zniewieściałego typu w dużym i groźnym świecie.

Muszę być doskonały w swoim zachowaniu i odruchach, nim dotrę na Charona. Byłem pewien, że Lacocho – ja – będzie miał jeszcze jedną żeńską ofiarę na koncie, zanim to wszystko się skończy, ale ani przez sekundę nie zamierzałem lekceważyć Aeoli Matuze.

Rozdział drugi

ZSYŁKA

Z wyjątkiem regularnych posiłków, nie było nic innego, co mogłoby wskazywać na tempo upływu czasu, a była to niewątpliwie długa podróż.: – Nie marnowano pieniędzy na przewożenie więźniów najszybszą z możliwych tras, to pewne.

W końcu jednak zacumowaliśmy do statku – bazy, który krążył w odległości jakiejś jednej trzeciej roku świetlnego od systemu Wardena. Wiedziałem o tym nie dzięki jakimś szczególnym wrażeniom i odczuciom, po prostu towarzysząca mi od dłuższego czasu wibracja ustała. Poza tym niewiele się zmieniło. Podejrzewam, że czekano na tak duży kontyngent skazanych ze wszystkich stron galaktyki, który uczyniłby lądowanie operacją opłacalną. Mogłem więc jedynie siedzieć na koi i po raz setny w myślach analizować dostępne mi dane, od czasu do czasu przetrawiając fakt, iż prawdopodobnie jestem zupełnie blisko mojego starego ciała (w takich już kategoriach zacząłem o nim myśleć). Zastanawiałem się też, czy on sam przypadkiem nie przychodził tutaj raz na jakiś czas, żeby sobie na mnie popatrzeć, ot tak, ze zwykłej ciekawości – na mnie i gna trzech pozostałych, którzy prawdopodobnie również byli w pobliżu.

Miałem też dość czasu, aby pomyśleć o sytuacji na Rombie Wardena i o powodach, dla których tak znakomicie nadawał się ma więzienie. Nie przyjąłem bowiem tego, co mi opowiadano, bez żadnych zastrzeżeń. Nie było doskonałych więzień – chociaż to tutaj było ideałowi bliskie. Wkrótce po wylądowaniu na Charonie, kiedy zacznę tam żyć i oddychać jego atmosferą, zostanę zainfekowany przedziwnym submikroskopijnym organizmem, który zajmie się wewnętrzną gospodarką każdej komórki mojego ciała, będzie tam sobie żył, czerpiąc pokarm z mojego organizmu, ale i zarabiając na własne utrzymanie przez utrzymywanie na odległość mikroorganizmów chorobotwórczych, infekcji i tym podobnych zagrożeń. Jedyne, co to stworzenie posiadało, to wola przetrwania, a przetrwać mogło tylko wówczas, kiedy i ty przetrwałeś.

Jednak do życia potrzebne mu było coś jeszcze, jakiś pierwiastek w śladowych ilościach, taki który występował tylko w systemie Wardena. Nikt nie wiedział, co to jest i nikt tak naprawdę nie wykonał całej tej znużonej roboty, by to odkryć, ale wszyscy wiedzieli, że może się to znajdować tylko tam, tylko w systemie Wardena. Czymkolwiek to było, nie znajdowało się w powietrzu, ponieważ wahadłowce krążyły pomiędzy poszczególnymi Diamentami i można było na nich oddychać oczyszczoną, automatycznie wytwarzaną atmosferą, bez żadnych złych skutków. W żywności to też się

nie kryło. Sprawdzili to. Ludzie z któregośokolwiek ze światów Wardena mogli odżywiać się syntetyczną żywnością, w jakimś całkowicie odizolowanym laboratorium, na przykład na stacji orbitalnej. Wystarczyło jednak oddalić się zbyt daleko od którejś z planet Wardena, nawet jeżeli się miało zapas żywności i powietrza, a organizm Wardena ginął. Skoro jednak już dokonał modyfikacji twoich komórek i były one całkowicie uzależnione od niego, ty również ginałeś w potwornych mękach. Ta graniczna odległość wynosiła mniej więcej ćwierć roku świetlnego od słońca. Dlatego statek – baza był tam gdzie był.

Cztery planety Rombu Wardena różniły się nie tylko klimatem. Organizm Wardena wykazywał godną podziwu konsekwencję, jeśli chodzi o wpływ, jaki wywierał na człowieka na każdej z poszczególnych planet. Możliwe, że w zależności od odległości od słońca; co było chyba istotne dla tego organizmu, jego wpływ zależał od tego, na której z planet dany człowiek zetknął się z nim po raz pierwszy. Niezależnie od tego, co czynił, „organizm Wardena” postępował konsekwentnie w ten sam sposób, nawet jeśli jego nosiciel przenosił się z planety na planetę.

Organizm ten wydawał się wykazywać własności telepatyczne, choć nikt nie miał pojęcia, jak to jest możliwe. Organizm nie posiadał inteligencji, w każdym razie zawsze można było przewidzieć jego zachowanie. Większość wywoływanych przez niego zmian polegała na oddziaływaniu całej kolonii organizmów w jednej osobie na całą kolonię w drugiej osobie lub osobach. Człowiek, jeśli potrafił, dostarczał jedynie świadomej kontroli nad wydarzeniami, a to już decydowało, kto rządził kim. W sumie układ niezbyt skomplikowany, nawet jeżeli pamiętać o tym, że nikt do tej pory nie potrafił wyjaśnić rządzących nim reguł.

Jeśli chodzi o Charona, to wiedziałem jedynie, iż jest on potwornie upalny i dżdżysty. Przeklinałem sam siebie za to, że nie kazałem dostarczyć sobie odpowiedniego programu, dzięki któremu byłbym teraz o wiele lepiej przygotowany. Uczenie się szczegółów i miejscowych układów zajmie mi pewnie sporo czasu.

Jakieś trzy dni – osiem posiłków – po przylocie do statku – bazy, bujanie, wstrząsy i łomoty wywołały u mnie lekką chorobę morską i zmusiły do położenia się na koi. Nie zmartwiłem się. Bez wątpienia to wszystko świadczyło o przygotowaniach do przeładunku towarów i „wyładunku” więziennych cel. Z mieszanymi uczuciami czekałem. Z jednej strony z całych sił pragnąłem wydostać się z tego małego pudła, które nie oferowało mi nic, prócz nudy. Z drugiej wszakże, kiedy wynurzę się już z tego pudła, znajdę się co prawda w większym i zapewne piękniejszym pudle – na Charonie, ale to przecież także cela więzienna, tyle że wielkości całej planety. I to, co ona może mi zaoferować w postaci rozrywki, wyzwania i podniet ma, w przeciwieństwie do tego tutaj pudła, bardzo, ale to bardzo ostateczny charakter.

Łomoty wkrótce ustały. Po krótkiej, pełnej niepewności przerwie, ponownie poczułem wibrację, wskazującą na ruch. Tym razem o wiele bardziej wyraźną. Albo znalazłem się na pokładzie znacznie mniejszego statku, albo byłem bardzo blisko silników.

Wszystko jedno, minęły jeszcze trzy nieznośnie długie dni – dziewięć posiłków – zanim znaleźliśmy się w punkcie przeznaczenia. Długo, bez wątpienia, ale zarazem bardzo szybko jak na podświetlony transportowiec, prawdopodobnie przerobiony i zautomatyzowany stary statek transportowy.

Wibracja ustąpiła i wiedziałem, że jesteśmy na orbicie. Znowu ogarnęły mnie mieszane uczucia: z jednej strony ożywienie i radość, a z drugiej – uczucie zagrożenia.

Usłyszałem trzaski, po czym z głośnika – z którego istnienia w ogóle nie zdawałem sobie sprawy – popłynęły słowa.

– Uwaga wszyscy więźniowie! – rozbrzmiewał metaliczny głos. – Znaleźliśmy się na orbicie planety Charon, w systemie Wardena – informował.

Nie mówił niczego, o czym; bym nie wiedział, ale dla innych była to pierwsza informacja o tym, gdzie się znajdują. Domyślałem się, co przeżywają w tej chwili. Ich emocje jednak były zapewne o wiele silniejsze, bowiem ja szedłem tutaj z szeroko otwartymi oczyma, nawet jeśli niezupełnie na ochotnika.

– Za chwilę – ciągnął głos – drzwi waszych cel otworzą się i będziecie mogli wyjść. Radzimy zrobić to szybko, ponieważ drzwi zamkną się ponownie po upływie trzydziestu sekund, a pompa próżniowa rozpocznie sterylizację pomieszczeń. Pozostanie na miejscu byłoby fatalne w skutkach dla ociągających się.

Subtelne zagranie, pomyślałem sobie. Zastanawiałem się, czy są tacy, którzy wybiorą śmierć.

– Kiedy znajdziecie się na korytarzu głównym kontynuował głos – będziecie stać nieruchomo, dopóki drzwi do cel nie zostaną ponownie zamknięte. Nie próbujcie oddalać się sprzed waszych cel, bo w razie takiej próby automatyczne urządzenia wartownicze rozpylą was ma atomy. Nie wolno rozmawiać. Nieposłuszni zostaną ukarani na miejscu. Dalsze instrukcje otrzymacie po zamknięciu drzwi. Przygotować się do wyjścia... ruszać!

Nie zwlekałem ani chwili, kiedy drzwi się otworzyły. Biała płyta z wymalowanymi stopniami na zewnątrz wskazywała, gdzie należy stanąć. Zrobiłem, co mi polecono, choć było to bardzo irytujące. Całkowita nagość i osamotnienie – na statku kontrolowanym jedynie przez komputer – to upokarza człowieka ponad miarę; powoduje uczucie totalnej bezsilności.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, że miałem rację. Staliśmy w długim, zamkniętym z obu końców korytarzu, po bokach którego znajdowały się małe cele. Popatrzyłem na prawo i w lewo, i zorientowałem się, iż jest nas jakieś dziesięć, dwanaście osób. Sama śmietanka, pomyślałem kwaśno. Tuzin mężczyzn i kobiet – mężczyzn chyba więcej – nagich i sponiewieranych. Trzeba nas przetransportować i pozostawić własnemu losowi. Zastanawiałem się, dlaczego akurat ich zdecydowano się zesłać, zamiast po prostu poddać praniu mózgow. Cóż takiego komputery i koleś psychodolży znaleźli w tych przygnębiających okazach, co zadecydowało, iż pozwolono im żyć? Oni tego nie wiedzieli, to pewne. Ciekaw byłem, kto wiedział.

Drzwi się zamknęły. Czekałem w – napięciu. Może na krzyk kogoś, kto nie ruszał się dość szybko i zaskoczyło go nagłe wypompowywanie powietrza? Nic nie wskazywało, że będę świadkiem czegoś dramatycznego. Jeśli nawet ktoś wybrał takie rozwiązanie, nie było to w żaden sposób widoczne.

– Na mój rozkaz – szczerknął głos z głośników pod sufitem – wykonacie zwrot w prawo i pójdziecie powoli gęsiego tak daleko, jak się da. Dojdziecie w ten sposób do specjalnego promu, który przewiezie was na powierzchnię. Zajmiecie miejsca poczynając od przodu statku, nie zastawiając wolnych. Pasy macie zapiąć natychmiast po zajęciu miejsc.

Usłyszałem jakieś pomruki ze strony współtowarzyszy niedoli, po których natychmiast rozległ się syk i krótki, ale ostry promień światła wystrzelił ze ściany. Nie mierzył w ludzi, ale w podłogę obok ich stóp. Podskoczyli w miejscu, reagując w ten sposób na tę demonstrację siły. Pomruki i szepty nie powtórzyły się więcej.

Głos, który przerwał na chwilę, ponownie podjął przekazywanie poleceń, nie wspominając ani słowem o incydencie. Zresztą po co?

– Wprawo zwrot... ruszaj! – rozkazał, a my wypełniliśmy ten rozkaz. – Maszerować powoli do promu, zgodnie z moją instrukcją.

Szliśmy w milczeniu, ale bez pośpiechu. Metalowa podłoga była cholernie zimna; rzeczywistości całe to otoczenie było niezbyt przyjemne; w każdym razie U porównaniu z promem.

Okazał się on zaskakująco wygodny i nowoczesny, chociaż fotele nie były dostosowane do nagich ciał. Znalazłem miejsce jakieś trzy rzędy od końca, zapiąłem pasy i czekałem na pozostałych. Zauważyłem, że moja wstępna ocena dotycząca liczby więźniów była bliska rzeczywistości. Prom mógł pomieścić dwadzieścia cztery osoby, nas natomiast było jedenaścioro, w tym tylko trzy kobiety.

Kłapa wejściowa zamknęła się automatycznie, rozległ się syk świadczący o wyrównywaniu ciśnienia. Potem nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, które oznaczało, że odcumowaliśmy ad statku i znajdujemy się w drodze na powierzchnię planety.

Wahadłowiec był zbyt komfortowy i nowoczesny, by służyć jedynie jako transportowiec dla więźniów. Musiał więc być jednym z tych statków, które utrzymują regularną łączność pomiędzy planetami Rombu Wardena.

Głośniki nad naszymi głowami zatrzeszczały i rozległ się przyjemny kobiecy głos. To wyraźna zmiana na lepsze.

– Witamy na Charonie – oznajmił głos tonem, który brzmiał zupełnie szczerze. – Jak wam bez wątpienia wyjaśniono, Charon jest ostatecznym celem waszej podróży i waszym nowym – domem. I chociaż nie będziecie już mogli opuścić systemu Wardena, przestaniecie automatycznie być więźniami, a staniecie się obywatelami Rombu Wardena. Władza Konfederacji skończyła się w momencie waszego wejścia na prom, który jest wspólną własnością Diamentów Wardena i częścią ich floty powietrznej, złożonej z czterech wahadłowców i szesnastu transportowców. Rada Systemu jest uważana przez Konfederację za ciało niezależne i ma nawet swoje miejsce w Kongresie Konfederacji. Każdy z czterech światów posiada osobną administrację, a rząd każdej planety jest niezawisły i niezależny. Bez względu na to, kim byliście i co robiliście w przeszłości, teraz jesteście obywatelami Charona i niczym więcej. Wasze czyny należą do przeszłości, której nikt wam nie będzie pamiętał i która nigdzie nie zostanie zarejestrowana. Istotne będzie jedynie to, co będziecie

robić jako obywatele Charona, w systemie Wardena.

Głos przerwał, zostawiając nam trochę czasu na przetrwanie tej informacji. Kontrast pomiędzy stosunkiem do nas i tonem, jakim się obecnie do nas zwracano, a tym, czego poprzednio doświadczyliśmy, był ogromny. Jeśli jednak oczekiwano po mnie, iż uwierzę, że władze Charona nie znają naszej przeszłości, to uważano mnie za naiwnego głupca.

– Za około pięć minut wylądujemy w porcie w Honuth – kontynuował głos. – Czekają tam na was osoby, które dostarczą wam odzienia i zabiorą was do centrum informacyjnego, gdzie uzyskacie odpowiedzi na wszystkie interesujące was pytania. Proszę być przygotowanym na upalną i wilgotną pogodę, a także na niższy poziom technologii od tego, jaki znaliście dotychczas. Jest to ciągle świat pogranicza, a jego ograniczenia są większe niż na tym pograniczu, które znacie. Nie przejmujcie się tym. Charon ma również swoje dobre strony. Witamy na Charonie.

Chociaż napięcie w dużym stopniu ustąpiło, przez pozostałą część podróży nikt się nie odezwał. Częściowo był to rezultat tresury, jaką przeszliśmy jako więźniowie, ale głównym powodem były nerwy.

W drodze na powierzchnię planety nie obyło się bez kilku podskoków i wstrząsów, szczególnie wówczas, kiedy już znaleźliśmy się w atmosferze, ale ogólnie rzecz biorąc, podróż była gładka i przeprowadzona fachowo. W pewnym momencie nastąpiło wyrównanie statku do poziomu, potem powolne opadanie i podejście do dokowania.

Po kilkudziesięciu sekundach od wylądowania usłyszałem dźwięk mechanizmów śluzy, a strzałka na jej wskaźniku przesunęła się z pola czerwonego na pomarańczowe, by zatrzymać się na zielonym. Rozległ się ponownie syk powietrza i właz się otworzył.

Przez krótki moment nikt się nie poruszył. Wreszcie ci, którzy znajdowali się najbliżej wyjścia podnieśli się i ruszyli w jego kierunku. Westchnąłem i poszedłem w ich ślady.

Teren dokowania był niewielki, ale urządzony nowocześnie i wyposażony w klimatyzację. Idąc przezroczystym rękawem miałem okazję po raz pierwszy rzucić okiem na Charona. To, co zobaczyłem za bardzo nie podniosło mnie na duchu. Lało jak z cebra i praktycznie nic nie było widać.

Terminal był mały; nie była to jednak drewniana chata, jakiej się spodziewałem. Klimatyzacja chłodziła aż do przesady. Czekają na nas dwoje zwyczajnie wyglądających ludzi – mężczyzna i kobieta. Oboje ubrani byli w czarne koszule i szorty, a na stopach mieli sandały z grubymi, gumowymi podeszwami. Wyglądali na parę, którą deszcz przegonił z plaży, a nie na oficjalnych przedstawicieli rządu planety.

– Witamy na Charonie – odezwała się kobieta i natychmiast rozpoznałem głos z promu. Najwyraźniej wszystko sterowane było zdalnie z powierzchni ziemi. – Proszę podejść do stołu, wybrać ubrania i sandały odpowiednich rozmiarów i włożyć je instruowała nas obojętnym tonem.

Część mojego osobistego instruktażu dotyczyła, co prawda, rozmiarów Parka Lacocho, ale szybko przekonałem się, że wszystko jest dla mnie za duże i że muszę przejść do stołu dla kobiet, by

wybrać coś dla siebie. Nie było to zbyt istotne – wszystkie ubrania wyglądały tak samo – ale zaczynałem rozumieć, skąd u Lacocho wzięły się jego okropne kompleksy i problemy z tożsamością.

Zmodyfikowany strój plażowy wydawał się standardowy, przynajmniej tutaj – to znaczy właściwie gdzie? Aha, miejsce zwało się Honuth. Miałem nadzieję, że strój ten okaże się także wodoodporny.

Ubrałem się i stałem sobie, czekając na pozostałych, kiedy nagle dotarła do mej świadomości brutalna rzeczywistość. Jestem na Charonie... W tym samym momencie, w którym uderzyło we mnie klimatyzowane, miejscowe powietrze, rozpoczęła się systematyczna inwazja wiadomych mikroorganizmów w głąb mego ciała. Jestem na zawsze więźniem Charona.

Rozdział trzeci

POCZĄTKI

Po ubraniu naszych nowych strojów, zebraliśmy się w małym terminalu wokół przysłanej na nasze powitanie pary.

– A teraz posłuchajcie – zawołał mężczyzna, głosem niemal zagłuszonym przez ulewę uderzającą z całą siłą o dach budynku. – Za chwilę pojedziemy do miasta, gdzie znajdują się wasze tymczasowe kwatery. Macie trzymać się blisko nas, bowiem Charon jest światem, który może uśmiercić nowicjusza w ciągu sekund. W mieście nie wolno używać pojazdów mechanicznych i dlatego pojedziemy dwoma powozami, które czekają na nas przed wejściem. Nie przestraszcicie się zwierząt pociągowych, po prostu wsiadajcie bez zbędnej zwłoki.

– Czy są jakieś parasole? – usłyszałem czyjeś pytanie. Mężczyzna i kobieta uśmiechnęli się, ale nie odpowiedzieli.

Uświadomiłem sobie nagle swoje niekorzystne położenie w porównaniu z innymi członkami tej grupy. Wszyscy mężczyźni i kobiety byli ode mnie wyżsi, dlatego naszych gospodarzy mogłem obserwować tylko poprzez otwierającą się i zamykającą lukę między zgromadzonymi. To wielce kłopotliwe.

– Ruszajmy – zawołała kobieta. – Nie biegnijcie, nie pędźcie... Sandały są wprawdzie dość przyczepne, ale na śliskim chodniku na zewnątrz mogą was zawieść. – Po tych słowach oboje Charonici odwrócili się i ruszyli w kierunku wyjścia; mężczyzna szedł przodem, kobieta zamykała pochód.

Na zewnątrz nie było źle. Było gorzej niż potrafiłbym sobie wyobrazić – potwornie gorąco, jak w łaźni parowej. Ulewa była tak gęsta, jakby deszcz lał wprost z jakiegoś gigantycznego kurka, zainstalowanego gdzieś w niebie. Sztynna markiza przed wejściem do terminalu dawała niewielką osłonę i już po chwili byliśmy przemoknięci do suchej nitki. Jednak to nie okropny klimat był dla nas największym wstrząsem... Szok wywołało raczej to, co ujrzelśmy przy krawężniku.

Stały tam dwie olbrzymie dwukółki, wykonane z czegoś, co wyglądało na drewno. Do każdego pojazdu zaprzęgnięta była para potwornych jaszczurów, prawie czterometrowych. Nie, tak naprawdę

to nie były jaszczury, ale najbardziej mi je przypominały. Stały na dwu wielkich i muskularnych łapach, w utrzymaniu równowagi pomagając sobie długim i grubym ogonem. Jaszczurowate łby, z pozbawionymi powiek, czerwonymi oczyma, były nie tylko ogromne, ale robiły wrażenie, jakby posiadały wiele rzędów ostrych zębów. Dwa niewielkie przednie odnóża zakończone były czymś, co przypominało ludzkie dłonie, zaciśnięte w tej chwili, jakby w oczekiwaniu albo z nudów. Dłonie te miały po trzy zginające się palce, połączone błoną, przez co wyglądały jak wielkie liście. Koniuszki palców miały kształt przyssawek. Szerokie dłonie i stopy, jak się później dowiedziałem, były cechą charakterystyczną wielu gatunków zwierząt zamieszkujących Charona. Te wielkie zwierzęta nie posiadały jednak – gadzich łusek, ale pokryte były gładką skórą, której kolor u wszystkich był taki sam – zupełnie nedorzeczny i nie na miejscu błękit.

Obydwa zwierzęta wyposażone były w skomplikowane uzdy i całą sieć lejców – których ilość i złożoność dałyby się porównać z systemem sznurków poruszających marionetki. Lejce przewleczono ponad pojazdem do stanowiska woźnicy, znajdującego się z tyłu i powyżej kabiny pasażerskiej. Miało ono formę także całkowicie zamkniętej kabiny, wyposażonej w wielką szybę i odpowiedniej wielkości wycieraczkę.

Wskoczyłem do najbliższego pojazdu, ale przedtem mimo wcześniejszych wyraźnych ostrzeżeń zdążyłem jeszcze się poślizgnąć na gładkim chodniku. Gwałtowny wiatr siekł skórę jak różgi. Jednak w końcu znalazłem się w zatłoczonym wnętrzu dwukółki wraz z pięcioma innymi więźniami i naszym gospodarzem, Charonitą. Byłoby tam całkowicie wygodnie, dzięki miękkiej tapicerce, gdyby było nas o dwie osoby mniej.

Po dokładnym zamknięciu drzwi, nasz znajdujący się na przedzie pojazd, ruszył z ostrym szarpnięciem. Jazda jednak nie była komfortowa; dwukółka podskakiwała i trzęsła się przez całą drogę, zachowując się raczej jak statek na burzliwym morzu, a nie zwykły naziemny środek transportu. Zauważyłem, iż Charonita przygląda się nam z niejakim rozbawieniem, zapewne zastanawiając się, czy któreś z – nas nie dostanie nagle choroby morskiej.

– Nie przejmujcie się, podróż nie potrwa długo. Przykro mi z powodu tych niedogodności, ale ten rodzaj podróżowania uważany jest tutaj, na Charonie, za szczyt luksusu.

– To nie Lilith... tam mają maszyny – mruknął pod nosem siedzący obok niego potężny mężczyzna. Skąd tutaj ten gówniany prymityw?

– Tu też niektóre maszyny działają, kiedy im wolno – odparł tajemniczo nasz tubylec. – Faktem jest, iż ta mizeria to pewien rodzaj kompromisu. Maszyneria psuje się tak łatwo, że niewiele jest tutaj warta, więc staramy się bez niej obywać. Na ogół jest tak, jak teraz, albo gorzej. Będzie lepiej, jak pogodzicie się, że cofnęliście się w czasie o jakieś dwa tysiące lat. Praktycznie to was właśnie spotkało.

– Co za głupota – warknął potężnie zbudowany mężczyzna, ale pozostali milczeli, ponieważ albo nie wiedzieli wystarczająco dużo, by się odzywać, albo też odczuwali rzeczywistą depresję.

Po około pięciu minutach nasz pojazd zatrzymał się z szarpnięciem jeszcze gwałtowniejszym niż przy ruszaniu. Pomyślałem sobie, że pasy bezpieczeństwa byłyby bardziej przydatne tutaj niż na

promie, ale nie odezwałem się. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, była zbyt nowa, a ja sam – jeszcze zbyt zielony, by wiedzieć jak postępować, nie wspominając już o tym, że przez ten deszcz i upał byłem przemoczony do suchej nitki i zlany własnym potem jak nigdy dotąd.

Otwarcie drzwi przyniosło nam pewną ulgę, bo przynajmniej wraz z deszczem wpuściło do wnętrza powiew wiatru. Charonita wysiadł i stał tam, nie zwracając najmniejszej uwagi na ulewę, po czym pomógł nam wysiąść, wskazując przy tym pobliskie drzwi, przez które mieliśmy wejść do środka. Kiedy znaleźliśmy się pod dachem, byliśmy nie tylko mokrzy, ale i z lekka oszołomieni. Jednak już po kilku sekundach doszedłem do siebie i byłem w stanie rozejrzeć się wokół.

Charonici nie żartowali mówiąc, że to prymitywne miejsce. Budynki wyglądały na zbudowane z różnych gatunków miejscowego drewna i innej miejscowej roślinności. Wykonanie było bardzo fachowe, ale najwyraźniej zwracano uwagę tylko na walory użytkowe przedmiotów. Wzdłuż mozaiki, stanowiącej chodnik przed budynkami po naszej stronie ulicy, stały lampy, które wyglądały mi na lampki oliwne z knotami, ze światłem zwielokrotnionym dzięki polerowanym szybkom. Chronione były one przed deszczem w bardzo pomysłowy sposób: pomiędzy chodnikiem a jezdnią biegła ścianka z jakiejś szklistej substancji, z daszkiem przymocowanym do dachów samych budynków. I chociaż przeciekało poprzez pęknięcia i szczeliny, w sumie było to praktycznie wodoszczelne, bardzo inteligentne rozwiązanie. Czuło się również przepływ powietrza, dziwnie chłodnego, ale nie doszedłem do tego, skąd ono wiało.

Nasz gospodarz, przemoczony jak my sami, przyglądał nam się badawczo z kwaśnym uśmiechem. Zapewne wyglądaliśmy znacznie gorzej od niego.

Wkrótce nadjechał drugi pojazd i reszta towarzystwa dołączyła do nas, starając się osuszyć, tak jak my uprzednio, zresztą z podobnie mizernym skutkiem.

– Nie leje tak chyba przez cały czas? – spytałem tubylca.

Roześmiał się.

– Nie, tak nie. Zazwyczaj nie trwa to dłużej niż jedna czy dwie godzinki, ale wczesną wiosną i późną jesienią pada czasami ciurkiem przez dwa czy trzy dni, dając jakieś trzy centymetry opadów wciągu jednej godziny – przerwał na moment, pozwalając nam przetrawić tę informację, po czym dodał:

– Mamy jednak rzeczywiście dobry system wodno – kanalizacyjny.

I musi tak być, pomyślałem sobie zdumiony tym, co usłyszałem. Trzy dni takiej ulewy dałoby przecież dwa metry wody!

– A jaką teraz mamy porę roku? – spytałem z niewyraźną miną.

– Środek wiosny – odparł nasz przewodnik. Wkrótce zaczną się upały.

Niestety, nie wyglądało to na dowcip z jego strony. Poprowadzono nas do najbliższego budynku, który okazał się, hm... rustykalny. Zbudowany z drewnianych bali, włącznie z wysoko położonym

sufitem. W pomieszczeniu stały wiklinowe – fotele, kilka stolików i praktycznie niewiele więcej. Oświetlenie było takie samo, jak na zewnątrz i muszę przyznać, że równie skuteczne, pomimo migotania, do którego zapewne należało przywyknąć. Podłogę przykryto miękką jak guma substancją, która przypominała wyglądem kafelki ze skomplikowanym rowkowanym wzorem, co, jak przypuszczałem, miało ułatwić ewentualny odpływ wody. W każdym razie, jeśli to miejsce nie jest ciągle zalewane wodą, to oznacza, iż jest ono bez wątpienia świetnie zaprojektowane.

Pojękując zapadliśmy w fotele, z uczuciem jak byśmy przepracowali cały dzień, podczas gdy faktycznie niewiele zrobiliśmy tego dnia. Napięcie poczęło ustępować miejsca zwyczajnemu zmęczeniu.

– Normalnie to miejsce jest holem miejskiego hotelu – powiedziała nasza przewodniczka. – Zarekwirowaliśmy go na kilka dni, żeby ułatwić wam aklimatyzację. Zarezerwowaliśmy także dla was pokoje na piętrze, chociaż niestety w większości są to pokoje dwuosobowe. Te na parterze muszą służyć normalnym gościom, którzy i tak już są lekko stłoczeni. Goście hotelowi i ludzie z miasta nie będą mieli tutaj dostępu tak długo, jak długo my tutaj będziemy.

W pierwszym okresie waszego instruktazu również tutaj będziemy jadał posiłki. Radziłabym też, by w trakcie całej tej serii pogadanek unikać miejscowych, których być może napotkacie gdzieś na schodach czy w toaletach. Nie musicie być niegrzeczni, po prostu nie rozpoczynajcie z nimi rozmów i nie wdawajcie się w żadne dyskusje. Większość z nich to tubylcy, którzy nie będą rozumieć waszego braku orientacji w sprawach Charona, nie ma więc sensu wpadać w jakieś tarapaty, zupełnie nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Kilka osób pokiwało głowami, godząc się z jej słowami.

– A jak się mamy pozbyć tych mokrych ubrań? – spytałem.

– Wszyscy mamy mokre ubrania – odparła. – Postaramy się o suche, jak tylko zorientujemy się w waszych rozmiarach, tymczasem jednak musicie zadowolić się tym, co macie.

Ładna młoda kobieta z naszej grupy lekko wzdrygnęła się, jakby ją przeszedł dreszcz i rozejrzała się wokół.

– Czy mi się tylko wydaje, czy też wieje skądś zimne powietrze?

– Tak naprawdę, to nie jest ono zimne – odpowiedział jej mężczyzna. – Ale owszem, mamy tu system rur, przez które nawiewane jest chłodniejsze powietrze spod ziemi, gdzie znajdują się naturalne jaskinie z rzekami podziemnymi, a także takie jaskinie, które zbudował człowiek. System nawiewu napędzany jest wiatrakami, umieszczonymi na szczycie budynków i chroni nas on przed usmażeniem czy też uduszeniem się w tym stojącym powietrzu.

Musiałem przyznać, iż było to wielce pomysłowe rozwiązanie, choć jednocześnie zastanawiał mnie kompletny brak urządzeń automatycznych. Przecież terminal w porcie kosmicznym, choć mały, był bardzo nowoczesny, z elektrycznością, klimatyzacją i całą resztą. Stosowanie technologii nie jest więc na Charonie niemożliwe, ona po prostu była zakazana. Przez kogo? Matuze? Nie, nie

była wystarczająco długo u władzy, by mogło to być rezultatem jej działań. To miasto i ta kultura, jeśliby sądzić po słowach naszego przewodnika, istniały od dawna. Aha, oczywiście, przez Władcę Cerbera, i to bardzo dawno temu. Miałoby to więc jakiś sens, gdyby ten zakaz dało się narzucić w skali całej planety. Gdyby więc Władca Cerbera i ci, których on czy ona wyznaczyli, mieli dostęp do technologii i umiejętność jej użycia, posiadaliby kontrolę absolutną.

– Pójdziecie teraz do swoich pokoi – mówiła kobieta. – Są tam ręczniki i inne rzeczy, więc będziecie się mogli trochę osuszyć. Znajdziecie też szlafroki, w których zapewne będzie wam znacznie wygodniej. Proszę wybrać sobie pokoje na piętrze, a także współmieszkańców. A później, powiedzmy za godzinę, proszę zejść na dół na posiłek. Wiem, że nie macie zegarków, ale dopilnujemy, żeby wam dano znać w odpowiednim czasie.

Udaliśmy się na tyły holu hotelowego, gdzie odkryliśmy alkowę z kręconymi, drewnianymi schodami. Zza zamkniętych drzwi dolatywał zapach gotowanego jedła i dochodziły nas głosy rozmawiających. Bar? Restauracja? Cóż, nie miało to większego znaczenia. Przynajmniej na razie.

Zostałem trochę z tyłu za innymi. Doszedłem do wniosku, że aby zapewnić sobie miejsce w pokoju jednoosobowym, należy zjawić się jako ostatni. Było nas jedenaścioro, akurat nie do pary.

Nie miałem jednak szczęścia. Ten potężny i marudny facet, autor tych wszystkich złośliwych komentarzy, wybrał sobie jedynekę, i jakoś nikt nie miał ochoty dyskutować z nim na ten temat. Kiedy znalazłem się gna gorze, wszyscy już dobrali się parami i pozostała tylko jedna osoba – ta ładna kobieta, która wcześniej pytała o system nawiewu powietrza. Zobaczyłem, że stoi na końcu korytarza. Była zmartwiona, a na jej twarzy malowało się zdumienie. Otworzyła ostrożnie drzwi, zajrzała do środka, po czym odwróciła się i patrzyła jak nadchodzę. Widać było, że nie jest zachwycona.

– Wygląda na to, że jesteśmy skazani na siebie zauważyłem.

Milczała przez chwilę, po czym westchnęła.

– Trudno... cóż to zresztą za różnica?

– Wielkie dzięki – powiedziałem kwaśno i wszedłem do pokoju. Był zaskakująco obszerny. Stały w nim dwa duże łóżka, z materacami i wszystkim, co potrzeba. W ścianie znajdowała się niewielka szafa na ubrania, a w kącie zlew i kran z zimną wodą. Zdziwiło mnie to, bo spodziewałem się, że trzeba będzie chodzić po wodę gdzieś do studni. Łóżka nie były posłane, ale leżała na nich złożona, czysta pościel, ręczniki, a także – jak obiecano – szlafroki.

Dziewczyna wahała się. Zachowywała się nerwowo. Zrobiło mi się jej żal.

– Słuchaj – powiedziałem – jeśli masz jakieś moralne skrupuły, to mogę skorzystać z szafy. Ktoś o moich rozmiarach mógłby tam spokojnie mieszkać.

– Nie, nie! Nie ma takiej potrzeby. Jakby nie było, na promie wszyscy byliśmy nadzy.

Skinąłem głową, lekko odprężony, ściągnąłem mokre łachy i powiesiłem je na wieszaku do ręczników, żeby wyschły. Następnie wziąłem ręcznik i cały porządnie się wytarłem, włącznie z

włosami, które były w kompletnym nieładzie, po czym przymierzyłem szlafrok. Tak jak przypuszczałem, był o wiele za duży. Tyle warta jest ta cała standaryzacja. Musiałem sobie jednak z nim jakoś radzić, uważając, żeby się nie potknąć i nie złamać karku.

Przez cały ten czas ona stała tylko i bacznie mnie obserwowwała. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wie, z kim przyszło jej dzielić pokój.

– Czy coś nie w porządku? – spytałem.

Przez chwilę milczała, jakby nie usłyszała pytania i jakbym w ogóle dla niej w tym momencie nie istniał. Zaczynałem ją podejrzewać o jakąś chorobę, ale ocknęła się nagle i spojrzała wprost na mnie.

– Prze... przepraszam bardzo, ale ten ostatni okres był dla mnie wyjątkowo trudny. Myślałam, że to jakiś senny koszmar, z którego się kiedyś przebudzę. Pokiwałem ze współczuciem głową.

– Doskonale cię rozumiem. Nie możesz się jednak poddać. Musisz sobie uzmysławić, że ciągle jeszcze żyjesz, że ciągle jesteś sobą, i że to nie jest jakiś psychotyczny sen, i że masz przed sobą początki zupełnie nowego życia. Wcale nie jest tak źle.

Oczywiście było źle. W końcu dziewczyna pochodziła ze światów cywilizowanych i prawdopodobnie nigdy nawet nie widziała osiedla z pogranicza. Jej świat, świat który nie tylko kochała, ale i uważała za coś oczywistego, przeminął bezpowrotnie.

Mówiąc prawdę, mój też.

Podeszła do łóżka i usiadła na samym brzeżku.

– Och, to nie ma najmniejszego sensu. Wydaje mi się, że śmierć byłaby lepsza od tego.

– Nie, śmierć nigdy nie jest lepsza od życia. Poza tym musisz wziąć pod uwagę to, iż jesteś dla Konfederacji kimś szczególnym. Jest nas tutaj ledwie jedenaścioro spośród ilu? Setek?... skazanych w tym samym czasie. Dojrzeli w nas coś, czego nie chcieli zmarnować. W pewnym sensie dają nam do zrozumienia, że jesteśmy lepsi od większości mieszkańców Konfederacji.

– W każdym razie jesteśmy inni: – odparła. Nie wiem. Po prostu nie wiem. Spędzić resztę życia w tym zgniłym miejscu? – Popatrzyła mi prosto w oczy. – A dlaczego ty jesteś szczególnym i specjalnym? Co ty zrobiłeś, że trafiłeś tutaj?

No cóż, musiało do tego dojść. Od samego początku – test. Zdecydowałem się na maleńki hazard, przedtem jednak drobne przygotowańko.

– Wiesz, że nie powinnaś o to pytać.

Najwyraźniej odprężyła się nieco, bo zaczęła się rozbierać.

– Czegoś się wstydzisz? – spytała. – Dziwne, nigdy nie myślałem, że może to mieć jakiegokolwiek

znaczenie.

– A dla ciebie nie ma?

Zastanawiała się, susząc włosy.

– Nie, raczej nie. A przy okazji, jestem Zala Embuay.

– Park Lacocho – powiedziałem, w napięciu czekając na ewentualną reakcję. – On... ja.. byłem osobą dość znaną.

Pomięła moje słowa milczeniem, jakby moje nazwisko nic jej nie mówiło. To już było coś.

– I cóż Parku Lacocho, czy byłeś przestępcą?

– A któż z nas nie był?

Pokręciła głową.

– Ja nie byłem. Różnię się od innych w tym względzie. Jestem być może jedyną osobą zesłaną na Romb Wardena, która w rzeczywistości była niewinną ofiarą.

Trudno mi było w to uwierzyć.

– Jak to możliwe?

Skinęła z powagą głową.

– Nigdy nie słyszałeś o rodzinie Triana?

– Nie. – Z kolei ja wykazałem swoją niewiedzę.

– No cóż, Trianowie to jedna z najbardziej liczących się w polityce rodzin na Takannie. Czy byłeś tam kiedyś?

– Raczej nie – przyznałem.

– Jednak zapewne wiesz, co to oznacza być liczącą się w polityce rodziną?

Pewnie, że wiedziałem, ale w porę się zreflektowałem – Lacocho niewątpliwie powinien być słabiej zorientowany w tej materii.

– Rozumiem te pojęcia, choć sam jestem człowiekiem pogranicza. Odwiedziłem wiele cywilizowanych światów, ale nie mieszkałem na żadnym z nich.

– Właśnie to mam na myśli. Jesteś o wiele lepiej dostosowany do czegoś takiego, jak to miejsce.

– Pogranicze nie jest tak dzikie i prymitywne, jak sądzisz – powiedziałem. – W porównaniu ze światami cywilizowanymi, owszem, ale nie w porównaniu z Charonem. Nasze pochodzenie i środowiska mogą się znacznie różnić, a mimo to są na pewno bliższe sobie niż my oboje ludziom, którzy urodzili się tutaj.

Nie byłem przekonany, czy zaakceptowała tę oczywistość, w każdym razie nie skomentowała mojej wypowiedzi.

No cóż, urodziłam się w budynku rządowym, miałam szczęśliwe dzieciństwo i przygotowywano mnie na stanowisko administracyjne. Wszystko szło jak należy, kiedy nagle pewnego dnia przyszła Służba Bezpieczeństwa i aresztowała mnie razem z wyznaczoną dla mnie matką.

Domyślałem się, co chce przez to powiedzieć. Wszyscy mieszkańcy światów cywilizowanych rodzili się in vitro, jako doskonałe produkty inżynierii genetycznej, zaprojektowane i z góry przeznaczone na odpowiednie stanowiska i do odpowiednich zawodów. Każda natomiast profesja w świecie cywilizowanym tworzyła Rodzinę, a dzieci po osiągnięciu pięciu lat przekazywane były wyznaczonemu członkowi takiej rodzinnej jednostki, który miał się zająć ich wychowaniem i edukacją.

– Jakie było oskarżenie? – spytałem, teraz już autentycznie zainteresowany. Ciekaw byłem, na czym terytorium znajdowała się wówczas Takanna.

– No cóż, ją oskarżono o nielegalną manipulację genetyczną – odpowiedziała. – Twierdzili, iż jestem szczególnym produktem... produktem!... poczętym i urodzonym w sposób nielegalny.

Wyprostowałem się, cały zamieniony w słuch. To brzmiało interesująco.

– Według mnie wyglądasz zupełnie normalnie – zapewniłem ją. – A niby czym byłaś albo czym właściwie nie miałaś być?

– Na tym polega cały problem! Nie chcieli mi powiedzieć! Powiedzieli, że lepiej dla mnie, jeśli nie będę wiedziała; może rzeczywiście, jeśli nie będę wiedziała, to prawda nie będzie miała większego znaczenia. To bardzo paskudne uczucie. Jak by ci się podobało, gdyby pewnego dnia poinformowano cię, iż jesteś odmieńcem, nie mówiąc jednocześnie na czym ta twoja inność polega?

– Niczego nie podejrzewasz? Matka nigdy niczego nie sugerowała?

– Nie. Usiłowałam przypomnieć sobie całe dzieciństwo i nie znalazłam w nim nic dziwnego czy niezwykłego. Przyznaję, że sprawy administracyjne mnie nudziły, ale one obiektywnie rzecz biorąc są nudne. Po aresztowaniu nie zobaczyłam już więcej matki. Nigdy nie miałam okazji porozmawiać z kimś, kto mógłby coś wiedzieć i byłby skłonny udzielić mi informacji.

– I za to cię tutaj zesłali?

Skinęła głową.

– Powiedzieli mi, że to dla mojego własnego dobra; że będzie mi się tu podobać, że i tak nigdy

nie pasowałabym do światów cywilizowanych. Jednym słowem, jestem skazanym przestępcą. I dlatego tu jestem.

Przyglądałem się jej twarzy i ruchom, kiedy do mnie mówiła i doszedłem do pewnego wniosku. Historyjka była nieco dziwaczna, ale robiła wrażenie prawdziwej. Tego rodzaju zachowanie było typowe dla Konfederacji. Ciekawe, dlaczego jej po prostu odpowiednio nie przeszkolono, czy nie przeniesiono gdzieś indziej. Naturalnie, nie istniało nic takiego, jak przestępczy gen, ale istniały hormonalne i enzymatyczne przyczyny wielu skłonności psychicznych, od gniewu i przemocy poczynając, a na schizofrenii kończąc. Jeśli jej cała historia była prawdziwa, to oznaczało to, iż dzielę pokój z odbezpieczonym granatem. Choć z drugiej strony, gdyby dowiedziała się całej prawdy o Parku Lacocho, zapewne pomyślałaby sobie to samo o mnie i... nie miałyby racji.

– No cóż, jeśli choć trochę cię to pocieszy, to ja też, jak widzisz, jestem odmieńcem. Przypadki podobne do mojego zdarzają się na pograniczu, gdzie występują liczne komplikacje związane z różnymi warunkami na poszczególnych planetach – natężenie promieniowania i co tylko zechcesz – a do większości narodzin, na sposób staromodny, potrzebni są i matka, i ojciec. Przez „przypadki podobne do mojego” rozumiem nie tyle takie jak ja, co... no cóż, niezwykle.

– Ty rzeczywiście wyglądasz... niezwykle – powiedziała ostrożnie. – To znaczy, chciałam powiedzieć, iż większość mężczyzn z pogranicza to mocno zbudowane i owłosione typy.

– No nie całkiem – zachichotałem – a moja drobna budowa jest tylko niewielką częścią problemu. Powiedz mi, kiedy mnie widzisz w ubraniu, kogo przypominam? Jak sądzisz, ile mam lat?

Zastanowiła się.

– Cóż, wiem, że jesteś dużo starszy. Wnioskując chociażby ze sposobu mówienia, ale, żeby być całkiem szczerą, wyglądasz na... cóż...

– Na dziesięcioletnią dziewczynkę, prawda?

– No tak. – Westchnęła. – Ale wiem, że nią nie jesteś. Nawet głos masz taki jakiś... pośredni.

To było dla mnie coś nowego. Wydawało mi się, że mam co prawda ostry, ale jednak tenor. (Posiadałem atut w postaci tych informacji, którymi nakarmił mnie Krega, i zaczynałem coraz lepiej rozumieć Parka Lacocho.)

– Mam dwadzieścia siedem lat – powiedziałem a mój wygląd nie zmienił się od czasu, kiedy skończyłem dwanaście. Dojrzewanie dało mi trochę owłosienia, troszkę niższy głos, i to wszystko. Dopiero kiedy skończyłem szesnaście lat, moim rodzicom udało się zaprowadzić mnie do naprawdę dobrego lekarza. Tam odkryli, że jestem mutantem, prawdziwym wybrykiem natury. Nazwano mnie hermafrodytą.

– To znaczy, że jesteś... obojnakiem?

– Nie, niezupełnie. Jestem mężczyzną, ale prawdopodobnie jedynym, jakiego znasz, który jest mężczyzną całkowicie z wyboru. Wewnątrz posiadałem bowiem organy obydwu płci, ale

psychologom i medykom udało się stworzyć stan pewnej równowagi i w tym stanie pozostaną... Bo taki jest mój wybór. Mogli uzyskać rezultat odwrotny i po niewielkich zabiegach chirurgicznych zostałam kobietą.

Biedny Lacoche, pomyślałem sobie, nie pierwszy raz zresztą. Całkowicie zdezorientowany, jeśli chodzi o własną tożsamość płciową, zawieszony gdzieś pomiędzy, zawsze drobny i dziewczęcy. Nie dziwota, że mu odbiło. Dokumenty podawały, że udawał dziewczynkę, żeby zwieść swe ofiary. Zastanawiałem się, czy nie byłby szczęśliwszy jako kobieta... Ale nie dokonał takiego wyboru i, chociaż jego siedemnaście ofiar stanowiło straszliwą cenę, to tu i teraz, w jego ciele, byłem cholernie zadowolony, że jednak był mężczyzną.

– W pewnym więc sensie, jesteśmy do – siebie podobni. – powiedziała Zala z pewną fascynacją w głosie. – Oboje jesteśmy genetycznymi wybrykami natury. Jedyna różnica polega na tym, że ty wiesz, co z tobą jest nie tak, a ja – nie.

Skinąłem głową.

– Może teraz się dowiesz. A może ten „organizm Wardeny” zlikwiduje cały ten problem. Podobno tak właśnie działa.

Moje słowa otrzeźwiły ją nieco.

– Prawie o tym zapomniałam. Dziwne, nie czuję się zupełnie, że tak powiem... zainfekowana.

– Ja też nie. Ale na pewno jesteśmy. Możesz być tego najzupełniej pewna.

Bez najmniejszego ostrzeżenia wróciła nagle do poprzedniego tematu: – Park?

– Hm?

– Co takiego zrobiłeś, że cię tutaj zesłali?

Westchnąłem.

– To, co zrobiłem nie powtórzy się nigdy więcej powiedziałem. – To była straszna choroba, Zala, choroba psychiczna, wynikająca z wielu spraw, między innymi z moich warunków fizycznych. Psychiatrizy wyleczyli mnie z niej i jestem teraz tak zdrowy na umyśle, jak nigdy przedtem. Już choćby to było warte tej ceny. Tam, w domu, przeżywałem piekło. A przy okazji, byłem administratorem okręgu, więc jednak coś nas ze sobą łączy.

Nie pozwalała się zbyć szczegółami z mojego życiorysu.

– Park, nie powiesz mi, co zrobiłeś?

Znowu westchnąłem.

– Gdybym ci powiedział, nie mogłabyś zasnąć, będąc ze mną w jednym pokoju.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Zabiłeś kogoś, prawda?

Skinąłem głową.

– Kobietę?

Ponownie skinąłem głową. Zawahała się:

– Więcej niż jedną?

Mogłem jedynie ponownie skinąć głową, żałując jednocześnie, że doszło do rozmowy na ten temat.

– Wiele?

Westchnąłem i usiadłem prosto na łóżku.

– Posłuchaj. Przestańmy grać w ciuciubabkę. Ja naprawdę nie chcę pamiętać tej części swego życiorysu. To tak, jak gdybym był kimś zupełnie innym: To było szaleństwo, choroba. Kiedy o tym pomyślę, robi mi się niedobrze; czuję się gorzej niż ci, którzy byli tego świadkami. Przysięgam ci jednak, że oni likwidują każdego, kogo nie mogą z tego szaleństwa wyleczyć, a fakt, że tu jestem, dowodzi, iż zostałem wyleczony. Mogli mnie wypuścić z powrotem na ulicę bez najmniejszego ryzyka, tyle że mój przypadek był tak powszechnie znany, a ja mam tak charakterystyczny wygląd, że pewnie by mnie zlinczowano albo jeszcze gorzej. Romb stanowił dla mnie jedyne wyjście i, możesz w to wierzyć lub nie, jestem im wdzięczny za takie rozwiązanie. Wreszcie czuję się pełnym człowiekiem... a to znaczy dla mnie bardzo wiele, nawet w tej zakazanej dziurze.

Uśmiechnęła się.

– Wobec tego, ja jestem twoim papierkiem lakmusowym, bo ja nie chcę tu żyć. Jeśli kłamiesz i mnie zabijesz, cóż, przynajmniej to wszystko się skończy. A jeśli mówisz prawdę, oboje będziemy o tym wiedzieli i być może wspólnie uda nam się przeżyć w tym okropnym miejscu.

– Brzmi to bardzo rozsądnie – powiedziałem zupełnie szczerze. Zawarłem taki tymczasowy sojusz. Miałem tu co prawda zabić pewną kobietę, ale nie była nią przecież Zala Embuay.

Wkrótce potem zapukano do naszych drzwi i zaprowadzono ponownie na dół, jak członków jakiegoś Kongresu miłośników łaźni. Na schodach miałem pewne kłopoty ze szlafrokiem, ale szczęśliwie udało mi się nie potknąć i nie spaść na głowę.

Nasi gospodarze, w świeżutkich czarnych strojach, takich samych, jakie i nam wydano, wyglądali rześko. Pośrodku pomieszczenia ustawiono stół, na którym, oprócz wielu parujących dań, znajdowały się nakrycia dla jedenastu osób.

Żywność była całkowicie naturalna, co było zaskakujące, ale jej smak i wygląd były jeszcze bardziej dziwne. Nie mam zamiaru przedstawiać całego menu, ale odniosłem wrażenie – przynajmniej w przypadku gulaszu – że byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy nie poznali jego składu. Dla szóstki więźniów, wywodzącej się ze światów cywilizowanych, z Zalą włącznie, był to prawdopodobnie pierwszy niesyntetyczny, nieprzygotowany i nie zrównoważony dietetycznie przez komputer posiłek w ich życiu. Dawali temu wyraz. Reszta towarzystwa, złożona z prostaków z pogranicza, zjadała z wielkim apetytem. Nie zależało mi na tym, żeby wiedzieć, z czego składały się te dania; wystarczyło, że były smaczne i dobrze przyprawione. Przynajmniej jedzenie zapowiadało się tutaj przyzwoicie.

Nasi przewodnicy albo już zjedli, albo zamierzali jeść później. Przez cały nasz posiłek byli zajęci przygotowaniem jakichś wykresów i ustawianiem światła.

Jedliśmy w milczeniu, a skończywszy niecierpliwie czekaliśmy na to, co mają do powiedzenia nasi gospodarze.

Rozpoczął mężczyzna.

– Jestem Garal – przedstawił się – a to jest Tiliar. Zostaliśmy wyznaczeni do tej pracy przez Nadzorcę Okręgowego Hanutha, działającego w imieniu rządu planetarnego. Oboje jesteście byłymi więźniami i dobrze rozumiemy wszystko, przez co musicie przejść. Zaczniemy od stwierdzenia, że na pewno macie mnóstwo lęków i przesądów związanych z Rombem Wardena. Chcemy was zapewnić, że obawy wasze nie mają żadnych podstaw. Nie zachorujecie... Nie zauważycie żadnej różnicy w samopoczuciu przedtem i teraz. To prawda, że wasze ciała ulegają teraz drobnym i niezauważalnym zmianom. W ciągu kilku dni wy i „organizm Wardena” osiągniecie stan, który lubimy tutaj nazywać „sojuszem”. Podkreślam stanowczo, że nie jesteście chorzy. Ja na przykład podczas mojego pięcioletniego już tutaj pobytu, nigdy nie byłem chory, ani razu. „Organizmy Wardena” są o wiele bardziej skuteczne niż jakakolwiek inna obrona naszego organizmu, zabijają wirusy i inne drobnoustroje chorobotwórcze. Wszystkie, które ewentualnie przywieźliście ze sobą. Miejscowe są zbyt obce, by mogły stanowić dla was zagrożenie. Te „organizmy” zlikwidują wszelkie inne infekcje i choroby. Na pewno przemówi wam do wyobraźni fakt, iż mimo panującego klimatu, nikt nigdy się nie przeziębia.

Te ostatnie słowa wywołały śmiech, a mieliśmy przecież do czynienia z bardzo ważnym aspektem tej rzeczywistości. Na planetach cywilizowanych ludzie również niewiele chorowali, ale wynikało to głównie z łatwego dostępu do doskonałej służby medycznej. Tutaj – o ile można było wierzyć Garalowi – lekarze i im podobni byli całkowicie zbędni.

– Niektórzy spośród was mogą odczuwać przez pewien czas dyskomfort – wtrąciła Tiliar – ale wynika on z faktu, iż nie jesteście zupełnie zdrowi. Jeśli ktoś, na przykład, ułamał sobie lub stracił ząb, zauważy, że zaczyna mu on odrastać, co może być nieco nieprzyjemne. Ktoś, kto ma problemy ze wzrokiem, może odczuwać lekkie zawroty i bóle głowy związane z naprawą ewentualnych defektów. „Organizm Wardena” nie tylko nie pozwala na pogorszenie się stanu waszego zdrowia, ale on ten stan poprawia. I tak już zostanie. Skaleczenia goją się szybko i rzadko pozostawiają po sobie blizny; zdarza się nawet regeneracja całych utraconych członków.

– Przedstawiacie to tak, jak byśmy mieli być nieśmiertelni – zauważył potężnie zbudowany więzień z pojedynczego pokoju.

– Nie, nie nieśmiertelni – odparła kobieta. – Rany śmiertelne na Zewnątrz, tu również są śmiertelne. „Organizmy Wardena” wykorzystują naturalne możliwości waszego ciała, by utrzymać was w zdrowiu, ale jeśli wasze ciało nie potrafi sobie z czymś poradzić, to one również tego nie potrafią. Poza tym na Charonie więcej ludzi umiera z przyczyn zewnętrznych niż z powodów naturalnych. Biorąc pod uwagę zdolność „organizmu Wardena” do naprawy, a nawet do tworzenia nowych komórek mózgowych, potencjalna długość życia – i to w zdrowym ciele – jest tutaj o wiele większa niż w świecie cywilizowanym.

Większość siedzących przy stole, z Zalą włącznie, usłyszała jedynie drugą część tej wypowiedzi i wydawała się zadowolona z tego, co usłyszała. Mnie o wiele bardziej zainteresowała informacja, z której można było wysnuć logiczny wniosek, że mnóstwo ludzi nie umiera tutaj śmiercią naturalną. Jakoś nie mogłem zapomnieć zębów tamtych niebieskich jaszczurów.

Następnie nasi przewodnicy przedstawili nam ogólne informacje o planecie, z których większość znałem. Interesujące było na przykład to – zważywszy na te ulewne deszcze – że na centralnym kontynencie występują pustynie, jedyne miejsca, gdzie można oglądać błękitne niebo przez czas dłuższy niż tylko chwila. Wyglądało na to, iż woda na Charonie oznaczała albo nadmiar, albo niedostatek; przeważnie to pierwsze. Jednak na terenach suchych mogło zdarzać się, iż deszcz nie padał częściej niż raz na stulecie. Na dodatek, na całej planecie występowały gwałtowne burze, zwane wichrami tabar, szybkie i śmiertelnie niebezpieczne, uderzały wprost znikąd, towarzyszyły im potężne wyładowania, a prędkość wiatru przekraczała 160 kilometrów na godzinę. Pogody, włącznie z tymi burzami, nie można było przewidzieć w miarę dokładnie, ponieważ górna warstwa atmosfery zawierała dziwne pole naładowanych elektrycznie cząsteczek, które wprowadzało w błąd konwencjonalne radary, kamery na podczerwień i tym podobne urządzenia, podczas gdy sztucznie wytworzone pola elektryczne znajdujące się na ziemi przyciągały i brały na siebie całą furję wichrów tabar. Zaczynałem rozumieć praktyczne powody, dla których utrzymywano technologię na stosunkowo najniższym poziomie. Port kosmiczny zamykano natychmiast, kiedy tylko pojawiały się pierwsze sygnały o burzy, a mimo to, za pamięci naszych dwojga przewodników, dwukrotnie już uległ on prawie całkowitemu zniszczeniu. Wahadłowiec posiadał ochronę przeciwko tym polom; nie był jednak całkowicie na nie odporny.

Podobnie jak w przypadku innych światów Wardena; kosmiczna stacja „badawcza” znajdowała się na orbicie, poza zasięgiem wszelkich nieprzyjemnych wybryków natury, ale była ona niedostępna dla osób nieupoważnionych. Ciekawe, że na tych stacjach kosmicznych „organizm Wardena” infekował każdego, z kim wchodził w kontakt, a pozostawiał całkowicie w spokoju wszelką materię nieorganiczną. Jego pełne własności ujawniały się jedynie na powierzchni jednej z czterech planet, i to tylko w stosunku do ludzi znajdujących się pod wpływem tego samego typu „organizmu”.

Przeszliśmy więc nareszcie do spraw naprawdę dla nas interesujących.

– Do zupełnego braku opartych na technologii wygód – ciągnął Garal – dochodzi jeszcze efekt uboczny związku z „organizmem Wardena”, który jest, że tak powiem, trudny do zaakceptowania nawet wtedy, kiedy się już z nim miało do czynienia. Ten efekt uboczny jest inny na każdej z czterech

planet Rombu, wynika on z faktu, że te maleńkie „organizmy wardenowskie” w jakiś sposób pozostają w łączności ze sobą. Na przykład na Lilith niektórzy ludzie posiadają moc poruszania, przesuwania czy wręcz niszczenia go za pomocą myśli. Robią to nakazując własnym „organizmom Wardena”, by wydawały rozkazy innym tym znajdującym się w skałach, drzewach, innych ludziach, i czym tam jeszcze. Jednak wielkość mocy, jaką posiada jednostka, jest sprawą indywidualną. Na Cerberze ta łączność między „organizmami” ma tak dziwną formę, że ludzie potrafią dosłownie wymieniać się umysłami; i jest to zjawisko – tak powszechne, iż dokonują często owej wymiany wbrew własnej woli, bez żadnej nad tym kontroli. Na Meduzie łączność pomiędzy „organizmami Wardena” jest tak ograniczona, że praktycznie zachodzi ona jedynie wewnątrz ciała jednostki, powodując gwałtowną i niezależną od woli zmianę kształtu ciała, dostosowując je do środowiska, w jakim dana osoba się znalazła. Tutaj natomiast... Cóż, sytuacja jest nieco inna, choć jeśli chodzi o sarnę zasady, są pewne podobieństwa.

Zapadła absolutna cisza, a oczy wszystkich zwrócone były na Charonitę. Tu właśnie znajdowało się sedno naszych ewentualnych doświadczeń z Charonem... i wyjaśnienie tego, czym się możemy stać.

– Tak jak mieszkańcy Lilith, my również dysponujemy pewną mocą w odniesieniu do przedmiotów i ludzi – wtrąciła Tiliar, przejmując prowadzenie spotkania. – Tak jak na Cerberze, jest to zdolność psychiczna, a nie fizyczna, i umożliwia ona bezpośredni kontakt umysłów. Podobnie jak na Meduzie, możliwa też jest zmiana kształtu, choć w nieco odmiennym sensie. I chociaż moce te nie są cechą indywidualną – to znaczy, każdy posiada owe zdolności – to jednak potrzeba wiele ćwiczeń i dużo samodyscypliny, by móc właściwie z nich korzystać, a ci, którzy potrafią już to czynić, mogą ich użyć przeciwko wam.

Przerwała na moment, najwyraźniej starając się bardzo precyzyjnie formułować swe myśli.

– Bo widzicie – ciągnęła po chwili – Charon to świat z dziecięcych opowiadań i baśni. To świat, gdzie działa magia, gdzie czar... czarownicy i ich czary potrafią wywierać piorunujące skutki. A jednocześnie jest to świat, na którym żadne prawa naukowe nie są gwałcone.

Było to dość trudne do przełknięcia i kilka osób z naszego towarzystwa zaczęło pomrukiwać i potrząsać głowami.

– Wiem, że niełatwo to zaakceptować – odezwał się po chwili Garal – ale nawet ci najbardziej oporni wśród was szybko zorientują się, jak to wszystko wygląda w rzeczywistości. Pozwólcie, że zapytam was, skąd wiecie, że znajdujecie się właśnie tutaj. Skąd wiecie, iż to miejsce wygląda właśnie tak, jak wygląda? Że wy sami wyglądacie tak, jak wyglądacie, a my tak jak my? Skąd wiecie, że w tej chwili pada deszcz?

– Jesteśmy przemoczeni – mruknął ktoś pod nosem i wszyscy się roześmieli.

– No dobrze, ale skąd wiecie, że jesteście przemoczeni? Wy, wasza osobowość, wasza pamięć, ta wasza myśląca część – w rzeczywistości zamknięta jest w mózgu i w korze mózgowej. Twój mózg jest jedynym prawdziwym tobą, a przecież jest on całkowicie oddzielony od otoczenia czaszką. Nie ma on możliwości bezpośredniego stwierdzenia, co dzieje się wokół. Nie posiada nawet

ośrodków bólu. Wszystko, co wiecie, dochodzi do was, do waszego mózgu, za pośrednictwem zmysłów. Wzrok. Węch. Smak. Dotyk. Słuch. Pięć zmysłów. Każdy z nich przesyła informacje do mózgu i potwierdza informacje innych zmysłów, pozwalające mózgowi zorientować się w tym, co się dzieje dokoła. A co, jeśli te pięć zmysłów się myli? Istnieją pewne tortury i pewne zabiegi psychiczne co czasami na jedno wychodzi – które właśnie z czegoś takiego korzystają. Wysyłają wam one bowiem fałszywe informacje. Jest taka starożytna religia voodoo, która by mogła wyjaśnić ten problem.

– Praktykujący voodoo – podjęła wykład Tilar brał próbki waszych paznokci, włosów, a nawet odchodów, i umieszczał je na lalce. Po czym to, co magik – kapłan czynił z tą lalką, miało się również dzieć z wami. A niby dlaczego voodoo przetrwało aż do czasów podboju kosmosu? Dlatego, że jest skuteczne:

– Och, daj spokój – odezwał się pogardliwie jeden z mężczyzn.

Tilar pokiwała z powagą głową.

– Tak, ono działa. Ale tylko pod dwoma warunkami. Po pierwsze, potencjalna ofiara musi wierzyć, że kapłan dysponuje taką mocą. I po drugie, potencjalna ofiara musi być świadoma, iż jest poddawana takim zabiegom. Tą metodą okaleczono wielu ludzi, psychicznie i fizycznie; a nawet pozbawiono życia. O ile tylko te dwa warunki były spełnione. Jest to wiele łatwiejsze niż sądzicie. Nawet najwięksi racjoniści gdzieś w głębi mają zakorzenioną wiarę w siły nadprzyrodzone i w nieznanne moce. Kapłani voodoo są mistrzami psychologii, a każda ich zakończona sukcesem próba, wzmacnia u innych wiarę w ich moce.

– Naturalnie, tak naprawdę to kapłan nie robi nic konkretnego – zauważył Garal. – Stwarza jedynie warunki psychologiczne, a reszty dokonuje sama ofiara. Można by powiedzieć, iż w jakimś sensie voodoo jest taką siłą magiczną, która nie gwałci znanych nam praw naukowych.

– Chcecie przez to powiedzieć, że znajdujemy się w świecie voodoo? – spytałem półzartem.

Nie docenili jednak mojego dowcipu.

– W pewnym sensie, tak – odparł mężczyzna. Tyle, że tutaj można całkowicie wyeliminować zmienne i posunąć się o wiele dalej. Jak zapewne pamiętasz, powiedziałem, że „organizmy Wardena” mogą się ze sobą komunikować, że tak się wyrażę, nawet poza ciałem, które zamieszkują. Jest to jednak łączność bierna. Komunikują się, ale nie mówią nic konkretnego. Ponieważ jednak są one częścią ciebie, mogą mówić także do ciebie... a ty, do nich. Na tym polega sztuczka. Na tym; do jakiego stopnia zapanujesz nad komunikacją pomiędzy twoimi, a innymi „organizmami Wardena”. W pewnym sensie Charon jest najwyższą formą świata voodoo, świata, gdzie niepotrzebna jest wiara i odpowiednie przygotowanie psychologiczne.

Tilar zastanawiała się przez chwilę.

– Posłuchajcie, wyrażmy to w taki sposób. Załóżmy, że jakaś osoba posiadająca moc zechce was zmienić w uhara, w jedno z tych wielkich, niebieskich stworzeń, używanych jako zwierzęta

pociągowe. Jeśli posiada ona taką moc, praktykę i samokontrolę, skontaktuje się z „organizmami Wardena” w waszym mózgu, za pośrednictwem swych własnych „organizmów Wardena”. Wyśle informację: »jesteś uharem«. Nie mając żadnego doświadczenia nie posiadając niezbędnej kontroli psychicznej, ani kombinacji tych dwu rzeczy, nie dysponujecie żadną obroną, nie jesteście w stanie przekazać waszym własnym „organizmom Wardena”, że otrzymują fałszywe dane. W ten sposób ta informacja, że jesteś uharem, przedostaje się do twego mózgu, podobnie jak informacja przekazywana za pomocą psychosondy. Zmysły są oszukiwane, wszelka dochodząca do mózgu informacja potwierdza fakt, iż jesteś teraz czterometrowym, niebieskim jaszczurem... i z twojego punktu widzenia, jesteś nim.

Zalą wstrząsnął dreszcz i poczułem, że przydałoby się jakieś lepsze wyjaśnienie tych spraw.

– Mamy więc tutaj do czynienia z potężną formą hipnozy, takiej samej, jaką udaje się uzyskać za pomocą bezpośredniego kontaktu między umysłami? spytałem.

– Mniej więcej – zgodziła się Tilar. – Jednak na tym nie koniec. Nie zapominaj, że twoje „organizmy Wardena” pozostają w stałej łączności ze wszystkimi innymi. Twoje własne postrzeganie i widzenie siebie „jest nadawane”; że się tak wyrażę, wszystkim wokół. Oznacza to, że jeśli ty sądzisz, iż jesteś uharem, tak samo będą sądzić wszyscy inni. Nawet uhar będzie cię postrzegał jako uhara, ponieważ i on także związany jest z „organizmami Wardena”. Każdy będzie się zachowywał tak, jak gdyby polecenie czy czar były czymś realnym. A ponieważ w zakresie informacji polegamy na naszych zmysłach, wszystko, co my i inni postrzegamy jako realne, realnym się staje. Im większe posiadasz doświadczenie i samokontrolę, tym lepiej będziesz chroniony i tym bardziej będą narażeni na takie niebezpieczeństwo wszyscy wokół ciebie. Takie to proste.

– Nie ma chyba potrzeby dodawać, że im większe będą twoje umiejętności, tym wyżej możesz zająć w hierarchii społecznej Charona – dorzucił Garal.

Nie jestem przekonany, że którekolwiek spośród nas uwierzyło we wszystko, co nam powiedziano, jednak staraliśmy się zachować pewien spokój, tym bardziej że informacje te dotyczyły podstawowych reguł obowiązujących na co dzień w tym świecie. Ja sam, żebym uwierzył w jakąkolwiek magię, musiałbym wpięraw ujrzeć jej efekty.

Jeśli jednak ta „magiczna” umiejętność wymagała ćwiczeń, warta była dokładniejszego poznania.

– W jaki sposób nabywa się i rozwija tę zdolność? – spytałem naszych gospodarzy.

– Albo się ją nabywa, albo też nie – odparł Garal. – Przede wszystkim, istnieje owa samokontrola, rodzaj psychicznych zdolności, których po prostu nauczyć się nie da. Prawdę mówiąc, większość ludzi nie radzi sobie z zachowaniem niezbędnej dyscypliny lub radzi sobie tylko w niewielkim stopniu. Nie muszę chyba dodawać, że w interesie będących u władzy nie leży, by każdy rozwijał te zdolności, nawet jeżeli przejawia konieczne do tego predyspozycje. Tak zresztą jak wszędzie. Jest kilka wilków, a wiele owiec, a jednak to wilki rządzą owcami. W Konfederacji są całe masy ludzi, prawie niezliczona ich ilość, a mimo to całe ich życie, od struktury genetycznej

poczynając, a na wykonywanej pracy kończąc, zależy od niewielkiej grupki rządzących. Nie oczekujcie, że na Charonie będzie inaczej.

To przynajmniej nie wymagało komentarza. Był tutaj rząd, na czele którego stali owładnięci żądzą władzy politycy i superkryminaliści, i ten rząd kierował społeczeństwem, z którego co najmniej pięć procent było równie pozbawione skrupułów jak oni. Tacy władcy z nikim nie dzielą się z własnej woli władzą, ani nie byliby tak głupi, aby władzę uczynić łatwo dostępną. Niemniej, pomyślałem sobie, moja samodyscyplina, trening psychiczny i związane z tym umiejętności, zostały wytrenowane na poziomie o wiele powyżej normy i to, czego była w stanie dokonać jakaś Aeolia Matuze, czy osoby mniejszego od niej kalibru, na pewno leżało w moich możliwościach. Zawsze znajdował się ktoś, kto gotów był pokonać istniejący system. Gdzieś tutaj odbywały się bez wątpienia jakieś nieoficjalne szkolenia; należało je tylko znaleźć i zapłacić wymaganą cenę.

Podjeżdżałem, że może to również być pewnym rodzajem testu. Przybyliśmy na Charona pozbawieni wszystkiego prócz naszej inteligencji; ci, którzy potrafią zapewnić sobie środki na takie szkolenie i ochronę i stworzyć sobie szansę na awans społeczny, na pewno to uczynią. Reszta dołączy do mas, tworzących niewyczerpany rezerwuar ofiar. Byłem przekonany, że tego rodzaju wyzwanie postawiono teraz przed nami.

Po powrocie do pokoju przedyskutowałem z Zalą wszystko, co dzisiaj usłyszeliśmy.

– Uważasz, że to wszystko prawda? – pytała. – Magia, czary, voodoo... to brzmi tak niedorzecznie! – Może i niedorzecznie, kiedy myślisz racjonalnymi kategoriami. Zauważ jednak, oni nie twierdzą, jakoby na Charonie można było dokonać czegoś, czego nie byłby w stanie zrobić dobry psycholog i psychiatra, wspomagany całą baterią urządzeń technicznych. Wierz mi, ja to wiem. – I rzeczywiście wiedziałem.

– No tak, ale to dzięki maszynom i ekspertom... Maszyn, owszem – zgodziłem się – nie oszukuj się jednak, że miejscowi eksperci są gorsi od tych z Konfederacji. Zsyła się tutaj także psychiatrów; to ludzie z wyobraźnią, tyle że częściej od innych popadają w szaleństwo. Jedyna różnica polega na tym, że tutaj każdy nosi w sobie swoją maszynę psychiczną; co prawda organiczną, ale jednak maszynę, urządzenie, gadżet.

Wstrząsnął nią dreszcz.

– Co ci dolega?

– To twoje słowa... Psychiatrzy to ludzie najbardziej podatni na szaleństwo, prawda? Przypuszczam, że to nie tylko dlatego, iż grzebią w psychice innych, ale także dlatego, że ich maszyny i urządzenia wywołują u nich kompleks Boga.

– Dobrze powiedziane – przyznałem.

– Z tego, co przed chwilą powiedziałeś, wynika, iż znajdujemy się w świecie pełnym psychiatrów, a każdy jest podłączony do takich maszyn, od których odłączyć się nie można. To znaczy, w naszym starym świecie, jeśli psychiatra zwariuje, zawsze znajdą się jacyś inni psychiatrzy

i jakieś monitory komputerowe, i cała reszta; która jest w stanie coś wyłączyć, wyciągnąć jakąś wtyczkę, wyrwać tego wariata z ciebie; prawda?

Skinąłem głową.

– Park... A kto tutaj monitoruje – to wszystko? Kto tutaj wyciąga wtyczkę?

I na tym, oczywiście, polegał cały problem. Wyrwany z klatki, samopas w domu wariatów, gdzie psychiatrzy są bardziej szaleni od pacjentów i gdzie nie ma nikogo, kto wyciągnąłby wtyczkę; nie ma nawet wtyczki. Nie ma nikogo... pracz mnie.

Był to bardzo męczący dzień. Kiedy w końcu napięcie ustąpiło, położyliśmy się bardzo wcześnie... Miałem problemy ze zgaszeniem lampy naftowej tak, aby się nie poparzyć, ale w końcu odkryłem sposób mocowania klosza, a rodzaj małego kapturka na długim kij, wiszący obok ręczników – okazał się idealnym narzędziem do gaszenia płomyka. Znacznie później dowiedziałem się, że to narzędzie z kapturkiem właśnie do tego celu zostało skonstruowane.

Pomimo fizycznego wyczerpania, nie mogłem zasnąć. Myślałem o Charonie i o wyzwaniu, jakie stanowił. Oczywiście nie będę w stanie dokonać absolutnie niczego, dopóki nie zetknę się osobiście z ową pseudomagią i nie zorientuję się, z czym tak naprawdę mam do czynienia i czego będę musiał koniecznie się nauczyć. Później zapewne będę musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie, nawiązać kontakty z miejscowymi, żeby dowiedzieć się niezbędnych rzeczy o szkoleniu i tych szelmach magikach. Byłbym całkowicie nieskuteczny bez doświadczenia i bez fachowego przeszkolenia na tej planecie. Istniała możliwość – a nawet prawdopodobieństwo – że politycy ze szczytów władzy, tacy jak Matuze, niekoniecznie dysponowali największą mocą magiczną. Podejrzewałem, że jej umiejętności były odmiennego rodzaju. Niewątpliwie jednak otoczona była i strzeżona przez absolutnie najlepszych w tej dziedzinie i jedyna droga do niej prowadziła poprzez ich szeregi. Jako agent najwyższej klasy, nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż będę w stanie opanować tę sztukę na tyle, by znaleźć się wśród najlepszych, jednak byłem jednocześnie wystarczająco praktyczny; by nie sądzić, że uda mi się pokonać wszystkich samemu. Nie, będzie mi potrzebna pomoc... pomoc – ludzi miejscowych. Jednego mogłem być pewien; że system taki jak ten musiał wytworzyć całe mnóstwo wrogów Matuze i że będą to albo kryminaliści, albo psychopaci, albo i jedni, i drudzy. Problem polegał na odnalezieniu ich i odpowiednim zorganizowaniu.

Park? – Jej głos dobiegł mnie wśród ciemności poprzez wiecznie obecny dźwięk deszczu stukającego o dach.

– Tak, Zala?

– Czy – mogę... czy nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym wślizgnęła się do twojego łóżka? Na króciutko? Uśmiechnąłem się w ciemnościach.

– Nie boisz się, że cię uduszę, czy coś w tym sensie?

Wstała i ruszyła w moim kierunku, potykając się po drodze, po czym usiadła na moim łóżku.

– Nie, nie boję się. Gdybym rzeczywiście w ten sposób o tobie myślała, nie zostałabym w tym pokoju ani sekundy. – Wsunęła się pod przykrycie i przytuliła do mnie. Było to bardzo miłe, dziwnie uspokajające, a jednocześnie troszkę niepokojące. Ona była znacznie ode mnie większa. Cóż, będzie trzeba do tego przywyknąć.

– Skąd czerpiesz taką pewność? – prowokowałem ją szeptem. Choć, z drugiej strony, dobrze się stało, że ten problem został tak szybko załatwiony.

– Trudno mi na to odpowiedzieć – odparła. Zawsze potrafiłam właściwie ocenić ludzi.

– Naprawdę? Na przykład?

– Och. Wiem, na przykład, że Tiliar i Garal to para bandziorów, którym nasz los jest najzupełniej obojętny. I że ten potężnie zbudowany drań poprzetrącałby innym kręgosłupy dla samej przyjemności robienia czegoś takiego.

– A co możesz powiedzieć o mnie?

– Nie... nie jestem pewna. Jest gdzieś w tobie pewna bezwzględność, ale nie jesteś psychopatą. To tak, jak gdyby... Cóż, gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, to powiedziałabym, iż nie jesteś Parkiem Lacochem, ale kimś absolutnie innym, kimś, kto zupełnie nie pasuje do tego ciała.

Jej spostrzeżenia były bardzo celne i mój szacunek dla jej intuicji – jeśli to była intuicja – wzrósł niepomniernie. Mimo wszystko należało zachować pozory.

– W pewnym sensie masz rację – powiedziałem ostrożnie. – Nie jestem tym samym człowiekiem, jakim byłem przez całe swe życie. Psychicznie jestem taki, jakim już od dawna powinienem był być. To im przynajmniej muszę oddać. Nie ma już starego Lacocho i nigdy nie wróci. Dokonano jego egzekucji w gabinetach psychiatrycznych, przy mojej pełnej i szczerzej współpracy. – To była prawda, tyle że nieco pokrętnie przedstawiona.

– Czy odczuwasz jeszcze jakieś wątpliwości związane z własną tożsamością? – spytała. – To znaczy, czy zdarza ci się pomyśleć o ewentualnej operacji?

Roześmiałem się.

– Nie, już nie – odparłem i udowodniłem prawdę tych słów. Ku naszej obopólnej satysfakcji.

Rozdział czwarty

ROZMOWY I PRZYDZIAŁY

Przez następne kilka dni uczyliśmy się podstawowych danych na temat planety. Odbyła się seria wykładów, które w normalnej sytuacji byłyby bardzo nudne – i właściwie takimi były. Mimo to nawet najbardziej tępi spośród nas zdali sobie sprawę, że były niezbędne do tego, abyśmy w przyszłości mogli odnaleźć dla siebie jakieś miejsce w tym społeczeństwie.

Gospodarka Charona prawie całkowicie bazowała na rolnictwie, będącym połączeniem hodowli i uprawy roli. Przemysł, pracujący na rzecz usług, był ciągle bardzo prymitywny. Chociaż niewiele można było importować do Rombu Wardena z Zewnątrz – nazwą tą obdarzano wszystko, z wyjątkiem systemu Wardena – planety nie były tak zupełnie pozbawione bogactw naturalnych i dobra z jednego świata mogły być przewożone i wykorzystywane na innym. Istniały tu morskie stworzenia; bogate w białko i minerały, nadające się do spożycia, a także wiele zwierząt lądowych nadających się do hodowli. Skóry z owych jaszczurowatych stworzeń były również bardzo użyteczne. Transportowano je na Cerbera, gdzie najwyraźniej dysponowano jakimiś zakładami przetwórczymi, a tam przerabiano na wszystko, na co się dało, poczynając od doskonałej wodoodpornej odzieży, a na materiałach izolacyjnych dachów kończąc.

Myślałem nieraz o moim odpowiedniku z Lilith. Mnie samemu niełatwo było żyć w pozbawionej technologii cywilizacji Charona; zastanawiałem się, czy byłbym w stanie przetrwać w świecie, którego obywatele mieli zdecydowanie antytechnologiczne nastawienie. „Ja” dawałem sobie zapewne znacznie lepiej radę na Cerberze i na Meduzie, które choć technologicznie znajdowały się na znacznie niższym poziomie niż ten, do którego przywykłem, to jednak bliższe były mej naturze i przyzwyczajeniom.

Innym towarem eksportowym Charona był przypominający drewno materiał, pozyskiwany z lasów deszczowych i stanowiący podstawowy – materiał budowlany na naszej planecie. Jego wytrzymałość, odporność na wodę i twardość powodowały, iż bardziej ceniono go na innych światach od tamtejszych odmian drewna.

Eksportowano więc w olbrzymich ilościach drewno na Meduzę, płacąc nim za przywożone stamtąd surowce. Meduza kontrolowała bowiem przemysł wydobywczy na księżycach i asteroidach. Surowce wysyłano również na Gerbera, gdzie przerabiano je na przedmioty niezbędne w ich

szczególnych warunkach. W sumie, był to bardzo przyzwoity system wzajemnych zależności.

System polityczny Charona stanowił równie interesujący temat wykładów. W tym względzie były one wielce pouczające. Przypomniał mi się komentarz Kregi, który utrzymywał, że Matuze została boginią, gdyby tylko mogła, i pewnie dlatego nie byłem tak zaskoczony pewnymi informacjami, jak cała reszta towarzystwa.

Olbrzymia większość spośród jedenastu milionów mieszkańców Charona była, naturalnie, robotnikami, to znaczy – zwykłymi obywatelami. W systemie przypominającym feudalny, pracowali oni dla Firm eufemizm oznaczający w praktyce plantacje – które to w zamian gwarantowały im bezpieczeństwo i zaspokajały wszystkie podstawowe potrzeby.

Na każdy mniej więcej tuzin Firm przypadało jedno miasteczko, którego mieszkańcy również byli zorganizowani – tym razem w coś, co nazywano Związkami, które skupiały ludzi w zależności od zajęcia, zawodu lub umiejętności. Politycznym przywódcą każdego z tych miasteczek był – co mogło zaskakiwać, ale było całkiem logiczne – Miejski Księgowy. Jego biuro prowadziło księgi nie tylko tego, co produkowało lub czego dostarczało miasto, ale również księgi należności dla miasta ze strony każdej z Firm. Choć był to system barterowy (co nie dotyczyło szczytów hierarchii społecznej), to jednak w obrocie znajdowało się nieco pieniędzy w postaci monet wykonanych z jakiegoś specjalnego stopu żelaza. To była niezła waluta, ponieważ przy braku metalu na miejscu, jego podaż poddana była ścisłej kontroli, zresztą tak samo jak handel z Meduzą.

Firmy używały monet głównie jako nagród za wyjątkowe osiągnięcia w pracy, tak więc ich liczba tamże była raczej ograniczona. Jednak w miastach każdy Związek utrzymywał stałe płace, ich wysokość zależała od bardzo różnych czynników. Bezpłatne mieszkania gwarantowały Związki. Pieniądzy używano przy zakupie niektórych podstawowych towarów i wszystkich towarów luksusowych, których zresztą było bardzo niewiele. Związek Transportowców obejmował naturalnie całą planetę, a jego centrala mieściła się w Honuth; używał on monet na zakupy niezbędne podczas podróży. Honuth, spełniające funkcję portu kosmicznego, było największym miastem na Charonie. Poza tym istniał port towarowy na południowym kontynencie, na obszarze przeżywającym teraz okres intensywnego rozwoju. Mimo to tylko w wielkim Honuth zamieszkiwało jakieś pięć tysięcy osób. Przeciętne miasto było dziesięć razy mniejsze.

Firmami i Związkami kierowali Menedżerowie. Powodziło się im świetnie, jeśli tylko potrafili utrzymać produkcję na odpowiednim poziomie. Miejscy Księgowi prowadzili skrupulatnie zapisy dotyczące ich działalności. Raporty przekazywali Radzie Regentów, a ta kolektywnie kontrolowała wszystko i do niej, zarówno miasta, jak i Firmy kierowały zamówienia na surowce i gotowe produkty importowane z innych planet. Przewodniczący Rady Regentów zwany był Dyrektorem i był on najwyższym urzędnikiem państwowym na Charonie. System więc był prosty i wszystko wskazywało na to, że działał sprawnie.

Obok tego funkcjonował drugi system, który nie był tak prosty. Tworzyła go niewielka grupa mężczyzn i kobiet, posiadająca kontrolę nad „organizmem Wardena” i potrafiąca tę władzę wykorzystać. Na tych ludzi należało zwracać szczególną uwagę. Tak jak przypuszczałem, szczyty hierarchii politycznej i magicznej niekoniecznie się pokrywały.

Najniższy poziom tego drugiego, równoległego systemu stanowili czelcy, adepci sztuki, studiujący i pracujący pod kierunkiem wędrownych magików, zwanych zazwyczaj czartami. Czarcowie posiadali swoich przedstawicieli w każdej Firmie i Związku, a także w każdym biurze Miejskiego Księgowego. Chronili ludzi, którym ochrona była potrzebna, wymuszali przestrzeganie prawa i w ogóle udzielali różnych rad i wskazówek, jeśli o takowe ich proszono.

W gruncie rzeczy magicy i ich – uczniowie stanowili rodzaj policji. Podlegali oni zgromadzeniu Biskupów, którym podlegały całe duże obszary planety. Grupa ta znana była pod wspólnym mianem Synodu.

Co ciekawe, Biskupi mianowani byli przez Dyrektora, który mógł ich zatrudniać i zwalniać wedle swego uznania. Zastanawiałem się, w jaki sposób Matuze może zwolnić kogoś tak potężnego i dlaczego Biskupi są jej w ogóle posłuszni. Powód odkryłem nieco później. Tak czy owak potwierdziły się moje przypuszczenia, że sama Matuze, choć niewątpliwie szkolona w sztukach magicznych i zapewne bardzo w nich sprawna, nie jest najwyższą czarownicą, czy jak je tam zwą. Wcześniej czy później i tak będę musiał odkryć, jakie są rzeczywiste podstawy władzy Dyrektora.

Jedno było pewne – Matuze posiadała nie tylko władzę polityczną, ale cieszyła się też szacunkiem i czcią. Zwracając się do niej, używano starożytnych tytułów, takich jak „Jej Wysokość”, a nawet „Jej Czcigodność”, poza tym jako Władca Rombu była Lordem, a nie Lady.

Widać było, że lubi, kiedy jej zdjęcia wiszą praktycznie wszędzie. Hol na dole zdobiły cztery różne portrety, wszystkie naturalnych rozmiarów. Kiedy deszcz ustawał i wychodziliśmy zwiedzać miasto, widziałem jej podobizny prawie wszędzie. Nawet na monetach, które nam pokazano; choć nie na wszystkich. Na starszych monetach widniały podobizny jakichś mężczyzn i chociaż byłem pewien, iż ich nienawidzi, to jednak była na tyle praktyczna, że darowała sobie kłopoty i wydatki związane z wymianą waluty, i wołała poczekać, aż ta się zużyje, chociażby przez wzgląd na to, że mennica była odległa o 160 milionów kilometrów.

Wszystkie portrety przedstawiały ją tak, jak ją zapamiętałem – młodą, atrakcyjną, trochę wyniosłą i arystokratyczną. Mimo iż pochodziła ze światów cywilizowanych i odpowiadała ich standardom, było w jej osobowości coś, co nawet te portrety były w stanie uchwycić, coś, co pozwalało jej wyróżniać się spośród innych. Zastanawiałem się, czy ona rzeczywiście ciągle tak świetnie wygląda.

Fauna Charona była tak bogata, że trudno w niej było się zorientować, tym bardziej że gatunki różniły się między sobą nawet między poszczególnymi kontynentami. Choć w przesiąkniętym deszczem Honuth trudno w to było uwierzyć, to przecież na wysuszonym na kość kontynencie centralnym żyły zwierzęta, dla których woda była nie tylko niebezpieczna, ale wręcz zabójcza.

Najistotniejszą sprawą – z punktu widzenia możliwości przetrwania – był fakt, iż również zwierzęta posiadały do pewnego stopnia rozwiniętą moc magiczną. Naturalnie, była ona na bardzo prymitywnym poziomie, jednakże szczególnie drapieżniki potrafiły zmylić patrzącego udając drzewo, krzak, czy nawet piękny kwiat. Niektórzy padlinożercy natomiast potrafili stworzyć projekcję całego krajobrazu, wprowadzając w błąd wędrowców, nie mówiąc oczywiście o zwierzętach roślinożernych, które w miejscu bagien widziały skały czy wodopój.

– Całkiem dosłownie – ostrzegął Garal – poruszanie się bez ochrony po powierzchni Charona, nawet w blasku dnia i przy dobrej pogodzie, przypomina błędzenie w kompletnych ciemnościach, kiedy nie wiadomo, co czai się przed nami i na dodatek trudno odróżnić, co jest realne, a co nie.

Sytuacja taka, oczywiście, umacniała feudalny system Firm. Nikt nie śmiał oddalić się, czy podróżować z miasta do miasta bez ochrony czerca. Charon to naprawdę śmiertelnie niebezpieczne miejsce, a przy tym wręcz idealne do sprawowania pełnej kontroli nad ludnością.

Nie przejmowałem się jednak Charonem jako takim, bowiem na dłuższą metę jego najniższy wspólny mianownik stanowiły te same socjalne i ekonomiczne czynniki, które leżały u podstaw każdego świata, z Konfederacją włącznie. Tutaj przechodziłeś szkolenie w stosowaniu mocy, jeśli miałeś taką szansę, gdzie indziej urodzenie bywało źródłem władzy czy pozycji społecznej. Jeśli taka możliwość nie była ci dana, szukałeś kogoś, kto posiadał moc i towarzyszyłeś tej osobie, korzystając z jej mocy jak z własnej; metoda co prawda subtelniejsza i bardziej powolna od pierwszej, ale równie skuteczna.

Naturalnie, domyślałem się, dlaczego trzymają nas tak długo w tym hotelu i w tym mieście przesiąkniętym deszczówką. Nasi gospodarze czekali na ostateczne zaadaptowanie się „organizmów Wardena”, by móc nam zademonstrować ich działanie i swoją magiczną moc. Byliśmy elitą kryminalistów na naszych planetach i należało nam pokazać, kto tu naprawdę rządzi.

Był jeden wszakże wyjątek. Zala ciągle stanowiła dla mnie tajemnicę. Wcześniej zorientowałem się, że nie mówi o sobie całej prawdy; nigdy nie przeszła szkolenia dla księgowych czy nawet dla jakiejś pokrewnej profesji. Nasze rozmowy pokazały, iż jej umiejętność czytania była równie rudymetarna. Nie mogła więc być ekspertem w żadnej z dziedzin działalności rządu, biznesu czy nauki. Oznaczało to, że musiała należeć do najniższej kategorii zawodowej, co nie byłoby niczym niezwykłym na pograniczu, ale było czymś zadziwiającym w świecie cywilizowanym.

Kłamstwo jednak było drugą naturą ludzi zesłanych; problem więc nie polegał na tym, że kłamała, ale że sama była tak pełna sprzeczności. Własne ego, poczucie wartości i kompetencja w profesji, dopełnienia której się uradziłeś i wychowałeś, stanowiły podstawę tkanki społecznej światów cywilizowanych. Każdy posiadał pracę, którą dobrze wykonywał i uważał ją za bardzo ważną, wręcz niezbędną, a ponadto sądził, że tylko on jest w stanie tak dobrze ją wykonywać. Seks należał do kategorii rozrywek i był sprawą przypadku. Nie istniały żadne stałe związki rodzinne, a egocentryzm powodował, że pojęcie indywidualizmu stanowiło ideę wszechobowiązującą i wyznawaną przez wszystkich. Mogłeś posiadać, i na ogół posiadałeś krąg przyjaciół, ale nie było w tym jakiegokolwiek zależności w sensie psychologicznym. Slogan „Współzależność w pracy i niezależność osobista” widoczny był wszędzie i wbijany był bezustannie do wszystkich głów.

Jednak nie dotyczyło to Zali. Zala potrzebowała drugiej osoby. Przykleiła się do mnie natychmiast po wylądowaniu, pomimo całkiem sporego prawdopodobieństwa, że jednak byłem wielokrotnym mordercą kobiet. Nasze stosunki fizyczne sprawiały mi niewątpliwą przyjemność; jej były one potrzebne, a może niezbędne. Samotna, nie byłaby zapewne zdolna istnieć nie mówiąc już o dłuższym przetrwaniu. Było to coś zupełnie niewiarygodnego dla kogoś takiego, jak ja, człowieka ze światów cywilizowanych. Nieśmiała i bierna pozbawiona była owego egocentryzmu, który ja uważałem za całkiem naturalny. Nie łudziłem się ani trochę, że wybrała mnie dla mego wrodzonego,

wewnętrznego uroku czy dla nadzwyczajnego blasku, jaki roztaczałem wokół siebie. Wybrała mnie; ponieważ tam byłem, na miejscu, pod ręką.

Kiedy już jednak dokonała wyboru, moje dobro stało się dla niej sprawą najważniejszą, ważniejszą nawet od jej własnego dobra, tak jak gdyby w ogóle nie myślała o sobie, a tylko o tym, żeby zadowolić mnie. Choć w moich oczach takie jej zachowanie miało w sobie coś poniżającego i wielce mnie niepokoiło, to jednocześnie muszę przyznać, że dawało mi pewną satysfakcję i – dowartościowywało w sposób, jakiego do tej pory mogłem oczekiwać jedynie od robotów usługowych.

Jednak... W jaki sposób ktoś taki, jak ona mógł w ogóle zaistnieć w cywilizowanym świecie? I dlaczego zesłano ją na Romb Wardena?

Późnym wieczorem czwartego dnia naszego pobytu na Charonie postanowiłem doprowadzić do konfrontacji. Była zażenowana i zdenerwowana jak osoba przyłapana na oczywistym kłamstwie. Nie pozwoliła mi znaleźć odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące jej osoby.

– Ja... cóż, masz rację – przyznała. – Nie jestem administratorem. Ale cała reszta jest prawdą. Jestem tym, co nazywają naturalną hostessą, ale ta nazwa też nie jest zbyt ścisła. Władze planetarne, administratorzy często podejmują gości z innych planet, a nawet z samej Konfederacji. Organizuje się bankiety i rozrywki dla grubych ryb, dla VIP-ów, i ja biorę w tym udział. Moja praca polega... polegała na dostarczaniu tym ważnym ludziom wszystkiego, czego chcieli. Na pilnowaniu, by byli zadowoleni.

Wiedziałem już, co ma na myśli. Nieraz widywałem dziewczyny należące do jej kategorii, w takich właśnie okolicznościach, kiedy prowadziłem sprawy w środowiskach biznesu i rządowych VIP-ów. Praktyczna identyczność światów cywilizowanych powodowała, że imprezy te były w sumie dość nudne. Jeśli wzięłeś udział w jednym przyjęciu, to tak jakbyś widział je wszystkie. Nawet rozrywki, posiłki i tym podobne były standaryzowane. Naturalnie w imię równości. Był to system doskonały i właściwy, a mimo to zdarzali się mężczyźni i kobiety na bardzo wysokich stanowiskach, na których wypadało zrobić szczególne wrażenie, kiedy wpadali do twojego niewielkiego świata. I zadanie to powierzano hostessom. One właśnie planowały i organizowały owe bankiety, jedyne w swoim rodzaju, i dostarczały egzotycznych smakołyków. One aranżowały niezwykle pokazy – włącznie z tańcami i bardziej ezoterycznymi sztukami – i same w nich występowały. I chociaż seks był czymś nudnym, również w tej dziedzinie potrafiły dostarczyć bardziej egzotycznych przeżyć. Zala więc była kimś takim – osobą dosłownie zaprogramowaną, wyszkoloną i wychowaną, by robić wszystko dla innych. Odcięta od takich możliwości, w naturalny sposób przyłgnęła do pierwszej osoby, która pozwoliła jej czuć się potrzebną i wartościową... do mnie.

Wszystkie te fakty nie wyjaśniały jednak, dlaczego się tu znalazła i dlaczego kłamała.

– Wydawało mi się, iż tutaj lepiej być asystentką administratora niż hostessą. Wrzuciliby mnie przecież do jakiegoś burdelu w stylu pogranicza i na tym by się skończyło. A ja nie jestem dziwką! Tam, skąd pochodzę, moja profesja jest ceniona i przynosi zaszczyt.

Wielkie łzy pojawiły się w jej oczach. Ku memu zaskoczeniu znalazłem się w defensywie, choć

wydawało mi się, że atakuję. W tych sprawach była dobra.

Przy całej reszcie swojej historyjki upierała się jednak twardo i stanowczo. Była rzekomo rezultatem nielegalnych eksperymentów genetycznych, choć nie powiedziano jej – jakich, a zesłano ją tutaj bez jednego słowa wyjaśnienia. Umieszczenie jej w konkretnej życiowej sytuacji i w konkretnym zawodzie dostarczyło mi rozwiązania jednej zagadki, ale pozostawiało drugą, znacznie większą, bez odpowiedzi.

Piątego dnia po południu poznaliśmy przedsmak tego, czym był Charon. Wykonano kilka drobnych testów bez naszej wiedzy; wykazały one, iż jesteśmy całkowicie zaadaptowani albo – jak kto woli – zahartowani, i możemy już stanąć twarzą w twarz z tym bezwzględny, okrutny światem. Jeden z tych testów związany był z zupą, którą podano nam na obiad. Każdy ją jadł, wszystkim smakowała; jedyny problem polegał na tym, iż żadnej zupy nie było.

Pod koniec posiłku przeżyliśmy wielki wstrząs, kiedy Garal wstał i oznajmił:

– Nie będzie potrzebna nam żadna obsługa, by sprzątnąć tę zupę ze stołu. – Machnął ręką i zupa miseczki, żyłki i waza – nagle i gwałtownie zniknęły. Nawet płamy z obrusa zniknęły w tym samym momencie.

Choć wszyscy mogli się spodziewać czegoś podobnego, to jednak obawiam się, że moje usta były nie mniej szeroko rozwarte ze zdziwienia niż usta pozostałych. Demonstracja ta była niewiarygodna i niewyobrażalna. Zupa była przecież równie realna jak moja własna ręka. A jednak siedzieliśmy tam wszyscy nie jedząc faktycznie absolutnie nic, i jeszcze nam to bardzo smakowało.

– Teraz już chyba wiecie, co miałem na myśli powiedział Garal z satysfakcją z głosem. – Potrzebą nam jeszcze kilku przykładów, by dać wam jako takie wyobrażenie o zasięgu tego zjawiska. – Wskazał palcem młodzieńca z pogranicza o piaskowych włosach. Ty. Unieś się ponad stołem i zawieśnij tam na chwilę.

Zaskoczony człowiek uniósł się natychmiast ze swojego krzesła, ciągle w pozycji siedzącej, i popłynął na wysokość jednego metra powyżej blatu. Kompletnie przerażony zaczął bezładnie bić ramionami powietrze, podczas gdy my patrzyliśmy na niego z szeroko otwartymi ustami.

Mogar, ten wielki brutal z jednoosobowego pokoju, który siedział obok niego, zaczął macać puste krzesło. Najwyraźniej jego iloraz inteligencji był znacznie wyższy niż przypuszczałem; zrobiłbym bowiem dokładnie to samo, gdybym siedział na jego miejscu.

– To... nie ma go na krześle! – wyjąkał zdumiony. Aby to udowodnić, chociażby sobie samemu, przesiadł się na opróżnione krzesło.

– Przestań się tak rzucać! – warknął Garal, ale nieszczęśnik w powietrzu nie zwracał na niego uwagi. W końcu zde gustowany Garal powiedział:

– No dobrze, możesz opaść! – Strzelił palcami i mężczyzna z trzaskiem spadł na środek stołu,

omal nie wywracając solidnego mebla. Zupa nie była jedynym daniem tego posiłku. Młodzieniec podniósł się półprzytomny i cały pokryty resztkami jedzenia.

Wszyscy byliśmy jak ogłuszeni. Lewitacja?

– Myślałem, że powiedziałaś, że ta magia nie jest realna – zauważyłem podejrzliwie. – Jeśli to nie było realne... to co jest realne?

Garal uśmiechnął się.

– Teraz dopiero poznajecie prawdziwe oblicze Charona. Co jest na nim realne, a co nie? Czy ten mężczyzna uniósł się w górę, po czym spadł? Czy może wspiął się tam, sądząc, odnosząc jedynie wrażenie, iż się unosi i potem spadł w te resztki jedzenia? Znacie odpowiedź na te pytania?

– A ty znasz?

Uśmiechnął się znowu.

– W tym wypadku, tak. Ale nie zawsze tak jest. Trzeba być prawdziwym mistrzem, by zawsze móc powiedzieć, co jest realne, a co nie jest. I zazwyczaj nawet wówczas jest obok was ktoś jeszcze lepszy, kto może was oszukać. Rzecz się sprowadza do tego, iż na Charonie nie można ufać nikomu i niczemu. Nigdy. – Ponownie strzelił palcami i poczuliśmy wszyscy uderzenie – w pośladki. Krzesła, na których siedzieliśmy, gwałtownie zniknęły.

Garal roześmiał się.

– No i widzicie? Rzeczywistość to, czy iluzja? Ponieważ ja to sprawiłem, to nawet ja widzę to w taki sam sposób, jak wy, postrzegam to tak samo, jak wy. Jest to doskonała kontrola mojej sztuki. Gdyby ktoś nie znający nikogo z nas wszedł tutaj, wówczas kiedy jedliście tę zupę, zobaczyłby was wszystkich siedzących przy stole i jedzących zupę. Widziałby to samo, co wy, czuł ten sam zapach. Dlaczego? Nie dlatego, że to ja wywołałem tę iluzję, ale dlatego, że wy w nią uwierzyliście. I ta wasza wiara promieniowała na zewnątrz.

Zala podniosła się z niejakim trudem i pomogła mi wstać. Wszyscy byliśmy lekko wstrząśnięci.

– Dość tych dziecinnych zabaw – obwieścił nasz gospodarz – wiecie już dokładnie, czego się spodziewać.: Nie takie to wszystko straszne... Ale i niezbyt łatwe. Zaklęcia i przeciw zaklęcia, kontrola psychiczna i dyscyplina – to są klucze. I niełatwo się tego nauczyć, a jeszcze trudniej – oswoić.

– No dobrze; to wobec tego po czym poznamy, iż coś jest realne? – spytał ktoś.

Potraktował to pytanie zupełnie poważnie.

– Jest tylko jeden sposób, by przetrwać na Charonie i dobrze tu żyć. Tylko jeden. Musicie postępować tak, jak gdyby wszystko było realne. Nawet magia. Musicie od – rzucić wszelkie pojęcia z przeszłości i żyć tak, jakbyście byli częścią dziecięcej baśni. Jesteście w świecie, w którym magia

działa. Jesteście w świecie, gdzie czary – a nie nauka królują, nawet jeśli wszyscy znają i uznają prawa naukowe. Jesteście w świecie, gdzie nauka, prawo naturalne, a nawet logika i zdrowy rozsądek mogą być zawieszane w wyniku kaprysu pewnych ludzi. To zupełnie nieistotne czy mamy do czynienia z rzeczywistością, czy z iluzją... zupełnie nieistotne. Niezależnie czym to jest, dla was jest to realne, a także dla wszystkich wokół. Popatrzcie... widzicie ten dzbanek z sokiem owocowym na stole?

Spojrzelismy wszyscy na dzbanek, spodziewając się jego zniknięcia. Nie zniknął. Garal skoncentrował się, przyklnął oczy i wskazał na niego – palcem.

Powoli żółty płyn, znajdujący się w środku zaczął wirować, bulgotać, zmieniać kolory, dymić i syczeć. Po chwili wyglądał bardzo nieapetycznie, a przecież wszyscy przed chwilą go piliśmy.

Garal otworzył oczy i popatrzył na nas z powagą. – Dzbanek zawierał stuprocentowy sok mui i nic poza nim. Zmieniłem jego zawartość w zabójczą truciznę... a może nie? Wszyscy widzicie i czujecie zapach tej substancji, prawda?

Kiwaliśmy potakująco głowami.

– W porządku. Odsuńcie się nieco. – Podeszedł do stołu, uniósł ostrożnie dzbanek i wylał z niego kroplę płynu. Zasyczała, zbulgotała i zaczęła przeżerać obrus, a następnie lakier blatu. Odstawił dzbanek.

– A teraz, czy zmieniłem tę zawartość w zabójczy kwas, czy dalej jest to niewinny sok?

– To ciągle jest jedynie sok owocowy – odezwał się ktoś i sięgnął po dzbanek.

– Nie! Nie dotykaj! – wrzasnął Garal i mężczyzna zawahał się. – Czy nie rozumiesz? To nieważne, czym to jest w rzeczywistości! To zupełnie nieistotne! Wszyscy postrzegacie to jako kwas... i wobec tego dla was to jest kwas. Gdybyście się nim ochlapali, wypaliłby w was dziurę. Dlaczego? Ponieważ podświadomie przekazujecie „organizmowi Wardena” w swoim ciele informację, iż jest to kwas, a wasze komórki i molekuly reagują odpowiednio do tej informacji. My wierzymy, że to jest kwas i dlatego nasze „organizmy Wardena informują tamte, które znajdują się w obrusie i w blacie stołu, że to jest kwas, a te, ponieważ nie mają własnych zmysłów, również w to wierzą i reagują zgodnie z tą informacją. Czy pojmujecie? Niezależnie od tego, czy jest to iluzja, czy nie, na pewno nie jest to prosta hipnoza. – Zakreślił ramieniem koło pokazując nam cały pokój. Widzicie to wszystko? To nie jest martwe. To wszystko żyje! Skały i drzewa na zewnątrz są żywe. Stół, ściany, ubrania – wszystko żyje. Żyje życiem „organizmów Wardena”. Tak jak wy i jak ja sam. „Organizmy Wardena” nie myślą, ale „słyszą” wasze myśli i działają zgodnie z tym, co słyszą. Nadają informacje do wszystkich innych „organizmów Wardena” i tamte postępują zgodnie z otrzymanywaną informacją. To jest kwasem, ponieważ wasze zmysły informują wasz mózg, że to jest kwas. I to jest hipnoza. Ale kiedy wasz mózg mówi „organizmowi Wardena”, że to jest kwas... to już nie jest hipnoza. To rzeczywiście jest kwas.

Weszła Tiliar w towarzystwie dystygowanego mężczyzny około czterdziestki, ubranego w długą, czarną szatę, przetykaną złotymi i srebrnymi nitkami. Miał siwe włosy – zjawisko raczej

niezwykle u kogoś w tym wieku – i ogorzałą twarz, jak gdyby spędzał mnóstwo czasu na świeżym powietrzu. Nie w tym wszakże klimacie.

Garal uklonił się z szacunkiem. Zresztą oboje z Tiliar wydawali się traktować tego mężczyznę z ogromnym szacunkiem, takim, jakim podwładni darzą swojego przełożonego.

Mężczyzna zatrzymał się i popatrzył na nas, potem na kwas bulgoczący w dzbanku i uśmiechnął się. Bez najmniejszego śladu koncentracji czy jakiegokolwiek wysiłku, wymamrotał coś pod nosem i wskazał ręką na dzbanek, który natychmiast przestał bulgotać i zaczął zmieniać swą zawartość na powrót w sok owocowy. Kiedy sok uzyskał już swój normalny, zdrowy, żółty kolor, podszedł do dzbanka, podniósł go, zmaterializował skądś szklanę i napełnił ją płynem. Wypił połowę i odstawił szklanę na stół.

– Nazywam się Korman – przedstawił się miłym i dźwięcznym barytonem, w którym przebijały tony najwyższej pewności siebie. – Jestem tym, którego miejscowi nazywają czarcem... miejskim czarownikiem. Jestem również członkiem Synodu, a tym samym oficjalnym przedstawicielem rządu Charona i Jej Czcigodności, Królowej Aeoli, Lorda Rombu. Witajcie.

To było coś nowego. Teraz więc była królową? Czy oznaczało to, że do bogini niewiele jej brakuje? Czy też byłoby to nie do przełknięcia nawet dla tego Synodu?

– Moi asystenci przygotowują tam z tyłu stół do przeprowadzenia rozmów – wywiadów, a my tymczasem sobie pogawędzimy – ciągnął – i mam nadzieję, iż uda mi się odpowiedzieć na niektóre wasze pytania. Przerwał na moment. – Och, jakież jestem nieuprzejmy! – Strzelił palcami i znów pojawiły się krzesła. Oprócz nich, u szczytu stołu pojawiło – się także jakieś drewniane okropieństwo w kształcie tronu. Zasiadł w nim.

Przyglądaliśmy się krzesłom z podejrzliwością, co rozbawiło nieco Kormana.

– Och, nie ociągajcie się – strofował nas – proszę, siadajcie... czy też może nic z tego, co mówił Garal, jeszcze do was nie dotarło? Przyjmijcie do wiadomości, że i tak nie wiecie, czy krzesła tu były i zniknęły, czy też w ogóle ich tu nie było. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? I tak możecie na nich siedzieć. Kompletnie byście zwariowali, gdybyście usiłowali ustalić, czy przedmioty takie jak te są realne, czy też nie. Zaakceptujecie to, co wam mówią wasze zmysły. Siadajcie, proszę!

Wzruszyłem ramionami i usiadłem, a inni poszli za moim przykładem. Korman naturalnie miał rację; w praktyce to wszystko jedno czy krzesła te były realne, czy nie. Jednakże miałem podstawy, by sądzić, że jednak były realne – Garal nie robił wrażenia typa, który by zbyt się wysiłał, nie mówiąc o tym, że stały tam przecież przez cztery poprzednie dni.

– Tak jest znacznie lepiej – powiedział z aprobatą czarownik. – A teraz zacznijmy już. Po pierwsze: żadne z was nie jest dla nas kimś całkiem zwyczajnym. Och, zdaję sobie sprawę z tego, że brzmi to trochę jak gadanie jakiegoś polityka podczas kampanii wyborczej, ale taka jest prawda. Mamy mnóstwo zwykłych ludzi do pracy na farmach i polach. Na innych światach Rombu nie doceniają takich ludzi jak wy i tam zapewne wrzucono by was do jednego worka razem z chłopami i zapomniano o waszym istnieniu. Ale nie u nas. Każde z was posiada jakieś umiejętności wyuczone na

Zewnątrz, których nabycie tutaj zabrałoby całe lata. Nie zamierzamy marnować waszych bezcennych talentów i umiejętności tylko dlatego, iż jesteście nowi. Ostatnio niewielu nowych przybywa do nas. Jesteście pierwszą małą grupką od trzech lat. Dlatego nie chcemy, byście zajmowali się zbiorem owoców, jeśli dysponujecie czymś, co może okazać się dla nas przydatne.

Słowa te przyniosły mi pewną ulgę, a prawdopodobnie inni, siedzący przy tym stole poczuli to samo. Nikt nie miał ochoty być chłopem, a wszyscy, czy mieli podstawy, czy też nie, byli o sobie wysokiego mniemania. W oświadczeniu Kormana zawarty był jednak pewien element niepewności, ponieważ wyzwanie było dość jasne – wykorzystają nas jedynie wtedy, kiedy zademonstrujemy taki talent i taką umiejętność, które mogą być dla nich przydatne. A co będzie, jeśli cała nasza wiedza okaże się całkowicie nieprzydatna na poziomie technologicznym Charona?

Kiedy tu przybyliście – kontynuował – powiedziano wam, iż pozostawiacie przeszłość za sobą i że nikt nie będzie się do niej odwoływał. Na wszystkich światach Wardena mówi się podobnie i jest w tym wiele prawdy. Jeśli jest wśród was ktoś, kto nie chciałby, by jego przeszłość była kiedykolwiek wyciągnięta na światło dzienne i życzy sobie zaczynać od zera, niech powie mi to teraz. Zniszczymy wasze akta i wyznaczymy wam zajęcie pracownika niewykwalifikowanego wraz z nowym, wybranym przez was, nazwiskiem. To wasze prawo. Czy są chętni?

Ludzie zaczęli spoglądać na siebie, ale nikt się nie odezwał. Przez moment już myślałem, że zgłosi się Zala, ale ona jedynie ujęła moją dłoń i ścisnęła ją mocno. Nikt z tej grupy najwyraźniej nie miał ochoty spędzić reszty życia na zbieraniu melonów, gdzieś na jakichś bagnach.

Po odpowiednio długiej przerwie Korman pokiwał głową.

– Doskonale. Wasze milczenie oznacza zgodę na otwarcie przyszłości, na uchylenie rąbka tajemnicy. Chciałbym teraz, kolejno i pojedynczo, porozmawiać z wami. Nie kłamcie, bo będę świadom waszego kłamstwa, zapewniam was. I jeśli ktoś będzie łgał, rzucę na niego czar prawdomówności i nigdy już nie będzie zdolny do najmniejszego nawet kłamstwa. Chyba jesteście sobie w stanie wyobrazić, jakie to może być czasami zenujące.

Aha. To mi się bardzo nie podobało. Z drugiej strony – nie mówienie kłamstw nie było równoznaczne z mówieniem prawdy. Jeśli potrafiłem oszukać najlepsze maszyny, nie będę miał chyba kłopotów z człowiekiem.

– Nim zaczniemy, czy są jakieś pytania bardziej ogólnej natury?

Ponownie popatrzyliśmy jeden na drugiego. W końcu ja zdecydowałem się wystąpić w roli tego odważnego.

– Tak. Kiedy będziemy szkoleni w... hm... sztukach magicznych?

– Doskonałe pytanie – robił wrażenie rozbawionego. – Może będziecie szkoleni, a może nie. Na pewno jednak nie od razu... Istnieje pewien stan umysłu, który musicie wpierw osiągnąć, a bez którego szkolenie nie przyniosłoby pożądanых efektów. Tak długo, jak martwić się będziecie tym, co jest realne, a co nie jest, byłaby to sprawa beznadziejna. Dopiero wówczas, gdy zaakceptujecie ten

świat i jego kulturę takimi, jakimi są, będziecie mogli zacząć. Całe wasze życie oparte było na wierze w naukę i na zaufaniu do nauki i jej dowodów eksperymentalnych. Wy i wasza kultura jesteście uwarunkowani empirią. Jednak tutaj, gdzie każdy eksperyment kończy się tak, jak ja sam zdecyduję, że ma się skończyć, empiria już nie obowiązuje. Będziemy wiedzieli, kiedy – ewentualnie czy w ogóle – jesteście gotowi. I wy sami też będziecie to wiedzieć.

Ktoś inny zadał ciekawe pytanie.

– Te sprawy, które widzimy, że wywołujecie... wiem, że każdy miejscowy je widzi, ale co się dzieje, jeśli ktoś nie jest stąd? Na przykład ktoś z innego ze światów Rombu. Albo aparat fotograficzny.

– Dwa pytania – odparł Korman – i dwie odpowiedzi. Wpierw rozważmy to łatwiejsze. Aparaty fotograficzne. Można nimi robić tutaj zdjęcia i niezależnie od tego, co jest fotografowane, na zdjęciu zobaczymy to, co wierzyliśmy, iż jest fotografowane. Założmy, że zmienię cię w uhara. Ten gość tutaj robi ci zdjęcie. Patrzy na to zdjęcie i widzi uhara. Zabiera je do innego miasta i pokazuje komuś. Tamci też widzą uhara, bo ty widzisz uhara, tak że problem jest dyskusyjny. A tak przy okazji, urządzenia automatyczne i roboty nie działają tutaj za dobrze, pola elektryczne i burze Charona, z tego co słyszałem, bardzo szybko powodują krótkie spięcia i awarie w siłowniach. To samo dotyczy urządzeń powietrznych i satelitarnych. Gdyby nawet jednak robot był w stanie tu działać, pełniłby zaledwie rolę przewodnika dla niewidomego i to takiego przewodnika, któremu nie można by zaufać, bo nie zna się właściwych pytań, które należy mu zadawać.

– A ktoś spoza tej planety? – przypominał pytający

– To trochę bardziej skomplikowane. Nasze „organizmy Wardena” są zmutowanym „szczepem organizmów Wardena” z innych planet Rombu. Nie rozmawiają one ze swoimi krewnymi z pozostałych trzech planet w taki sposób, w jaki rozmawiają ze sobą tutaj, więc gość, powiedzmy z Lilith, widziałby rzeczy takimi, jakimi one są. Jednakże na Charonie nasze życzenia przynajmniej częściowo mogą się sprawdzać. Budynek naturalnie jest budynkiem, wiatry cię owiewają i burza ci zagraża. Budynek może nie być tak fantazyjny, jakim go widzimy, ale jest jednak budynkiem. W przypadku materii organicznej sytuacja przedstawia się jednak całkowicie odmiennie. Jeśli zmienię cię w uhara, tak jak w moim poprzednim przykładzie, uwierzysz, że jesteś uharem. A wraz z tobą uwierzą w to „organizmy Wardena” w twoim ciele. Nie wiemy, w jaki sposób otrzymują one tę informację, nie mówiąc już o źródle niezbędnej energii, jednak powoli iluzja ta zaczyna stawać się rzeczywistością. Komórki twego ciała zmieniają się odpowiednio lub zostaną zastąpione przez inne. Nagle cała skomplikowana biochemia uhara zostanie udostępniona twoim „organizmom Wardena”. Być może nawiązują one kontakt ze swoimi braćmi w prawdziwym uharze – tego nie wiem – w każdym razie czerpią potrzebną im informację skądś z zewnątrz i przetwarzają w materię, zgodnie z potrzebą; tak więc, po jakimś czasie, stajesz się uharem. Prawdziwym. I wówczas nawet nasz gość z Lilith takim cię będzie postrzegał.

Była to nowa, ekscytująca, a zarazem przerażająca idea. Transmutacja nie była czymś, o czym bym marzył. Niemniej to wszystko dotyczyło czegoś niezmiernie ważnego. „Organizmy Wardena” mogły uzyskać informacje, niewiarygodnie złożone informacje o wiele bardziej złożone i szczegółowe niż te gromadzone w najlepszych komputerach – po czym działać zgodnie z nimi, a

nawet przetwarzać energię w materię, by tylko te informacje uzyskać. Zapamiętałem to sobie, może się kiedyś przydać.

Korman rozejrzał się.

– Czy coś jeszcze? Nie? Wobec tego zaczynamy. Jestem pewien, że chcielibyście jak najszybciej opuścić to miejsce i zacząć nowe życie. Nam również zależy na tym, żeby oddać wreszcie ten hotel jego regularnym gościom, którzy nie są zachwyceni obecną sytuacją. – Wstał i podszedł do swoich asystentów, którzy tymczasem ustawili rozkładany stół i położyli na nim stos pękatych teczek na akta. Poszedł za stół, usiadł na rozkładanym krześle i wziął do ręki pierwszą teczkę.

– Mojet Kaigh! – zawołał.

Jeden z mężczyzn z naszej grupy podszedł nerwowo do stołu i usiadł na ustawionym po tej stronie krześle. Byli nieco za daleko, by można było ich usłyszeć, kiedy mówili przyciszonym głosem, ale normalna rozmowa była dobrze słyszalna, tak że w jakimś stopniu wszyscy uczestniczyliśmy w tej całej rozmowie – wywiadzie.

Sprawiła wrażenie zupełnie rutynowej. Nazwisko, wiek, szczególne umiejętności, praca zawodowa... takie tam zwykłe sprawy. Nagle w środku tego wszystkiego doświadczyłem czegoś bardzo dziwnego, jak gdyby w jakiś sposób zniknęła jedna czy dwie sekundy... Wyglądało na to, że nikt inny niczego nie zauważył, wobec czego siedziałem cicho, ale uczucie niesamowitości nie ustępowało. Albo było to coś, o czym powinienem wiedzieć, albo coś się działo ze mną samym. Ta druga możliwość najbardziej mnie niepokoiła.

To samo wydarzyło się podczas drugiego i trzeciego wywiadu. Odniosłem wrażenie, że słyszę dokładnie zdanie po zdaniu tej rutynowej rozmowy, i nagle cyk, następowała nieznaczna zmiana scenerii – ludzie nie całkiem byli na swoich miejscach, coś w tym sensie. Coraz bardziej byłem przekonany, iż dzieje się coś, czego inni nie zauważają.

Ciekawe, powtarzało się to podczas wszystkich rozmów, z wyjątkiem rozmowy z Zalą. Szczególnie uważnie śledziłem ten wywiad, zwracając uwagę zarówno na ewentualną wyrwę w czasie, jak i na to, do jakiego stopnia akta Kormana pokrywają się z tym, co o swoim życiu mówiła Zala. Muszę przyznać, że obie wersje były bardzo bliskie.

Kręciłem się nerwowo, kiedy ta nudna procedura przeciągała się ponad miarę, chociaż nie była ona przecież pozbawiona ciekawszych momentów. Okazało się; iż ten potężnie zbudowany brutal z jednoosobowego pokoju był przedtem dyktatorem na jakiejś leżącej na uboczu planecie z pogranicza. Jego ulubioną rozrywką było groteskowe okaleczanie innych, i tym podobne zabawy. Chociaż ta informacja potwierdziła jedynie nieprzyjemną aurę otaczającą tego człowieka, to jednocześnie przypomniła mi, że potężna budowa, brutalność i chamstwo niekoniecznie oznaczają głupotę. Ktoś, kto potrafił przejąć władzę nad całą planetą i utrzymać się przy niej przez prawie sześć lat, był raczej bliższy geniuszowi niż idiocie. Dlatego zresztą tu w ogóle wylądował. Na pewno spodobałby się Aeolii Matuze... Ale czy on umiałby z nią współpracować, to już zupełnie inna sprawa.

Byłem ostatni i kiedy Korman wywołał moje nazwisko, podchodziłem do stołu z wielką ciekawością. Czy moja rozmowa również zostanie „wypreparowana”. Był uprzejmy i nieco oficjalny, tak samo jak w stosunku do pozostałych.

– Jesteś Park Lacocho?

– Tak – odpowiedziałem.

– Nie masz nic przeciwko przeglądowi twojej przeszłości?

Wahałem się przez chwilę, której długość uważałem za odpowiednią w tej sytuacji, po czym oświadczyłem:

– Nie, chyba nie.

– Rozumiem twoje obawy. – Skinął głową. Jesteś wielce barwną postacią, Lacocho. Wiesz o tym?

– Nie sądzę, by tak mnie określano.

– Możliwe. – Roześmiał się bez humoru. – Należysz jednak do długiego rzędu masowych morderców o szacownym pochodzeniu. Ubarwiają oni ludzką historię i czynią jej monotonię i szarość bardziej interesującą. Jak rozumiem, udało im się rozwiązać twój problem?

– Można tak powiedzieć. Przez długi czas byłem poddawany głębokiej obróbce psychicznej. Wyszedłem z niej całkowicie zdrowy na umyśle, jednak nie można było przywrócić mnie społeczeństwu, ze względu na rozgłos, jaki zyskał sobie mój przypadek.

– Teraz chyba rozumiesz, dlaczego nazwałem cię barwną postacią? Tak, to takie adekwatne określenie. Nie mogliśmy również zignorować faktu, że dzieliłeś tutaj pokój z kobietą i że spędziłeś cały tydzień w tym pełnym kobiet mieście, i zachowywałeś się wobec nich całkiem kulturalnie. Powiedz mi jednak – i powiedz szczerze – czy sądzisz, że jakiegokolwiek warunki, nawet te najbardziej ekstremalne, mogłyby wywołać u ciebie nawrót tej przypadłości?

– Któż to może wiedzieć? – Wzruszyłem ramionami. – Nie sądzę, by było to prawdopodobne. W tym aspekcie jestem bowiem tak zrównoważony, że trudno mi sobie w ogóle wyobrazić; abym był zdolny do takich czynów, choć jednocześnie doskonale wiem, iż je popełniłem.

– A co powiesz na zabójstwo w ogóle? Czy mógłbyś zabić kogoś w jakichś konkretnych warunkach? To było łatwe.

– Naturalnie. Na przykład, gdyby ktoś chciał mnie zabić. Nie poszli bowiem ze mną tą drogą, proszę pana. Ja nie zostałem zaprogramowany. Ja zostałem wyleczony.

Pokiwał z aprobatą głową, po czym nagle spojrzał mi prosto w oczy, wzrokiem niemal palącym, hipnotycznym spojrzeniem, zadziwiającym, ale trwającym jedynie około sekundy. Westchnął i odprężył się.

– No widzisz, jesteście teraz sami. Skoczyłem na równe nogi.

– Co takiego? – Rozejrzałem się i spojrzałem za siebie. Tuż za mną wielka, gładka, czarna ściana. Moja reakcja nawet go nie rozbawiła. Widocznie był przyzwyczajony do podobnych zachowań.

– To takie proste. Kiedy powrócimy do świata realnego, żaden z twoich towarzyszy nie będzie nawet świadomy, że zaistniała jakaś przerwa.

– A więc to tak! Zauważyłem już przedtem pewną nieciągłość czasową.

– Brawo. Na ogół nikt niczego nie zauważa. Mózg wypełnia zaistniały ubytek albo jakoś po swojemu go sobie tłumaczy. Mówisz, że zauważyłeś to w przypadku innych osób?

Skinąłem głową.

– Za pierwszym razem sądziłem, że coś jest ze mną nie całkiem w porządku, ale kiedy to się powtórzyło raz i drugi, wiedziałem, że coś się za tym kryje. – Zauważyłeś to w każdym przypadku?

Uśmiechnąłem się, dostrzegając w tym pytaniu podstęp.

– W każdym, z wyjątkiem Zali. Sądzę, że nie była ona przeniesiona tutaj, tak jak pozostali.

– Masz rację – skinął z aprobatą głową. – Widzę, że właściwie cię oceniłem. Po odpowiednim przeszkoleniu, być może uzyskasz moc i kontrolę nad nią. Wykazałeś się nadzwyczaj wczesnymi uzdolnieniami w tym zakresie.

– Bardzo chętnie podjąłbym taką próbę – powiedziałem szczerze, i nie było to kłamstwo.

– Zobaczymy. Przypadek pozwolił ci znaleźć się w szczególnej sytuacji, a na dodatek wykazujesz bardzo interesujące umiejętności. Masz szansę zajść daleko na Charonie.

– O? A w jakim sensie? – Byłem jednocześnie zaciekawiony, ale i nieco podejrzliwy. Nie byłem zachwycony faktem, iż stałem się ośrodkiem zainteresowania na tak wczesnym etapie rozgrywki.

Korman zastanawiał się przez chwilę, jakby ważył w swym umyśle ten sam problem. Na czymkolwiek polegał jego dylemat, wydawało się, iż go rozstrzygnął. Westchnął.

– Przed pięciu laty Władcą Charona był Tulio Koril. Był on nie tylko starym, przebiegłym hultajem, był również bardzo potężny. Sprawy państwowe go nudziły; kiedy można być bogiem, o ile bardziej ciężą nam papierki, biurokracja i podejmowanie rutynowych decyzji.

– Czemu zatem nie zrezygnował?

– Głównie z poczucia odpowiedzialności i obowiązkowości. Nie czerpał z tego żadnych radości, ale widział, jakie na tym stanowisku istnieją potencjalne możliwości nadużywania władzy i

czuł, że jego następcy doprowadzą do katastrofy; naturalnie była to jego opinia, którą należałoby odpowiednio wyważyć, uwzględniając egomanię niezbędną, by w ogóle zostać Lordem – Władcą.

– Człowiek z Rombu Wardena mający poczucie odpowiedzialności i obowiązkowości?

– Jest wielu takich. Prawdę mówiąc, lubię myśleć o swojej własnej osobie w tych kategoriach. Jesteś takim samym wyrzutkiem, jak i my, a przecież bardziej niż my jesteś produktem tego społeczeństwa, które cię odrzuciło. Społeczeństwo to dąży w sumie do wspólnego dobra, ale by osiągnąć ten cel, wymaga od wszystkich swoich obywateli przyjęcia pewnego punktu widzenia, który niekoniecznie jest tym jedynym. Wielu spośród nas jest naturalnie kryminalistami w sensie obiektywnym, ale wielu jedynie dlatego, że racja uważa za słuszny: Przez całą brudną historię ludzkości „inne” zawsze oznaczało złe, podczas gdy „inne” oznacza... po prostu „inne”. Jeśli ich system jest doskonały, dlaczego zatrudniają detektywów, skrytobójców i jak im, do diabła, udaje się produkować takich jak my?

Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa, a w tej szczególnej sytuacji korzystniej było nie udzielać odpowiedzi w ogóle. Milczałem więc.

– Kiedy po raz pierwszy system Konfederacji został narzucany, przeciwko tej garstce, która nie mogła lub nie chciała się przystosować do niego, wysyłano skrytobójców. Było to całe wieki temu i całe miliony ludzkich żywotów wstecz, a przecież nieprzystosowani ciągle istnieją, a tamci ciągle ich zabijają. Wiesz co, Lacocho? Niezależnie od tego, jak wielu zabijają, jak wielu przeprogramują, jakie środki kontroli nad ciałem i umysłem wynajdą... my będziemy istnieć. Ci, którzy tworzą historię, nigdy z niej niczego się nie uczą, a przecież gdyby z jej nauk korzystali, w takich ludziach, jak my widzieliby wielkość człowieka, wiedzieliby, dlaczego przebywa on tutaj, pośród gwiazd, zamiast po prostu strzelić sobie w łeb na rodzinnej planecie. Niezależnie od tego, jak wielu wrogów unicestwia tyrania, zawsze znajdują się inni wrogowie.

– Nie nazwałbym Konfederacji tyranią. Szczególnie porównując ją z tym, co było wcześniej.

– No cóż, może i nie, choć według mnie te nowe metody stanowią jedynie maskę dla starych. Społeczeństwo, które w sposób absolutny narzuca swym członkom sposób myślenia, jedzenia, picia, mówi, kogo kochać – i czy w ogóle kochać – jest tyranią, nawet jeśli okryte jest złotem i smakuje jak miód.

– A jeśli ludzie są szczęśliwi...

– Ludzie żyjący pod rządami największych tyranii są na ogół szczęśliwi... albo przynajmniej nie są nieszczęśliwi. Żaden tyran w historii ludzkości nie rządził bez cichego poparcia mas, niezależnie od tego, co te masy mówiły po obaleniu tyrana. Rewolucje są dokonywane przez garstkę, przez wybrańców, przez tych, którzy posiadają wyobraźnię i intelekt pozwalający im przejrzeć tyranie i zobaczyć, że mogłoby być znacznie lepiej. Konfederacja rozumie to bardzo dobrze i dla tego właśnie ludzie tacy jak Koril czy ja sam, znaleźli się tutaj. I niezależnie od czynionych wysiłków, Konfederacja w końcu upadnie, tak jak i inne imperia w przeszłości – albo pod wpływem czynników zewnętrznych, albo przegnią od wewnątrz. Odsuwają ciągle ten upadek, ale on w końcu nastąpi. Niektórzy z nas woleliby, żeby upadek nastąpił jak najszybciej.

– Brzmi to trochę jak wypowiedź zgorzkniałego filozofa – zauważyłem.

– Prawdę mówiąc, byłem historykiem – wzruszył ramionami. – Nie jednym z tych oficjalnych, którzy nauczają spreparowanych wersji przeszłości, ale jednym z autentycznych, mających dostęp do wszystkich faktów, dokonujących analiz dla samej Konfederacji. Wiesz, że historia jest nauką ścisłą, choć oni nie pozwolą ci się tego nawet domyślić. Technokraci lękają się jej śmiertelnie i umieszczają ją w tej samej kategorii, co literaturę. Dlatego naukowcy zajmujący się naukami ścisłymi nie znają – jej zupełnie i tak łatwo dają sobą powodować. Ale, ale... odszedłem od głównego tematu.

– Kiedy to wszystko jest wielce fascynujące powiedziałem zupełnie szczerze, świadom, jak ważną rzeczą jest poznać swego wroga. Wspomniałeś wszakże Korila.

Skinął głową.

– Koril jest jednym z tych intelektualistów starej szkoły. Wie, że pewnego dnia Konfederacja upadnie pod własnym ciężarem i wystarczy mu, że dojdzie do tego w sposób naturalny, choćby to miało trwać całe stulecia. Jest jednak i inna szkoła, której rzecznicy wierzą, że szybki i w razie potrzeby, gwałtowny upadek pozwoli uratować życie wielu ludziom i przyniesie pozytywne rezultaty dla większej ich liczby. Człowiek może bowiem umierać powoli i w bólach albo śmiercią gwałtowną... co jest dla niego większym miłosierdziem? Dostrzegasz różnicę pomiędzy tymi dwoma stanowiskami?

– Ewolucja albo rewolucja; stara historia. – Skinąłem głową. – Domyślam się, że to jest powodem, dla którego Koril nie jest już Władcą.

– Tak. Był człowiekiem ewolucji, który znalazł się na szczycie władzy w niewłaściwym momencie.

– W niewłaściwym momencie? – coraz bardziej mnie to interesowało. – Sugerowałyoby to, iż taka rewolucja i to na taką skalę stała się nagle możliwa. W to trudno mi raczej uwierzyć.

– Jakies pięć lat temu Marek Kreegan, Władca Lilith, zwołał konferencję Czterech Władców Rombu – powiedział Korman. – Podobno skontaktowały się z nami jakieś siły zewnętrznej które chciały uzyskać naszą pomoc przy obaleniu rządów Konfederacji.

– Siły zewnętrzne? – nie wierzyłem własnym uszom. Przebywam na Charonie dopiero od tygodnia, a już dowiaduję się szczegółów, o których sądziłem, że będę je wygrzebywał spod ziemi łopata.

– Siły obcych. Wielkie. Potężne. Zaawansowane nie bardziej od Konfederacji, ale pozbawione jej ograniczeń ideologicznych, co oznacza, iż mają pewne rzeczy, których my nie mamy. Jest ich także – jak sądzimy, celowo – o wiele mniej niż ludzi. Mają długą historię współzycia z innymi formami życia, jednak ich analiza cywilizacji i wartości reprezentowanych przez Konfederację wykazała, że wspólnie byliśmy w stanie ją pokonać. Uważają, iż muszą zniszczyć Konfederację, nie chcieliby jednak przy tej okazji zniszczyć również ludzkości.

– A sądzisz, że mogliby? Powiedziałeś przed chwilą, iż jest ich niewiele.

Pokręcił głową.

– No i widzisz? Popelniasz bardzo prosty błąd. Nie liczby są tutaj istotne. Konfederacja mogłaby przecież zniszczyć planetę z dziesięcioma miliardami mieszkańców za pomocą jednego prostego urządzenia i wykorzystując być może do tego zadania zaledwie jednego człowieka i dwa roboty. Troje przeciw dziesięciu miliardom... i kto by wygrał?

– Ale ci obcy musieliby wpieryw dostać te wszystkie planety – zauważyłem.

– Rasa na tyle inteligentna, że była w stanie doprowadzić do spotkania i podjęcia próby zawarcia sojuszu z Czterema Władcami – a dokonała tego pod nosem statków patrolowych i urządzeń używanych do utrzymania naszego systemu, więzienia w izolacji i rasa, która dla Konfederacji pozostaje nieznana, nie miałyby z tym większych kłopotów.

Musiałem przyznać, iż miał tu nieco racji, ale nie kontynuowałem tego wątku.

– I Czterej Władcy przystali na ten układ?

Trójka z nich – skinął głową. – Kreegan opracował plan generalny: obcy dostarczą technologię, inne światy wniosą swój wkład w postaci energii, środków materialnych i fachowości swych obywateli.

– Domyślam się, iż tym czwartym, który nie wyraził zgody, był Koril.

– No właśnie – ponownie skinął głową. – Był zdecydowanie przeciwny tym planom. Obawiał się, iż obcy użyją nas jedynie do tego, by ułatwić sobie podbój, po czym zamienią nas w niewolników lub zmiotą z powierzchni ziemi. W swoich opiniach był jednak odosobniony, Naturalnie, z emocjonalnego punktu widzenia, branie udziału w obaleniu Konfederacji to coś... czemu trudno się oprzeć, ale istnieją jednak o wiele ważniejsze powody praktyczne. Światy Wardena, które wezmą udział w tym przedsięwzięciu, dostaną swą część nagrody, a nawet łupów. Są bowiem podstawy, by sądzić, iż obcy mają możliwości wyleczenia, a przynajmniej ustabilizowania, problemów powodowanych przez „organizmy Wardena”. Rozumiesz co to oznacza?

– Ucieczkę stąd – skinąłem głową.

– Coś więcej niż tylko ucieczkę! Oznacza to, iż będziemy mogli być tam na miejscu, by zająć się tym co zostanie po Konfederacji. Niezła motywacja! Jednak jak już powiedziałem, najistotniejsze są względy praktyczne. Charon jest prawdopodobnie najmniej potrzebnym spośród światów Wardena. Większość zesłanych tutaj to przestępcy polityczni, nieprawomyślni i tym podobni i, szczerze mówiąc, cała ta intryga mogłaby się odbyć bez naszego udziału. Mogłaby się odbyć... i odbyłaby się. Bylibyśmy wówczas odizolowani, odcięci od wszystkiego, a sprawy i tak toczyłyby się bez naszego udziału. Gdyby zaś poszło coś nie tak jak zaplanowano; obarczono by nas winą na równi z innymi, chociaż stalibyśmy – z boku. Rezultatem mogłoby być bowiem całkowite unicestwienie Rombu przez Konfederację. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, pozostałe trzy planety będą po stronie

zwycięzców, z wszystkimi tego konsekwencjami i z możliwością opuszczenia Rombu, a my zostaniemy w tej pułapce na zawsze skazani na wieczne zapomnienie. Dlatego też, ponieważ nie byliśmy najważniejsi w tej intrydze, musieliśmy albo się do niej przyłączyć i skorzystać na tym, albo się nie przyłączać i stracić niezależnie od wyniku konfrontacji. To właśnie doprowadziło do nie mającego precedensu usunięcia jednego z Władców Rombu, Lorda Korila.

– Jeśli już o nim mowa... podejrzewam, iż nie przyjął tego w sposób całkowicie bierny?

– Bynajmniej! Trzeba było całej, połączonej mocy Synodu, by go usunąć i nawet wówczas jego własna moc była straszliwa. W końcu jednak uciekł na Gamush, kontynent położony w strefie równikowej, gdzie już wcześniej przygotował sobie kryjówkę i kwaterę główną, tak dobrze ukryte, że do dziś dnia nie udało się ich odnaleźć. Zważ tylko, skromny cel sztuk magicznych mógłby cię zabić jednym spojrzeniem. Każdy z wioskowych czartów potrafiłby zrównać z ziemią zamek i zamienić ludzi w drzewa, gdyby tylko zechciał. Połączone siły Synodu mogłyby spowodować zniknięcie całego kontynentu i przemieszczenie oceanów tego świata. A przecież te same połączone siły były w stanie jedynie usunąć, ale nie zabić, Korila... a teraz nie potrafią go zlokalizować. Czy to daje ci wyobrażenie o mocy tego starego człowieka?

Do tej pory widziałem na tym świecie jedynie salonowe sztuczki magiczne, ale potrafiłem uzmysłwić sobie znaczenie podanych przykładów, choćby na zasadzie alegorycznego porównania.

– I ciągle działa przeciw wam? – spytałem.

– Tak. Ostatnio niezbyt skutecznie, ale i tak jest więcej niż niebezpieczny. Nadal ma przyjaciół na wysokich stanowiskach, a jego agentom udało się przeniknąć na miejsca spotkań samych Czterech Władców. W pewnym momencie przedostali się poza krąg ochrony – tak ściśle, że aż niewiarygodnej – i byli świadkami spotkania z naszymi sojusznikami. Szpiegów wytropiono i zabito, nim dokonali jakichkolwiek większych szkód, ale nie było to wcale łatwe. Niewiele brakowało, by Korilowi powiodło się zgładzenie Czterech Władców i dwóch obcych... A przecież nawet go tam nie było! Przebywał w tym czasie bezpiecznie na Gamush.

Przyszła kolej na bardziej ryzykowne posunięcie z mojej strony.

– Wszystko to jest interesujące, ale proszę mi powiedzieć, czemu zawdzięczam, że się tego tak łatwo dowiaduję? Nie są to chyba sprawy powszechnie znane?

– Masz rację. Upadek Korila został publicznie przedstawiony jako posunięcie chroniące Charona przed nadmierną i niebezpieczną ambicją. Stworzyliśmy w umysłach ludzi portret diabła, demona, wcielenie potężnego zła w jego czystej pamięci: Było to całkiem skuteczne, a nawet pożyteczne; siła opozycji, oparta na lęku i mocy. Utrzymuje ona masy w posłuszeństwie, a za wszystko, co złe, można winić Korila.

– Taki rodzaj straszydła. – Tak tu wygląda tolerowanie innych punktów widzenia, pomyślałem sobie.

– No właśnie. Jednak ten rzeczywisty Koril stanowi realne zagrożenie. Tak naprawdę

wolelibyśmy, gdyby pozostawał jedynie w sferze mitów. A on wykorzystywał naszą własną propagandę przeciwko nam samym, przyciągając niezadowolonych, wykorzystując kult diabła i całą tę resztę, tworząc na tej bazie skuteczny kult opozycji, w obydwu znaczeniach słowa „kult”. Nie będziemy prawdziwie bezpieczni i spokojni, dopóki Koril nie zostanie unicestwiony.

– Myślałem, że próbowaliście już tego i ponieśliście porażkę.

– Nie całkiem. Tak naprawdę nie chcieliśmy go zniszczyć sytuacji, kiedy był na to zupełnie nieprzygotowany. W końcu ani go nie nienawidziliśmy, ani nie pożąдалиśmy jego władzy; po prostu chcieliśmy go usunąć, ponieważ nie potrafiliśmy go przekonać. Gdybyśmy byli w stanie przewidzieć, jakiego sobie wroga szykujemy... ale to wiemy dopiero teraz. Możemy go zabić, jeżeli staniemy z nim twarzą w twarz. W tym celu musimy jednak wiedzieć, gdzie przebywa, gdzie jest jego kryjówka.

Wiedziałem, iż wszystko to do czegoś prowadzi, ale nie było dla mnie zupełnie jasne, dlaczego to właśnie ja jestem dokądś prowadzony.

– A co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Właśnie do tego zmierzam. Przede wszystkim wyznawcy jego demonicznego kultu stanowią dość liczną mniejszość i poza zbieraniem informacji są całkowicie bezużyteczni, ponieważ autentycznie wierzą w te brednie. W rezultacie tamtego nieudanego zamachu jego siły ludzkie zostały praktycznie zlikwidowane. Potrzebuje teraz nowych ludzi – rozsądnych, pozbawionych przesądów, a jednak posiadających jakieś resztki związków ze starymi wartościami Konfederacji. Ludzi, którzy mogliby być dowódcami jego demonicznych oddziałów, którzy przynieśliby ze sobą nowe pomysły i nowe podejście, którzy stanęliby po jego stronie w starciu z obcymi, nawet jeżeli sami nie darzą Konfederacji wielką miłością.

Zaczynałem pojmować, o co mu chodzi.

– Innymi słowy, potrzebuje nowo przybyłych więźniów, takich jak ja.

– Rozumujesz bardzo logicznie. Ostatnio niewielu nowych pojawia się na naszej planecie; dotyczy to zresztą wszystkich światów Wardena, ale my dostajemy najmniejszą ich liczbę. Natura naszej atmosfery utrudnia w najwyższym stopniu tajną łączność i wręcz uniemożliwia zdalną obserwację. Konfederacja ma swoich agentów na wszystkich planetach Wardena, ale tutaj są oni bezużyteczni, skoro informacje i meldunki nie mogą być przesyłane inaczej, jak tylko za pośrednictwem statków kosmicznych, a te podlegają przecież ścisłej obserwacji i kontroli. Jesteście pierwszą grupką, która tu wylądowała od czasu usunięcia Korila i tym samym stanowicie naturalny obiekt jego zainteresowania. Oczywiście, jest jeszcze jeden powód, prawdziwy powód, dla którego dostaliśmy tym razem w ogóle jakichkolwiek więźniów. Bo widzisz, Konfederacja wreszcie – co było nie do uniknięcia – dowiedziała się, że my wraz z naszymi sojusznikami – obcymi spiskujemy przeciwko niej. Na razie wie tylko tyle, a to jest zbyt mało, by na – tej podstawie podjąć sensowne działania... a poza tym, jak sądzę, jest już na takie działania za późno. Ludzie po tamtej stronie nie są głupi. Przysłali co najmniej jednego ze swych najlepszych skrytobójców na Romb Wardena; wiemy o tym.

– Co?! – poczułem nagły chłód. Czyżby opłótkami prowadzono mnie wprost na gilotynę? Czyżby tak szybko odkryto mą prawdziwą tożsamość?

Skinął głową.

– I choć mamy pewność tylko, co do jednego; rozsądnie jest założyć, że wysłano ich więcej.

– Ale po co? – spytałem, starając się zapanować nad nerwami. – Powiedziałeś przecież, iż przesłanie informacji na zewnątrz jest omal zupełnie niemożliwe. I że każdy, kogo tu przyślą, znajdzie się w podobnej pułapce jak wszyscy inni.

– Jesteśmy przekonani – my tutaj na Charonie, a – nie Czterej Władcy – że oni wyślą swoich najlepszych ludzi na każdy z czterech światów, by dokonali zamachu na życie tamtejszych Władców. Dokonanie tego, w ich mniemaniu, spowoduje pewne wstrząsy, w wyniku których nowy Lord będzie mniej pewny siebie i tym samym – mniej skłonny do zdrady. Przyznaję, że szanse sukcesu mają niewielkie, ale jest to bez wątpienia jedyne logiczne działanie, jakie mogą podjąć, by opóźnić sprawę i spróbować jako pierwsi odnaleźć swoich obcych wrogów.

Był tak blisko prawdy, iż odnosiłem wrażenie, że bawi się ze mną jak kot z myszką. Wewnątrz mnie jakiś głos krzyczał: „On wie! On wie!” Ta bardziej profesjonalna część mego umysłu powtarzała mi bez przerwy, że najlepszym sposobem postępowania w tej sytuacji jest po prostu spokój i zgoda na wszystko, przynajmniej na razie.

– I sądzisz, iż jedno z nas jest takim fanatykiem z Konfederacji? – spytałem.

– Ja to wiem – odparł. – Wiedziałem to już, gdy stanąłem twarzą w twarz z tym agentem.

Zamilkł na chwilę, a ja czekałem na nieunikniony moment zdemaskowania, jakim zakończy swoją grę.

– Agentem Konfederacji – oznajmił – jest Zala Embuay.

Rozdział piąty

INTRYGMA, UKŁAD I NAPÓJ MIŁOSNY

– Zala? To jakiś dowcip! – Z trudem maskowałem moje prawdziwe emocje: mieszanie zaskoczenia, ulgi i – ciągle obecnej podejrzliwości. – Chyba żartujesz. Bez pomocy nie przetrwałaby nawet dziesięciu minut poza terenem tego hotelu.

– O to między innymi mi chodzi – odparł Korman i nie wydawał się żartować. – Czy widziałeś kiedyś kogoś tak niewinnego, tak zagubionego, tak całkowicie uzależnionego od innych? To zupełnie nie w stylu Rombu Wardena. Nawet nie w stylu Konfederacji.

– Twierdzisz, iż to wszystko jest jedynie grą? Uda wianiem? Że, ją tutaj nasłano? – Miałem autentyczne kłopoty z potraktowaniem takiej możliwości całkiem poważnie.

– Choć to może wydawać ci się dziwne, moja odpowiedź brzmi: nie. Jestem pewien, że Zala jest dokładnie taką osobą, jaką widzimy. Płytką; słabą; raczej zarysem człowieka niż pełnym człowiekiem. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ona wierzy, iż jest tym, kim jest i nie ma najmniejszego pojęcia o swojej prawdziwej naturze... i o prawdziwym zadaniu.

– To niemożliwe – nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Kiedy ją zobaczyłem, natychmiast zdałem sobie sprawę z pewnej anomalii. Jak wiesz, „organizmy Wardena” znajdują się w każdej komórce, w każdej molekule naszego ciała. One wypełniają sobą całą naszą egzystencję. Przy odrobinie wyszkolenia i treningu można je nawet zobaczyć. Wyczuć. Usłyszeć. Jestem przekonany, iż pewnego dnia doświadczysz tego, co ja w tej chwili tak nieporadnie jedynie opisuję słowami. Jednakże te „organizmy Wardena” stają się równie wyspecjalizowane, jak i komórki, z którymi pozostają w ścisłym związku. Szczególnie dziwny w tym względzie jest mózg. Organizują się one w nim bowiem w sposób wyjątkowy, tak charakterystyczny, że można wręcz dostrzec diagramy poszczególnych części mózgu. Kiedy patrzę na kogoś – na przykład na ciebie – widzę dokładnie części mózgu, łącznie z połączeniami pomiędzy nimi i ze sposobem, w jaki na siebie oddziałują. Nietrudno jest wyznaczyć granice mózgu i kory mózgowej. U ciebie, u każdego... ale nie uzali.

– Hm? Dlaczego?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Jest to coś, co leży całkowicie poza moim doświadczeniem. I czymkolwiek doświadczeniem, jak przypuszczam. Organicznie rzecz biorąc, funkcje mózgowe u Zali zorganizowane są w całkowicie odmienny sposób. Zupełnie jak gdyby istniały tam dwa osobne przedmózgowia, dwa całkowicie różne centra operacyjne mające połączenia z mózdzkiem, substancją rdzenną, rdzeniem kręgowym i układem nerwowym, ale nie mające połączenia pomiędzy sobą. Jest to zdecydowanie organiczne rozwiązanie. Celowe. I z tego co wiem, bezprecedensowe.

– Chcesz mi powiedzieć, iż mamy do czynienia z dwoma mózgami i dwoma umysłami w jednym ciele? Trudno mi w to uwierzyć, chociaż słyszałem opowieści o podwójnych i wielorakich osobowościach.

– Nie! Nie chodzi o to stare znaczenie tego zjawiska. Wielorake osobowości, jakie znamy, dotyczą stanów psychicznych, które mają podłoże psychologiczne i dają się wyleczyć. Tutaj jednak nie chodzi o stan psychiczny. Mówię o dwu realnie istniejących umysłach, Lacoeh!

Nie mogłem pozbyć się przedziwnego uczucia, iż albo sobie wyśniłem tę całą nielogiczną i nieprawdopodobną rozmowę, albo nagle oszalałem. Przyszło mi raptem do głowy, że wszystko to tylko iluzja, sposób, za pomocą którego przeprowadzają ze mną jakiś wyrafinowany eksperyment psychologiczny. Miałem jednak jeszcze tyle zdrowego rozsądku, żeby uświadomić sobie, iż niezależnie od sytuacji moją jedyną szansą jest przyjęcie tych reguł gry, przynajmniej na razie.

– Mam nadzieję, że zrozumiesz – powiedziałem ostrożnie – iż zarówno sama idea, jak i sposób, w jaki ją potwierdzasz, wydają mi się raczej, hm, nieprawdopodobne.

– A jednak to prawda – skinął głową. – I na podstawie tego założenia należy działać. Nie możemy bowiem zignorować implikacji wynikających z istnienia podwójnego umysłu, dysponującego niewiadomą mocą i musimy dowiedzieć się o nim czegoś więcej. W ciągu kilku godzin jestem w stanie uzyskać zestaw kodów obronnych Konfederacji, a nawet listę pięćdziesięciu najlepszych skrytobójców z ich aktualnymi zadaniami. Nasze kanały informacyjne wewnątrz Konfederacji przekraczają nie tylko ich wyobrażenie, one niemal przekraczają moje własne. A przecież nie słyszeliśmy absolutnie nic o tego rodzaju projekcie, który musi już istnieć co najmniej dwadzieścia kilka lat. Agent doskonały. Można ją zahipnotyzować, zastosować obróbkę psychiczną, torturować poza granice wytrzymałości, a ona i tak nic nie będzie wiedziała i nic nie powie. Gdybyśmy dysponowali telepatią, taki test również by przeszła. Przez cały ten czas; ten drugi umysł, umysł skrytobójcy, znajdowałby się na miejscu, poza naszym zasięgiem i zbierałby dane czekając na właściwy moment, by przejąć kontrolę. Jest on na pewno umysłem szczególnym, skoncentrowanym jedynie na swoim zadaniu. Zimnym, analitycznym, genialnym, nastawionym na jeden i tylko jeden cel.

Zastanowiłem się nad tym. Gdyby to była prawda, to nie tylko mógłbym doskonale zrozumieć jego problem, ale mógłbym równie dobrze zwątpić w samego siebie. Krega nigdy mi nie powiedział, że będę jedynym agentem; Zala mogła być częścią jakiegoś innego planu. Mówiąc sobie w duchu, iż muszę być chyba szalony, by zacząć w to wszystko wierzyć, naciskałem jednak dalej.

Zlikwidujcie ją więc i będzie po wszystkim powiedziałem obojętnym tonem.

– Och, nie! Wówczas już nigdy nie zobaczylibyśmy tego drugiego umysłu, nie poznali jego

możliwości... i nigdy nie udałooby nam się schwytać następnego, czy następnego tuzina nawet, czy całej setki wreszcie, jej podobnych. Że nie wspomnę zagrożenia, jakie by stanowili na terenie samej Konfederacji, kiedy dojdzie do ostatecznej rozgrywki i do naszego tam powrotu. Musimy wiedzieć znacznie więcej. Naturalnie, chcielibyśmy również wiedzieć, jak wiele oni rzeczywiście wiedzą o nas na tym etapie.

– Przed chwilą powiedziałeś, że ich tajemnice są dla was otwartą księgą.

– Niektóre. – Popatrzył na mnie gniewnym wzrokiem. – A poza tym my – a ściśle j, Czterej Władcy są celem specjalnym pewnej specjalnej grupy. Plany dotyczące tej sprawy są tak tajne, że nawet tym, którzy je przygotowali, wyprano mózgi z wszelkiej informacji na ten temat – westchnął. – A to prowadzi nas z powrotem do tego, co nazwaliśmy „Operacja Mroczne Poszukiwania”, i do twojej osoby.

Skinąłem głową, zacząłem wreszcie pojmować, w jaki sposób to wszystko się wiąże ze sobą. Nie mogłem jednak odmówić sobie maleńkiego komentarza:

– Wydaje mi się, że jak na człowieka z boską mocą sprawiasz bardzo ludzkie wrażenie.

I znów to gniewne spojrzenie, które jednak po chwili złagodniało, a w oczach zabłyśły iskierki humoru.

– Masz naturalnie rację. Jest to pewnego rodzaju upokarzające przeżycie, ale umysł jest zawsze najlepszą bronią, niezależnie od tego, jaką mocą się dysponuje.

– Gzy mógłbym poznać jakieś bliższe szczegóły? – nalegałem.

– No dobrze, już dobrze. Zamierzamy przydzielić Załę tobie i wysłać was oboje do małej, lecz wyróżniającej się, placówki w wiosce na południu, gdzie kult Korila jest bardzo silny. Jesteśmy przekonani, że Koril nawiąże tam z tobą kontakt, oczywiście przez pośredników, żeby wysondować jakie są twoje poglądy. Teraz, kiedy już znasz – sytuację, dobrze byłoby, abyś przyjął jego punkt widzenia i podsycał jego uprzedzenia. Wraz z Załą zaakceptujecie układ, jaki wam zaoferuje i przyłączycie się do niego, i dzięki temu dostaniecie się do jego fortecy.

– Jesteś pewien, że się z nami skontaktuje? Jako nowi na tamtym terenie będziemy przecież automatycznie podejrzani.

– Skontaktuje się, na pewno. Może nie od razu, ale się pojawi. Wcześniej czy później nawiąże kontakt z każdym członkiem waszej grupy, tyle że nie wszyscy zgodzą się na współpracę.

– Rozumiem. I oczekujesz ode mnie, że zlokalizuję dla ciebie tę jego fortecę.

– Tak – skinął głową. – I poznasz jego plany na przyszłość.

– Przypuszczam, że masz jakieś urządzenia, które mi w tym wszystkim pomogą?

Pokręcił przecząco głową.

– Muszę stwierdzić ze smutkiem, że nie. Większość urzędzeń tutaj nie działa, a te, których mógłbym ci dostarczyć używając swej mocy, natychmiast zostałyby wykryte przez Korila. Taki jest dobry. Nie, sądzę, iż będziemy zmuszeni poczekać, aż sam cię wyśle z twoim pierwszym zadaniem czy misją, czy jak to oni tam nazywają. Powiedzmy, że to będzie sprawdzian twojej zaradności i pomysłowości.

– A skąd mam mieć pewność, iż moja informacja dotrze do ciebie, a ja nie stracę przy tym życia albo z rąk twoich ludzi, albo z rąk ludzi Korila? – rozważałem jego słowa.

– Twoim zmartwieniem jest Koril. A jeśli chodzi o nas, hasłem będą „Mroczne Poszukiwania”. Wioskowi czarce i ci nad nami będą znać ten termin, choć nie jego znaczenie. Hasło to zapewni ci bezpieczeństwo z naszej strony, a także pozwoli, by informacja o twym schwytaniu, czy innym nieszczęściu, dotarła do Synodu.

– Wydaje mi się, że Koril pozna brzmienie tego hasła... jeśli jest tak dobry, jak twierdzicie.

– Pozna, ale nic mu to nie da. – Korman skinął głową. – Nie będzie znał jego znaczenia, a ktokolwiek z jego ludzi, z wyjątkiem ciebie, wpadnie w pułapkę, jeśli go użyje.

To mnie satysfakcjonowało.

– A jak dobry jest Koril w sensie psychicznym? Czy zostanę poddany jakiemuś testowi, podczas którego mógłbym zdradzić nasze plany?

– On sam jest wystarczająco potężny, by zrobić z twego mózgu miazgę i dlatego właśnie ta nasza sesja tutaj trwa tak długo. Przez cały ten czas tworzę w twoim umyśle blokady, selektywne pułapki i zapory, które włączyłyby się automatycznie, gdyby czegoś takiego spróbował. A jeśli nawet spróbuje przekabacić twój umysł, to albo mu się nie uda, albo się uda, ale na bardzo krótko.

– Jednak zachodzi duże prawdopodobieństwo, że wyczuje istnienie takich blokad – zauważyłem.

– W większości przypadków to prawda – przyznał Korman. – Jednak ty... ty masz za sobą trzy lata intensywnej obróbki psychicznej. – W twoim umyśle widzę wiele, bardzo wiele bloków i zmian. Te, które dodam, pozostaną nie zauważone i chociażby to tylko powoduje, iż posiadasz wyjątkowe kwalifikacje... rozumiesz?

Rozumiałem doskonale. Naturalnie, te blokady psychiczne, które widział Korman, nie były rezultatem kuracji, jakiej poddano Lacocho, ale rezultatem mojego wychowania, szkolenia i zabiegów dokonanych przez ludzi Kregi; jednak wiele mi to wyjaśniało. Jeśli Korman mógł wyczuć te blokady, ale nie był w stanie ich usunąć, to nie tylko potwierdzało to moją obecną tożsamość, ale i chroniło przed manipulacjami z moim umysłem z jego strony. Nie zapomniałem tego hipnotyzującego spojrzenia sprzed kilku minut.

– W porządku, to wszystko rozumiem – powiedziałem. – Ale co z Zalą?

– Koniecznie zabierz ją ze sobą! – nalegał Korman. – Wyciągnij z niej wszystko, co się da, szczególnie informacje na temat jej alter ego, które na pewno uda ci się dostrzec. A jeśli nadarzy ci

się sposobność i kiedy będziesz mógł skorzystać z „Mrocznego Poszukiwania”, postaraj się, by była wówczas przy tobie.

– Dajesz mi niezłą robótkę – zachichotałem. Przecież ja byłem tylko administratorem, na miłość boską! A teraz nagle oczekujesz ode mnie, bym był superszpiegiem, tajnym agentem i czym tam jeszcze, rzucającym wyzwanie największej potędze planety i skrytobójcy Konfederacji.

– Nie musisz się zgodzić – powiedział spokojnie. Przyznaję, że twoje kwalifikacje ogólne nie są imponujące, choć doskonałe maskowanie psychiczne plus interesujący i bystry umysł równoważą w jakimś stopniu brak doświadczenia. Czyżbyś tak dobrze pamiętał samego siebie sprzed lat?

– O tak, pamiętam go dobrze – wzdrygnąłem się teatralnie, tak jak wymagała tego sytuacja.

– Byłeś mistrzem charakteryzacji i maskowania, ponad pięć lat wodziłeś policję za nos. Nie jesteś aż takim amatorem, jak sądzisz.

– Mimo wszystko, każde moje posunięcie musi być właściwe... – zastanawiałem się przez moment – nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Jedno potknięcie i koniec ze mną. Prawdopodobieństwo mojego przeżycia jest bardzo niewielkie.

– No cóż, to prawda – przyznał lekkim tonem – ale zważ, jakie masz inne możliwości. Po pierwsze, możesz kategorycznie odmówić. Znajdę wówczas innego kandydata, dołączę do niego, czy do niej Zale i wymażę całą tę rozmowę z twojej pamięci. Ciebie wyślemy na północ, gdzie spędzisz resztę życia, pracując na polach przy zbiorach. Byłoby to bezpieczne rozwiązanie. Albo możesz się zgodzić... i zginąć. Możesz też się zgodzić, wypełnić misję i stać się nagle człowiekiem wysokiej rangi i mocy, prawą ręką Aeolii Matuze i Synodu, uczestnikiem nadchodzącej rewolucji i beneficjentem jej owoców.

Patrzyłem na niego podejrzliwie.

– Mógłbym też się zgodzić, nawiązać kontakt z Korilem i przejść na jego stronę.

– Mógłbyś – przyznał – tylko po co? Jeśli wygrasz, na zawsze zostaniesz ważną osobistością na izolowanym i prymitywnym świecie. Co jednak bardziej prawdopodobne, przegrasz, i będziesz starzeć się w pełnej frustracji, podczas gdy my pójdziemy naprzód... albo zginiesz w czasie jakiegoś niemądrego ataku na Synod. Jeśli nie dostrzegasz tego, że Koril niewiele ma ci do zaoferowania, co warte byłoby jakiegokolwiek ryzyka, to dla mnie też nie przedstawiasz sobą wielkiej wartości.

– W porządku – skinąłem głową. – Jestem wasz. W sumie i tak nie pozostawiasz mi wielkiego wyboru, a to, co proponujesz przynajmniej nie będzie nudne. Poza tym, sam jestem dość ciekawy tego wszystkiego.

– Wiedziałem, że jesteś rozsądny. – Korman uśmiechnął się. – Pamiętaj jednak: nie wolno ci nie doceniać Korila i w żadnym wypadku nie próbuj rzucać mu wyzwania; nawet nie kontaktuj się z nami, kiedy on jest w pobliżu. Nikt w pojedynkę – nie jest aż tak dobry. Potrzebny by był cały Synod, żeby go przygwoździć. Wierz mi.

– Zamierzam przeżyć – zapewniłem go.

– Lacocho – roześmiał się nieprzyjemnie – jeśli to spartaczysz, śmierć będzie najlepszym rozwiązaniem; jakie cię czeka. A teraz, opuść barierę i dokończ zadawanie tych rutynowych pytań, Nikt z tu obecnych, nawet moi współpracownicy, nie będą wiedzieli; że ta konwersacja w ogóle się odbyła. Dostaniesz przydział jeszcze dzisiaj i jutro wczesnym rankiem będziesz już w drodze. Podróż jest długa, ale interesująca. Kiedy już będziesz w Bourget, w mieście do którego cię wysyłamy, znajdzie z się pod opiekuńczymi skrzydłami Tally Kokula, miejscowego – czarca. To dobry człowiek i zajmie się tobą właściwie, ale o naszych sprawach nie będzie miał pojęcia. Nie zmieniaj tego.. i uważaj na niego i jego czelców. Nie jesteśmy ich całkiem pewni, a każdy z nich posiada większą moc, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. – Będę pamiętał – zapewniłem go.

Ogarnęło mnie nagłe uczucie dezorientacji, trwające zaledwie ułamek sekundy. Nie odwróciłem się, ale usłyszałem za sobą głosy i szepty pozostałych więźniów.

– Sądzę, że znajdzie się jakieś stanowisko w administracji dla kogoś takiego, jak ty – powiedział Korman oficjalnym tonem. – Możesz już wrócić do grupy:

Wstałem z krzesła i podszedłem do pozostałych szukając na ich twarzach jakiegoś znaku świadczącego o tym, iż są świadomi, że rozmowa trwała tak długo, ale niczego nie zauważyłem. Niemniej, dostrzegłem kilka krzywych uśmiezków i przypomniałem sobie, że przecież Korman miał podobną prywatną rozmowę z większością z nich. Zastanawiałem się, czy proponowano im to samo, co mnie. Miałem w tym względnie niejaki wątpliwości... chyba że któreś z nich również dysponowało jakimiś wyjątkowymi kwalifikacjami. To mało prawdopodobne, aby czarownik postawił wszystko na jedną kartę.

Musiałem teraz popatrzeć na Zalę innym wzrokiem, uwzględniającym te nowe informacje; a jednak, to co usłyszałem, ciągle wydawało mi się niemożliwością. Chociaż... Równie mało prawdopodobne było przecież, by Konfederacja postawiła wszystko na jedną kartę. Gdyby to, co podejrzewał Korman, okazało się prawdą, znalazłbym się niewątpliwie w interesującej sytuacji. Ja też chciałem poznać tę drugą Zalę... Jeśli rzeczywiście istniała.

Zjedliśmy jeszcze jeden posiłek, po czym odpoczywaliśmy przy różnych prostych grach i czekaliśmy na powrót naszych przewodników. Zaczynałem kilkakrotnie rozmowy, ale albo robiłem to zbyt subtelnie, albo nikt nie chciał dyskutować na temat swoich ostatnich doświadczeń. W końcu wyłądownałem w zacisznym kącie z Zalą.

– Jak sądzisz, co się teraz z nami stanie? – spytała.

– Chyba dadzą nam jakieś zajęcie – wzruszyłem ramionami.

– Wiedzieli, że nie byłam administratorką – powiedziała nerwowo. – Przypuszczam, że mają nasze oficjalne kartoteki. Powiedział, że nie ma wielkiego zapotrzebowania na ludzi z moimi umiejętnościami.

– Nie martw się. Coś wymyślą.

– Ciekawe, czy nas rozdziela? – ciągnęła, grając na swoich drobnych łękach. – Nie chciałabym być oddzielona. Nie od ciebie.

– Zobaczymy – odpowiedziałem, mimo że znałem już decyzję.

Korman wrócił po kilku godzinach, tym razem z notatnikiem w ręku. Ponownie zasiadł za stołem, przerzucił kilka kartek i popatrzył na nas. Staliśmy w wyczekującej postawie, gotowi na jego słowa. Zala robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej i ścisnęła moją dłoń tak mocno, że wyłączyła ją niemal z obiegu krwi; niektórzy z pozostałych również wyglądali na nieco zaniepokojonych, inni byli całkowicie spokojni. Fakt ten wydawał mi się wielce interesujący.

Korman wywoływał nasze nazwiska, ale nie w tej samej kolejności jak poprzednio, i podawał nazwy miast i zajęcia, do jakich poszczególne osoby zostały wyznaczone. Gdzieś w połowie listy wywołał Zalę i mnie, co spowodowało, że moja ścierpnięta dłoń otrzymała dodatkową porcję nacisku.

– Parku Lacoeh, byłeś administratorem, dzięki czemu posiadasz całkiem niezłe i przydatne dla nas doświadczenie, chociaż tutaj będziesz się musiał obejść bez tych swoich wyrafinowanych komputerów i wielkiego personelu pomocniczego. To zaś wymaga pewnych nowych przyzwyczajęń i dlatego zaczniesz na niewielką skalę. Miasto Bourget leżące na południowo – wschodnim wybrzeżu właśnie straciło Miejskiego Księgowego. Jest trochę za duże jak na nowicjusza, ale skoro jest już to wolne stanowisko, a ty jesteś pod ręką, wyznaczylimy tam ciebie. Będziesz zajmował się czterema gałęziami przemysłu, obejmującymi dwadzieścia jeden Firm. Tamtejszy personel wprowadzi cię w problemy... polegaj na ich zdaniu, nim się zorientujesz w szczegółach.

– A czy nie spotkam się z zawiścią spowodowaną tym, że sprzątnąłem pracę sprzed nosa ludziom o dłuższym stażu?

– Jeżeli nawet, to z minimalną. To są ludzie miejscowi, sami tubylcy, i są całkiem zadowoleni ze swojej sytuacji. Robią, co im się każe. Jeśli będziesz się do nich odnosił przyzwoicie i cenił ich doświadczenie, zaakceptują cię.

– Wygląda mi to na sprawiedliwy układ – powiedziałem całkiem szczerze.

– Jeśli zaś chodzi o ciebie, Zalo Embuay – ciągnął Korman – to stanowisz dla nas pewien problem. Twoja znajomość czytania, pisanie i liczenia jest na dość niskim poziomie. Stanowiskiem odpowiadającym twoim szczególnym kwalifikacjom mogłaby być praca barmanki albo pokojowej. Twoje umiejętności związane z rozrywką i jej planowaniem są znaczne, ale wymagają współpracy i pomocy innych. Bez standardowych urządzeń komputerowych są one tutaj zupełnie bezużyteczne. Prawdę mówiąc, im bardziej szczegółowo rozpatrywaliśmy ten problem, tym bardziej skłonni byliśmy sądzić, że nawet w barze, czy w usługach hotelowych, znalazłabyś się poza swoim żywiołem. Musiałabyś bowiem nauczyć się takich umiejętności, które tutaj uważane są za oczywiste.

Czułem jak Zala drży słuchając tych słów, tym bardziej że były one prawdziwe. Jako wytwór społeczeństwa, w którym roboty wykonują wszystkie podstawowe prace, a wszystko, od świateł począwszy a na muzyce skończywszy, kontrolowane jest przez komputery, nie miała ona żadnych

umiejętności, które mogłaby tu zaoferować.

– Dlatego też, najbardziej logicznym zajęciem dla ciebie byłaby praca robotnika rolnego. Uważamy jednak, iż takie radykalne przejście do pracy fizycznej, bez żadnych etapów pośrednich, nie byłoby dla ciebie najlepsze; twój status osoby z Zewnątrz mógłby spowodować konflikty ze współpracownikami. – Zala patrzyła na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem, ale ja wiedziałem, co miał na myśli. Robotnicy są najszczęśliwsi wtedy, kiedy nie wiedzą, co tracą. Wspomnienia i opowiadania Zali o wspaniałościach Konfederacji – podczas gdy oni żyją bez żadnej nadziei na zmianę swych nędznych i prymitywnych warunków – mogłyby wywołać niezadowolenie i lokalne rozruchy, by już nie wspomnieć o potencjalnych nawróceniach na kult Korila.

– Co tedy mamy z tobą uczynić, Zalo Embuay? – Nie... nie wiem – jęknęła z taką żalnością, że wszyscy byliśmy poruszeni jej oczywistym nieszczęściem i kompletnym brakiem wiary w siebie.

– Obawiam się, że najlepszym rozwiązaniem, jakie udało nam się wymyślić, jest pewna staroświecka instytucja, dobrze znana tam, skąd pochodzicie – ciągnął.

Korman obojętnym głosem. – Jeśli tylko Lacocho wyrazi zgodę, proponuję, byś została jego żonokochanką.

Usłyszałem jak Zala wciąga głośno powietrze, a ja sam z lekka podskoczyłem.

– Żonokochanką? – powtórzyłem pytająco. Skinął głową.

– Czuję się nieco zażenowany poruszając ten temat. Jest to bowiem rodzaj niewolnictwa. Pozostawałabyś w absolutnej zależności od Lacocho. Mieszkałabyś z nim i on by decydował o twoich podstawowych potrzebach, takich jak mieszkanie i wyżywienie. W zamian nauczyłabyś się i wyćwiczyła podstawowe umiejętności – gotowanie, sprzątanie, drobne naprawy. Miejscowi pokażą ci, o co chodzi. Poza tym, będziesz sprzątała jego biuro i służyła mu za posłańca i robiła to wszystko, czego sobie zażyczy. W razie potrzeby, możesz zostać również wezwana przez którąkolwiek z Firm do jakichś dodatkowych prac przy żniwach czy usługach.

– To przypomina obowiązki robota domowego wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

– Mniej więcej – przyznał Korman. – Tyle, że tutaj nie ma robotów. Poza tym, nie licząc uczynienia cię obiektem eksperymentów, niewiele więcej możemy dla ciebie zrobić.

– Eksper... – aż podskoczyła słysząc te słowa. To znaczy, jak jakieś zwierzę?

Skinął z powagą głową i zwrócił się do mnie.

– Zgodziłbyś się na taki układ?

Byłem w niej jakimś kłopotcie. Dla każdego, prócz Zali, musiało to brzmieć okropnie, niehumanitarnie, w najwyższym stopniu poniżające... ale czy ona miała jakiś wybór?

– Jeśli ona jest chętna, ja się zgadzam – odparłem.

– Słucham? – skierował wzrok ponownie na nią.

– Chciała... chciałabym pojechać z Parkiem, ale nie wiem, czy potrafię...

Korman uśmiechnął się, wykonał magiczny gest i wyczarował fiolkę z czerwonym płynem. Wręczył ją dziewczynie.

– Najstarszy dar czarowników w historii magii oznajmił. – Jeśli się zdecydujesz, pójdziecie oboje do waszego pokoiku na górze i kiedy już będziecie sami, Embuay, wypij to. Smak ma przyjemny i nie wyrządzi ci najmniejszej krzywdy, a uczyni wszystko o wiele łatwiejszym.

Wzięła fiolkę i przyglądała się jej z zaciekawieniem.

– Co... co to jest?

– Napój – odparł. – Jak powiedziałem, najstarsza ze znanych mikstur. Starożytni nazwaliby ją napojem miłosnym. Wypij go, kiedy na pewno będziecie sami; może tuż przed udaniem się na spoczynek.

I nagle znów opadła ściana ciszy i izolacji, ponownie znalazłem się sam na sam z Kormanem.

– Czy to jest rzeczywiście napój miłosny? – spytałem.

– Ani dla ciebie, ani dla mnie – zachichotał. Smakuje trochę jak lukrecja. Ja jednak przygotowałem odpowiednio jej umysł i napój ten będzie w jej przypadku skuteczny, ponieważ ona w niego wierzy, a to wyzwoli powstanie odpowiedników układów „organizmów Wardena” w jej mózgu.

– Którym? – nie mogłem się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Faktycznie, to powinno być bardzo interesujące odpowiedział, nie zważając w ogóle na sarkazm zawarty w pytaniu. – Ośrodki emocji i ośrodki reakcji hormonalnych mieszczą się w zwierzęcej części mózgu, a nie w ludzkiej. Teoretycznie powinno to odnieść skutek w każdym przypadku... Mam nadzieję. Nie licz jednak na to. Jeśli ten drugi mózg jest tak dobry, jak sądzę, potrafi on kontrolować i zdusić praktycznie każdą reakcję emocjonalną. – Zamilkł na moment.

– Dopilnuj, żeby to wypiała. I.. no cóż, powodzenia.

– Na pewno przyda mi się troszkę szczęścia – odparłem z przekonaniem. Niemniej, jeśli wziąć wszystko pod uwagę, sprawy poszły o wiele lepiej, niż mogłem to sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach. Gdyby przyjąć, że wszystko znaczyło to, co znaczyło, to niewątpliwie podejrzewano kogoś innego, że jest, no cóż, mną; a mnie wyznaczono jedynie, bym miał na tego kogoś oko. Praktycznie siłą wpakowano mnie do obozu moich potencjalnych i naturalnych sojuszników, do obozu Korila, i dano mi możliwość wyboru: albo przyłączyć się do superpotężnego ruchu oporu, oddanego zresztą mej własnej sprawie, albo zdradzić ten ruch, co pozwoliłoby mi na odpowiednie entre na dwór Aeolii Matuzeod raz w charakterze człowieka zaufanego. Do diabła, w żadnym wypadku nie mogłem przegrać!

Zala natomiast stanowiła ciągle wielką niewiadomą. Im bardziej ją analizowałem, tym bardziej zaczynałem dochodzić do wniosku, że nie może być ona tą osobą, za którą się podaje. Tak słabe ego było bowiem nie do pomyślenia w światach cywilizowanych.

Jakiś czas później siedzieliśmy w naszym pokoju i rozmawialiśmy. Wspomnienie przeprowadzonej tam na dole tak otwarcie i na zimno analizy jej niskiego mniemania o sobie – nawet jeśli było ono rzeczą oczywistą – pozostawiło we mnie nieprzyjemny osad.

– Chcę z tobą pojechać – przyznała szczerze jednak ludzie traktowani jak własność... to istne barbarzyństwo! – wyjęła fiolkę i przyglądała jej się podejrzliwie.

– Nie musisz tego brać – zapewniałem. Wystarczy, że ze mną pojedziesz.

– Nie – pokręciła głową, nie odrywając oczu od fiolki. – Wiem, co by się wówczas wydarzyło. Zbuntowałabym się albo oszalała i byłabym jeszcze gorsza, niż jestem teraz. Być może... być może, tak będzie dla mnie najlepiej.

– Ta mikstura może w ogóle nie zadziałać – zauważyłem. – Sam pomysł jest całkiem niedorzeczny. Napój miłosny! Odnoszę wrażenie, że z tym jest tak, jak ze wszystkimi innymi na tym wariackim świecie: napój miłosny jest nim tylko wtedy, kiedy go za takowy uważasz.

– A swoją drogą ciekawe, co miał na myśli nazywając to napojem miłosnym? – zastanawiała się. Czy miał na myśli kochanie się?

– Nie, nie sędzę. Chodzi tu o pewną starożytną i romantyczną ideę. Mam wątpliwości, czy jakakolwiek buteleczka jest w stanie ją ożywić.

Wyjęła korek i powąchała zawartość.

– Pachnie jak cukierek.

– Posłuchaj – westchnąłem i ułożyłem się wygodnie na łóżku. – Daj temu na razie spokój i chodźmy spać. Możesz to zabrać ze sobą, jeśli zechcesz. Teraz jednak musimy się trochę przespać... Czeka nas jutro długi i męczący dzień.

– Przy... przypuszczam, że masz rację. Ale, do diabła, Park, ja się boję! Boję się samej siebie, boję się tego miasta, boję się... życia. – To ostatnie słowo wypowiedziała powoli, ze zdumieniem, jak gdyby właśnie akceptowała tę prawdę. Patrzyłem na nią z zaciekawieniem, kiedy nagle wyciągnęła korek, uniosła buteleczkę do ust... i zastygła. To dziwny widok; jak gdyby podjęła decyzję, zaczęła pić i skamieniała w połowie tej czynności.. Chociaż... jakiś ruch jednak występował. Jej dłoń – i tylko jej dłoń, i ramię podtrzymujące fiolkę – drgnęły, uniosły się nieco w górę, opadły po chwili, opadły jeszcze niżej, jak gdyby zmagająca się sama ze sobą, na skutek otrzymywania zupełnie sprzecznych rozkazów z mózgu.

Patrzyłem zafascynowany. Dwa umysły, powiedział Korman. Dwa umysły i jeden centralny układ nerwowy. Nagle zmagania urwały się i bez jednego słowa, jej ciało odprężyło się, a twarz stała się pusta, bez żadnego wyrazu. Wstała, podeszła do umywalki i wylała do niej zawartość fiolki.

Potem, położywszy fiolkę na komódce, odwróciła się, powróciła do łóżka i położyła się.

– Zala? Wszystko w porządku? – spytałem delikatnie, a kiedy nie doczekałem się reakcji, wstałem i podszedłem do niej. Spała, oddychając regularnie i rytmicznie.

Stałem tak przez dłuższą chwilę i patrzyłem. W końcu powiedziałem na głos: – A niech mnie jasny piorun! – Zgasiłem światło i wsunąłem się do łóżka. Nie mogłem zasnąć.; Znow zaczęło padać; tym razem jednak regularny dźwięk kropli uderzających o dach zupełnie mi nie przeszkadzał.

Czegóż, do diabła, byłem tutaj świadkiem?

Rozdział szósty

PODRÓŻ DO BOURGET

Rankiem następnego dnia Zala nie pamiętała kompletnie nic ze swoich nocnych zmagañ, których byłem jedynym świadkiem. Wydawała się na tyle autentycznie zaskoczona widokiem oleistej plamy na umywalce, że oskarżała mnie o wylanie wiadomej mikstury.

– To ty zrobiłaś... widziałem cię – zapewniałem. Zresztą, tak będzie najlepiej.

– Ja? – przyglądała mi się z niedowierzaniem. – Nie żartujesz sobie?

– Nie, nie żartuję. Daję słowo.

Potrząsnęła głową, jak gdyby tym sposobem usiłowała sobie wszystko przypomnieć. W końcu westchnęła i wzruszyła ramionami.

– No cóż, bierzmy się do roboty.

– Przynajmniej pakowanie nie jest problemem zauważyłem. – Mam nadzieję, że w Bourget mają trochę więcej odzieży.

Zeszliśmy na śniadanie, obfite jak zawsze, jednak Garal, nasz opiekun na ten ostatni ranek, ostrzegł kilka osób, wśród nich Zalę i mnie, byśmy jedli raczej niewiele.

– Przed wami długa droga, a podróżowanie tutaj nie przebiega nazbyt gładko.

Oboje skorzystaliśmy z jego rady. Co prawda i tak nigdy nie jadałem wiele na śniadanie, ale tym razem wypilem tylko kilka filiżanek kawy i zjadłem słodką bułeczkę.

Kiedy skończyliśmy, Garal stanął u szczytu stołu. Będziecie podróżować indywidualnie lub w małych grupkach, zależnie od dostępności środków transportu – obwieścił. – Przestało padać, a to oznacza, że niektórzy z was będą podróżować drogą powietrzną, co bardzo przyspieszy podróż. Łądem dotarcie do niektórych wiosek trwałoby całe dni.

– Drogą powietrzną? – nie mogłem powstrzymać się od wyrażenia zdumienia, które

niewątpliwie odczuwali również wszyscy pozostali. – Sądziłem, iż jest tu bardzo niewiele maszyn i urządzeń.

No cóż, przy dłuższych podróżach międzykontynentalnych korzystamy z wahadłowca, ale posiadamy też inne środki transportu – odpowiedział dość enigmatycznie Garal. – Poczekajcie nieco, a sami się przekonacie.

Zerknął do swego notatnika.

– Nie zabierajcie niczego poza ubraniami, które macie na sobie. Wszystko, co wam będzie potrzebne, otrzymacie na miejscu. – Rozejrzał się wokół i uśmiechnął złośliwie. – Do tej pory wszystko było łatwe i sympatyczne. Teraz jednak udajecie się w szeroki świat i zapewniam was, że będzie to dla was wstrząs. Radzę wam, byście zachowywali się przyzwoicie, słuchali rad miejscowych i byli bardzo ostrożni dopóty; dopóki nie zorientujecie się w terenie. Brzmi to może jak taka zwykła sobie rada, jednak tutaj ma ona podwójną wagę. Pamiętajcie, że ten szczupły chłopaczek, którego potrąćcie może okazać się łatwo irytującym się czelem, który potrafi wyrwać wam wnętrzności, a w najlepszym wypadku – rzucić na was jakiś czar. I nie gapcie się na odmieńców! Nie zapominajcie iż każdy, kto – wygląda dziwnie lub odmiennie, stał się takim z jakiegoś powodu i że to samo może się przytrafić i wam.

Ta ostatnia jego uwaga niewiele nam wtedy mówiła. Wraz – z upływem poranka pojawiali się urzędowo wyglądający mężczyźni i kobiety, wywoływali nazwisko, czasami dwa, i wychodzili ze swoimi podopiecznymi. Nie byliśmy ostatnimi na liście, ale ponieważ znaleźliśmy się w dalszej kolejności, miałem okazję pożałować, że tak mało zjadłem na śniadanie.

Na początku podróżowaliśmy małym zakrytym wózkiem ciągniętym przez jednego zębatego uhara. Wózek nie był tak wygodny jak pojazd, którym uprzednio jechaliśmy – same deski i prymitywna tapicerka i dlatego boleśnie odczuwaliśmy wszelkie nierówności kiepskiej nawierzchni drogi. Do wózków ciągniętych przez uhary należało się po prostu przyzwyczaić; krok jaszczura rzucał bowiem podróżującym raz w jedną, raz w drugą stronę, podczas gdy ruch do przodu wydawał się odbywać ciągłymi krótkimi szarpnięciami.

Miasto opuściliśmy dość szybko i skręciliśmy w boczną drogę prowadzącą na północ. Niewiele rozmawialiśmy, bo i nie bardzo było o czym, wyjąwszy tematy związane z tym, co nas czeka i wynikające z naszego niepokoju o przyszłość. Ja przynajmniej posiadałem cały zapas pewności siebie i wiedziałem, w jakim kierunku podąża przyszłość Zali, z jej słabiutkim ego, było o wiele ciężej. Pomyślałem sobie, że chyba nigdy w przeszłości dwoje tak bardzo różnych ludzi nie wyruszyło wspólnie w taką epicką podróż.

Właśnie wyjeżdżaliśmy z lasu deszczowego na rozległą polanę, kiedy Zala wyjrzała przez okienko i wydała cichy krzyk zdumienia. Zmarszczywszy brwi, przechyliłem się do okna, by zobaczyć to, co ona widziała... i sam nie mogłem powstrzymać się od podobnego okrzyku.

Ujrzałem bowiem wielkie, lśniące, czarne jak węgiel cielsko z łbem w kształcie ogromnego czarnego trójkąta i z ogromną rogatą kościaną płytą, biegnącą od szczytu tej niesamowitej głowy do połowy długości tułowia. Sam łeb wydawał się składać z ogromnego dzioba i z pary wielkich,

okrągłych, pozbawionych powiek oczu. Jednak najbardziej uderzającymi u tego stworzenia były jego lekko złożone skrzydła, długością dorównujące całemu ciału. Połączone zaś były w jakiś dziwny sposób z czymś, co wyglądało na uprzęż. Stwór zajadał hałaśliwie coś wielkiego i krwawego, łykając bez trudu ogromne kęsy. Kiedy nasz wózek zatrzymał się i dwoje ludzi podbiegło, by otworzyć drzwi pojazdu, usłyszałem potężne czknięcie.

Wyskoczyliśmy na zewnątrz i staliśmy jak skamieniali. Młoda kobieta ubrana w obcisłe, skórzane ubranie i długie buty podeszła do nas, stanęła obok, po czym również spojrzała na bestię.

– Czyż nie jest wspaniała? – odezwała się z entuzjazmem w głosie.

– Można i tak powiedzieć – odparłem. – Cóż to, do diabła, za stwór?

– Mają one swoją długą naukową nazwę, tu na Charonie nazywamy je zazwyczaj szybownikami. Rzadko spotyka się je na ziemi, bowiem wystartowanie sprawia im dużą trudność. Żyją ponad chmurami, szybując w powietrzu, przy czym zużywają zaskakująco niewiele energii.

– Czy ta bestia znajduje się tu na dole dla powodów, których się domyślam? – spytała nerwowo Zala.

– O, tak – kobieta roześmiała się. – Wykorzystujemy szybowników jako środek transportu. Są wielce przydatne, choć tylko gdzieś tam jest odpowiednia ilość miejsca i odpowiednie wiatry pozwalające im wznieść się w powietrze. Są przyjazne i inteligentne, o ile wychowuje się je od pisklęcia.

– Nie wątpię – burknąłem. – A stąd uda mu się wystartować?

– Na pewno. Silla jest już weteranką w tych sprawach. Niemniej nie nadają się one do transportu masowego i dlatego używane są praktycznie tylko przez tych, którzy stoją najwyżej w hierarchii społecznej. Czekaj więc was wyjątkowa okazja. Większość ludzi nigdy nie znajdzie się na grzbiecie tego stworzenia, nie mówiąc już o tym, że pikujące w dół szybowniki budzą u tejże większości paniczny lęk.

– Myśl o takiej przejażdżce również i we mnie nie wywołuje entuzjazmu – powiedziałem niepewnie, nie żałując już dłużej, że zjadłem tak lekkie śniadanie.

– I co teraz... wdrapujemy się na jej grzbiet? – pytała Zala.

– Och, nie kobieta ponownie się roześmiała. – Popatrzcie. Załoga zakłada właśnie kabinę pasażerską. Przypina się ją mocno pasami pomiędzy tymi dwoma kościanymi płytami, tuż przed skrzydłami.

Ujrzelśmy solidnie wyglądającą, małą kabinę, wciąganą właśnie na górę za pomocą ręcznej wciągarki. Dwóch członków załogi, wyglądających jak małe insekty na tle tego ogromnego cielska, ustawiło konstrukcję na miejscu i spuściło pasy na ziemię, podczas gdy inni wsunęli się pod brzuch bestii; gdzie zawiązali, czy też zapięli te pasy. Jeszcze tylko kilka próbnych potrząśnieć kabiną i usatysfakcjonowani wynikiem mężczyźni na grzbiecie bestii spuścili drabiny z obydwu stron

ogromnego cielska. Prace przeniosły się teraz ku przodowi, gdzie u podstawy grubej szyi zamontowano podobną, tyle że znacznie mniejszą, kabinę.

– A czym one się karmią? – spytała Zala; ciągle nie dowierzając własnym oczom.

– Praktycznie wszystkim – kobieta wzruszyła – ramionami. – Są wszystkożerne, tak jak i my. Ich potrzeby są bardzo niewielkie. Mają puste wewnątrz kości i są zadziwiająco lekkie, – kiedy już złapią prąd powietrzny i zyskają wysokość, zużywają bardzo nie wiele energii. Tona jakiejś mieszanki raz na dwa dni to ich normalna porcja; głównie są to wierzchołki drzew i to, co się na nich znajduje... ale Silla dostaje dodatkowe porcje, kilka uharów albo jakieś inne duże zwierzę, w związku z dodatkową energią, którą zużywa podczas startu. Są one również bardzo przydatne, do utrzymania populacji dzikich zwierząt na odpowiednim poziomie, a przerzedzania lasów, i tak dalej; a latają równie dobrze w deszczu i w słońcu. Dzikie, nie oswojone, praktycznie nigdy nie lądują, ale często zbliżają się do nas na niewielką odległość. Nie przejmujcie się nimi; wiedzą, że nie należy niepokoić ludzi; zresztą mamy i tak za mało mięsa na sobie; by warto im było zawracać sobie nami głowę.

Miło mi było to usłyszeć.

– Jak się nimi lata... to znaczy, jak się nimi kieruje? – spytałem

– Pilot – w tym wypadku ja – siedzi w tamtej małej kabinie. Mam tam instrumenty nawigacyjne, a podłoga kabiny otwarta jest z obydwu stron. Pionierzy próbowali stosować uzdy, ale nie zdały one egzaminu; poza tym szybowniki są na to zbyt inteligentne. Dobrze wyszkolony – a takim jest Silla wie, co robić, kiedy to robić i kiedy się zatrzymać. Wystarczy nacisk stopy pilota na bok szyi. – Przerwała na chwilę. – Jest to może nieco bardziej skomplikowane, niż wam przedstawiłam, ale zapewniam, że posiadam nad nią całkowitą kontrolę.

Kiedy tak na nią patrzyłem – nie była większa ode mnie, a ważyła prawdopodobnie mniej – i przyglądałem się szybownikowi, nie czułem się uspokojony jej słowami ale w końcu nie była to moja sprawa.

Podbiegł do niej członek załogi.

– Mamy informacje, że za niecałe dwadzieścia minut zacznie ponownie padać – powiedział. – Należałoby załadować wszystkich na pokład i jak najprędzej ruszać.

Skinęła głową.

– Mówiłaś przecież, że deszcz nie stanowi żadnego zagrożenia – odezwałem się.

– Nie dla niej – odpowiedziała – jednak start przy wietrze może być niebezpieczny dla nas. Lepiej będzie, jak wejdziemy na pokład. – Z tymi słowami ruszyła w kierunku kabiny pilota.

Spojrzałem na Zalę, a ona zerknęła nerwowo na mnie.

– Dasz radę? – spytałem.

– Spró... spróbuję. Jeśli ona może pilotować, to ja na pewno mogę być pasażerem.

Szybkim krokiem ruszyliśmy za członkiem załogi. Mężczyzna przytrzymał drabinę, podczas gdy najpierw Zala, a ja za nią, wspinaliśmy się do kabiny pasażerskiej.

Wnętrze wyglądało przyjemnie: miękko tapicerowane, wyposażone w fotele podobne do tych na wahadłowcu, włącznie z pasami bezpieczeństwa; całość wyłożona czymś, co przypominało futro. Z tyłu znajdowały się drzwi do mniejszego pomieszczenia, oznakowanego wyraźnie jako toaleta. Choć w kabinie nie było zwykłego oświetlenia, wokół biegły rurki z jakąś substancją luminescencyjną, dającą poświatę wystarczającą do tego, aby zapewnić dobre samopoczucie.

Nie byliśmy jedynymi pasażerami. Przed nami czego w ogóle nie zauważyłem – wspięła się na pokład jakaś starsza kobieta w towarzystwie młodego człowieka o wyglądzie twardziela. Oboje ubrani byli w fantazyjne stroje przeciwdeszczowe, których krój świadczył, iż niewątpliwie pochodzą one z Zewnątrz. Na końcu zameldowała się ekipa naziemna, dwóch mężczyzn i kobieta. Ostatni wciągnął drabinę, zamknął drzwi i przekreślił zabezpieczający je pierścień. Drugi mężczyzna stał zwrócony twarzą do nas, podczas gdy kobieta sprawdzała coś z tyłu kabiny.

– Proszę zapiąć pasy biodrowe i naramienne – powiedział mężczyzna. – Lot w zasadzie przebiega całkiem gładko, jednak nigdy nie wiadomo, co może się przydarzyć. Proszę mieć pasy zapięte przez cały czas. Jeśli będziecie musieli iść do toalety, przechodząc do tyłu trzymajcie się poręczy i nawet tam na miejscu zapnijcie pasy. W kabinie nie utrzymujemy stałego ciśnienia i wobec tego należy być przygotowanym na sensacje związane z odczuwaniem różnicy ciśnień. Gdyby uczucie w uszach było dla kogoś irytujące, mamy tu gumę do żucia i cukierki. Czasami musimy lecieć bardzo wysoko, żeby przebić się przez strefę złej pogody i wówczas proponuję wyciągnąć maski tlenowe spod foteli i założyć je. Zasilane są one ze zbiorniczków, w których utrzymujemy wysokie ciśnienie za pomocą ręcznej pompy. Maski wolno zdjąć, kiedy powiem, że jest to już bezpieczne.

Nagle gwałtowne szarpnięcie wstrząsnęło wszystkimi; po nim nastąpił najbardziej mroźący krew w żyłach krzyk żywej istoty, jaki w życiu słyszałem. Oboje – z Zalą podskoczyliśmy nerwowo; ani załoga, ani pasażerowie w ogóle nie zareagowali.

– Pozycja startowa! – wrzasnął członek załogi i cała trójka szybko zapięła swoje pasy. – Trzymać się! Ruszamy!

W tej samej chwili ponownie poczułem, jeszcze gwałtowniejsze szarpnięcie, które wbiło nas w fotele, a jednocześnie jakaś siła podrzucała nami boleśnie w górę i w dół. Uświadomiłem sobie nagle, iż ten stwór po prostu biegnie. Zemknąłem na Zalę, ale ona, cała napięta, siedziała z mocno zaciśniętymi powiekami. Wyjrzałem więc przez malutkie, okrągłe okienko po mojej lewej stronie. Ujrzałem ziemię tuż przed tym niewiarygodnym skrzydłem, wznoszącą się i opadającą. I nagle, ni stąd ni zowąd, ten przeklęty stwór zeskoczył ze skały, o której istnieniu nie miałem pojęcia... i spadał jak kamień, rzucając nami bezlitośnie.

Jako licencjonowany pilot, zarówno powietrzny jak i kosmiczny, doświadczyłem rzeczy o wiele gorszych od tych tutaj, dzięki czemu zapewne tak dobrze to znosiłem. Wówczas jednak posiadałem całkowitą kontrolę nad maszyną, której własności były mi na dodatek doskonale znane. Żeby być

całkowicie szczerym, muszę przyznać, iż tutaj, w momencie owego spadania, pomyślałem jedynie: „No cóż, to jest to... jesteś już trupem”.

Jednak równie nagle jak upadek nastąpił gwałtowny zwrot, a po nim powolne wznoszenie. W tym momencie, ku swemu przerażeniu, spostrzegłem, jak blisko ziemi znaleźliśmy się w naszym punkcie zwrotnym.

Wznosiliśmy się niesamowitym rozbujanym ruchem, wpierw rzuciło nami do przodu, a następnie do tyłu; ogromne i potężne skrzydła wnosiły nas coraz wyżej, by wreszcie znieruchomieć po osiągnięciu jakiegoś prądu powietrznego. Po minucie czy dwóch znaleźliśmy się we wszechobecnych tutaj chmurach. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że Zala – z ciągle mocno zaciśniętymi powiekami – wygląda na osobę, której jest bardzo, ale to bardzo niedobrze. Pozostała dwójka pasażerów siedziała spokojnie bez najmniejszych oznak dyskomfortu, podczas gdy załoga robiła wrażenie całkowicie odprężonej. Jedno z nich zjadało nawet ze smakiem jakiś owoc.

To okropne rzucanie i wstrząsy wydawały się nie mieć końca. Wreszcie wznieśliśmy się ponad chmury i znaleźliśmy się w jaskrawym świetle słonecznym. Po jakimś czasie nasz stwór znalazł odpowiedni prąd powietrzny, dokonał korekty kursu i wyrównał lot. Teraz dopiero odczucia związane z lotem wydały się naprawdę dziwne – po gwałtownym starcie i późniejszych wstrząsach lecieliśmy gładko i równo, w absolutnej ciszy.

Ponownie spojrzałem na Zalę.

– Możesz już otworzyć oczy i uspokoić nieco żołądek – powiedziałem. – Prawdopodobnie reszta drogi będzie wyglądać podobnie. – Miałem nadzieję i modliłem się, żeby nasz środek lokomocji okazał się ekspresem.

Otworzyła jedno oko, potem drugie i popatrzyła na mnie żałośnie.

– Niedobrze mi – wykrztusiła z trudem.

Mogłem jej jedynie współczuć.

– Odpręż się, uspokój i niczym się nie przejmuj. Start był co prawda nieprzyjemny, ale reszta drogi będzie już gładka.

Nie robiła wrażenia uspokozonej:

– Zastanawiam się, jak będzie wyglądało lądowanie, jeśli taki był start.

Słuszna uwaga. Jak coś tych rozmiarów mogło wyhamować i wylądować? Z drugiej strony musiałem mieć całkowite zaufanie do pilota i załogi, dla których to wszystko nie było niczym niezwykłym i którzy wydawali się niczym nie martwić.

W pewnym momencie jeden z członków załogi wyjął karton i poczęstował nas jakimiś owocami. Zala na ich widok zrobiła się zielona. Miałem już zamiar spróbować jak smakują, ale zdecydowałem się oszczędzić jej tego widoku, tym bardziej że poinformowano nas, iż podróż nie

potrwa dłużej niż pięć godzin, o ile naturalnie nie będzie problemów z pogodą. Stwór utrzymywał stałą przeciętną szybkość przekraczającą 250 kilometrów na godzinę, co dla istoty tak dużych rozmiarów było szybkością imponującą.

Nasz równy i gładki lot przerywany był mniej więcej co kwadrans nagłymi wstrząsami, wywołanymi korektą lotu lub przejściem z jednego prądu powietrznego na drugi. Były to jednak jedyne nieprzyjemne momenty podczas tej długiej podróży.

Niebo Charona przedstawiało sobą niewątpliwie spektakularny widok. Pad nami kłębiły się wszechobecne chmury; ponad nami zaś niebo nie było tym, czego się spodziewałem – tworzyły je dziwne pasma czerwieni i żółci, pozostające w ciągłym ruchu, równie gwałtownym jak ruch chmur burzowych poniżej. Domyśliłem się, iż jest to warstwa jakichś gładów spełniających rolę warstwy ochronnej, utrzymującej znośne dla człowieka temperatury na powierzchni planety. Słońce – ogromna jasna kula – było bardzo gorące i widać je było poprzez ową kolorową warstwę gazów. Przypuszczałem, iż właśnie ta górna warstwa, a nie chmury poniżej, utrudnia i uniemożliwia obserwacje z orbity, a także powoduje blokadę transmisji drogą radiową:.. Ciekaw byłem składu chemicznego owej gazowej otoczki planety.

Oprócz nieprzyjemnego uczucia w uszach i wrzasku szybownika odzywającego się raz na jakiś czas, szczególnie kiedy spotykał innego przedstawiciela swojego gatunku – nigdy nie udało mi się dostrzec niczego więcej, prócz niewyraźnego, czarnego kształtu, tak że nie dane mi było oglądać to stworzenie w locie lot przebiegał dość monotonnie. Przyjrzałem się jednak naszym towarzyszom podróży; pod strojami przeciwdeszczowymi, które zdjęli po wejściu na pokład, mieli ubiory równie eleganckie jak okrycia wierzchnie. Najwyraźniej podróżowali razem, chociaż kobieta, która przeglądała przez cały czas jakieś papiery, bardzo rzadko zwracała się do młodego mężczyzny. Domyślałem się, że mam tutaj do czynienia z szefową i jej ochroniarzem, jednak nie miałem żadnych danych, by odgadnąć, kim byli.

Wreszcie nawet Zala odprężyła się nieco, choć już do końca podróży siedziała zupełnie nieruchomo, a jej twarz nie odzyskała swych naturalnych kolorów.

Na koniec strzykanie w uszach stało się bardziej regularne i zauważyłem, że zakręcamy i powoli wytracony wysokość... Członkowie załogi sprawdzili wszelkie pojemniki i ruchome przedmioty, by upewnić się, czy są odpowiednio przymocowane, po czym zajęli swoje fotele i zapięli pasy:

Patrzyłem na te fragmenty ziemi, które byłem w stanie dostrzec przed skrzydłem, zdziwiony przerwami występującymi w chmurach i – widocznymi poprzez nie – wielkimi ciemnoniebieskimi plamami. Wejście w chmury przypominało wejście w chmury statkiem powietrznym; doświadczyliśmy bowiem bujania i gwałtownych szarpnięć, kiedy skrzydła biły mocniej, by skompensować ciągi powietrza w dół, w górę czy inne zawirowania. Zobaczyłem, że szyba okienka zawilgotniała, kiedy przebijaliśmy się przez szarobiałą mgłę, po czym nagle znaleźliśmy się w przejrzystym powietrzu i ukazała nam się ziemia. Poza tym, że krajobraz pokryty był zielenią i robił wrażenie górzystego, nie dostrzegłem żadnych szczegółów.

Szybownik krążył, zwalniając za każdym obrotem, po czym opadł w dół i – ułożywszy skrzydła pod odpowiednim kątem – raptownie zahamował. Nastąpiło kilka wstrząsów, jeden po drugim, kiedy

uderzał mocno skrzydłami, a po nich jedno gwałtowne uderzenie... i byliśmy na ziemi; w całkowitym, niewiarygodnym bezruchu. Musiałem przyznać, iż potrafił on znacznie lepiej lądować niż startować.

Głaskałem Zalę po ramieniu i przekonywałem, że jesteśmy już na ziemi i że lot naprawdę dobiegł końca. Nie chciała mi uwierzyć, w końcu jednak otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła. Po raz pierwszy od początku podróży wyjrzała przez okno i odprężyła się.

– Było znacznie lepiej niż podczas startu, prawda? – powiedziałem radośnie.

– Prędzej się zabiję, niż jeszcze raz wsiądę do czegoś takiego potrząsnęła głową. – Przysięgam, Park.

Przekręcono pierścień i otwarto przypominające właz drzwi. Uderzyło nas upalne, lepkie powietrze. Po pięciu godzinach w dusznej kabinie witałem je z zadowoleniem, tym bardziej iż wyglądało na to, że deszcz w ogóle nie pada.

Dwójka naszych współtowarzyszy podróży zebrała swoje rzeczy i szybko zniknęła. My zeszedliśmy na dół w chwilę potem.

Rozejrzałem się po otwartym polu. Do szybownika zbliżał się jakiś pojazd, którego platforma wyglądała jak zakład rzeźniczy... cysterna z paliwem, pomyślałem rozbawiony. Z boku stała grupka ludzi i dwa powozy. Nasi współtowarzysze już dotarli do jednego z nich, gdzie witały ich jakieś urzędowe osobistości; niektórzy kłaniali się kobiecie, inni otwierali drzwi pojazdu, podczas gdy kilkoro podbiegło do szybownika, by zabrać bagaż, znajdujący się w osobnym przedziale pod kabiną pasażerską. Wyciągano stamtąd zresztą i inne bagaże, po które podjechało kilka dwukółek.

Staliśmy wśród tego ruchu, nie wiedząc co robić. W końcu podszedłem do tego członka załogi, który na pokładzie pełnił w pewnym sensie rolę gospodarza.

– Przepraszam bardzo... czy to jest Bourget? spytałem, modląc się w duchu, by odpowiedź okazała się pozytywna.

– O tak – odparł. – Chyba tu chcieliście wylądować, prawda? Bo następne lądowanie jest dopiero w Lamasie.

– Tak, tutaj – zapewniłem go, podziękowałem za informację i zwróciłem się do Zali: – Przejdźmy do tamtej grupy i sprawdźmy, czy nikt na nas nie czeka.

Podchodziliśmy ostrożnie do drugiego z powozów, zerkając oczekująco na osoby stojące abak niego. Jedna z nich, młody człowiek, niemal chłopiec zorientował się w sytuacji i podszedł do nas.

– Jesteś nowym Księgowym? – zapytał.

Poczułem ulgę.

– Tak, to ja. Park Laroche.

– A ty? – spojrzał pytająco na Zalę.

– Zala Embuay. Jestem jego... asystentką.

– No jasne – powiedział chłopak znaczącym tonem. – Jeśli zechcecie wsiąść do tego pojazdu, to pojedziemy do miasta i załatwimy wszystko, co trzeba. – Macie jakieś bagaże? – rozejrzał się.

– Nie – odparłem. – Jesteśmy na Charonie od niedawna. Musimy dopiero zaopatrzyć się w potrzebne rzeczy tutaj na miejscu.

Wykazał umiarkowane zainteresowanie.

– Z Zewnątrz, hm? Dziwne, że upchnęli was akurat tutaj.

– Dali mi pracę, a ja ją przyjąłem. Nie mogłem sobie pozwolić na odmowę – wzruszyłem ramionami i wsiadłem do powozu.

Do miasta jechaliśmy w milczeniu; nie było po prostu o czym rozmawiać. Chłopiec co prawda nie był stangretem, ale siedział wraz z tamtym na kozle na zewnątrz kabiny pojazdu.

Bourget wyglądało inaczej, niż je sobie wyobrażałem. Mała wioska, położona na niewysokich, porośniętych drzewami wzgórzach, schodzących ku uroczej zatoczce. Zabudowania były niskie, w większości pokryte czerwono-brązowymi dachami i pomalowane na biało. Naturalnie nie istniało tu nic takiego jak osłonięte chodniki Montlay czy jej bardzo nowoczesna architektura. Bourget przypominało raczej niewielką wioskę rolników na jednym z lepszych światów pogranicza, ze swoimi budynkami z suszonej w słońcu cegły, jasnymi tynkami i dachami krytymi strzechą z jakiejś czerwono-brązowej rośliny. Pomimo wszechobecnych chmur, najwyraźniej nie padało tutaj tak często jak na północy. Odpowiadało mi to. W porcie stało wiele łodzi, prawie wszystkie żaglowe.

Było tu jednak autentycznie upalnie, temperatura na pewno przekraczała 40°C. Oboje z Zalą zalewaliśmy się potem. Nie wiem jak ona, ale ja odczuwałem wielką potrzebę sączenia długiego, lodowatego drinka z czegoś... z czegokolwiek.

Zala była zachwycona widokiem, który oglądała przez okno pojazdu.

– Ależ tu pięknie – skomentowała krajobraz. Miasteczko wybudowano wokół centralnego placu, pośrodku którego znajdował się niewielki park i cztery wielofunkcyjne dwupiętrowe budynki, mieszczące między innymi sklepy i punkty usługowe. Pojazd zatrzymał się przed jednym z tych budynków. Chłopiec zeskoczył z kozła, otworzył drzwi i pomógł nam wysiąść.

Panował tu spory ruch. Ludzie śpieszyli we wszystkie strony; sklepiki otwarte na zewnątrz oferowały owoce, jarzyny, ubrania i inne miejscowe produkty. Wyglądało na to, że ich właściciele robią dobre interesy.

– Chodźcie teraz ze mną – powiedział chłopiec. Poszliśmy za nim. Zauważyłem, że Zala już doszła do siebie i zapewne z niecierpliwością czekała na okazję dokonania tu jakichś zakupów.

Weszliśmy do budynku i znaleźliśmy się w obszernym holu, z którego środka prowadziły na górę szerokie, drewniane schody. We wszystkich kierunkach biegły też od niego korytarze, przy których najprawdopodobniej usytuowane były różne biura. Chłopiec zatrzymał się i odwróciwszy się do nas, powiedział:

– Zaczekajcie tutaj. Sprawdzę, czy Mistrz jest u siebie – powiedziawszy te słowa, pobiegł schodami na górę.

– Jak sądzisz, kogo on mógł mieć na myśli?

Zala spojrzała na mnie.

– Pewnie miejscowego czarownika – odparłem. Pamiętaj, żeby okazywać mu szacunek. Chciałbym, byśmy rozpoczęli nasz pobyt tutaj we właściwej atmosferze.

– Nie martw się o mnie.

Czekaliśmy na powrót chłopca. Jacyś ludzie przechodzili obok nas, ale nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Urzędnicy są wszędzie do siebie podobni. Jedyłą zaskakującą rzeczą był panujący w tym wnętrzu chłód, było tu znacznie chłodniej niż na dworze. Bez wątplenia działał tutaj jakiś system wentylacyjny, choć nie byłem w stanie odgadnąć, jaki. Na pewno nie była to klimatyzacja – temperatura wprawdzie była niższa, jednak wilgotność pozostawała na tym samym poziomie, co na zewnątrz.

Wkrótce chłopiec powrócił.

– Mistrz was teraz przyjmie – powiedział i poprowadził nas schodami w górę. Było tam nieco cieplej, czego należało się spodziewać. Czułem jak temperatura wzrasta, w miarę gdy przechodziliśmy do tylnej części obszernego budynku.

Wprowadzono nas do biura. Na drzwiach nie dostrzegłem żadnej tabliczki. Przeszliśmy przez niewielką poczekalnię, rodzaj sekretariatu, tyle że miejsce za stojącym tam biurkiem było puste, i stanęliśmy przed następnymi drzwiami.

Nasz przewodnik otworzył drzwi i kiedy znaleźliśmy się po ich drugiej stronie, uderzył w nas strumień zaskakująco chłodnego i suchego powietrza. Gabinet był obszerny i wygodnie urządzone, z wielkim, rzeźbionym, drewnianym biurkiem pośrodku. Za biurkiem siedział postawny mężczyzna z ogromną, siwą brodą, rekompensującą zapewne prawie całkowity brak owłosienia na głowie. Palił fajkę.

Uśmiechnął się na nasz widok i skinął głową.

– Usiądźcie proszę, tutaj, naprzeciw mnie – powiedział uprzejmie, wykonując przy tym zapraszający gest dłonią.

Fotele, duże i z wysokimi oparciami, były nowoczesne i całkiem wygodne, chociaż – z czego ten człowiek doskonale zdawał sobie sprawę – trudno jest czuć się pełnoprawnym partnerem kogoś, kto

siedzi po drugiej stronie biurka.

Brodacz spojrział na chłopca.

– To wszystko, Gori. Zamknij drzwi, kiedy będziesz wychodził.

Młodzieniec skinął głową i wyszedł.

– To dobry chłopak – rzucił mężczyzna. – Może być z niego kiedyś świetny czel, jeśli tylko pokona tę swoją słabostkę.

Nie miałem pojęcia, o czym ten gość mówi.

– Słabostkę? – spytałem.

– Tak. Chce być rybą. No cóż... a ja jestem Tally Kokul, główny mag i najlichszy z lichych w tej małej społeczności.

– Park Lacocho – powiedziałem. A to jest Zala Embuay.

Spojrział na Zalę i na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, które znikło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Bez wątpienia dojrzał to samo, co wcześniej już zauważył Korman... Cokolwiek to było.

– Wiedziałem o twoim przyjeździe, Lacocho, ale nikt mi nic nie wspominał o damie. Ja... – przerwało mu pukanie do drzwi, wszedł Gori i położywszy na biurku jakąś torbę, opuścił pokój.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem – mruknął pod nosem, otwierając torbę i wyjmując z niej dwie teczki z aktami. Odłożył jedną i przejrzał szybko drugą. Mogłem się domyśleć, że teczki te zawierają wszelkie dane dotyczące nas dwojga, włącznie z poleceniami i rekomendacjami władz zwierzchnich.

– Hmm. Nie jestem przekonany, czy podoba mi się twój status, madame Embuay – odezwał się właściwie do siebie i podniósł na nią wzrok. – Bourget to mała, konserwatywna wioska. Nie licząc mnie, jesteście tutaj jedynymi ludźmi, którzy nie urodzili się na Charonie.

Zala nic z tego nie pojmowała, wobec czego zaryzykowałem pytanie.

– Religijna?

Skinął głową.

– Jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu, Romb przeżywał istną inwazję misjonarzy przeróżnych sekt. Konfederacja zachęcała ich do tego; pozbywała się w ten sposób na zawsze wszelkiej maści fanatyków. Bourget było wtedy malutkie. Ciągle jeszcze jest małą miejscowością, choć teraz uważane jest za lokalną stolicę. Jedną z grup, Unityci, składała się z autentycznych fanatyków, których przepędzano ze wszystkich miast i miasteczek. Jednak ich przywódca, gość o

imieniu Suritani, był prawdziwym ulubieńcem kobiet, a do tego całkiem biegłym w Sztukach. Udało mu się zyskać wielu zwolenników, w większości kobiet, przybył więc do Bourget i założył tutaj rodzaj religijnej kolonii. Teraz większość miejscowych jest ze sobą w jakiś sposób spokrewniona.

– Robi to wrażenie całkiem liberalnego układu zauważyłem. Zala milczała.

– O, tak. Układ był liberalny... ale dla szefa. Dla nikogo poza nim. Normalna historia. Musisz zrozumieć, że jestem tutaj jedyną osobą, która może sobie pozwolić na takie gadanie. Radzę wam okazywać szacunek miejscowym wierzeniom, by przypadkiem nie nadepnąć komuś na odcisk.

Skinąłem głową, a on ciągnął dalej.

– No cóż, w każdym razie zauważycie, że wszyscy dwa razy dziennie, o ósmej i szóstej przerywają swoje zajęcia i oddają się przez kilka minut modlitwom. Mężczyźni i kobiety wykonują różne, ściśle określone prace. Mężczyźni mogą mieć trzy żony. Ciągłe mamy o wiele więcej kobiet niż mężczyzn.

– Czy kobieta może mieć trzech mężów? – spytała Zala, autentycznie zainteresowana tą kwestią.

– Nie. Powiedziałem wam przecież, że jest to staromodna religia: jeden potężny bóg, żyjący w centrum wszechświata i chmara bożków, będących pośrednikami pomiędzy ludźmi a tym jedynym bogiem. Bardzo skomplikowane i z bardzo surowymi regułami postępowania.

– Wygląda na to, że nie jest to najlepsze miejsce, jeśli chodzi o lojalność względem rządu centralnego zauważyłem. – Szczególnie, że Władcą Charona jest kobieta.

– Jesteś wielce spostrzegawczy, Lacoche. Pojmuję, dlaczego przysłali właśnie ciebie. Masz rację. Oni nie są w stanie zaakceptować bieżącej polityki, co przyprawia mnie o ból głowy. Większość woli wierzyć, że Aeolia Matuze ma jakiegoś mężczyznę, który myśli za nią, a ona jest jedynie pośrednikiem, jak te borki. Do tej pory mieliśmy spokój, chociaż pojawiały się pogłoski, iż nasza przywódczyni zamierza ogłosić swą boskość i narzucić własną religię na całej planecie. Jeśli do tego dojdzie, będą musieli znaleźć dla Bourget nowych mieszkańców i nowych szefów Firm. Mam nadzieję, że przynajmniej zostanę w ten sposób uwolniony od tutejszych kłopotów.

Naturalnie mu współczułem, chociaż nie umknął mojej uwadze fakt, iż główny czarownik Bourget dojrzał zapewne do tego, by stać się zwolennikiem kogoś takiego jak Koril.

– Ta religia dotyczy więc stu procent mieszkańców? – spytałem.

– Nic nie jest nigdy stuprocentowe – pokręcił głową. – Powiedziałbym, że mniej więcej połowa ludności wierzy rzeczywiście żarliwie w to wszystko, trzydzieści procent wypełnia zaś obowiązki religijne, bo w takim duchu zostali wychowani, a dziesięć procent nie wyłamuje się z nich jedynie dlatego, że chcą uniknąć kłopotów.

– To daje nam dziewięćdziesiąt procent – zauważyłem.

– Pozostałe dziesięć należy do opozycji.

– Opozycji?

– Większość religii ma jakiegoś diabła, demona, kogoś, kto uosabia zło i kogo można obwiniać za wszelkie zło.. Ta nie jest wyjątkiem. Posiada swojego Niszczyciela. Niektóre osoby w tak surowej społeczności w sposób naturalny ciążą ku złu. I jest to naturalny wybór dla niektórych ludzi z Bourget, głównie dla kobiet bieglej w Sztuce i znających sytuację na innych światach, gdzie kobietom nie tylko pozwala się osiągać równouprawnienie, ale czasami wręcz uzyskać przewagę nad mężczyznami. Kult ten miał charakter lokalny, ale ostatnio podobne kultury zaczęły rozprzestrzeniać się na całym Charonie i istnieją dowody na to, że są one wykorzystywane przez polityczną opozycję wobec rządów Matuze.

– Zapoznano mnie z obecną sytuacją polityczną powiedziałem. – Niemniej, wydaje mi się nieco dziwne, iż odwrócony; tu został logiczny porządek rzeczy. Establishment, który popiera istniejący porządek na Charonie jest uprzedzony wobec kobiet na stanowiskach przywódczych, a jednocześnie ma za przywódcę kobietę; opozycja, która żąda równouprawnienia kobiet dokonuje zbliżenia z grupą zamierzającą wynieść do władzy mężczyznę.

Zala słuchała naszej rozmowy w milczeniu. Przedstawiłem jej już uprzednio zarys najnowszej historii Charona, tak że znała głównych graczy na scenie politycznej, nawet jeśli niezupełnie rozumiała samą grę.

– Cóż, nie jest to takie proste – odparł Kokul. Na ogół sytuacja na Charonie jest inna niż tutaj, chociaż istnieją miasta z jeszcze bardziej szalonymi wierzeniami i systemami. Tutaj mamy system trójboczny, jak zresztą prawie wszędzie. Nasz kult z jego systemem wartości; opozycję, która podłącza się do opozycji ogólnej na planecie; i władzę rządową... która w tej chwili reprezentowana jest przez ciebie i mnie, i praktycznie nikogo więcej.

Wiedziałem doskonale, o czym mówi i – choć nie było to dla mnie żadnym pocieszeniem – rozumiałem, dlaczego przysłano mnie do Bourget. Czym bowiem surowszy lokalny system społeczny, tym większe prawdopodobieństwo, że opozycja – a także siły i agenci Korila – staną się potężniejsze i lepiej zorganizowane, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę położenie na wybrzeżu południowym i względną izolację tego okręgu.

Choć Kokul wydawał się mówić lekkim tonem i nieco cynicznie o Matuze, nie łudziłem się ani trochę, iż mógłbym mu zaufać. Podobnie jak ja sam, pochodził z innej planety i z innej kultury... i nie zesłano go tutaj bez powodu. Niezależnie od tonu, jakim mówił o rządzie centralnym, istniało podejrzenie, że ten rząd nie wysłałby przecież ani zdrajcy, ani człowieka niekompetentnego do tak newralgicznego punktu; jakim było Bourget.

– Dość już tego tematu – zdecydował czarownik. – Jeśli zaś idzie o Bourget... cóż, skoro będziesz w stanie znieść jego strukturę społeczną – która nie jest aż tak zła, kiedy się do niej przyzwyczaić stwierdzisz, iż tutejsi obywatele są dobrymi, ciężko pracującymi ludźmi. Jesteśmy samowystarczalni w dziedzinie żywności i materiałów budowlanych, posiadamy rozwinięty przemysł rękodzielniczy i dzięki eksportowi uzyskujemy spore nadwyżki dochodów. Nieźle, jak na wioskę zamieszkałą przez niecałe pięć tysięcy osób. Tutejszy klimat charakteryzuje się dwiema porami roku: gorącą i upalną, co oznacza, iż nie licząc kół oficjalnych, stroje ludności są albo skąpe, albo bardzo

skąpe. Wodę mamy dobrą i zdrową, a w wyższych partiach wzgórz jest kilka naprawdę ładnych wodospadów, które wykorzystujemy, jak tylko potrafimy, do systemów chłodzących, pomp i tym podobnych urządzeń; wszystko to jednak są urządzenia wyłącznie mechaniczne. Najbardziej nowoczesnym mechanizmem, jaki tu zobaczysz, jest zegar słoneczny, chociaż w niektórych Firmach generujemy również nieco energii pochodzącej z pary wodnej. Zdziwiająca, jak wiele można uzyskać dzięki właściwie zastosowanej inżynierii, nawet jeśli nie dysponuje się nowoczesnymi źródłami energii.

To, co mówił przyjąłem do wiadomości jako rzecz zupełnie oczywistą; w końcu człowiek nie raz już budował potężne imperia wykorzystując jedynie najbardziej podstawowe źródła energii.

– Na czym więc ma polegać moje zadanie? spytałem. – I w jaki sposób mam do niego przystąpić?

– Zasadniczo, masz się zajmować nadzorem i odpowiadać za ogólną skuteczność działań, za precyzję danych, za wszelkie błędy i zaistniałe problemy. Wokół Bourget w odległości jednego dnia drogi znajduje się dziewięć Firm zatrudniających przeszło tysiąc pracowników i produkujących cenne towary. W mieście jest trzynaście cechów dostarczających na rynek wszystko, począwszy od ubrań a skończywszy na wyrobach rękodzielniczych. Każdy cech czegoś potrzebuje i nie mam tu na myśli jedynie surowców. W skrócie można powiedzieć; że jesteś szefem lokalnego banku. Przedstawiciele rządowych syndykatów spotykają się cztery razy w roku w Iontlay, gdzie ustalają sprawiedliwe ceny i poziom zysku praktycznie na wszystkie towary, a ty masz w swojej wielkiej księdze oficjalnie obowiązujące cenniki. Zadaniem twojego biura jest utrzymanie równowagi – zgodnie z ustaloną tabelą wartości – pomiędzy tym, co oni otrzymują i tym, czego dostarczają. Wszystkie zamówienia od Firm spływają do ciebie, tak samo zresztą jak i zamówienia na ich produkty. Sztuka polega na tym, by Firmy dostawały dokładnie tyle, za ile zapłaciły swoją produkcją, a zarazem tyle, by wystarczało im do utrzymania produkcji bez żadnych zakłóceń. Jeśli zaistnieje nierównowaga na ich korzyść, należne im nadwyżki otrzymują w gotówce.

Skinąłem głową.

– Wygląda to dość nieskomplikowanie. Kto jednak wypłaca mi moją pensję, opłaca mój personel i pokrywa koszty działalności?

– W tym wypadku rozwiązanie jest bardzo proste. Bank pobiera dziesięć procent od każdej transakcji w momencie jej przeprowadzania. Połowa z tego należy do ciebie i dzielisz tę połowę zgodnie z odpowiadającymi wszystkim ustaleniami. Naturalnie w dobrych okresach zarabiasz więcej niż w złych i każdy twój pracownik ma odpowiedni w tym udział. Resztę odprowadza się do centralnego rządu Charona.

Ponownie skinąłem głową.

– Wynika z tego, że im bardziej wspomagam biznes, czym lepsze stosuję zachęty, sugestie i co tam jeszcze, by zwiększyć produkcję, tym więcej na tym wszystkim zarabiamy. To bardzo interesujący system.

– Tak to mniej więcej wygląda – przyznał. Jeśli wyniknie jakiś poważniejszy problem, możesz zawsze wezwać eksperta, z tym że zapłacisz mu z własnych zysków.

To mogło wyjaśniać obecność owej starszej damy na szybowniku. Zastanawiałem się, jak komuś przyzwyczajonemu do bycia szefem mogła odpowiadać ta kultura, nawet na krótko. Poza tym miałem jeszcze kilka pytań.

– Gdzie będziemy mieszkać i skąd weźmiemy niezbędne nam rzeczy?

– To proste – odpowiedział. – Konto Miejskiego Księgowego jest otwarte przez cały czas, a ponieważ poprzedni zmarł dwa miesiące temu, na rachunku znajduje się na pewno zupełnie przyzwoita sumka. Możesz pobrać, ile zechcesz, tu w tym budynku na parterze; spodziewają się tam zresztą twojej wizyty. A potem kupisz, co ci będzie potrzebne. Dom masz służbowy, odpowiedni do stanowiska, umeblowany i Tudy – to ten młody człowiek, który po was wyszedł – zaprowadzi was do niego. Leży nad zatoką niedaleko stąd.

– A tak już z czystej ciekawości... kto opłaca ciebie?

– Nikt – roześmiał się. – Pieniądze są ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję – spoważniał. – Personel wprowadzi cię we wszystkie sprawy w ciągu kilku najbliższych dni... podchodź do wszystkiego bardzo spokojnie, dopóki nie poznasz dokładnie szczegółów. Możesz na to poświęcić cały pierwszy miesiąc, bowiem i tak wszelkie drobne błędy i pomyłki pójdą na karb tej dwumiesięcznej przerwy. Urzędy zaczynają pracę o ósmej, rynek i sklepy – o dziewiątej, a wszyscy kończą o czwartej. Punkty usługowe otwarte są do dziewiątej, dziesiątej wieczór, kawiarnie trochę dłużej, i trudno tu mówić o jakimkolwiek nocnym życiu. Pracujemy przez sześć dni, potem mamy trzy dni wolne i znowu sześć dni pracy.

– Domyślam się, że takie małe miasteczko musi być pełne plotek i pogłosek – zauważyłem. – Dlatego nie sądzę, by poznanie tych wszystkich ludzi zajęło nam zbyt wiele czasu.

– Będzie to znacznie łatwiejsze niż myślisz. Przedstawimy was lokalnej społeczności podczas waszego ślubu.

– Co?! – wykrzyknęła Zala.

– Powiedziałem przecież, że to bardzo konserwatywne towarzystwo. A ty nie masz pracy, żadnych środków utrzymania... i jesteś całkiem atrakcyjna.

Zakładam więc, że wolisz raczej poślubić Parka, niż być zmuszoną wyjść za mąż za kogoś miejscowego z jedną lub dwiema żonami u boku.

– W ogóle nie chcę wychodzić za mąż. Nie wierzę w małżeństwo.

– Posłuchaj – westchnął. – To zupełnie nieistotne, w co ty wierzysz. Nie jesteś teraz na żadnym ze światów cywilizowanych. Nie jesteś nawet w którymś z tych bardziej liberalnych miast, takich jak Montlay czy Cadura. Poza tym, nie musisz tej ceremonii zbyt poważnie traktować, tym bardziej że jest ona przeznaczona głównie na użytek miejscowych.

– To dlaczego nie moglibyśmy po prostu powiedzieć, że już jesteśmy małżeństwem?

– Ponieważ ślub stwarza najlepszą okazję do nawiązania dobrych stosunków z miejscową ludnością. Poznają was dzięki niemu, polubią za to, że szanujecie ich zwyczaje i wierzenia, i łatwiej im będzie was zaakceptować. Pozwólcie, że ja wszystko zaaranżuję, a wy zajmijcie się swoimi sprawami. Poza tym nie odzywajcie się, kiedy zobaczycie coś, co wam się nie spodoba. Jeśli zrazicie do siebie tych ludzi, będziecie mieć same kłopoty. Jestem co prawda najsilniejszym i najgroźniejszym czarownikiem w tej okolicy, ale na pewno nie jestem jedyną tutaj osobą, która potrafi dokonywać sztuk magicznych i czynić czary. Mnóstwo tu wokół domorosłych talentów, a jeszcze więcej takich, których nie można niczym przekupić. Niektórzy z nich są całkiem nieźli. Tak długo, jak nie posiadacie własnej mocy, lepiej dla was będzie, jeżeli będziecie z nimi współżyć po przyjacielsku, niezależnie od tego, jak bardzo wam się wydadzą zacofani i ciemni. To jedyny sposób na przeżycie. Musicie żyć z tymi ludźmi, bowiem od nich otrzymujecie wszystko, co jest wam niezbędne. Jeśli ich do siebie zrazicie, możecie być tutaj bardzo samotni.

Zala wydawała się nieco wyprowadzona z równowagi, ale jednocześnie i utemperowana, i przekonana.

– Spróbuję – obiecała.

Rozdział siódmy

WRASTANIE

Muszę przyznać, że wszystko poszło sprawnie. Okazało się, że na koncie zebrała się pokaźna sumka pieniędzy, za którą byliśmy w stanie kupić sobie ubrania, przybory toaletowe i tym podobne rzeczy.

Ślub odbył się na rynku miejskim, a ceremonię poprowadził jeden z lokalnych duchownych, bełkoczący jakieś zwyczajowe formułki. Towarzyszył mu Kokul, pełniący rolę i Świadka ze strony Państwa, i urzędnika wydającego formalne zaświadczenie. Zala była piękną panną młodą, a po oficjalnym ślubie nastąpiło prawdziwe przyjęcie weselne ze śpiewem, tańcami, prezentami, doskonałym jedzeniem, ze wspólną zabawą. Kokul okazał się wielce przydatny w tym ostatnim przedsięwzięciu; wskazywał mi wszystkie najważniejsze osoby w tłumie, a ja starałem się je zapamiętać. Nawet Zala, która od początku była dość wrogo nastawiona do całej tej ceremonii, wydawała się świetnie bawić, skoro wspomniała później przelotnie, iż uważa śluby za coś takiego, czego każdy powinien doświadczać raz czy dwa razy na rok.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to najbardziej interesowało mnie wrośnięcie w tę społeczność, dokładne poznanie swoich obowiązków i solidne ich wypełnianie. Żadne inne działanie nie przyniosłoby bowiem wymiernych korzyści. Koril nie mógł się przecież pojawić tutaj ni stąd ni zowąd, wiedząc doskonale, iż Matuze zdaje sobie świetnie sprawę z tego, iż stanowimy znakomity materiał, aby się stać jego zwolennikami, i ma na nas pilne baczenie.

Personel okazał się sympatyczny i chętny do pomocy, a system choć prymitywny, był całkiem skuteczny. Kalkulatory na baterie słoneczne i także niewielkie komputery były co prawda w użyciu, jednak większość pracy wykonywano ręcznie i za pomocą maszyn do pisania i ogromnych ilości arkuszy papieru.

Również Zala wydawała się przystosowywać na swój sposób do nowych warunków. Miejscowe panie nauczyły ją korzystać z pieca na drewno w sposób nie wywołujący niebezpieczeństwa oparzeń i nie niosący groźby spalenia całego domu. Pokazały jej, na czym polegają najważniejsze prace domowe. Ponieważ w tym upale i w tych warunkach nie można było niczego przechowywać, chodziła codziennie na rynek i nauczyła się nawet sztuki targowania. Zafascynowana była rękodziełem; ani jej świat, ani jej dotychczasowe doświadczenia nie

przygotowały jej na możliwość wykonywania strojów od samego początku, na możliwość ich projektowania i szycia przez pojedyncze osoby na prostych maszynach, nie przygotowały jej na możliwość ręcznego wytwarzania ceramiki, na używanie koła garncarskiego, na ręczne jej ozdabianie i pokrywanie glazurą. Rzuceni nagle tysiące lat wstecz pod względem cywilizacyjnym odkryliśmy, że istnieją całe dziedziny sztuki poświęcone takim właśnie sprawom. Wytwory rękodzieła posiadały na dodatek ową szczególną jakość, której żadne – nawet najlepsze – maszynowe i masowe produkty dorównać nie mogły.

Moje obowiązki zajmowały mi znacznie więcej czasu niż przewidywałem, między innymi dlatego, iż obejmowały podróże do Firm, w celu sprawdzenia ich księgowości, zaplanowania przyszłości i takiego zapoznania się z ich działalnością, które umożliwiłoby dokonanie ewentualnych usprawnień. Pieniądzy nie mieliśmy zbyt dużo, bowiem konstrukcja tego systemu nie przewidywała raczej sytuacji, w której jedna osoba utrzymuje dwie. Zala, co trzeba jej oddać, rozwiązała ten problem ucząc się ręcznego tkactwa i wstępując do Cechu, którego członkowie tkali w skomplikowane wzory koce, kilimki, narzuty na łóżka i tym podobne, po czym sprzedawali je po ustalonej cenie temuż Cechowi. Cech, za pośrednictwem mojego biura, sprzedawał je na terenie całego Charona.

Ludzie byli przyjacielscy, otwarci i wyglądali na zadowolonych z życia, a my nie dawaliśmy im najmniejszego powodu do irytacji, szczególnie po tym, jak zobaczyliśmy kilku odmieńców. Łatwo było zauważyć tych nieszczęśników, tym bardziej że często powodziło im się całkiem nieźle i funkcjonowali w normalnym społeczeństwie, a nie poza nim. Większość z nich zakrywała się jak mogła, ale nie zawsze z najlepszym skutkiem. Bowiem w społeczeństwie tak dobrze chronionym przez „organizmy Wardena”, że nawet skaleczenia nie krwawiły i nie pozostawiały blizn i nawet amputowane członki odrastały, szpotawa stopa, uschnięte ramię, blizny na twarzy, czy jakiegokolwiek inne deformacje były bardzo widoczne.

Świadomość, że wielu spośród mieszkańców miasteczka potrafiło rzucać przekleństwa i czary powodujące tego rodzaju oszpeczenia nie była przyjemna, a fakt, że można je było kupić na rynku potęgował jedynie to nieprzyjemne uczucie. Pewna starsza kobieta handlująca nimi na małym straganie wyjaśniła mi, że dochody z ich sprzedaży są, co prawda, niższe niż z tkactwa, ale da się z nich wyżyć.

Odmieńcy, dla których moc miejscowych samouków nie była groźna (a zapewniano mnie o tym), przedstawiali sobą jeszcze bardziej niesamowity widok. W większości składali się oni z byłych czeli, którzy dokonali owych eksperymentów sami na sobie albo z jakichś psychologicznych powodów, albo przez pomyłkę albo też narazili się Kokulowi, czy komuś innemu, posiadającemu podobną do niego moc i umiejętności. Powiadano, iż Kokul był najpotężniejszym w tej okolicy, jednak każda z Firm miała własnego potężnego czarca powiększającego stale populację odmieńców, i ten, w przeciwieństwie do Kokula, jako pracownik Firmy, a nie rządu, często chętnie spełniał okrutne życzenia swego pracodawcy, z równą łatwością wymierzając nagrody, jak i kary. Bardzo chciałem poznać ową moc, ale nie miałem ani czasu, ani nauczyciela, przynajmniej na tym etapie rozgrywki.

Na przykład była sobie dwumetrowa żaba. Siedziała na skale tuż za miastem, zapatrzona w morze, paliła wielkie, grube cygara. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem jak wygląda prawdziwa żaba,

ale tak jak inni naczytałem się kiedyś baśni i ta tutaj wyglądała dla mnie jak taka baśniowa żaba, stojąca sobie na tylnych łapach i balansująca na błoniastych stopach.

Były też inne stworzenia dookoła – połowice, w połowie ludzie, a w połowie coś innego; i wyglądało na to, iż to coś innego może być praktycznie wszystkim, tym bardziej że ich transformacja była tak całkowita, że nie byłem w stanie rozpoznać, czym tak naprawdę są. Nie pojawiali się oni nigdy w mieście i ludzie od nich stronili, chociaż podejrzewam, iż ktoś musiał z nimi handlować, przynajmniej na zasadzie wymiany... Skąd bowiem ta żaba miałaby swoje cygara? Podobno na północ od miasta istniała niewielka kolonia połowców, jednak nie spotkałem nikogo, kto byłby tam osobiście.

Widywałem ich również na ziemiach należących do Firm, gdzie ludzie uzależnieni byli w większym niż gdzie indziej stopniu od przedstawicieli tych Firm, ad miejscowych czarców i czelów. Przebywałem akurat w Thunderkor, Firmie zajmującej się wyrębem lasów i prowadzeniem tartaków, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się bezpośrednio z odmieńcem. Wracalem z tartaku, w którym dokonałem inspekcji planów produkcyjnych, a ponieważ był piękny dzień i odczuwałem brak ruchu, zdecydowałem się na powrót pieszo do Sanroth Hall, kwatery głównej Firmy i wówczas to właśnie natknąłem się na nią.

Była teraz połowcem, ale kiedyś niewątpliwie musiała być piękną kobietą. Do pasa jej ciało pozostało kobiecym, natomiast od pasa w dół była uharem czy też uharopodobnym stworzeniem z potężnymi jaszczurzymi łapami i długim, grubym ogonem. W przeciwieństwie do błękitnych uharów, ona była zielona, zielenią świeżych liści, włącznie z długimi włosami, których odcień był jedynie nieco ciemniejszy. Ponieważ znajdowała się jakieś dziesięć metrów przede mną, zauważyłem, że porusza się w sposób wskazujący, iż jej ogon pełni ważną rolę przy utrzymywaniu równowagi i postawy wyprostowanej. Wziąłem ją wpierw za jakieś zwierzę – żyło ich na Charonie całe mnóstwo – a ona usłyszała mnie, mimo iż stanąłem jak wryty; zatrzymała się i odwróciła. Jej twarz wyrażała raczej irytację niż zaskoczenie moim widokiem, a już na pewno nie wyrażała lęku. Była to piękna twarz – pomimo tego zielonego kolorytu – egzotyczna i zmysłowa... mimo iż ze środka czoła wyrastał jej długi, ostry róg.

Stała bez ruchu. W końcu doszedłem do wniosku, że powinienem wykazać się odwagą i podążać dalej. Poza tym, odczuwałem raczej ciekawość niż lęk czy odrazę.

– Dzień dobry! – powiedziałem radośnie, podchodząc bliżej. Cóż wreszcie innego można powiedzieć do pół-kobiety i pół-jaszczura stojącego na twojej drodze? – Mamy dziś piękny dzień, prawda?

Patrzyła na mnie przez chwilę tak dziwnym wzrokiem, że zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle potrafi mówić i czy jej ludzka czy też zwierzęca połowa kontroluje całość. Nie pomyślałem o tym wcześniej, a teraz znajdowałem się już zbyt blisko, by uciekać.

Była wysoka, w odpowiedniej proporcji do swej jaszczurzej połowy, i zdecydowanie górowała nade mną wzrostem. Naturalnie, każdy był wyższy ode mnie, włącznie z Zalą, jednak do tamtych dysproporcji byłem już przyzwyczajony. Tutaj mieliśmy coś zupełnie innego: miała ponad dwa metry i to przy zgiętej postawie.

– Jesteś nowym Księgowym Miejskim z Zewnątrz – odezwała się wreszcie, głosem głębokim, ale poza tym zupełnie zwyczajnym. Odczułem ulgę.

Stałem niedaleko niej, jednak poza zasięgiem tego rogu.

– Park Lacocho – skinąłem głową.

– No, słucham? Czemu, do diabła, się tak gapisz?

Wzruszyłem słabo ramionami.

– Zapominasz, że jestem tu nowy... nie tylko tutaj, ale na Charonie – zauważyłem. – Powiedzmy, że jesteś nieco, hm; inna niż większość ludzi, których spotykam.

– To prawda – roześmiała się. – Czy jestem pierwszym odmieńcem, jakiego zobaczyłeś?

– Nie, – ale jesteś pierwszym, którego spotykam twarzą w twarz – odpowiedziałem.

– I?

Nie wiedziałem, czy oczekuje komplementu, czy chce sprowokować jakąś konfrontację.

– I co? Uważam, że ty, i to wszystko razem, jest fascynujące – odparłem.

– Fascynujące! – Wydała coś w rodzaju parsknięcia. – Chyba tak też można to nazwać.

– Pracujesz dla Thunderkoru?

– A dla kogóż by innego? Zaprzęgają mnie do różnych ciężarów i przesuwać je tam, gdzie mi każą. Ręce mam słabe, ale nogi mam bardzo silne.

Popatrzyłem na jej kończyny i nie miałem najmniejszej ochoty komentować tej opinii.

– A co robiłaś... przedtem? – spytałem tak delikatnie, jak tylko umiałem.

– Przedtem? Aha! Byłam flisakiem na rzece. Spławiałam pnie i tym podobne rzeczy. Wymagało to raczej zręczności niż siły.

Zaimponowała mi.

– A ja bym przypuszczał, że urzędowałaś w Sanroth. Z twoją urodą...

– Tak – uśmiechnęła się gorzko. – Z moją urodą. To przez nią wpadłam w kłopoty. Urodziłam się i wychowałam na rzece, w rodzinie ludzi rzeki. Byłam utalentowana i od dzieciństwa kochałam swoją pracę, ale wszyscy twierdzili, że jestem zbyt ładna, by ją wykonywać, że powinnam wyjść za mąż i rodzić dzieci. Do diabła, ja naprawdę kochałam tamtą pracę. Nawet mężczyźni przyznawali, że jestem najlepsza; dlatego zresztą chcieli się mnie pozbyć. Wprawiałam ich w zakłopotanie.

Mogłem to sobie wyobrazić; musiało to być szczególnie trudne w tej kulturze.

– No cóż – wyjaśniała dalej – pewnego dnia przyjeżdża z Sanrath ten starszy gość, Jimrod Gneezzer, i jego oko pada na mnie. Zanim się zorientowałam w czym rzecz, przyszło wezwanie, że gnam się stawić w kwaterze głównej. I to na dodatek u tego zarozumialca.

– Zdaje się, że go poznałem – powiedziałem, przypominając sobie dystyngowanego mężczyznę w średnim wieku.

– No tak. A ten wyobraża sobie, że ja natychmiast omdleję na jego widok. Każę mu więc iść do wszystkich diabłów. Wścieka się, narzuca mi się siłą, wobec czego mu przyłożyłam; stracił przytomność, a ja po prostu wyszłam i udałam się do domu. A tam pojawia się zaraz Simber, obrzydliwy czar, i rozkazuje mi wracać. Przypomina mi, że może rzucić czar, po którym zostanę posłuszną niewolnicą Gneezera. Mówię mu, żeby się nie powstrzymywał, bo tylko w ten sposób zmusi mnie do powrotu do tego drania, ale okazuje się, że facet nie może sobie z tym poradzić. Jego duma jest urażona. Bierze więc trochę włosów i paznokci, a ja nie byłam w stanie go powstrzymać, jakby nie było, był czarzem. I nie minęło wiele czasu, a pojawia się ten łobuz, czelc Izil, i twierdzi, że teraz należę do niego i wykazuje przy tym wielką wyobraźnię. Tak wielką:

– To bardzo przykre – powiedziałem jedynie, nie mogąc wymyśleć nic lepszego.

– Mogłam prawdopodobnie zdjąć z siebie ten czar czołgając się na brzuchu do Gneezera, ale wolę już wyglądać w ten sposób, niż tak się upokarzać. Możesz być pewien, że kiedyś wyrównam z nimi rachunki. A teraz nie jest tak źle. Nie majstrowali przynajmniej przy mojej głowie. Ale się na mnie zemścili. Chodzi a to, że mogłabym jedynie poślubić bunhara, ale kto chciałby uprawiać seks z jaszczurem.

Doskonale ją rozumiałem; domyślałem się też, że bunhar to takie stworzenie, którym ona była tylko w połowie:

– A nie ma możliwości, żeby jakiś inny, potężniejszy czar naprawił to wszystko i zdjął ten czar?
– Nie – pokręciła przecząco głową. – Po pierwsze oni wszyscy należą do bractwa i mają swój kodeks postępowania: Nawet kobiety. Żaden z nich, żeby nie wiem, jak chciał, nie unieważni tego, co zrobił inny, bo jeśliby jeden to uczynił, wszyscy inni mogliby postąpić tak samo. I do czego by ich to doprowadziło? Rzeczywiście.

– A żaden z nieoficjalnych nie może ci pomóc?

– To mocny czar – ponownie pokręciła głową. Ci amatorzy mogą jedynie pogorszyć sytuację. Poza tym, jest coś takiego w tym czarze, co czyni go szczególnie trudnym do usunięcia. Kiedyś już tego próbowałam i właśnie wtedy wyrósł mi ten róg. To mi wystarczyło.

– Czy jest więcej podobnych do ciebie? – byłem autentycznie zainteresowany.

Podobnych do mnie? Raczej nie. Przypuszczam, że są tacy, którzy posiadają jakieś części ciała bunhara i innych stworzeń. Może ich być kilka tuzinów w okolicy. Tu teren jest rozległy i niezbyt

często się widujemy, a poza tym niektórzy z nich mają nieźle pomieszane w głowie. A w ogóle to tworzenie odmieńców nie jest czymś powszechnym; my mamy jedynie służyć za przykład, rozumiesz?

Rozumiałem doskonale i cieszyłem się, że jestem obywatelem tego miasta, że mam dość dużo wolności osobistej i że pozostaję w dobrych stosunkach z Tally Kokulem i rządem Charona.

Czy myślałaś kiedyś o wyjeździe stąd? – spytałem. – Podobno są takie miejsca, gdzie odmieńcy żyją razem. Pewnie byłoby ci tam znacznie... łatwiej.

– O tak, jest takich miejsc sporo – przyznała. Ale to przecież tutaj są te gnoje, które tak mnie urządziły i tylko tutaj mogę to usunąć... albo zyskać szansę, żeby ich usunąć.

Poruszała przy tych słowach swymi ludzkimi ramionami i dłońmi, pozwalając mi zauważyć, że każdy z jej palców zakończony był nie tyle paznokciem, co prawdziwym, zakrzywionym szponem.

– No cóż, czas na mnie – powiedziałem, nie usprawiedliwiając się, a jedynie stwierdzając fakt. Czekał na mnie bowiem już wózek mający odwieść mnie do miasta. – Miło się z tobą rozmawiało. A jak mi się uda nakryć tego twojego pana Gneezera z łapą w kasie, gwarantuję ci, że nie zapomnę przekazać go w ręce Mistrza Kokula.

– To byłaby coś! – zachichotała złośliwie – przerwała na moment dla zaczerpnięcia oddechu, i dodała już łagodniej: – Słuchaj. Jeśli będziesz tu jeszcze kiedyś w okolicy, to zatrzymaj się i porozmawiaj ze mną. Większość ludzi traktuje mnie jak śmiecia. Od bardzo dawna jesteś pierwszą osobą, która była dla mnie miła i potraktowała mnie jak... istotę ludzką. – Zrobię to – przyrzekłem.

Ruszyliśmy, każde w swoją stronę, ja jednak zatrzymałem się po chwili i zawołałem:

– Hej... a jak masz na imię?

– Darva – krzyknęła. – Ponieważ nie mam teraz rodziny, jestem po prostu tylko Darwą.

Skręciła w boczną ścieżkę i odeszła. Patrzyłem za nią, obserwując jej pełne gracji ruchy. Zapamiętałem też sobie imiona Gneezera i Izil. Pewnego dnia rozliczę się z nimi.

Mijały miesiące, a ja coraz bardziej wrastałem w nowe otoczenie i z przyjemnością wykonywałem swoją pracę. Zala nauczyła mnie pływać i korzystaliśmy często z ciepłych wód zatoki. Nauczyłem się również żeglowania, chociaż nie było mnie stać na kupienie żagłówki i byłem zmuszony pożyczać łodzie od innych. Zala pracując przy tkaniu, oszczędziła dość pieniędzy, byśmy mogli sobie kupić parę importowanych rowerów, jak się okazało, z Cerbera. Dzięki temu zwiększył się zasięg moich wędrówek i miałem trochę wysiłku fizycznego w okresach, kiedy nie padało.

Od czasu do czasu do zatoki zawijały duże statki żaglowe, by zabrać nasze produkty i przywieźć to, co nam było potrzebne. Statki robiły na mnie ogromne wrażenie. Chociaż z tego, co wiedziałem, na Cerberze budowano duże stalowe statki, importowanie tutaj czegoś tank wielkiego i ciężkiego było zupełnie nieopłacalne. Statki na Charonie budowane były z twardego, miejscowego drewna i dlatego właśnie były tak imponujące. Zauważyłem, że odmieńcy stanowią bardzo wysoki procent

załóg. Pewne ich odmiany były szczególnie użyteczne przy pracach związanych z ożaglowaniem i olinowaniem statków, a także przy załadunku i wyładunku towarów. Pozostawali oni jednak na ogół na pokładzie, kiedy statek znajdował się w porcie, chociaż raz czy dwa wydawało mi się, iż widzę wypełnione nimi szalupy zdążające ku Parhara Point, gdzie podobno znajdowała się kolonia odmieńców.

Tallyego Kokula widywałem rzadko, trzymał się bowiem na uboczu i zajmował swoimi „badaniami”, a mnie nieczęsto bywał potrzebny. Jego czele zabawiali się od czasu do czasu niewłaściwie, tak że zmuszony byłem kilkakrotnie przesłać mu notatkę czy wpaść nawet do niego osobiście, jeśli tylko mogłem go zastać, by prosić o interwencję i utrzymanie ich w ryzach. Byli to przeważnie młodzi chłopcy, tyle że dysponujący znacznie większą mocą niż większość przeciętnych młodzieńców w ich wieku. Zastanawiałem się nieraz, co działo się z czelami płci żeńskiej, po czym doszedłem do wniosku, że dla kogoś, kto jest w stanie przemienić młodą kobietę w jakiegoś hybrydowego stwora, utrzymanie w tajemnicy płci swoich własnych i obiecujących czelów nie może stanowić problemu.

Niewiele docierało też do mnie informacji z centralnego rządu Charona, jeśli nie liczyć rutynowej korespondencji i instrukcji niezbędnych w mojej pracy. Sytuacja ta bardzo mi odpowiadała. Dlatego byłem bardzo zaskoczony, kiedy pewnego dnia wszedł do mnie jeden z urzędników i poinformował, że przybył właśnie bardzo ważny gość i oczekuje mnie w gabinecie Kokula.

– Radzę się pośpieszyć – dodał, wstrząsając się lekko. – Takiego chyba jeszcze nie widziałeś.

To wystarczyło, żebym popędził tam bez zwłoki. Już wchodząc do wewnętrznego gabinetu wiedziałem, co mój urzędnik miał na myśli. Zanim jeszcze ujrzałem naszego gościa wyczułem, iż coś jest bardzo ale to bardzo nie w porządku. Nie był to tylko mój stary „szósty zmysł” agenta czy jakiś inny, zwykły w takich wypadkach, niepokój – było to jak najbardziej realne, materialne nieomal uczucie niepokoju, prawie lęku, takie jakie występuje, kiedy masz włożyć rękę w wilgotny i ciemny otwór, nie wiedząc, co się znajduje po jego drugiej stronie.

Był wysoki i szczupły, ubrany od stóp do głów w czarną skórę zdobioną srebrnymi i złotymi deseniami. Twarz widoczna spod czarnego kaptura była bardzo szczupła i bardzo groźna. Jednak tym, co mnie najbardziej w nim uderzało, były oczy; wydawało się, że jest w nich coś dziwnego, nie całkiem ludzkiego. Ich źrenice nie były ciemne, ale robiły wrażenie przezroczystych, jak gdyby były oknami prowadzącymi do jakiegoś niezgłębionego, innego wymiaru. Efekt przez nie wywoływany mógłby odebrać odwagę każdemu. Kokul też to wyczuwał i po raz pierwszy, odkąd go poznałem, widziałem, że jest zaniepokojony. Ten mężczyzna nie był na pewno zwykłym człowiekiem. Był Mocą, groźną, potężną mocą nieznanego rodzaju. Zauważyłem, że chociaż dokoła było dość foteli, mężczyzna stał, jakby chciał zanegować i zneutralizować nastrój związany z normalną towarzysko sytuacją. Ja jednakże skinąłem głową Tully’emu i usiadłem. I tak zresztą głową sięgałem temu mężczyźnie jedynie do piersi. Nigdy przedtem, nawet w obecności Darvy, nie czułem się tak mały i tak słaby.

– Park, to jest Yatek Morah, z Zamku – powiedział Tully i w głosie jego wyczułem niepewność. Wstałem i wyciągnąłem rękę, ale Morah kompletnie ją zignorował. Usiadłem więc.

– Jakież problemy? – spytałem w najbardziej naturalny sposób, na jaki było mnie stać.

– Robię przegląd – odparł mężczyzna głosem zimnym i pozbawionym wszelkiej emocji, przypominającym głos robota z linii produkcyjnej. W ustach żywego człowieka był on irytujący, szczególnie na tej planecie, gdzie w ogóle nie mogło być robotów. Są pewne problemy związane z bezpieczeństwem terenów przybrzeżnych. Zdarzały się wypadki pirackich uprowadzeń statków na pełnym morzu. Znikały szybowniki z bardzo ważnym, powiedziałbym żywotnie ważnym, ładunkiem. Niebezpieczeństwo zagroziło też kilkakrotnie bardzo ważnym osobom. Moim zadaniem, jako Szefa Ochrony, jest skończyć z taką sytuacją.

Patrzyłem na Tully'ego w autentycznym zdumieniu. – Pierwszy raz słyszę o czymś podobnym.

– Ja, co prawda, słyszałem pewne pogłoski – odezwał się czarc. – Nie dotyczyły one jednak tych okolic.

– Właśnie dlatego tu jestem – powiedział Marah. – W ciągu ostatnich trzech tygodni zaatakowano bezpośrednio lub pośrednio, sześćdziesiąt – osad, położonych na południu i wschodzie wybrzeża. Zanotowano również ponad dwa tuziny incydentów w głębi lądu. Każda praktycznie społeczność na terenie o powierzchni przekraczającej dwa tysiące kilometrów kwadratowych została w jakiś sposób tym dotknięta. Każda, z wyjątkiem Bourget. Przesyłki, zapisy i co tylko, zostały zniszczone lub uszkodzone wszędzie, z wyjątkiem materiałów wysyłanych do i z obrośniętego tłuszczem, bogatego Bourget. Interesujący zbieg okoliczności, nieprawdaż?

– Przyznaję, że nie wygląda to na przypadek odparłem. – Ale nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógłby to zrobić i gdzie mógłby ten ktoś być. Jestem tu już od... od pięciu miesięcy i muszę powiedzieć, że nigdy przedtem nie spotkałem bardziej prostolinijnej i bardziej otwartej kultury od tej miejscowej.

– Kultury, która odmawia uznania Królowej i która ma największą na planecie liczbę czcicieli Niszczyciela – warknął Morah. – Kultury posiadającej środki, by wzniecić rebelię na dużą skalę.

– Tyle że jedyną rzeczą, jakiej pragną Unityci to pozostawienie ich w spokoju – zauważył Kokul.

Z ich punktu widzenia znajdują się oni jakby na innej planecie i chcieliby, żeby tak już pozostało.

– Tak to rzeczywiście wygląda – zgodziłem się z moim przedmówcą.

– Nie próbowałaś nawet zdusić tego kultu Niszczyciela – zauważył Szef Urzędu Ochrony.

– A cóż ja mogę zrobić? – Kokul wzruszył ramionami. – To przecież zawór bezpieczeństwa w przypadku takiej właśnie kultury, a ci, których schwytałem, byli autentycznymi fanatykami. Poza tym mają oni wśród siebie kogoś o wielkiej mocy; wiedzą dostatecznie wcześniej o moich zamiarach, bo potrafią się zmienić i przenieść gdzie indziej, kiedy tylko uzyskam informacje o miejscu ich pobytu. Zupełnie jak gdyby mieli kogoś w moim własnym laboratorium.

– Może i mają – odparł Morah. – Może już zbyt długo tu jesteś, Kokulu.

Twarz czarownika poczerwieniała. Wstał z fotela. Nigdy przedtem nie widziałem jego gniewu i muszę przyznać, że wyglądał bardzo groźnie.

– Czy podajesz w wątpliwość moją lojalność? Nawet ty nie masz prawa tego czynić, Morahu!

Ten wysoki, niesamowity mężczyzna pozostał jednak nieporuszony.

– Mam wszelkie prawo robić to, co uważam za konieczne – odparł.

Wyglądało jednak na to, iż uświadomił sobie nagle, że przekroczył granice dyplomacji, pozwalającej uzyskać współpracę bez konfliktów, bowiem zaraz dodał:

– Nie podaję w wątpliwość twej lojalności. Gdyby tak było, postawiono by cię przed Synodem, jak dobrze wiesz. Nie, ja jedynie zauważyłem, że jesteś tutaj już bardzo długo. Tobie odpowiada to miasteczko i jego odosobnienie, a ponieważ utrzymujesz bliskie stosunki z ludźmi, ich stosunek do ciebie jest równie bliski. Być może posiadasz moc niezbędną, – by wykonać to, co należy wykonać, jednak brak ci do tego woli. Ja takich problemów nie mam.

Słowa te tylko częściowo uspokoiły Kokula, który ponownie usiadł w fotelu.

– Zwołasz całą serię zgromadzeń wszystkich mieszkańców miasteczka – powiedział Morah. – Mają się stawiać w pięćsetosobowych grupach co godzinę... i nie obchodzi mnie, czy to zdezorganizuje normalne życie na dzień czy dwa. Podobnie postąpię z Firmami. O ile właściwie rozumiem Unitytów, byłiby oni jeszcze mniej tolerancyjni od nas samych, gdyby odkryli w swych szeregach czcicieli Niszczyciela. My ich zdemaskujemy. Pozwolimy, by twoi wspaniali wieśniacy zobaczyli wreszcie, kto jest kim. A następnie zlikwidujemy ten kult w Bourget.

– Co konkretnie zamierzasz uczynić? – spytałem, usiłując patrzeć wprost w te niesamowite oczy.

– Moje najlepsze oddziały w tej chwili zamykają miasteczko szczelnie zarówno od lądu, jak i od morza – odpowiedział. – Dla tej bandy zdrajców nie będzie drogi ucieczki. Bądźcie obecni jutro na pierwszym, porannym zgromadzeniu. Prawdopodobnie następne okażą się zbędne. Sądzę, że dla was obydwu to ćwiczenie okaże się pouczającym doświadczeniem.

Rozdział ósmy

I POWSTAŁ PIEKIELNY TUMULT

– A kimże jest ten Yatek Morah, że może się tak pojawić ni stąd ni zowąd i wydawać wszystkim rozkazy? – pytała Zala.

– Twierdzi, że jest Szefem Ochrony, a ja wiem niewiele więcej ponad to, że Tully boi się go i że Yatek przybywa wprost od Aeolii Matuze.

– Nie uważam, żeby miał prawo robić to, co chce. Mam ochotę wcale się tam nie pojawić. Przyglądałem się jej, zastanawiając się nad tym nagłym pokazem odwagi... czy rzeczywiście odwagi? Nie potrafiła zbyt dobrze ukrywać swych uczuć i teraz również w jej oczach dojrzałem cień lęku i niepewności. Przez chwilę zastanawiałem się również nad możliwością istnienia czegoś; jakiejś tajemnicy, której byłem zupełnie nieświadomy.

– Musisz iść – powiedziałem. – Wszyscy musimy. Jeśli ktokolwiek z tej listy pomimo rozkazu nie pojawi się, zostanie automatycznie napiętnowany jako wróg ludu z wszelkimi tego następstwami. A poza tym widziałaś te statki?

Skinęła nerwowo głową.

– Nie wiem, jak liczne oddziały ma on ze sobą, ale są to świetnie przeszkoleni i groźni wojownicy i według Tully'ego wszyscy są co najmniej czelami.

Zamilkłem na chwilę, dając jej trochę czasu na przetrwanie tej informacji.

– Poza tym... nie jesteś zainteresowana tym, co zamierzają uczynić?

– Chyba... chyba tak. W porządku, idziemy.

Poszliśmy razem drogą na rynek. Wszystko było pozamykane, nawet bank, i panował ogólny nastrój obłędu. Nie podobał mi się ten nastrój: ten niesamowity spokój, napięcie tak zgęstniałe, że czuło się niemal jego dotyk, jak dotyk pajęczyny czy gęstej mgły, i to pomimo jasnego, bezdeszczowego poranka.

Większość z tej pierwszej grupy zebrała się już na rynku i wokół niego. Rynek bez ulicznych sprzedawców i kawiarnianych stolików wyglądał dziwnie pusto. W samym jego środku, na kawałku trawnika, gdzie kilka miesięcy wcześniej odbył się nasz uroczysty ślub, wzniesiono niewielkie podwyższenie. Cztery ulice prowadzące na rynek wypełnione były oddziałami żołnierzy w czarno – złocistych, cesarskich mundurach Charona. Uderzył mnie ich złowrogi wygląd, a także fakt, że uzbrojeni byli w równie groźnie wyglądającą broń nieznaną mi konstrukcji. Rozejrzałem się po dachach budynków handlowych i popatrzyłem na dach ratusza, wszędzie tam zauważyłem oznaki jakiegoś ruchu, o którym świadczyły niespodziewane refleksy świetlne. Morah nie ryzykował. Nie miałem pojęcia, czym strzelano z tej broni, ani jaki był jej zasięg, ale byłem pewien, że siły te są w stanie zmieścić wszystkich obecnych na placu. Nie była to zbyt pocieszająca refleksja.

Zala zerknęła na żołnierzy i przetykała nerwowo ślinę, ściskając przy tym moją dłoń.

– Park?

– Tak?

– Trzymajmy się blisko Tully’ego. Przynajmniej będziemy mieć jakąś ochronę.

– Niezły pomysł, o ile oczywiście uda nam się odnaleźć go w tym tłumie. – Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem czarownika. – Spróbujmy poszukać go w ratuszu. Stamtąd zresztą miał wyjść sam Morah.

Skinęła głową i zaczęliśmy przedzierać się przez tłum zaniepokojonych ludzi; kręcili się tam i z powrotem, zerkając na żołnierzy i z rzadka się tylko odzywając. Byliśmy już przy drzwiach wejściowych; kiedy te otworzyły się nagle i pojawili się w nich Morah i Kokul w otoczeniu czterech żołnierzy. Zala zatrzymała się na widok szefa ochrony; wydając cichutki okrzyk w momencie, kiedy ujrzała jego dziwne i straszne oczy. Morah nie zwrócił na nas jednak najmniejszej uwagi i wykorzystując do utorowania mu drogi swą straż przyboczną, jak zauważyłem: cztery kobiety, celowo wybrane, by przytrzymać Unitytom nosa, skierował się ku podwyższeniu. Tak naprawdę ta straż przyboczna nie była mu zupełnie do niczego potrzebna; nikt nie ośmieliłby się stanąć mu na drodze.

Tully poszedł za nim, ale na podwyższenie nie wszedł. Chciałem do niego podejść, ale Zala powstrzymała mnie.

– Nie. Zostańmy lepiej tu, przy budynku, obok wejścia – zaproponowała z jakąś nadzieją w głosie. Rozejrzałem się i zrozumiałem, co ona na myśli.

W wypadku jakiegś strzelaniny był to doskonały punkt odwrotu, a na dodatek, na dobrze mi znanym terenie.

Morah, stojący samotnie tam na podwyższeniu, był bez wątpienia postacią imponującą. Widziałem te jego niesamowite oczy badające zarówno tłum, jak i rozmieszczenie własnych oddziałów. W powietrzu wyczuwało się pełne napięcia wyczekiwanie, jak gdyby każdy z obecnych wiedział, że za chwilę rozpocznie się coś wyjątkowego; że nastąpi coś złego. Nawet Zala wydawała się mieć podobne odczucia. Jeśli zaś chodzi o mnie samego, to cóż, należałem przecież do tych,

którzy znajdowali się po właściwej stronie... i wręcz nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć, jak działają ci ważniacy. Za długo już było tu nudno.

Wreszcie Morah wydawał się zadowolony z tego, co zobaczył. Podejrzywałem, że celowo przedłuża to wszystko z powodów psychologicznych, doprowadzając obecnych do stanu nerwowości i podniecenia. Zgromadziła się tu jedna dziesiąta mieszkańców, a wśród nich większość najważniejszych obywateli i mieli oni zapewne posłużyć za przykład dla innych.

– Obywatele Bourget – zaczął głosem wzmocnionym echem niesionym przez ściany stojących wokół budynków, co dodawało mu jeszcze siły u powagi: Dzięki za przybycie. Charon od dawna ceni sobie Bourget i jego pracowitych mieszkańców, tak istotnych dla pomyślności całej planety. Wyrażamy głęboki żal z powodu podjęcia tych środków, a ja, Yatek Morah, Szef Urzędu Ochrony, chcę zapewnić tych, którzy uważają się za lojalnych obywateli, że nie mają się dzisiaj czego lękać. W rzeczywistości jestem tutaj właśnie dlatego, gdyż zagrożony jest wasz spokój i pomyślność, a zagrożenie to, którego możecie być nawet nieświadomi, mogłoby was zniszczyć, gdyby nie zostało w porę powstrzymane. Dzisiaj wrogowie Bourget i Charona zostaną zdemaskowani, ujawnieni i odpowiednio potraktowani, dzięki czemu wszyscy poczujemy się znacznie bezpieczniej.

Zamilkł na chwilę, dając im czas na przetrwanie tych słów. Byłem pod wrażeniem tego zmiękczenia obecnych, świadczyło ono bowiem o niezłej znajomości psychologii u przemawiającego. Naturalnie już za chwilę pojawi się coś ostrzejszego, ale to byli prości ludzie i większość z nich nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Przybywam tu dzisiaj, by powiedzieć wam o zdradzie – ciągnął Morah. – Przybywam, by powiedzieć wam o statkach napadanych przez piratów, o zrabowanych skarbach, o porwanych i zamordowanych osobistościach. Ta plaga opanowała nasze ukochane ziemie, choć nie dotknęła jeszcze Bourget.

I znów nastąpiła dramatyczna przerwa.

– I naturalnie, musimy zadać sobie pytanie: a dlaczego nie Bourget? Czyż nie jest ono najbogatszym i najbardziej tłustym kąskiem, czyż nie jest doskonałym celem dla takiego wroga? Mimo to nie mogliśmy dopuścić do siebie myśli, że samo Bourget mogłoby brać w tym czynny udział. Bourget było dobre dla Charona, a Charon był dobry dla Bourget. Cóż tedy mamy o tym wszystkim myśleć?

W tłumie rozległy się szepty i pomruki. Zauważyłem, że kilka osób rozgląda się niepewnie wokół lub wręcz niepostrzeżenie wycofuje się na skraj tłumu. Bardzo, bardzo interesujące.

– To oczywiste – ciągnął szef ochrony – że nasi wrogowie są w Bourget, pochodzą z Bourget, choć pozostają nieznanymi dla lojalnych i miłujących pokój jej mieszkańców. A skoro są oni wśród was, żyją wśród was i popełniają te okropne zbrodnie, to tym samym rosną w siłę, bogacą się i nabierają pewności siebie. W końcu przejęliby tutaj władzę i zdominowali waszą społeczność.

Ponownie rozległy się szepty i pomruki. Zauważyłem, że tym razem żołnierze przybrali postawy wskazujące na pełną gotowość do akcji. Zaczynałem się domyślać, o co chodzi Morahowi;

przypomniałem sobie słowa Garala o tym, że czary skuteczne są jedynie wówczas, kiedy ofiara jest ich świadoma. Cóż, ktokolwiek w tym tłumie brał udział w działalności wywrotowej, na pewno był świadom sytuacji... i praktycznie nie miał wyjścia, o czym przekonało się kilka kobiet wymykających się w boczną uliczkę, kiedy zostały nagle zatrzymane i zawrócone przez stojących tam żołnierzy.

– Cóż on zamierza uczynić? – wyszeptała Zala. – Zamierza rzucić czar na przestępców – odpowiedziałem. – Przynajmniej tak się domyślam.

– Jestem Szefem Urzędu Ochrony – przypominał im Morah. – I posiadam ogromną moc, odpowiadającą moim tytułom i moim obowiązkom.

Wzniósł ramiona wysoko nad głowę i zaczął nucić jakieś nie mające sensu sylaby, ale ja już kiedyś byłem świadkiem czegoś podobnego. Tully zwał je „środkami wspomagającymi koncentrację”, a zwykli ludzie nazywali je po prostu czarami.

Ramiona powoli opadły, a scena wydała się wypełniona jedynie owymi niesamowitymi oczyma. Wyciągnął ramiona do tłumu, a ten cofnął się instynktownie. Zauważyłem, że Kokul przyglądał się z zainteresowaniem wypadkom, jednak sam nie brał w nich żadnego udziału.

Morah przestał nucić i zastygł w pozycji, jaką przed chwilą przybrał, z obydwojema ramionami skierowanymi w stronę tłumu.

– A teraz w obecności was wszystkich – zaintonował – niniejszym przeklinam tych, którzy są zwolennikami Niszczyciela, Władcy Nicości i którzy słuchają jego rozkazów. Niech ci zdrajcy ujawnią swą tożsamość w obecności wszystkich zgromadzonych tutaj przyzwoitych mężczyzn i kobiet... teraz!

To było zadziwiające widowisko. Z jego palców wytrysnęły jaskrawe, żółte iskry i poszybowały we wszystkich kierunkach wprost w tłum. Z różnych miejsc rozległy się wrzaski i krzyki. Wiele osób dosłownie zawyło, łapiąc się przy tym za czoło. Stojąca opodal kobieta wrzasnęła i w przerażeniu i w trwodze odwróciła się w naszą stronę, wywołując u mnie jęk zdumienia, kiedy ujrzałem wystające z jej czoła dwa krótkie a grube, diabelskie rogi.

– Spójrz na to! – wykrzyknąłem zwracając się do Zali. – Ja... – zamilkłem wstrząśnięty.

Zala, zszokowana i śmiertelnie przerażona, obmacywała swą własną parę rogów.

– Och, nie! Tylko nie ty!

– Nie ja... – patrzyła na mnie wzrokiem, będącym mieszaniną lęku i zaskoczenia.

Słowa jej jednak zostały gwałtownie ucięte, a ja mogłem jedynie obserwować dziwną i niesamowitą transformację, której zaczęła podlegać. Jej ciało wydawało się w ciągłym ruchu, pod wpływem jakiejś siły przekształcającej jej każdy mięsień i przeobrażającej ją na moich oczach w kogoś zupełnie innego: Przez chwilę sądziłem, że to rezultat czarów, ale szybki rzut oka wokół wyprowadził mnie z błędu. Usłyszałem strzały i zobaczyłem jak kilka osób, które usiłowały wydostać się w boczną uliczkę, pada pod ogniem na ziemię i leży tam wijąc się i jęcząc z bólu.

– Trzymajcie ich, uczciwi obywatele! – rozkazywał Morah. – Zatrzymajcie ich dla nas!

Kiedy zwróciłem ponownie wzrok na stojącą obok mnie kobietę, z trudem jedynie mogłem rozpoznać w niej Zalę Embuay. Wydawała się większa, silniejsza, a twarz i oczy zdawały się należeć do kogoś innego, kogoś, kogo w ogóle nie znałem. Spojrzała na mnie i odezwała się cichym, lecz energicznym głosem:

– Biegnij do wnętrza ratusza... szybko! Dla swego własnego dobra!

– Co, do diabła? – tylko tyle udało mi się z siebie wydusić, chwyciła mnie bowiem brutalnie, jak gdybym był szmacianą lalką, i wepchnęła do wnętrza budynku. Nie musiałem być geniuszem, by zorientować się, że po raz pierwszy znalazłem się w obecności tej drugiej, ukrytej Zali Embuay... A i to uświadomiłem sobie na bardzo krótko. Zanim zdążyłem powiedzieć choć jedno słowo, pobiegła w głąb ratusza i zniknęła mi z oczu. Przez moment zastanawiałem się, czy nie pobiec za nią, ale uświadomiłem sobie, jak niewiele mogę zdziałać, a i ona sama ma także mało możliwości, jeśli wziąć pod uwagę obecność żołnierzy na dachu i przy wszystkich wyjściach. Zostałem więc przy drzwiach wejściowych i wyjrzałem na plac.

Masakra rozpoczęła się zgodnie z planem. Na oko, oceniłem, że jakimś trzydziestu czy czterdziestu osobom wyrosły rogi; z tego co mogłem dostrzec, samym kobietom. Tłum, odpowiednio przygotowany, zachowywał się zgodnie z oczekiwaniami Moraha, rzucając się na swoich byłych przyjaciół, a także krewnych i pomagając – sprawnym zresztą żołnierzom – w ich ujęciu.

Nagle placem wstrząsnęła seria wybuchów, a po nich usłyszałem dobrze mi znane z przeszłości dźwięki. Pistolety laserowe! A przecież na Charonie nie powinny one w ogóle działać!

Promienie ogłuszające omiatały plac, obalając ludzi całymi tuzinami, podczas gdy opodal, na dachu budynków słychać było ostrą wymianę ognia pomiędzy żołnierzami i... Kim? Zdałem sobie sprawę, że nie znam odpowiedzi na to pytanie, a z mojego bezpiecznego schronienia nie mogłem tego zobaczyć.

W pobliżu podwyższenia ujrzałem Tully'ego Kokula w zdumieniu patrzącego na scenę wokół siebie. Usta miał szeroko otwarte. Jednak promienie omiatające plac wydawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia; nie wyglądał też na zmartwionego.

Morah wykrzykiwał rozkazy do swoich oddziałów wprost z podwyższenia. Podobnie jak Kokula, nic go się nie imać, co niewątpliwie świadczyło o olbrzymiej mocy tych dwóch mężczyzn, mocy, która w tym momencie byłaby i dla mnie wielce przydatna i zapewniłaby mi wewnętrzny spokój.

Raptem cała ta strzelanina umilkła. Rynek wyglądał jak miejsce jakiejś makabrycznej masakry, chociaż znając charakter promieni, z doświadczenia wiedziałem, że ludzie ci są tylko nieprzytomni.

Morah, świadom nagłej ciszy, zaprzestał wydawania rozkazów i zwrócił wzrok na dachy budynków.

– Słuchaj, Morah! Nie ruszaj się z miejsca, dopóki nie zabierzemy swoich ludzi, a nie podejmiemy żadnych dodatkowych środków! – doszedł mnie głęboki, ochryply głos. – Ciebie to też dotyczy, Kokul. Nie mamy ochoty was zabijać... ale uczynimy to w razie potrzeby.

Czarownik Bourget wydawał się uśmiechać przez ułamek sekundy, po czym spojrzał na Szefa Ochrony. Twarz Moraha jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć, jednak zarówno jego oczy, jak i postawa wskazywały, że cały aż się wewnętrznie gotuje.

– Masz czelność występować przeciwko mnie? rzucił gniewnie Morah. – Jeśliś to ty, Korilu, to z przyjemnością przyjmuję wyzwanie. Jeśli zaś nie, to nie mam się w ogóle czego obawiać!

Serce mi zabiło mocno w piersi, – kiedy usłyszałem imię Korila. Koril! To już naprawdę się zaczyna! Zacząłem się zastanawiać, czy wszystko to właściwie nie zostało celowo zainscenizowane. Być może Matuze tak jak i ja zaczęła się nudzić albo zniecierpliwilo ją już oczekiwanie. Cóż, teraz zaczęło się autentycznie coś dziać...

Po krótkiej przerwie z dachów otwarto ogień z ciężkiej broni wprost w Yateka Moraha, podwyższenie i jego otoczenie. Nie użyto prawdziwych dewastatorów ze względu na żywych, tyle że nieprzytomnych ludzi, ale użyta artyleria była w stanie rozłożyć na atomy wszystko, w co uderzała, a trafiła ona bezpośrednio również w Moraha. Tully Kokul uskoczył w dok, podczas gdy całe podwyższenie zatrzęszczało, rozpadło się, zapłonęło białym płomieniem i wreszcie wyparowało, pozostawiając po sobie tylko dwumetrowej głębokości krater.

Yatek Morah stał w powietrzu na wysokości jakichś czterech metrów, w miejscu gdzie przed chwilą znajdowało się podwyższenie. Ogień ciągle bił w niego, a on wydawał się go nie zauważać, a przynajmniej nie przejmować się jego gwałtownością. Rozglądał się wokół. Zorientowałem się, że – jak na niego – były to jednak dość nerwowe spojrzenia. Powstrzymywał on tę skoncentrowaną kanonadę samą siłą woli, wspomaganą być może przez umieszczone pod ubraniem neutralizatory, ale zdawał sobie sprawę, że długo to nie może potrwać.

Nagle począł rosnać i rozszerzać się, stając się raptownie ogromnym, trójgłowym, przypominającym smoka potworem, wznoszącym się wyżej i wyżej ponad dymiącym lejem. Był to przerażający widok. Stwór ten rósł i rósł, aż cień jego przykrył cały plac. Natężenie kanonady zmalało, po czym powróciło do poprzedniego poziomu, a ogromny potwór z wyzywającym rykiem i sykiem, wydobywającym się z jego trzech głów, wystrzelił w powietrze jak rakietą i zniknął błyskawicznie w przestworzach.

Kanonada ustała. Pozostała sceneria masakry i ogromny, bulgoczący kocioł w miejscu, gdzie przedtem był plac. Pewna liczba osób, które straciły przytomność pod wpływem promieni ogłuszających, zginęła; większość jednak wycofała się z placu podczas ogólnego zamieszania.

Muszę przyznać, że ja sam byłem z lekka oszołomiony wydarzeniami i musiałem przypomnieć sobie całe swe wykszolenie i doświadczenie, by odzyskać równowagę. Wszystko to stało się tak szybko i większości wydarzeń nie byłem w stanie przewidzieć. Po pierwsze: Zala, Fakt, że być może od samego początku była częścią tutejszej opozycji i ani mi o tym nie powiedziała, ani się niczym nie zdradziła. I stąd ta jej transformacja na moich oczach w kogoś zupełnie innego. A potem atak na

Moraha, po którym nastąpiło z kolei jego przeistoczenie w przerażającego, trójgłowego smoka.

A teraz? Zdawałem sobie sprawę ze swej samotności w tym momencie i z faktu, że znajduję się poza głównym nurtem wydarzeń, a przecież chciałem w nich bezpośrednio uczestniczyć. Patrzyłem na plac i w napięciu nasłuchiwałem. Żadnych odgłosów świadczących o użyciu ciężkiej broni czy promieni. Skończyło się już, cokolwiek to było. Przyjdą i zabiorą swoich, rozpoznając ich po rogach i przeniosą do nowych nieznanych baz. Albo więc tu zostanę, gnijąc z bezczynności, albo wyjdę na zewnątrz i spróbuję wziąć aktywny udział w wydarzeniach.

Otworzyłem drzwi i ostrożnie wyszedłem na zewnątrz, trzymając się blisko muru budynku i przywołując całe swoje doświadczenie, by stać się jak najmniej widocznym celem dla kogoś, kto nie potrafi utrzymać nerwów na wodzy. Przyznaję, że w tej sytuacji czułbym się o wiele pewniej mając w ręku pistolet laserowy.

A przecież musiałem być na zewnątrz, choćby po to, by nawiązać jakieś kontakty. Zastanawiałem się, gdzie też może być teraz Zala. Jeśli tkwiła w tym aż po uszy – a na to wyglądało – byłaby mi bardzo przydatna; potrzebowałem przyjaciela, który wprowadziłby mnie we właściwe towarzystwo.

Przez kilka minut nikt się nie poruszał, z wyjątkiem kilku biedaków, postrzelonych w pobliżu skrzyżowania. Najwyraźniej promienie już ich tam nie dosięgły. Ze znajdujących się w pobliżu żołnierzy pozostały jedynie krwawe strzępy, a krew ich zbryzgała czyste, białe ściany budynków.

Wkrótce jednak na plac – a raczej na to, co z niego pozostało – zaczęły napływać jakieś postaci. Pierwsze pojawiły się dwa okropnie wyglądające stwory, które sfrunęły z pobliskiego dachu. Były to dziwne istoty, pokryte zarówno futrem, jak i złocistymi i brązowymi piórami. Ich nietoperzowe skrzydła nie zwijały się i nie przylegały do ciała, a jedynie składały się w formie akordeonu na ich grzbietach. Posiadały obrzydliwe, ptasie głowy z wielkimi oczami i dziobami, które – mimo swego wyglądu – robiły wrażenie ludzkich. Były tak okropne, że przez moment myślałem, że jest to jakiś miejscowy, charonejski gatunek padlinożerców. Jednak celowość ich ruchów i sposób, w jaki oglądali i sprawdzali nieprzytomnych i martwych wskazywał, iż są odmieńcami. Nie dziwiło mnie uczestnictwo odmieńców w tych wydarzeniach, ale fakt, że dwa spośród nich wyglądają identycznie był wielce interesujący.

Na gest wykonany przez wielkie, szponiaste łapy, ze wszystkich głównych ulic wychyły koszmarnie stworzenia, stworzenia, które mogły jedynie powstać w umyśle człowieka, a nie w wyniku ewolucji. Kudłate, małpie stwory, czołgające się, chodzące na czterech łapach, skaczące, pływające – cała nie kończąca się kolekcja człekopodobnych monstrów, tym bardziej przerażająca, że w ich ruchach i gestach, a czasami także w ich rysach można było dostrzec tkwiące gdzieś w głębi człowieczeństwo. Nie wszystkie jednak budziły odrazę; niektóre były piękne i pełne gracji i przypominały owe egzotyczne stworzenia z ludzkich mitów i wyobrażeń.

Rozglądałem się szukając jakiegoś śladu Zali czy chociażby Tully Kokula, ale nie dostrzegłem żadnego z nich. Odczułem nagle z całą mocą swą samotność na tym placu, gdzie byłem jedyną całą i przytomną istotą ludzką, nie naznaczoną żadnym czarem jako przyjaciel lub wróg. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości, czy dobrze uczyniłem wychodząc na zewnątrz. Powoli zacząłem się wycofywać w

kierunku drzwi wejściowych, kiedy nagle dwa stworzenia: jedno wężowate i wyposażone w macki, a drugie szare i przypominające prymitywną, kamienną rzeźbę – spostrzegły moją obecność. Niewiele mogłem uczynić. To one miały broń, więc tylko się wyprostowałem, odszedłem od ściany i uniosłem ręce do góry.

– Chwileczkę! Nie strzelajcie! – zawołałem. – Nie jestem waszym wrogiem. Jestem mężem Zali! No, wiecie... Zali. Jednej z waszych!

Istota wyglądająca jak chodzące drzewo powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, do tej wężowatej. Ta jej odpowiedziała. Dostrzegłem wzruszenie ramion i niezdecydowanie u tych bardziej niż inne humanoidalnych, które przerwały na chwilę swą pracę, związaną z ustalaniem tożsamości rogatych ofiar wydarzeń.

I wtedy podszedł do nich człowiek – żaba i powiedział zupełnie wyraźnym głosem:

– To miejski księgowy, przedstawiciel rządu. Pozbądźcie się go!

Jedna ze skrzydlatych istot skinęła głową, wyciągnęła pistolet i wymierzyła we mnie.

– Chwileczkę! Czekaście! – wrzasnąłem...

W tym momencie poczułem silne uderzenie i straciłem przytomność.

Rozdział dziewiąty

ODMIENIEC

Odzyskiwałem powoli przytomność, ale byłem bardzo słaby i odczuwałem takie zawroty i ból głowy, jak nigdy przedtem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że pojękuję, byłem jednak tylko na wpół przytomny i nie potrafiłem jeszcze składować myśli. Świadom byłem natomiast faktu, iż gdzieś mnie niosą, na czymś w rodzaju noszy i że poruszają się bardzo szybko. Udało mi się podnieść powieki i zauważyć, że jest już ciemno. Jak długo więc byłem nieprzytomny?

Usłyszałem rzucony ostrym tonem rozkaz, po którym niosący mnie zwolnili, zatrzymali się i postawili nosze na ziemi. Światło było słabiutkie, a i ja nie widziałem jeszcze zbyt ostro, jednak wydawało mi się, iż idący z przodu noszowy wyglądał jak karykatura jakiegoś wielkiego ptaka. Karykatura. To dobre określenie dla wszystkich odmieńców, których do tej pory widziałem. Obraz białej, pierzastej głowy z ogromnymi oczyma i szerokim, płaskim, pomarańczowym dziobem przenikał do mego, ciągle ledwie półprzytomnego mózgu, i pozwalał uprzytomnić sobie rzecz oczywistą: nie zabili mnie, ale, dla siebie znanych powodów, zabrali ze sobą! Znów znajdę się w grze... O ile moja głowa zacznie na powrót normalnie funkcjonować.

Ptakowaty stwór napełnił kubek jakimś płynem z wiszącej u jego biodra tykwy.

– Wypij to – zaskrzeczał gardłowym, niezupełnie ludzkim głosem. – No pij, poczujesz się lepiej.

Udało mi się chwycić kubek i z pomocą jego białej, niemal ludzkiej dłoni zbliżyć go do ust. Trochę paliło w gardło, ale smakiem przypominało owocową brandy. Usta miałem wysuszone i byłem bardzo spragniony. Troszkę napoju mi się rozlało, ale nie za wiele. Wypiwszy, ponownie opadłem na nosze.

– Nic mu nie będzie – odezwał się ten ptakowaty do swego towarzysza, którego nie udało mi się dostrzec. – To go podtrzyma do czasu, dopóki nie dotrzemy do Starej Kobiety.

– O to mi właśnie chodzi – odpowiedział mu kobiecy głos, który wydawał mi się co prawda znajomy, ale którego w żaden sposób nie mogłem umiejscowić.

– Zala? – wydusiłem z trudem, chrapliwym głosem.

– Siedź cicho – odpowiedział mi głos i po chwili nasze uniosły się i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Do końca tej wędrówki nie przejaśniło mi się całkowicie w głowie, choć ból ustąpił już zupełnie. Byłem półprzytomny, niezdolny jednak poruszać się, czy mówić, a świat wokół widziałem zamazany, jak w sennym marzeniu. Domyśliłem się, że podano mi jakiś narkotyk zawierający środki uspokajające, ale nie wiedziałem, czy uczyniono to, by zmniejszyć ból, czy też by przeciwdziałać mojemu wyzdrowieniu... A może chciano uzyskać obydwie te cele jednocześnie. Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło.

Byłem całkowicie po – zbawiony poczucia czasu, ale wiem, że było jeszcze ciągle ciemno, kiedy zwolniliśmy i zbliżyliśmy się do czegoś, co w słabym świetle płonącego w ciemnościach ogniska wyglądało na jaskinię. Z daleka dobiegł mnie odgłos uderzenia pioruna, informujący o zbliżaniu się nieuniknionych charonejskich opadów. Jaskinia okazała się jednak celem naszej wędrówki i wniesiono mnie do niej, nim na dobre lunęło.

Wejście do jaskini było niewielkie, ale jej wnętrze złożone z jednej dużej komory okazało się bardzo obszerne, chociaż nie byłem w stanie precyzyjnie ocenić jego rozmiarów. Pośrodku komory płonęło ognisko, jedyne źródło światła. Dym wznosił się wprost w górę, co świadczyło, że jest tam jakiś otwór wentylacyjny.

Na zewnątrz jaskini było gorąco, ale wewnątrz można się było upiec i gdyby nie mój stan, natychmiast uciekłbym stamtąd. W moim stanie mogłem tylko nieruchomo leżeć i sływać potem, mając przed oczyma wyobraźni obraz samego siebie obracanego na różnie nad płomieniami.

W jaskini znajdował się ktoś jeszcze – bardzo stara kobieta, ubrana w czarny strój, zakrywający całkowicie jej ogromne ciało. Przykuśtykała do nas, podpierając się zakrzywionym kijem jak laską i gestem nakazała postawić nasze na ziemi. Ptakowaty stwór zwrócił się do kogoś, kogo nie mogłem widzieć i powiedział:

– W porządku, teraz jesteśmy już kwita, Darva. Mam nadzieję, że naprawdę o to ci chodziło.

Darva! Prawie już o niej zapomniałem. Nie widziałem jej i nie rozmawiałem z nią od tamtego pierwszego razu, chociaż szukałem jej zawsze, kiedy odwiedzałem Thunderkor. Mimo że byłem pod wpływem narkotyku; poczułem się znacznie różnie, wiedząc, że mam tu przyjaciela i to takiego, który uratował mi życie.

Przesunęła się w pobliże starej kobiety i mogłem ją wreszcie zobaczyć. Górowała zdecydowanie wzrostem nad kobietą w czerni, która sama nie była ułomkiem, choć niewątpliwie była jak najbardziej istotą w pełni ludzką, a nie odmieńcem.

– Witam cię całym swym sercem, Babko – powiedziała – do staruszki.

Stara kobieta cofnęła się o krok i przyglądała się jej ciemnymi, mądrymi oczyma.

– Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa – odezwała się ochryplym głosem. – Lękałam się, że wielu utraci życie.

– Zabito dwanaścioro spośród nas – powiedziała Darva. – To mniej niż się spodziewaliśmy. Tamtych zginęło prawie dwustu.

– To dobrze – stara kobieta skinęła głową. – Jednak tamci wprowadzą wkrótce terror nie do wyobrażenia. Teraz są jeszcze rozproszeni i nie przegrupują się w ciągu kilku najbliższych tygodni w tych swoich dalekich, specjalnych miejscach. A co z wami? Cóż wy uczynicie?

– Wiesz, że Isil nie żyje, a jego panowie uciekli.

Darva westchnęła.

– Wiem – odparła stara kobieta, z odcieniem smutku w głosie. – Pozostaniesz odmieńcem na zawsze, a żadnemu ze starych odmieńców nie wolno będzie powrócić do Bourget.

– Tak, wiem – powiedziała Darva. – Lecz to, co uczyniłam, uczyniłam z zemsty, a nie z lojalności wobec tych, których nawet nie znam.

– Nie przyłączysz się do innych w wyznaczonym czasie?

– Jeszcze nie podjęłam decyzji, Babko – wzruszyła ramionami:

– To o nim mówiłaś? – stara kobieta popatrzyła na mnie.

Darva skinęła głową.

– Był dla mnie miły wtedy, gdy wszyscy się ode mnie odwrócili. Nie jest taki, jak inni. Proszę cię więc teraz o ostatnią przysługę, Babko.

Ciągle półprzytomny, byłem jedynie w stanie słuchać tej rozmowy, ale nie potrafiłem ani pojąć jej znaczenia, ani się do niej przyłączyć.

– Czy on się zgadza? – spytała stara kobieta. Darva odwróciła się i wskazała na mnie palcem. – Widzisz, co z nim zrobili? Już mieli go zastrzelić, kiedy ich powstrzymałam. Bez tej interwencji byłby martwy już od dwunastu godzin. Czyż to nie daje mi takiego prawa?

– Zgodnie z naszymi uświęconymi prawami, tak przyznała staruszka. – Jednak on może okazać się kimś innym, niż sądzisz, jeśli narzucisz mu swoją wolę.

– A jaki będzie miał wybór? – zamilkła na chwilę. – Poza tym... jeśli nie on, to kto? Przecież to jedyny powód utrzymujący mnie przy życiu:

– Wobec tego, jest to dla mnie powód więcej niż wystarczający – stara kobieta uśmiechnęła się wyrozumiale. Podeszła do mnie kołyszącym się krokiem i zbadała mnie dokładnie, jak lekarz przed operacją.

– Brzydka rana głowy. Pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu.

Również Darva zbliżyła się i popatrzyła na mnie. Ciągłe była tą samą egzotyczną piękną, z jasnozieloną karnacją i ciemniejszą zielenią warg i włosów, które czyniły ją jeszcze bardziej pociągającą. Jednak tym razem zauważyłem te nieczłowiecze elementy, w które wyposażył ją nieżyjący już artysta: małe, spiczaste, ruchliwe uszy i duże nieforemne, szorstkie dłonie, bardziej zwierzęce niż te, które pamiętałem. Ostry, zakrzywiony róg, długi na jakieś pięćdziesiąt centymetrów, okazał się zakrzywioną kością, której warstwy nakładały się na siebie, jak pierścienie o coraz mniejszej średnicy, tworząc na końcu zaostrowany czubek.

– Czy uda ci się go naprawić? – spytała zaniepokojona.

– O tak – stara kobieta skinęła głową. – Choć uderzenie było tak silne, że zabiłoby zapewne większość mężczyzn. On jednak ma silną wolę przetrwania. Dobre *wa*, silne *wa*, już pędzi w jego wnętrzu, by naprawić szkody. Pomożemy temu *wa*.

– Kiedy?

– A dlaczegoż by nie teraz? Jest całkiem spokojny. Z tego, co widzę, podano mu osisi. To bardzo dobrze. Jest spokojny, ale przytomny. A to pomoże; to że nie jest uśpiony.

Odwróciła się do Darvy.

– Czar rzucony na umysł jest znacznie poważniejszym problemem – ciągnęła. – Miejski czart chroni go w ten sposób przed tego rodzaju interwencją. Choć mogłabym przecież dać ci taki napój...

– Nie. – Darva pokręciła przecząco głową. – To nie byłoby właściwe. Nie chciałabym, by to odbyło się taki sposób.

– To dobrze. I tak będę miała dość problemów ze zmianą funkcji jego ciała, ze zmianą odruchów, ośrodków równowagi i tym podobnych, by martwić się jeszcze o tę świadomą część umysłu – westchnęła. No cóż, weźmy się do roboty.

I znów nie potrafiłbym powiedzieć, ile czasu minęło i co dokładnie się wydarzyło. Wiem, że stara kobieta śpiewała i przeprowadzała medytacje, masując i ugniatając od czasu do czasu poszczególne części mojego ciała i głowy. Wydawało mi się również, że mam wysoką gorączkę, a dzięki niej – przedziwne, surrealistyczne wizje. Było mi na przemian zimno i gorąco, a jednocześnie odczuwałem w całym ciele jakieś erotyczne sensacje. Przed chwilą słyszałem, że jestem w bardzo kiepskim stanie, dlatego też nie starałem się walczyć z tym wszystkim, co się ze mną działo. W końcu zapadłem w niewiarygodnie głęboki sen, do którego nie miały dostępu żadne dziwne istoty, uczucia, czarownicy czy czarownice.

Przebudziłem się nieco oszołomiony, ale nie odczuwałem najmniejszego bólu. Dopiero po jakiejś chwili dostrzegłem, że coś jest ze mną nie w porządku. Rozejrzałem się po jaskini, ale prócz niewielkiego ogniska i snopa światła padającego od wejścia i świadczącego o tym, że mamy dzień, nie zauważyłem nikogo i niczego nadzwyczajnego. Usiłowałem odgarnąć pajęczynę, w którą spowity był mój umysł i wówczas właśnie zdałem sobie sprawę z kilku rzeczy naraz. Po pierwsze –

znajdowałem się w pozycji stojącej. Było to naprawdę zadziwiające, bowiem w żaden sposób nie mogłem wyobrazić sobie siebie wstającego... chyba że odbyło się to pod wpływem uzdrawiających czarów, czy czegoś w tym sensie. Po drugie – nie było mi ani trochę za gorąco. Czułem wręcz lekki chłód, co przecież było niedorzeczne w jaskini, w której ciągle płonęło ognisko.

Nagle zupełnie się rozbudziłem i ogarnęły mnie złe przeczucia. Uniosłem dłoń, by zetrzeć resztki snu z oczu i ujrzałem to, czego tak się lękałem.

Dłoń była zielona, szorstka i uzbrojona w szpony.

– Nie – wrzasnąłem, a głos mój odbił się echem od ścian jaskini. – Do wszystkich diabłów!

Zrobiłem krok naprzód i w tym momencie wiedziałem już wszystko. Zatrzymałem się i popatrzyłem w dół na swoje ciało. Zobaczyłem wielkie, zbrojne w szpony, jaszczurze łapy, grube jaszczurze nogi i naturalnie jaskrawozielony ogon, prawie tak długi jak cała reszta ciała. Nerwowo rozejrzałem się po jaskini i w jednym z jej kątów dostrzegłem coś, co mogło mi się teraz przydać – spory kawałek błyszczącego metalu. Podszedłem do niego, podniosłem go z ziemi i przyjrzałem się swemu odbiciu w świetle padającym od ogniska.

No tak, rogi i cała reszta, pomyślałem ponuro. Twarz i tors zachowały nieco ze swego poprzedniego wyglądu, ale była to w sumie dziwaczna hybryda, połączenie rysów twarzy i cech Parka Lacochoa i Darvy.

Usłyszałem, że ktoś wchodzi. Odłożyłem błyszczący kawałek metalu i odwróciłem się. To Darva. Zatrzymała się i patrzyła na mnie, a twarz jej wyrażała mieszaninę zadowolenia i obawy.

– Dlaczego, Darvo? – spytałem.

Zrobiła przepraszającą minę.

– Uratowałam ci życie – przypomniała. – Sądziłam, że ty byłbyś skłonny uczynić dla mnie to samo.

– Był... byłbym skłonny – powiedziałem zupełnie szczerze. – Ale niby jak uczynienie ze mnie praktycznie twojego sobowtóra ma uratować ci życie?

Westchnęła i posmutniała.

– Żyłam jedynie dla zemsty i wreszcie jej dokonałam, choć nie w taki sposób, jaki sobie przedtem wyobrażałam. A teraz jestem całkowicie samotna i na zawsze skazana na swój wygląd, chyba że zostanę zmieniona w coś jeszcze gorszego. Jestem jedyną z tego rodzaju Park... i nigdy już nie będę mogła wrócić do rodzinnych stron, ujrzeć najbliższych, znaleźć się pomiędzy tymi, którzy są mi tak droży jej głos nabrał odcienia prośby. – Czy nie rozumiesz? Gdybym miała pozostać samotna, popełniłabym samobójstwo. A wtedy zobaczyłam ciebie; Jobrun pozbawił cię przytomności i wyciągnął pistolet, aby cię zastrzelić. Zobaczyłam to i w jakiś sposób zrozumiałam, że to przeznaczenie i że bogowie mieli w tym jakiś cel, iż oboje znaleźliśmy się w tym samym miejscu i w tym samym czasie.

Pokręciłem ze smutkiem głową. Musiałem przed samym sobą przyznać, że to, co mówiła, było nie tylko zrozumiałe, ale i całkiem rozsądne. Jakże miałem dyskutować z logiką jej argumentów, niezależnie od tego, co sam odczuwałem? Pogódź się z faktami, powiedziałem sobie. Bez niej byłbyś już martwy; masz więc wobec niej zobowiązania. W tej zaś sytuacji ciągle jeszcze znajdujesz się w grze i ciągle jeszcze tę grę prowadzisz. Skoro odmieńcy są główną siłą ruchu Korila, to powinienem być odmieńcem. Jeśli zaś miałem co do tego jakieś wątpliwości, to powinienem był trzymać się z dala od tego placu, a potem pomóc Tully'emu w uporządkowaniu spraw, jak przystało na lojalnego księgowego miejskiego. Poza tym mogłem być przecież zmieniony w coś znacznie gorszego; miałem o tym niejakię pojęcie. Widziałem przecież tamtych na placu.

Podszedłem do niej, przewracając coś przy okazji ogonem, ująłem jej dłoń i uśmiechnąłem się.

– Rozumiem – powiedziałem. – I wybaczam ci.

W jednej chwili jej twarz zmieniła wyraz, wyglądała teraz na niewiarygodnie szczęśliwą.

– Być może zyskałaś jednak coś znacznie więcej niż się spodziewałaś – ostrzegłem.

Wydawała się nie słyszeć mojej uwagi, a w jej zielonych oczach pojawiły się dwie ogromne łzy.

– Tak się cieszę, że obeszło się bez kłótni:

– Żadnych kłótni – westchnąłem. – Przyznaję, że niełatwo mi będzie się do tego przyzwyczaić, ale sądzę, że dam sobie jakoś radę.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała. – Jesteśmy, że tak się wyrażę, troszkę zimnokrwisci.

No cóż, to wyjaśniało przynajmniej chłód, jaki odczuwałem. Wyszedłem za nią. Dzień był jak zwykle gorący i parny, a wszystko wokół pokrywała mgła. Jednak zarówno mgła, jak i wilgotność wydawały się ustępować i nagle, po raz pierwszy od przybycia na Charon, poczułem się wyśmienicie pod względem fizycznym. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że jestem bardzo głodny.

– A co my jadamy? – spytałem.

Uśmiechnęła się.

– Prawie wszystko, co żyje – odparła, a ja oczyma wyobraźni ujrzałem jak rozrywam na kawałki mniejsze ode mnie jaszczurki.

Domyśliła się mych myśli, bo roześmiała się wesoło.

– Och, nie. Rośliny, owoce, liście. Również zwierzęta, ale osobiście wolę je przyrządzone na sposób tradycyjny.

– To brzmi nie najgorzej. A jest coś w pobliżu?

– Jest spora kępa drzew owocowych, melonów cuaga. Tuż u stóp tego wzgórza. Chodź ze mną.

Ruszyła szybko, a ja podążyłem za nią.

– Mówisz, że to spora kępa? Nikt nas nie zauważy? Jestem pewien, że odmieńcy nie cieszą się teraz zbytnią popularnością.

– Nie przejmuj się. Ona znajduje się na samym obrzeżu terenów należących do Bindaharu – odparła. – Nie pojawią się tutaj jeszcze przez kilka najbliższych dni, a kiedy się zjawią, nas dawno już tutaj nie będzie.

Melony były duże, w czarno – pomarańczowe pasy i okazały się bardzo pożywne, choć musiałem przyzwyczać się do jedzenia ich razem ze skórą. Albo więc zupełnie zmienił mi się smak, co było wielce prawdopodobne, albo też ludzie jedzący jedynie sam miąższ dużo na tym tracili.

Jedliśmy dużo i długo. Moje stare „ja”, moje oryginalne „ja” zjadłoby może całego melona, naturalnie bez skóry. Park Lacoeh zjadłby zapewne zaledwie ćwiartkę. Ja zjadłem teraz siedemnaście, ze skórą, jak leci, i ciągle jeszcze nie byłem do końca nasycony.

– Jemy dużo – powiedziała Darva. – I zawsze kiedy tylko mamy okazję. A jednak nie tyjemy; wydaje się, że jedynie stajemy się coraz silniejsi.

– To bardzo sprawiedliwe rozwiązanie – przyznałem, czując się teraz znacznie lepiej.

Skoro już pojedliśmy, mogliśmy porozmawiać o innych sprawach. Posiłek spowodował, że poczułem się nieco leniwy i senny. Nadszedł więc czas odpoczynku.

– Słuchaj... chciałbym, żebyś mi wyjaśniła kilka spraw.

– Co tylko zechcesz – odparła, najwyraźniej szczerze. – Nie masz pojęcia, od jak dawna nie rozmawiałam z kimś, jak przyjaciel z przyjacielem.

– Świetnie – skinąłem głową. – Wpierw sprawy aktualne. Kim jest ta stara kobieta, która rzuciła czar?

Mówiąc szczerze był więcej niż jeden powód, dla którego chciałem to wiedzieć. Staruszka była przecież tą osobą, która kiedyś w przyszłości mogłaby go ze mnie zdjąć.

– To moja prababka... prawdziwa – odparła.

Sama nie wiem, od kiedy posiada tę moc. Być może od dzieciństwa. Terminowała u czarca, kiedy była bardzo mała, kiedy nie było jeszcze tych uprzedzeń i tych zamkniętych związków, jak to ma miejsce obecnie. Nigdy jednak nie przeszła pełnego szkolenia. Zamiast tego urodziła dziewięćdziesiąt dzieci.

– Tak, to mogło ją trochę osłabić – zauważyłem. – Choć wydała mi się i tak bardzo potężna. Ale... skąd ten pomysł, żeby uczynić ze mnie twoją bliźniaczkę? Czyżby powodem był fakt, że jej moc

jest ograniczona?

– Nie – zawahała się – to nie całkiem tak. To prawda, że użyła mnie jako modelki, a i samo stworzenie odmienca jest dość ryzykowne. Popełnisz błąd i mózg nie pasuje do całej reszty, co powoduje, iż jesteś albo kaleką fizycznym, albo umysłowym. Wielu jest takich. Dlatego zastosowała jako wzór ten sam czar, którego użył wobec mnie ten drań Isil. A to oznaczało, że będziesz podobny do mnie. Skorzystała takie z bunharów. Ja byłam tak podniecona, że w ogóle o tym nie pomyślałam, a ona pamiętała. Ciągłe jesteś płci męskiej, Park... Niezależnie od wyglądu.

To było wielce interesujące. Jednocześnie zaś zabawne, w jakiś nie pozbawiony ironii sposób. Nie mogłem powstrzymać chichotu.

– Co cię tak rozbawiło?

– Jakby ci to powiedzieć? Wiesz, że nie urodziłem się na Charonie. Zesłano mnie tutaj. Zesłano mnie na podstawie wyroku.

– Wiem – skinęła głową. – Dużo się o tym mówiło w Thunderkor.

– No, cóż, popadłem w... tarapaty. Zabiłem kogoś, dla powodu którego ani ty, a teraz nawet ja sam – nie uznalibyśmy za wystarczający, czy w ogóle sensowny. A tym powodem, kiedy już go odkryli, był fakt, że byłem wówczas hermafrodytą, wybrykiem natury.

– Ooo... – otworzyła szeroko usta. – To dlatego wyglądałeś trochę, że się tak wyrażę, dziwnie.

Skinąłem głową.

– Udało im się jednak temu zaradzić i zrobili ze mnie mężczyznę – ciągnąłem. – A teraz... popatrz tylko! Posiadam płęć męską, a wyglądam jak twoja siostra!

Roześmiała się, a mnie nasunęło to do głowy interesujący problem. Dobrze, byłem płci męskiej... ale czym płci męskiej? Zapytałem ją o to.

– Sama się nad tym zastanawiałam – odpowiedziała. – Z tego, co mówiła Babka, wynika, że gdybyśmy mieli, hm, robić to teraz, nic z tego by nie wyszło. Jednak kiedy tylko znajdujące się w tobie *wa* wykonają swoje zadanie, możliwe że moglibyśmy mieć nawet potomków naszego gatunku. Nie jest to pewne, ale takie wypadki się zdarzały. Moglibyśmy dać początek zupełnie nowej rasie! – przybrała zamyślony wyraz twarzy. – *Darvus Lacochochus*.

– Brzmi zupełnie jak nazwa jakiejś choroby.

– Wiesz Park, to wspaniałe – roześmiała się. Czuję się jak nigdy w ciągu tych ostatnich dwu lat!

Widziałem jej radość i nawet sprawiało mi to pewną przyjemność. Ona sama też mi się podobała. Nie wyrażała się nazbyt elegancko, a czasem wręcz nieostacko. Była niewykształcona i niedoświadczona, ale to bardzo bystra, inteligentna kobieta, której możliwości zostały zablokowane przez egoistycznego i okrutnego człowieka. Była też niewątpliwie twardsza i bardziej zdecydowana

od Zali, przynajmniej – od tej dawnej Zali. Zastanawiałem się leniwie nad tym, jaka też może być Zala obecna.

– Słuchaj – odezwałem się. – Musisz wyjaśnić mi pewne sprawy. Co też, do diabła, wydarzyło się w Bourget? Kto tego dokonał? I dlaczego?

– No cóż – westchnęła. – Od dawna już istnieje ten kult diabła. Zapewne o nim słyszałeś?

Skinąłem głową.

– Uczestniczyły w nim głównie znudzone i sfrustrowane kobiety, usiłujące zyskać jakąś część Mocy. Jednak jakiś rok czy dwa lata temu, wszystko się zmieniło. Nie wiem kto i jak tego dokonał, ale kult został zdominowany przez tę większą grupę, która chce obalić rząd. Jedyne co wiem, to fakt, że stoi za nią jakiś prawdziwie potężny czart.

– Koril – powiedziałem. – Był kiedyś władcą. – Tak, to chyba on – zgodziła się ze mną. W każdym razie, bardziej odpowiadał on zwykłym ludziom. Nie było przy nim bowiem takich przerażających facetów jak ten szef ochrony i tych wszystkich pomiatających każdym z żołnierzy. Poza tym nawiązał on kontakt z koloniami odmieńców. Przyrzekł im, że jeśli odzyska władzę, da im na własność Tukyan, południowy kontynent. Mieszka tam tylko garstka ludzi i większość jego powierzchni jest ciągle nie zbadana. Jednak z tego co wiem, jest tam co najmniej tak ładnie jak tutaj. Cóż, były to wspaniałe perspektywy dla odmieńców, którzy nie mają łatwego życia i nie mogą spodziewać się lepszego w przyszłości. Ludziom normalnym też to odpowiadało; w ten sposób mieliby nas przynajmniej z głowy. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Było to wszystko logiczne i świadczyło o zmyśle politycznym Korila. Zaczynałem dostrzegać; jak groźnym był on człowiekiem, nawet bez tej jego nadzwyczajnej, magicznej mocy. Zastanawiałem się, w jaki sposób udało się Aeolii Matuze pozbawić go władzy i następnie utrzymać swą własną.

W jednym ułamku sekundy znalazłem odpowiedź, jedyną logiczną odpowiedź. Aeolia utrzymywała się na swoim stanowisku, ponieważ popierała wojnę przeciw Konfederacji. Trójce pozostałych władców specjalnie nie zależało na Charonie. Jasno wyraził to Korman. Komu więc zależało? Jedyną logiczną odpowiedzią byli sami obcy.

Nie było przy nim bowiem takich przerażających facetów jak ten szef ochrony...

Czym szefem ochrony był tak naprawdę Yatek Morah? Matuzy? Tak, ale tylko tak długo, jak długo postępowała ona zgodnie z wytyczoną linią. A to oznaczało, że ten dziwny mężczyzna, z dziwnymi oczyma, ze sposobem – zachowania robota, z tą niewiarygodną mocą, nie był w ogóle człowiekiem. A to z kolei znaczyło, że Charon, choć nieistotny z militarne go punktu widzenia, był z jakichś powodów bardzo, bardzo ważny dla obcych. Dlaczego?

Aeolia Matuze, z jej wybujałym ego i z marzeniami o boskości... Obcy umacniali i jedno, i drugie, w zamian za postępowanie zgodne z ich planami. To miało sens. Ciekaw byłem, czy Koril zdawał sobie z tego sprawę? Czymże był jeden władca Rombu dla rasy przygotowanej do podbicia

tysiący światów?

– O czym myślisz?

Ocknąłem się z zamyślenia.

– Układam sobie w głowie całość z różnych kawałków. Wyjaśnię ci to później. Będziemy przecież razem dość długo, a to taka długa i skomplikowana historia.

– Razem – westchnęła. – Nie masz pojęcia, jak mile to brzmi.

Przede wszystkim, pomyślałem, sprawy podstawowe.

– Jak to się dzieje, że nie potykam się o własny ogon, kiedy biegnę? Czuję się w tym ciele całkiem naturalnie.

– Bo to był dobry i skuteczny czar, ze wszystkim, co niezbędne.

Skinąłem głową. Taka odpowiedź mnie zadowalała.

– W porządku więc... dokąd stąd wyruszamy?

– Daleko – odparła natychmiast. – I bardzo szybko. To miejsce znajduje się zaledwie o dzień drogi ad Bourget i wkrótce będzie się tu roiło od żołnierzy z oddziałów rządowych. Pewnie już tutaj są. Mamy pewną liczbę środków obrony; wśród nich zaś zdolność do stania bez najmniejszego ruchu. Zdziwiłbyś się, znając nasze rozmiary, kiedy byś zobaczył, jak przebiegają obok nas, stojących pośrodku zieleni.

– Owszem, to przydatne – powiedziałem. – Jednak ostatnio broń tutaj stała się nagle bardzo nowoczesna, a dobra broń oznacza czujniki ciepła.

– I co z tego? – roześmiała się. – Próbowali je stosować podczas polowań. A temperatura naszego ciała nie różni się praktycznie od temperatury otoczenia. Są więc bezużyteczne.

– Nie pomyślałem o tym. Mimo to, wolałbym zna leżać się jak najdalej stąd, i to szybko. Czy znasz tereny poza tym regionem?

– Zupełnie nieźle – odparła. – Jakieś sto kilometrów stąd już znacznie gorzej. Niewiele podróżowałam. Wiem jednak, gdzie są drogi, choć nie możemy ich używać. I w głowie mam wszystkie szczegóły, jakie widziałam na mapach. Kazano nam je zapamiętać.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziałem.

– Chcesz więc dołączyć do innych? – spytała głosem, w którym wyczułem rozczarowanie.

– W drodze wyjaśnię ci moje powody – skinąłem głową. – Dzieją się różne rzeczy, o których nikt nie raczył cię poinformować.

– Mamy trzy tygodnie na przebycie jakichś ośmiuset kilometrów – powiedziała. – Będzie więc dość czasu na rozmowy i wyjaśnienia. Do tego czasu odmieńcy mają żyć w rozproszeniu i żywić się owocami natury.

– I dać im dość czasu na złapanie kilku z nas i wymuszenie z nas lokalizacji tych miejsc, do których się udajemy? – spytałem zaniepokojony.

– Och, są całe setki punktów kontaktowych i tylko niewielu spośród nas zna miejsca zapasowe. Nawet jeśli pochwyć połowę odmieńców, w co wątpię, ciągle jeszcze będzie duża szansa, że jeden czy drugi z tych naszych punktów pozostanie w dalszym ciągu bezpieczny.

– Nie podoba mi się taki układ, ale nie mamy wyboru – rozejrzałem się, mgła zaczynała gęstnieć. Czas zatem ruszać w tę daleką wędrówkę.

– I pozostawić za sobą jedynie ślady bunharów roześmiała się.

Rzeczywiście, te nasze kształty miały też swoje dobre strony. Ponownie się rozejrzałem.

– Chyba muszę poszukać jakiegoś odpowiedniego drzewka – powiedziałem. – Wodniste owoce zjedzone na pusty żołądek! Bardzo to szybko przez ciebie przelatuje.

Roześmiała się i bez zastanowienia wskazała palcem wprost przed siebie. Poszedłem za jej radą, wybrałem miejsce i stanąłem zerkając w dół.

– Aha, to tutaj go mamy – odezwałem się głośno.

Rozdział dziesiąty

DECYZJA POD IGLICAMI

Pod pewnymi względami te trzy tygodnie były prawdziwą idyllą. Nieco mnie to martwiło, że tak właśnie o nich myślałem: Przyznać muszę, iż polubiłem Darwę. Odkryłem nawet w sobie zaczątki – jakichś uczuć, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Fakt, że mogę odczuwać coś podobnego, był ciosem w moje własne wyobrażenie o sobie, do jakiego byłem przyzwyczajony – silny, odpowiedzialny, pozbawiony wszelkich emocji agent Konfederacji, który nie potrzebował niczego i nikogo... nigdy. Którego zrodzono, wychowano i wyszkolono po to, by był ponad takimi niewiele znaczącymi uczuciami jak lojalność, przyjaźń... miłość? Czyż to nie ja sam zaledwie kilka miesięcy temu nie byłem w stanie podać Zali znaczenia tego słowa? Czy to możliwe, zastanawiałem się, że samotność nie jest przypadłością, na którą cierpią wyłącznie podludzie? Czyżbym w rzeczywistości był równie obcy swojej kulturze, jak Darwa była obca swojej? Wiedziałem, że takie myśli są niebezpieczne. Uderzały one bowiem w główny system wartości Konfederacji, w system; w który ciągle jeszcze sądziłem, że wierzę.

Czy jednak w tym naszym pędzie do perfekcji nie pozostawiliśmy jakichś dziur w ludzkiej psychice? A może to tylko to nowe ciało, nowa postać, nowe hormony i co tam jeszcze, stworzyły te wszystkie dziury, których przedtem tam w ogóle nie było? Przez moment chciałem, żeby to drugie okazało się prawdziwe... Chociaż, z praktycznego punktu widzenia, nie miało to żadnego znaczenia, skoro i tak już mnie w jakiś sposób dotknęło.

Kilkakrotnie podczas tych naszych trzytygodniowych wędrówek poprzez dżunglę Charona miałem ochotę wyjawić Darwie moją tożsamość, opowiedzieć o swej misji, zawsze jednak potrafiłem się powstrzymać. Nic przecież bym nie zyskał, mówiąc o tym teraz, a mieliśmy przed sobą jeszcze mnóstwo czasu. Niemniej, poznałem ją bardzo dokładnie. I spodobało mi się to, co odkryłem. Była bystra i uczyła się szybko, oczarowana moimi opowieściami o pograniczu i o światach cywilizowanych, których nigdy nie zobaczy. Nie miała zbyt wielkich trudności ze zrozumieniem problemu, jaki stanowił układ: obcy – czterej władcy, choć podejrzewam, że wyobrażała sobie tych obcych jako jakiś inny gatunek odmieńców. Kiedy jest się zieloną, ma się dwieście piętnaście centymetrów wzrostu, róg i ogon, pojęcia „obcy” i „nieczłowieczy” wydają się znaczyć coś innego. Rozumiała jednak, że w tym wypadku „obcy” oznaczał nie kształt materialny, lecz umysł. Jeśli, co podejrzewałem, Morah był obcym, to dla niej fakt ten był wystarczający, aby przyłączyć się do misji ratowania ludzkości; tej ludzkości, której częścią sama już nigdy nie będzie.

Niektóre aspekty mojego nowego kształtu fizycznego wywierały zdecydowany wpływ na mój umysł. Stwierdziłem, że coraz łatwiej ulegam emocjom i coraz bardziej jestem ich świadom. Zachowałem, co prawda, wszystkie moje umiejętności, które wyniosłem ze specjalnego wykształcenia, jednak wszystko odczuwałem z intensywnością, o której istnieniu nie miałem uprzednio pojęcia; intensywnością, która miała zarówno pozytywne, jak i negatywne strony.

Nasz nowy kształt fizyczny, nazwany przeze mnie krótko darwą, nie był taki zły. Byliśmy bardzo silni i pomimo dużych rozmiarów, potrafiliśmy wtopić się w zielen otoczenia, a w razie potrzeby biec znacznie szybciej od człowieka. Szpony stanowiły skuteczną broń, choć nie musieliśmy ich używać w tej funkcji, służyły także do cięcia i krojenia pożywienia, czymkolwiek ono było; nie sprawiały nam one żadnych kłopotów, bowiem skórę mieliśmy grubą i twardą... a woda spływała po niej jak po przeciwdeszczowej pelerynie.

Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że nas szukają. Wiele razy widzieliśmy szybowniki, czasami tuż ponad szczytami drzew i w pobliżu polanek. Widywaliśmy załogi szybowników, złożone z żołnierzy wypuszczających serie z broni maszynowej w kępy drzew, by przestraszyć każdego, kto się tam ewentualnie znajdował i wykurzyć go na otwarty teren. Drogi bezustannie były patrolowane przez groźnie wyglądających żołnierzy i towarzyszących im miejscowych. Mimo to, tak długo, jak długo udawało nam się nie napotkać na swej drodze jakiegoś czarca czy czela, nie mieliśmy szczególnych problemów z unikaniem naszych prześladowców.

Jedyna przygoda przydarzyła nam się pod koniec naszej wędrówki przez dżunglę. Przyzwyczailiśmy się do niej bez trudu, choć dla większości ludzi byłaby miejscem bardzo groźnym. Nasza skóra była zbyt twarda, by mogły jej zaszkodzić wszechobecne insekty, a dla drapieżników byliśmy zbyt silni. Przedzieraliśmy się z równą łatwością przez gąszcza i liany, jak i przez grzaskie błota. Prawdę mówiąc, było to wspaniałe miejsce, nieskończenie piękne i fascynujące. Choć sobie tego zupełnie nie uświadamialiśmy, to, co się z nami wówczas działo, w języku psychologów nazywane jest „powrotem do natury” i oznacza całkowite przystosowanie się do środowiska, w którym się przebywa. A do takiego środowiska, jak się wydaje, my dwoje byliśmy wręcz stworzeni.

Uzmysłowiliśmy sobie to dopiero wtedy, gdy wpadliśmy na bunhara. Już wcześniej napotkaliśmy wiele dużych stworzeń zamieszkujących dżunglę i bagna, wśród nich były setki takich, o których istnieniu nie miałem pojęcia, jednak na ogół udawało nam się omijać je z daleka, a one wydawały się akceptować naszą obecność. Jednak ten bunhar był zupełnie inny. Nie wiem, co zrobiliśmy nie tak. Możliwe, że znajdował się on w okresie rui i wyczuł Darwę. W każdym razie nie starał się nas unikać; rzucił nam wyzwanie rycząc i szczerząc kły. Przyznaję, że odniosłem wrażenie, jakby on cały składał się jedynie ze swych ostrych i groźnych kłów.

My sami, jeśli nie liczyć przerośniętych i podobnych do kłów siekaczy, dysponowaliśmy w naszych ludzkich twarzach i szczękach typowym uzębieniem wszystkożerców. Stawiało to nas na przegranej pozycji, staraliśmy się przeto go ominąć, jednak bez rezultatu. Wyglądało na to, że przyjdzie nam stoczyć walkę. Poczulem nagle – silniejszy niż kiedykolwiek przedtem – przyływ adrenaliny do krwi, czy coś w tym sensie. Patrząc na tego szczerzącego kły jaszczura, zacząłem odczuwać złość i wściekłość, tym bardziej, że do moich uszu doszły zwierzęce pomruki Darvy. Bez zastanowienia zaatakowaliśmy zbliżoną do nas rozmiarami bestię, rzucając się na nią z opuszczonymi głowami i wystawionymi do przodu rogami.

Bunhar miał co prawda kły, ale był bez rogu, a poza tym, jak sędzę, zupełnie nie spodziewał się naszego ataku. Wyprostował się i wsparł na ogonie, by ochronić głowę. Nasze dwa rogi wbiły się w jego klatkę piersiową, a szpony darły jego ciało. Wyrwaliśmy rogi i powtórzyliśmy manewr, i jeszcze raz, a on ryczał z bólu i wściekłości, zalewając i siebie, i nas posoką. Darva obróciła się wówczas i – wsparłszy się na ogonie dla większej skuteczności – swą potężną nogą podcięła jego prawą łapę i obaliła na ziemię.

W jednej sekundzie byliśmy dosłownie na nim, wbijając rogi w odsłonięty kark i rwąc jego ciało na kawałki. Biedne stworzenie nie miało najmniejszej szansy od samego początku, nie tylko z powodu braku rogów, ale dlatego że my, choć atakowaliśmy jak zwierzęta, mieliśmy nad nim przewagę, bo stosowaliśmy całkiem ludzką taktykę walki. Zwierzę zginęło, a my nie odnieśliśmy żadnych obrażeń, prócz kilku zadrapań.

Bunhar był martwy, a nasz gniew, wściekłość i poczucie bezmyślnej mocy trwały nadal i pozwoliły nam pić skrew martwego zwierzęcia, rwać i pożerać surowe mięso, aż do pełnego nasycenia. Odprężyliśmy się dopiero wtedy, gdy skończyliśmy jeść i ogarnął nas letarg. Emocje ucichły i powróciły racjonalne myśli.

Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie Darva spojrzała na mnie, tak samo zachłapanego krwią, jak ona sama, po czym zerknęła na ścierwo, do którego już zlatywały owady. Zapewne lada moment pojawią się padlinożercy.

– Mój Boże, co też uczyniliśmy najlepszego? – jęknęła.

Spojrzałem na nią, na resztki bunhara, i znowu na nią. Pokręciłem głową w zdumieniu.

– Wygląda na to, że jesteśmy w większym stopniu zwierzętami, niż ty sama sądziłaś.

Robiła wrażenie oszołomionej i trochę przerażonej.

– Nie... nie chodzi mi o bunhara. Sam się o to prosił. Chodzi o to, co stało się potem – umoczyła dłoń w krwi zwierzęcia, powąchała posokę, po czym zlizwała ją sobie z palców. – Na Boga, Park... to było tak wspaniałe uczucie! A ten smak...

– Wiem – odparłem znużonym głosem.

Całe to doświadczenie zaczynało gdzieś odchodzić, pozostawiając po sobie jedynie uczucie zmęczenia, ból mięśni i świadomość zadrapań. Wiedziałem, że ona czuje się dokładnie tak samo.

Darva jednak jeszcze ciągle była oszołomiona.

– Od... od dwóch lat jestem tym, czym jestem, a nigdy przedtem nie czułam się tak, jak teraz, i nigdy niczego podobnego nie zrobiłam.

– Ten Isil miał więcej wyobraźni, niż sądziłaś pokiwałem ciężko głową. – Podejrzewam, że miało to być następne stadium w przypadku twojego oporu, a opór przecież stawiałaś. W tamtym czasie mógł to być dobry pomysł. Gdyby przemiana zawiodła, wysłaliby cię na bagna, gdzie twe

instynkty zwierzęce zyskałyby wkrótce przewagę nad ludzkimi odruchami. Zdziçałabyś i albo dołączyła do jakiegoś stada bunharów, albo też wróciła na kolanach do nich.

Zamilkłem na chwilę.

– Mimo wszystko, nie jest tak źle.

– A cóż, do diabła, jest w tym dobrego? – popatrzyła na mnie jakoś tak dziwnie. – Zważ tylko: my... oboje... zabiliśmy tę masę mięśni i kłów, i to bez większego wysiłku. Instynktownie wykorzystaliśmy naszą broń biologiczną. Prawdopodobnie ten stwór jest od nas cięższy o kilkaset kilogramów i urodził się już jako drapieżca. A przecież my okazaliśmy się znacznie groźniejszymi drapieżcami. Ten manewr zakończony jego obaleniem uchronił nas przed poważniejszymi obrażeniami. Wykonałaś go niemal automatycznie, a na pewno nie przyszedłby on w ogóle do głowy, w której tkwiłby tak mały mózdzek jak u bunhara. Teraz to my jesteśmy tutaj panami. Królem i królową charonejskich puszczy, panami całkowicie przystosowanymi do środowiska. Nie mamy się czego obawiać tak długo, jak długo pozostajemy w tym swoim żywiole.

– Ale... ta krew! Boże! To był szok; to przypominało orgazm. Było jak supernaładowanie, pobudzenie wywołane najlepszym z narkotyków! Jeszcze teraz, pomimo odrazy, łaknę tego smaku.

Miała rację. Odczuwałem podobne wrażenia i nie można było ignorować tego faktu.

– No cóż – westchnąłem. – Zapewne uda nam się zachować nad sobą kontrolę i nie poddawać się temu zbyt często. Jesteśmy teraz zabójcami, Darvo. Naturalnymi drapieżnikami. To rachunek, jaki płacimy za naszą fizyczną strukturę i musimy ten fakt zaakceptować.

– No... nie wiem – nie wyglądała na przekonaną. – Park... a gdyby to był człowiek? Jeden z tych żołnierzy?

Teraz dopiero moje wyszkolenie dało osobie znać; umysł zaczął sortować i analizować fakty, wybierając najbardziej optymalną drogę działania. Wiedziałem, że dla Darvy będzie to znacznie trudniejsze; ale w końcu i ona zaakceptuje podstawowe fakty i nauczy się z nimi żyć.

– Nie jesteśmy już ludźmi, Darva – powiedziałem bez ogródek. – Jesteśmy kimś zupełnie innym. Szczerze mówiąc, tak długo, jak długo to człowiek właśnie jest naszym wrogiem, równie łatwo przyjdzie mi przebić go włócznią czy też zastrzelić.

– Ale... kanibalizm! – wstrząsnął nią dreszcz.

– Gdybym zjadł ciebie, to byłby kanibalizm powiedziałem, siląc się na rozsądek. – Jednak człowiek to tylko jeszcze jedno inteligentne zwierzę.

– No... nie... wiem – potrząsnęła głową.

– Musisz to zaakceptować, Darvo. W przeciwnym razie oszalejesz – powiedziałem. – Nie przejmuj się tak bardzo. Kiedy znajdziemy się wśród swoich, w inteligentnym towarzystwie, gdzie żywności jest pod dostatkiem, nasz obecny stan nie będzie żadnym problemem. Jak teraz, tutaj, w tej

dżungli.

Nie odezwała się już więcej, a potem pozwoliliśmy, by sen oddalił od nas ostatnie przeżycia. Kiedy się zbudziliśmy, było już niemal całkiem ciemno, mimo to znaleźliśmy w pobliżu strumień i jedno drugiemu zmyliśmy z siebie zakrzepłą krew. Od razu poczuliśmy się bardziej ludźmi niż drapieżcami.

A jednak Darva nie mogła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania:

– Park... ci obcy, o których mówiłeś. Czyż my sami nie jesteśmy obcymi? Szczególnie teraz?

Nie potrafiłem znaleźć gotowej odpowiedzi. Pomimo całego tego moralizowania, następnego dnia znowu powtórzyliśmy naszą orgię... I to z pełną premedytacją. Tym razem znaleźliśmy sobie samicę uhara ze złamaną nogą, pozostawioną na śmierć przez własne stado. Nie mogliśmy się oprzeć nadarżającej się sposobności, tym bardziej że zdobyczą była łatwą, a i łatwiej nam było bronić się przed wyrzutami sumienia, skoro to stworzenie i tak by zginęło, na dodatek w cierpieniach. A przecież łatwość, z jaką nam przyszło podjąć tę decyzję i emocje towarzyszące „antycypacji” – to chyba właściwe określenie – zabójstwa, martwiły mnie teraz bardziej niż Darwę. Całe moje życie i wyobrażenie, jakiemiałem osobie, oparte były na absolutnej pewności, że posiadam umiejętność zachowania nad sobą stałej i pełnej kontroli, że potrafię analizować i oceniać każdą sytuację za pomocą chłodnej, pozbawionej wszelkich emocji, logiki. Poddanie się takim niskim, zwierzęcym – zwierzęcym w sensie dosłownym – instyktom było więcej niż niepokojące.

Jeśli chodzi o polowanie i zabijanie, ludzie czynili to w stosunku do zwierząt od zarania dziejów. I chociaż cywilizowane światy znały mięso wyłącznie w postaci syntetyzowanej, to jednak mieszkańcy pogranicza znali je w takiej samej formie, jak ich starożytni przodkowie z Ziemi. Tu, na Charonie, ludzie zarabiali na życie, trudniąc się myślistwem i rybołówstwem i zjadali to, co upolowali, a z pracy – swej czerpali przyjemność. Fakt zaś, że ludzie z Montlay i Bourget, i nie tylko, mełli, kroili, gotowali i przyprawiali mięso, a tym samym nie myśleli o nim jak o zwierzęciu, które trzeba zaszlachtować, nie mógł im przecież zagwarantować całkowitego spokoju sumienia. My z Darwą byliśmy podobni, tyle że eliminowaliśmy te – element hipokryzji. Z tego punktu widzenia łatwiej nam było wejść w rolę drapieżców.

„Organizm Wardena”, zawiadujący wszystkim, co działo się w naszych ciałach, również wydawał się mieć bardzo praktyczne podejście do zaistniałej sytuacji. Po trzecim polowaniu i trzeciej uczcie poczułem w ustach dziwne i nieprzyjemne odrętwienie. Wspomniałem o tym Darwie i szybki rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że w nas obojgu zachodzą pewne zmiany. Nasze zęby stawały się ostrzejsze, a kły coraz dłuższe i grubsze. Bez żadnych dodatkowych czarów zamienialiśmy się w prawdziwych mięsożerców.

Tego rodzaju modyfikacja nie mogła mieścić się w jakichś dalekosiężnych planach takiego czela jak Isil. To po prostu znajdujące się w nas „wardenki” w jakiś sposób wyczuły zmiany w naszym stylu życia i wprowadzały te zmiany, by nas do niego dostosować. Na co; tak naprawdę, one reagowały? – zastanawiałem się. Czy na zmianę warunków fizycznych? Wydawało się to mało prawdopodobne... Darva już od dawna miała tę postać, ja zaś krótko, a przecież transformacja zachodziła właśnie teraz. Doszedłem do wniosku, że to zmiana naszego psychicznego nastawienia do

całej tej sytuacji stanowiła mechanizm wyzwalający przemiany. Korman powiedział, że wszyscy dysponujemy mocą. Być może ten proces był bardziej złożony, niż on sam sądził.

Pociągało to jednak za sobą jeszcze bardziej tajemniczy problem: skąd o tym wszystkim wiedziały „organizmy Wardena”? Czel taki jak Isil, a nawet potężny czarc, jak Korman, nie dysponowali umysłem zdolnym przeprogramować dosłownie każdą komórkę, zdolnym nakazać przyspieszonym wzrost, zdolnym uporządkować wszystkie komórki i wszystkie molekuly w taki układ, który stworzyłby funkcjonalnego biologicznie odmienca. Naturalnie komputery Konfederacji dokonałyby tego bez trudu, choć takie eksperymenty uznawano za nielegalne. Jednak tutaj kobieta czy mężczyzna mogli po prostu pomachać czarodziejską różdżką, wymamrotać jakieś słowa i w niewiadomy sposób wymusić przemianę istoty ludzkiej w coś innego... coś, co było w stanie poprawnie funkcjonować.

Miałem przed sobą wiele elementów prawdziwie zadziwiającej układanki, ale nie posiadałem przesłanek i narzędzi, pozwalających ułożyć z nich jakąś całość. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślałem o moim odpowiedniku, o sobie samym, tam na górze, gdzieś poza Rombem Wardena. Czy otrzymuje on w dalszym ciągu informacje, pomimo mojej transformacji? A jeśli otrzymuje informacje od nas wszystkich z tych czterech Wardenowskich światów, czy udało już mu się ułożyć w całość te elementy, skoro dysponuje on potężnym komputerem i ma na swych usługach całą wiedzę Konfederacji?

Nie czułem już do niego nienawiści. Teraz i tutaj, będąc tym, czym byłem, nie miałem pewności, czy mu zazdroścę.

W ostatnim tygodniu zbliżaliśmy się powoli i bardzo ostrożnie do punktu kontaktowego, który Darva wybrała jako najbardziej bezpieczny. Znajdował się on około kilometra od głównej drogi, w pęknięciu skały w pobliżu wodospadu. Podchodziliśmy do niego ostrożnie i nie wprost. Darva miała wątpliwości, czy w ogóle powinniśmy tam iść, szczególnie teraz.

– Bardzo nam tu dobrze – argumentowała. – Sam powiedziałeś, że jesteśmy stworzeni do życia w dżungli. A gdy wrócimy, to będą znowu walki i znowu same kłopoty.

– To, co mówisz jest prawdą – przyznałem. Jednak ja myślę o czymś więcej niż tylko o tobie i sobie. Przede wszystkim muszę wiedzieć, muszę odkryć, co tu, do diabła, się dzieje, a czuję się szczególnie odpowiedzialny, ponieważ wiem, że Charon może ulec całkowitej zagładzie, wraz z naszą piękną dżunglą. I jeszcze coś. Jeśli zwyciężymy i jeśli ten Koril okaże się człowiekiem honoru, możemy zakończyć tę głupią dyskryminację odmienców. Potrzebna im jest własna ziemia i Moc. W przeciwnym razie, ktoś zawsze będzie sprawował nad nimi kontrolę i zawsze im będzie zagrażał. Posiadając Moc moglibyśmy tu stworzyć nową rasę, a nawet kilka ras.

Obawiam się, że Darva nie podzielała mniej ciekawości i mojej wizji, ale przynajmniej rozumiała, że nie można mnie powstrzymać... i nie miała ochoty znowu pozostać sama i samotna.

Ostrożnie zbliżaliśmy się do skał. Pozwoliłem, by szła przodem, bo znała układ terenu z tych swoich map. Była bardzo ostrożna. Jakieś pięćdziesiąt metrów od polany, kiedy ryk wodospadu stał

się już całkiem głośny, zastęła bez ruchu, ową nieruchomością, którą oboje potrafilismy osiągnąć i która ciągle była nas w stanie zadziwiać. Ja również automatycznie znieruchomiałem.

Spadające wody zagłuszały większość dźwięków, wobec czego zacząłem się rozglądać wokół, wyczuwając zapewne to samo, co i ona. Wiedziałem, że jest to jeszcze jedna z tych cech zwierzęcych, które albo nabywalismy teraz, albo po prostu odkrywaliśmy w sobie. W pobliżu znajdowali się inni. Nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy ich, ale wiedzieliśmy, że tam są.

Koncentracja na tym jednym aspekcie nasze – go położenia wywoływała ciekawe uczucie. Uświadomiłem sobie, że odczuwam coś całkowicie nowego, coś, co nie mieści się w moich dotychczasowych doświadczeniach. Po raz pierwszy świadomie odczuwaliśmy istnienie naszych „wardenków” – naszego *wa*, jak nazwała to stara kobieta – i że nie były one odizolowane od świata i samotne. W jakiś sposób nitki energii, niewiarygodnie cienkie, wysyłały i odbierały sygnały ze wszystkich kierunków. Nie, to nie całkiem tak... to nie były sygnały; przypominało to raczej łączność bezpośrednią, fale o najbardziej podstawowej i mikroskopijnej naturze; otwarte kanały łączności z drzewami, trawą, skałami, tym, co znajdowało się w powietrzu... ze wszystkim wokół nas. A więc tak odczuwali to czarty i tego Korman nie był w stanie mi opisać.

Dżungla tętniła życiem, wypełniona nie tylko wszelakimi formami życia, ale i „organizmami Wardena”. Dżungla żyła, a my byliśmy jej częścią. Cóż za wspaniałe, odurzające uczucie, niepodobne do niczego, co znałem wcześniej.

Nagle uświadomiłem sobie, czym jest to, co oboje z Darwą wyczuwamy. Zarówno w nas, jak i w większości otoczenia „wardenki” zazwyczaj były pasywne, połączone co prawda z innymi, ale nie wysyłały ani nie odbierały żadnych sygnałów. A teraz wokół nas były takie, poprzez które dokonywano transmisji. Nie byli to więc odmienicy; z tego, co wiedziała Darwa, wynikało, że niewielu spośród nich dysponowało jakąś znaczącą mocą, a nawet jeśli tak było, została ona zablokowana rzuconym czarem. Zatem czele, niscy rangą, ale jednak czele. A to oznaczało, że tu są ludzie.

Dostrajając mój Wardenowski zmysł tak precyzyjnie, jak tylko umiałem, spróbowałem zlokalizować źródło tych emanacji... I udało mi się. Jeden człowiek znajdował się jakieś dziesięć metrów od Darvy, za dużym drzewem. Drugi około piętnastu metrów z przeciwnej strony. Trzeci tuż przy wodospadzie... a czwarty, na jego szczycie. Odkrycie ich, dzięki różnicom pomiędzy układami Wardenowskimi, wydawało się absurdalnie proste. Czy oznaczało to, że im równie łatwo przyszło odkryć nas? Natychmiast doszedłem do wniosku, że jednak nie. Byli albo całkowicie nieświadomi naszej obecności, albo wzięli nas za bunhary. Gdyby było inaczej, już by nas zaatakowali.

W tym momencie ten, który znajdował się najbliżej Darvy, ten z za drzewa, wyszedł ze swego ukrycia. Nie patrzył jednak w naszym kierunku. Zresztą na tle zieleni, zakamuflowani przez samą naturę i tak bylibyśmy dla niego niewidoczni.

Okazało się, że jest to żołnierz; jeden z tych w czarno – złotych mundurach. Robił wrażenie odprężonego, a nawet znudzonego. Usiadł pod drzewem, nie wyjmując broni z kabury. Z jej kształtu rozpoznałem, że kryje laserowy pistolet. Jakże bardzo pragnąłem, by coś takiego znalazło się w moich dłoniach! Bo chociaż byliśmy oboje z Darwą sprawnymi maszynami do zabijania, to jednak nic

nie mogło zastąpić pistoletu laserowego. Gdybym go teraz posiadał, załatwiłbym tego żołnierza niczym nie ryzykując.

Usłyszałem przerywany sygnał dźwiękowy i zobaczyłem, że mężczyzna sięgnął do pasa po małą krótkofalówkę. Powiedział kilka słów, a ja zorientowałem się, że ktoś mu odpowiedział, chociaż nie byłem w stanie usłyszeć treści tej rozmowy. Prawdopodobnie było to jedynie rutynowe sprawdzanie czujności.

Niestety, nie byliśmy małymi, delikatnymi stworzonkami. Stary Park Lacocho o wiele lepiej nadawałby się do tej sytuacji; był taki drobny i miał takie kocie ruchy. Musieliśmy się stąd wycofać. Mnie nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, ale Darva znajdowała się zbyt blisko naszych prześladowców. Powoli, ostrożnie, sięgnąłem po spory kamień, zauważając mimochodem, że nawet kamienie promieniują tymi wardenowskimi falami.

Darva równie powoli i ostrożnie odwróciła głowę, zauważyła, co zamierzam i lekko skinęła głową, po czym ponownie skierowała wzrok na żołnierza.

Błyskawicznie i z całą mocą rzuciłem kamień. To nie był dobry rzut. Dłonie miałem stwardniałe i groźne, ale ramiona słabe. Mimo to kamień narobił hałasu za plecami żołnierza, a ten skoczył na równe nogi, obrócił się, błyskawicznie wyciągnął pistolet i rozejrzał się podejrzliwie. Kamień, jak już wspomniałem, nie był rzucony zbyt silnie i chociaż wylądował tam, gdzie trzeba, żołnierz zaczął przesuwać się w kierunku Darvy. Wydawało mi się, że dostrzegam, jak „zapalają” się jego „organizmy Wardena”, choć nie jest to na pewno właściwe słowo na określenie tego zjawiska. Wyczułem, jak kanały łączności pomiędzy jego „wardenkami” a tymi z otoczenia rozedrgały podejrzliwością, ciekawością, że się tak wyrażę, choć tak naprawdę mogłem jedynie zgadywać, co się w rzeczywistości stało.

Darva stała pochylona na tle szerokich liści i krzaków, zielonych jak ona sama i nawet ja miałbym kłopoty z dostrzeżeniem jej, gdybym nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie należało się więc obawiać zmysłów fizycznych przeciwnika, lecz zmysłu Wardenowskiego.

Z jakiegoś powodu nie zauważył jej jeszcze. Możliwe, że podświadomie zagłuszyliśmy jego kanały łączności, ale wiedziałem, iż wkrótce znajdzie się tak blisko, że w żaden sposób jej nie przegapi. Wiedziałem także, że musi skorzystać jeszcze ze swojej krótkofalówki.

W tym momencie podjąłem decyzję, mając nadzieję, że Darva zachowa przytomność umysłu i zareaguje właściwie w tym ułamku sekundy, który będzie miała do swej dyspozycji.

Mężczyzna zatrzymał się nie dalej jak dwa, trzy metry od niej, obrócił powoli i – co sobie natychmiast uświadomiłem – dostrzegł ją, wpierw swym Wardenowskim zmysłem, a potem, wiedząc już, że tam jest, wzrokiem. Uśmiechnął się krzywo.

– No, no! Odmieniec dysponujący Sztuką – odezwał się, najwyraźniej bardzo z. – siebie zadowolony. W tym momencie wyskoczyłem z ukrycia.

– Hej! – zawołałem wkładając wszystkie siły w skok mojego życia.

Kiedy głowa i pistolet mężczyzny skierowały się w moją stronę, Darva z półobrotu zadała mu uderzenie, które niemal oderwało mu głowę od reszty ciała. Palec żołnierza nacisnął spust i promień biało-niebieskiego światła wystrzelił z broni, obracając w popiół gałąź wysoko nad moją głową.

Darva nie zatrzymała się, tylko ruszyła natychmiast w moim kierunku; ja jednak podbiegłem wprost do zabitego. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem. Wyrwałem pistolet z martwej dłoni żołnierza i okręciwszy się na ogonie popędziłem w dżunglę. Słyszałem za nami krzyk tego drugiego mężczyzny i usłyszałem raczej, niż zobaczyłem strzał z laserowego pistoletu.

Darva znajdowała się przede mną i znikła już w zaroślach. Kiedy upewniłem się, że jest w miarę bezpieczna, przybrałem typową dla kamuflażu postawę i czekałem.

Dwoje żołnierzy, mężczyzna i kobieta biegło wprost w dżunglę z pistoletami w dłoniach. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, jakie kłopoty mogą mi sprawić moje przerośnięte łapy i szpony, jeśli chodzi o szybkość i precyzję, ale dotyk broni był tak uspokajający! A ja przecież byłem najlepszy! I cel nie był dalej niż dziesięć metrów. Z całkowitym spokojem nacisnąłem dwukrotnie spust, wypalając w ich piersiach dwa niewielkie, równiutkie, okrągłe otwory. Upadli do tyłu i znieruchomieli. Podeszedłem do nich i tak szybko, jak potrafiłem, zabrałem ich broń i pasy z zapasowymi nabojami, po czym odwróciłem się i podążyłem za Darwą.

Wręczyłem jej jeden z pasów i pistolet z wyłączonym zasilaniem, po czym bez słowa ruszyliśmy biegiem w głąb dżungli. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się i wsparłszy na ogonach łapaliśmy oddech, próbując się nieco odprężyć.

– Niewiele brakowało – wykrztusiła z trudem. – Ale się opłacało – skinałem głową.

– Opłacało? – zdziwiła się. – Dlaczego miałbyś podejmować aż takie ryzyko dla tych dwóch pistoletów? – poruszyła szponami. – Nam one są zupełnie niepotrzebne.

– Mylisz się – odparłem. – Żadne z nas nie jest szybsze od środków łączności, czy od dobrze mierzonego strzału – uśmiechnąłem się. – A i oni są od nich wolniejsi.

Pokręciła ze zdziwieniem głową.

– Był taki... słaby, kruchy – uniosła prawe ramię. – Rozbiłam mu czaszkę jednym uderzeniem.

– To prawda – przyznałem. – A przecież nasze ramiona są tym, co mamy najsłabsze. Nie bądź jednak zbyt pewna siebie. Ludzie zawsze byli najsłabszymi i najbardziej kruchymi istotami na wszystkich planetach, które zasiedlili i popatrz tylko, kto jest tam prawdziwym panem.

Spojrzała na mnie.

– No cóż, wygląda na to, że mamy wszystkie punkty kontaktowe z głowy. Skoro tu dotarli, to znaczy, że znają także inne.

– A jednak powinniśmy je sprawdzić – pokręciłem głową. Któryś z nich ciągle może być nie wykryty. Jeśli tylko istnieje taka szansa, musimy zaryzykować.

– No dobrze – westchnęła, robiąc wrażenie rozczarowanej; po czym ożywiła się nieco. – Wiesz, chyba zrobiłam tam to, co powinnam była zrobić!

– Jasne – przyznałem. – Jestem z ciebie dumny. Nie miałem możliwości, żeby ci powiedzieć, co masz zrobić, a ty wywiązałaś się wspaniale ze swego zadania.

Radość i duma rozlały się na jej twarzy.

– Być może jednak nadaję się do takich rzeczy. Bo wiesz... śmiertelnie się wtedy bałam. A jednocześnie ta cała sytuacja sprawiała mi pewną przyjemność.

– Bo tak to już jest – powiedziałem. – Z przykrością i wstydem przyznaję, że dołożenie im sprawia mi wiele radości. Naprawdę.

– Wiesz, mówisz o tym tak, jakbyś robił to już kiedyś przedtem – zauważyła. – Wiele razy, podczas rozmowy, odniosłam wrażenie, że robiłeś o wiele więcej w swym życiu niż tylko to, o czym mi opowiadałeś. A te dwa strzały! Ho! ho!

– No dobrze – westchnąłem – chyba powinnaś jednak znać prawdę. Zaslugujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny.

Opowiedziałem jej krótko moją profesjonalną historię i wyjawilem powody, dla których wysłano mnie na Romb Wardena. Słuchała w napięciu, kiwając co chwila głową. Kiedy skończyłem, uśmiechnęła się.

– To wiele wyjaśnia. I ciągle zamierzasz wypełnić tę misję, nawet po tym jak... – zawiesiła głos, nie wypowiadając tego, co było oczywiste.

– Mniej więcej – odparłem. – Ale nie tak, jak przypuszczasz. Nie żartowałem bowiem, kiedy mówiłem o reformach na Charonie czy o potencjale tkwiącym w odmieńcach. A przecież, podobnie jak ty, zostanę tu do końca mych dni. Nie mogą mi wyrządzić większej krzywdy, chociaż mogliby, jak już wspomniałem, zniszczyć całą planetę. Rozumiesz tedy, dlaczego do znalezienia Korila przywiązuję tak wielką wagę. On jest przeciwko obcym, i ja też. On jest kluczem do Aeolii Matuze i do naszej przyszłości tutaj...

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl, sięgnąłem do pasa i wyciągnąłem stamtąd małą krótkofalówkę. Włączyłem ją.

– ...z krzaków, zaskoczył Sormata... rozerwał mu gardło, jak jakieś zwierzę – usłyszałem daleki głos. – Boże! Było ich dwoje. Na pewno. Chociaż widziałem tylko jedno. Przypominało bunhara. Obrzydliwe.

– Muszę wiedzieć, jak to się stało, że udało im się zmylić osłonę *wa* Sormiego – odezwał się drugi głos. – Niedobrze mi się robi na samą myśl. Powinniśmy się pozbyć tych potworów raz na zawsze.

Sygnał stawał się coraz słabszy, najwyraźniej oddalali się od nas. Ostatnie zdanie wściekło

mnie. Obejrzałem krótkofalówkę, bardzo proste urządzenie, chociaż nie znałem takiego rozwiązania konstrukcyjnego.

– Widziałaś je kiedyś? – spytałem Darwę.

Podeszła i przyjrzała się urządzeniu.

– Wygląda jak te, których używano w firmie, kiedy chciano się skontaktować z pracownikami znajdującymi się w terenie – odparła. – Troszkę się różni, ale niewiele.

– Ta jest przeznaczona dla wojska – pokiwałem głową.

Obróciłem ją w dłoniach. Na tylnej ścianie widniało małe logo – Zemco, CB. Znowu ten Cerber. Centrum produkcyjne Rombu Wardena. Mogłem się spodziewać, że mój odpowiednik na tamtej planecie doskonale sobie będzie radził w takim środowisku.

– Jaki zakres?

– Że co?

– Na jaką odległość można tego używać?

– Aha. Te, których używaliśmy... może jakieś trzy, cztery kilometry.

Skinąłem głową.

– Ten pewnie jest nieco podrasowany, powiedzmy sobie jednak, że maksymalny zasięg wynosi pięć kilometrów. Jeśli są powszechnie stosowane na Charonie, muszą istnieć jakieś ograniczenia dotyczące ich użycia, w przeciwnym razie komunikowanie się za ich pomocą byłoby praktycznie niemożliwe – zastanowiłem się. – Ciekaw jestem, czy wszyscy korzystają z tej samej częstotliwości?

– Wymyśliłeś coś?

– Wpierw chodźmy do najbliższego punktu kontaktowego. Możliwe, że uda nam się usłyszeć, czy tam na nas czekają.

Popracowałem trochę nad pasami i w końcu, połączywszy je ze sobą i umieściwszy w nich pistolety i krótkofalówki, opasałem nimi piersi. Niezbyt to może wygodne, ale przynajmniej wszystko miałem pod ręką.

Z pędów roślinnych wypleśliśmy rodzaj futerału, w którym Darwa mogła umieścić ten trzeci pistolet; bez odpowiedniej praktyki była to i tak jedynie broń psychologiczna. Nie była ona bowiem zbyt łatwa w użyciu.

Mieliśmy ledwie trzydziestogodzinne „okienko” na ewentualną zmianę decyzji, jeśli chodzi o wybór punktu kontaktowego. Przez następne cztery dni miały być one bowiem sprawdzane co trzydzieści godzin w celu upewnienia się, czy ktoś nie przybył na spotkanie albo czy nie znajdują się

one pod obserwacją nieprzyjacielskich patroli. Potem bylibyśmy już zdani tylko na siebie.

Z tego powodu podróżowaliśmy przez większą część nocy. Podczas przerw na odpoczynek i posiłki dyskutowaliśmy na temat tego, co odczuwamy w związku z „organizmem Wardena”. Nasze doświadczenia były niemal identycznie... i nawet żołnierz, którego Darva uśmierciła, wyczuł w niej moc. Porównaliśmy nasze wrażenia. Okazało się, że moja towarzyszka od samego początku była świadoma zmysłu Wardenowskiego, chociaż jego rozumienie było w jej wypadku skażone ignorancją i mistycyzmem tubylców.

– Jak wiesz, moja prababka posiada wielką moc przypominała mi. – Potrafiła przekazać wiele ze swej wiedzy innym. Jako dziecko wykonywałam z nią pewne ćwiczenia, z których czerpałam wiele radości, chociaż nie uzyskałam znaczących rezultatów. To było jak torgo, rodzaj charonejskiego fletu, który mój brat otrzymał, gdy był mniej więcej w tym samym wieku. Bawił go on przez jakiś czas, wkrótce jednak znudził mu się i chłopiec zaprzestał nauki i ćwiczeń. Podobnie jest ze Sztuką.

Skinąłem głową.

– Nie wyjaśnia to jednak w żaden sposób mej własnej wrażliwości w tym względzie – powiedziałem. – Nie sądzę również, by mogła ona być wynikiem rzuconego na mnie czaru. Korman stwierdził, że mam wrodzone zdolności w tym kierunku i przepowiedział, że będę w stanie wyczuć „wardenki” – *wa* – tak jak to właśnie nam się przydarzyło. Jest to bardzo istotne z kilku powodów. Oznacza to bowiem, iż oboje jesteśmy w stanie się tego nauczyć; oznacza także, że odmieńcy nie są bardziej ograniczeni niż ludzie, co zresztą jest dość logiczne. Jesteśmy co prawda inaczej zbudowani, ale jesteśmy zbudowani z tej samej materii i z tego samego materiału. Skoro wielu spośród odmieńców znajdowało się kiedyś na etapie czela, było rzeczą oczywistą, że podstawę mocy stanowiło szkolenie i ćwiczenia. Bez nich twoje możliwości sięgały pewnej granicy, której przekroczenie czyniło moc bezużyteczną lub obracało ją wręcz przeciwko tobie.

Było dla mnie rzeczą jasną, że podstawą mocy jest umiejętność koncentracji w sytuacji, kiedy wyczuwa się „organizmy Wardena” w danym obiekcie. Większość ludzi nie posiada niezbędnej samokontroli i pewności siebie, ja jednak byłem przekonany, iż je posiadam i to nawet teraz. Być może Darva również je miała. Pewne skłonności artystyczne i zdolności matematyczne byłyby naturalnie wielce pomocne w tworzeniu bardziej skomplikowanych form.

Z powodu występujących tam dziwnych formacji skalnych, miejsce, do którego podążaliśmy, Darva zwała Iglicami. Nigdy tam wcześniej nie była, ale widziała zdjęcie tego terenu i zapewniała mnie, że jeśli zobaczy te skały, to je na pewno rozpozna. Uprzednio w ogóle nie brała pod uwagę tego miejsca, jako że znajdowało się tuż przy głównej drodze w pobliżu miasteczka Gehebrat. Jednak był to najbliższy z punktów kontaktowych.

Zbliżyliśmy się do niego późnym popołudniem następnego dnia. Włączyłem swą małą krótkofalówkę i stwierdziłem dość ożywiony ruch w eterze, jednak ten szum był spowodowany głównie rozmowami pomiędzy patrolami drogowymi. Nie mówiono nic o Iglicach, jako o ewentualnym miejscu zasadzki, a wszystko wskazywało na to, że urządzenia te nastawione są na jedną, ustaloną z góry, częstotliwość. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie mógł znaleźć się ktoś na

tyle bystry, by urządzić zasadzkę i korzystać z różnych częstotliwości, ale informacje, które odbierałem, były dość uspokajające.

Tym razem zachowywaliśmy się wyjątkowo ostrożnie. Darva miała rację; trudno byłoby przegapić to miejsce. Cztery poszarpane skały wznosiły się na co najmniej kilometr ponad otaczającą je dżunglę, celując prosto w niebo, jak cztery olbrzymie strzały. Punkt kontaktowy znajdował się u podstawy drugiej skały po lewej stronie, o ile, naturalnie, nie został już wykryty.

Podchodziliśmy powoli i ostrożnie z dwu przeciwnych stron, gotowi do natychmiastowej akcji, jednak nie zauważyliśmy żadnych śladów, ani też nie wyczuliśmy żadnej zasadzki. Jeśli to miejsce zastało wykryte, to żołnierze tutaj zachowywali się o wiele bardziej profesjonalnie od tamtych przy wodospadzie. Minęły dobre dwie godziny, nim przekonałem sam siebie, że w pobliżu nie ma niebezpieczeństwa, a mimo to, kiedy się spotkaliśmy ponownie, nie opuściliśmy osłony z drzew. Ponieważ nie mieliśmy zegarków, nie pozostało nam nic innego, jak usiąść i czekać z nadzieją, że ktoś po nas jednak przyjdzie.

Zapadał zmrok. Co chwila sprawdzałem krótkofalówkę, ale sygnały były bardzo słabiotkie i przerywane; o Iglicach w ogóle nie wspomniano.

Tuż po zapadnięciu zmroku dostrzegliśmy jakiś ruch i zastygliśmy na swoich miejscach. Wyciągnąłem jeden z pistoletów i nerwowo obserwowałem teren. W ciemnościach widziałem bardzo dobrze, nasze oczy sprawowały się najlepiej w półmroku dżungli, natomiast były bardzo wrażliwe na jasne światło, jednak nie był to wzrok, jaki posiadają stworzenia nocne. Zmysł Wardenowski wyczuwał przybysza i podążał za nim, jednak nie pozwalał rozpoznać jego kształtów.

Ktokolwiek to był, skradał się bardzo ostrożnie, a kiedy znalazł się na środku polanki, zatrzymał się, zapewne rozejrzał wokół i wreszcie wyszeptał nerwowym głosem:

– Na południu jest burza.

Były to słowa hasła rozpoznawczego, podane wcześniej Darwie i choć po ich usłyszeniu nasze nadzieje znacznie wzrosły, to jednak ostrożność nas nie opuściła. Jeśli bowiem Morah znał położenie choć jednego punktu kontaktowego od pojmanych odmieńców, to niewątpliwie znał również wiele aktualnych haseł.

Spojrzałem znacząco na Darwę i pokazałem jej gestem pistolet. Skinęła głową, oddaliła się ode mnie i zbliżyła się do ciemnej postaci.

– Niszczyciel buduje – wyszeptała odpowiedni odzew.

Usłyszałem głośnie westchnienie ulgi.

– Dzięki bogom! – odezwał się cichy, ale wyraźny głos kobiecy. – Kim jesteś?

– Nazywam się Darva. A kim ty jesteś? – moja towarzyszka zbliżyła się do ciemnej postaci.

– Jestem Hemara – odparła tamta. – Z doliny Chmury.

– A ja jestem z Thunderkor – powiedziała Darva. – Zbliź się, żebyśmy mogły się zobaczyć.

Ciemna postać poruszyła się i mogłem wreszcie dostrzec jej kształty. Była odmieńcem, dużą kobietą z ludzką twarzą o czerwonym odcieniu, różniącą się od normalnej jedynie parą wielkich jasnopomarańczowych, wielościennych oczu. Grzbiet wydawała się mieć pokryty czymś gładkim i zaokrąglonym.

Darva odwróciła się do mnie i wyszeptała:

– W porządku, możesz już wyjść. Myślę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Opuściłem swoje stanowisko i zbliżyłem się do nich. Z bliska mogłem się przekonać, że w rzeczywistości zmiany w tej kobiecie były większe niż sądziłem. Ciało miała czarne i błyszczące, jak owadzie, a to coś na jej grzbiecie okazało się twardą skorupą. Stała na czterech spośród swoich ośmiu odnóży, ramion nie miała. Odnóża pokrywał rodzaj twardego pancerza, a zakończone były małymi poduszczkami wyposażonymi w jeden twardy szpon. Na głowie zachowała całkiem ludzkie, krótko przycięte, czarne włosy.

Odwróciła się, popatrzyła na mnie, potem na Darwę i znów na mnie.

– Jest was dwoje?

– Tak jakby – odparłem. – To długa historia. W każdym razie ja jestem Park i jestem rodzaju męskiego.

Jej ludzka twarz wyrażała pełne zachwytu zaskoczenie.

– Para! Wspaniale!

W tym okrzyku wyczułem jakiś ton tęsknoty i smutku, którego nie mogłem pojąć.

– Być może – powiedziałem. – Teraz jednak interesuje mnie, jak się stąd wydostać. Czuję się trochę jak kaczka wystawiona na strzał.

Robiła wrażenie nieco zbitej z tropu:

– Miałam nadzieję, że to wy...

– Jeszcze jedna uciekiniarka. – Darva westchnęła. – No cóż, przyłącz się do towarzystwa i poczekamy razem.

Jej budowa i kolor ciała nie były – najbardziej odpowiednie do warunków dżungli, natomiast pozwalały jej doskonale wtopić się w otaczające nas skały. Czas mijał nam na rozmowie, w której wyjaśniliśmy jej, skąd się wzięły pistolety, a także padaliśmy jej nieco, naprawdę bardzo mało, informacji na nasz temat. Jeśli zaś chodzi o Hemarę, to Firma przyłapała ją na kłusownictwie, a to stanowiło poważne wykroczenie. Za karę podarowano ją firmowemu czelowi, by mógł na niej eksperymentować. Kiedy się nią nie bawił, wystawiano ją na widok publiczny w pobliżu kwatery

głównej Firmy, by odstraszać innych i jej ciemniejszy przeszli samych siebie, czyniąc z niej odstraszący przykład. Bez dłoni i jakichś chociażby szponów niewiele przecież mogła działać. Przy okazji wyjaśniła nam, że odbierane przez jej wielościenne oczy obrazy układały się w mózgu w jeden, pojedynczy obraz, jednakże ostrość jej widzenia była ograniczona. Mogła widzieć dobrze albo obiekt daleki, albo bardzo bliski i jeśli patrzyła na jakiś przedmiot, to widziała tylko ten przedmiot i jego najbliższe otoczenie. Oznaczało to ciągłą zmianę nastawienia ostrości wzroku, jeśli chciała widzieć w miarę wyraźnie. Jej osoba stanowiła smutny przykład tego, jak daleko mogą się posunąć okrutnicy i szaleńcy rządzący Charonem, a przecież, jak twierdziła, spotkała się ze znacznie gorszymi przypadkami. Prawdopodobnie i ja sam widziałem takie „gorsze przypadki”, tyle że to, co się rozegrało na tamtym placu po bitwie, stanowiło dla mnie tak wielkie psychiczne obciążenie, że nie pamiętałem dokładnie widzianych wówczas zdeformowanych ludzkich kształtów.

Tego samego wieczora dołączyli do nas jeszcze trzej inni odmieńcy. Jeden z nich był mężczyzną z ohydną diabelską maską miast twarzy i z ciałem wygiętym w łuk nad krzywymi nogami. Nietoperzowate skrzydła, w jakie był wyposażony, nie spełniały żadnych praktycznych funkcji. Był on dobrym przykładem świadczącym o tym, jak kapryśna potrafi być moc Wardena. Kradł on bowiem, by tak rzec, naukę, podsłuchując lekcje, jakich miejscowy czarc udzielał swym czekom. Po czym próbował eksperymentować samo – dzielnie i szło mu to zupełnie nieźle, aż pewnej nocy przyśnił ma się potworny koszmar i...

Drugi odmieniec był długim, szarym, pozbawionym odnóży robakiem, z ludzkim torsem, na którego szczycie tkwiła łysa głowa. Długie na pięć metrów ciało błyszczało i zostawiało za sobą śluzowaty ślad. Nie chciał nam zdradzić, jak doszedł do obecnego wyglądu, ale przypadkiem odkryliśmy, że odżywiał się ziemią.

Trzeci był kobietą o zaskakująco ludzkim wyglądem, zdecydowanie nie czuła się najlepiej w naszym towarzystwie. Ryła drobna, bardzo atrakcyjna i miała na głowie parę prawdziwie diabelskich rożków. Robiła wrażenie wyczerpanej psychicznie i nerwowo. Obawiałem się, że towarzystwo złożone z samych odmieńców nie wpływało najlepiej na jej samopoczucie. Nazywała się Emla Quoor. Znajdowała się wśród tłumu na tamtym placu i od tej pory – permanentnie przerażona – Niewiele mogliśmy jej pomóc, ale staraliśmy się ją pocieszyć twierdząc, że musi być bez wątpienia bardzo odważna i inteligentna, skoro udało jej się dotrzeć cało aż tutaj. Wyglądała rzeczywiście, jak gdyby przeszła przez prawdziwe piekło i dlatego zrezygnowaliśmy z wyciągania od niej dalszych szczegółów. I tak uczynią to inni, o ile w ogóle ktoś się po nas zgłosi.

Nagle usłyszeliśmy grzmot piorunów.

– Cholera! – zaklął ktoś z obecnych. – Nie uda się przeżyć choćby trzech godzin bez zmoknięcia. Lunęło ostro, a ponieważ zapowiadała się dłuższa ulewa, wszyscy przenieśliśmy się pod osłonę drzew. Zmienny i silny wiatr nie pozostawiał wątpliwości – wkrótce wszyscy będziemy przemoczeni.

Błyskawice przecinały powietrze wokół iglic, oświetlając co chwila cały teren i muszę przyznać, że ta nocna, burzowa sceneria zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Zerknąłem na niewielką polankę oświetloną przez moment jasną błyskawicą. Nie zobaczyłem nic. Po chwili zajaśniało ponownie. Tym razem ujrzałem kogoś lub coś na środku polany.

– Tam ktoś jest! – zawołałem do pozostałych, wyciągając jednocześnie pistolet.

Wszyscy zaczęli nerwowo się wpatrywać w otwartą przestrzeń, jednak polanka była pusta. Zwrócili przeto wzrok na mnie, ale ja nie ustępowałem.

– Tak ktoś był – zapewniałem. – Nie miewam halucynacji.

Włączyłem zasilanie pistoletu na pełną moc.

Jeszcze jedna błyskawica i znów pojawiła się ta sama postać – wysoka, szczupła postać ludzka w długiej, czarnej pelerynie z kapturem. Na pewno nie był to żołnierz. Zauważył ją również któryś z moich towarzyszy. Po chwili już wszyscy patrzyli nerwowo na przybysza.

Postać stała tam najwyraźniej celowo, po to, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Po chwili jednak powoli zbliżyła się do nas. Stała pośrodku i przyjrzała się nam po kolei. Zauważyłem jedynie twarz ludzką pod tym kapturem i praktycznie nic więcej.

– Na południu jest burza – wreszcie odezwała się któraś z kobiet.

– Niszczyciel buduje – odpowiedziała nieznajoma osoba głębokim, żeńskim głosem, po czym skinęła głową i spytała: – Czy to już wszyscy?

– My tutaj i tamta dziewczyna – odpowiedział człowiek – robak.

– Jestem Frienta – przedstawiła się nowo przybyła. – Przykro mi bardzo, że musieliście czekać, ale na drodze jest mnóstwo patroli i wolałam poczekać na nadejście burzy, która dałaby mi niejaką osłonę.

– Czy należysz do organizacji Korila? – spytałem. – Mistrz Koril jest bez wątpienia w to wszystko zaangażowany, choć sama organizacja nie należy ani do niego, ani do nikogo innego – odpowiedziała Frienta stanowczym tonem. – Niemniej musimy wydostać was i setki wam podobnych z tego rejonu, a to jest olbrzymi problem logistyczny. Więcej niż połowa naszych ludzi została już pochwycona lub zabita, a i wam samym ciągle jeszcze zagraża duże niebezpieczeństwo. Musimy szybko dotrzeć do punktu zbornego. Rozejrzała się ponownie.

– Czy jesteście w stanie podjąć długi marsz w tym deszczu?

Młoda kobieta o całkiem ludzkim wyglądzie i człowiek – diabeł jęknęli. Frienta przyjrzała się im, po czym popatrzyła na człowieka – robaka.

– Jak szybko możesz się poruszać?

– Dam sobie radę – zapewnił. – Im jest bardziej wilgotno, tym dla mnie wygodniej.

– No cóż, w takim razie, nasz sukces zależy od waszej dwójki – popatrzyła na Darwę i na mnie. Jesteście najwięksi. Czy moglibyście nieść tych dwoje?

Spojrzałem na Darwę, która wzruszyła tylko ramionami.

– Dlaczego by nie? – odparłem. – Ale muszą się mono trzymać.

Człowiek – diabeł groteskowo wykrzywił twarz, co, jak przypuszczam, miało wyrażać wdzięczność. Młoda kobieta natomiast była bardzo nerwowa i niepewna.

– No, chodź już, wejdź na mój grzbiet i postaraj się przyjąć jak najwygodniejszą pozycję – powiedziałem, starając się, by głos mój brzmiał bardzo przyjaźnie. – Nie truję i nie gryzę, przynajmniej tych, którzy są po mojej stronie, a jazda na oklep w tym błocie na pewno jest lepsza od pieszej wędrówki.

Człowiek – diabeł nie miał najmniejszych problemów z zajęciem miejsca na grzbiecie Darwy, chociaż, sądząc po jej minie, musiał ważyć więcej, niż na to wyglądał. Frienta podeszła do dziewczyny.

– No, chodź. Pomogę ci.

Ta druga zerknęła na mnie.

– Nie... nie wiem. Może lepiej już pójdę pieszo... – Nie mam czasu ani cierpliwości, by walczyć z takimi uprzedzeniami – powiedziała ta obca kobieta.

– Ty też nie jesteś w pełni człowiekiem, o czym świadczą najlepiej te dwa rogi.

Młoda kobieta cofnęła się raptownie, najwyraźniej zaskoczona stanowiskiem osoby, którą uważała za swego jedynego sprzymierzeńca. Zdałem sobie nagle sprawę z gwałtownego rozbłysku „wardenków” w ciele tej ciemnej kobiety i wyczułem informację przepływającą z jej wyciągniętego ramienia w kierunku przerażonej dziewczyny. Było to tak, jak gdyby tysiące, a być może miliony cieniutkich jak pajęczyna nici energii połączyło te dwie istoty.

Po chwili dziewczyna chwiejnym krokiem podeszła do mnie i wspomagana przez Frientę wspięła się na mój grzbiet i chwyciła się mocno. Frienta pokiwała głową, cofnęła się i wyrysowała w powietrzu dłonią kilka znaków.

– W porządku – powiedziała, najwyraźniej usatysfakcjonowana. – Będziesz tam tak długo, dopóki cię nie uwolnię!

– Ruszamy! – zwróciła się teraz do wszystkich. – Podążajcie za mną jak najszybciej! To nie jest odpowiedni czas, by przebywać dłużej w jednym miejscu!

Wyczuwałem sztywność ciała kobiety na moim grzbiecie i dlatego odezwałem się do Frienty:

– Jesteś czelem.

– Pomniejszym – odparła króbk.

I po tej odpowiedzi ruszyła w ciemną i nasiąkniętą deszczem dżunglę, a my podążaliśmy za nią.

Podróż była długa i męcząca, ale udało nam się utrzymać niezłe tempo. Frienta, której twarzy ani razu wyraźnie nie widziałem i której ciało zamaskowane było czarną peleryną, okazała się wyjątkowo szybka i zwinna, a poza tym – najwyraźniej niestrudzona. Dodatkowy ciężar był jednak bardzo męczący i dla Darvy, i dla mnie, ale nie mieliśmy wyboru. Człowiek – robak i Hemara utrzymywali tempo, pomimo niesprzyjających warunków, chociaż tak naprawdę żadne z nas nie było do takich warunków dostosowane. Frienta wydawała się wyczuwać, kiedy jedno czy więcej spośród nas było zmęczone i musiało odpocząć, w związku z czym przerwy były odpowiednio dobrane i o wiele rzadsze niż byśmy sobie tego życzyli.

Maszerowaliśmy całą noc przez kompletne pustkowia. Po jakimś czasie żadne z nas nie wiedziało już, gdzie jesteśmy, jaką drogę przebyliśmy i w jakim kierunku podążamy. Wreszcie dotarliśmy do niewielkiej polanki, na której Frienta zarządziła dłuższy odpoczynek. Mogliśmy zbierać pożywienie, zgodnie z naszymi indywidualnymi upodobaniami, i nawet mogliśmy przespać się nieco. Poinformowała nas także, że podróżowanie za dnia jest raczej niebezpieczne i że przed sobą mamy jeszcze dwie noce marszu.

Mimo iż pozbyliśmy się na jakiś czas naszych ciężarów, oboje z Darwą czuliśmy się wyczerpani, a przecież wiedzieliśmy, że właśnie teraz potrzeba nam szczególnie wiele sił. Nie prowokowaliśmy walki z jakim większym zwierzęciem i zadowoliliśmy się jakimś drobiazgiem, uzupełnionym dzikimi owocami, po czym przespaliśmy większą część dnia.

Frienta nie ukazała nic więcej ze swojej osoby w ciągu dnia, intrygując nas coraz bardziej. Byliśmy przekonani, że ona również jest odmieńcem, choć nie byliśmy w stanie ustalić, jakiego rodzaju. Pełniliśmy na zmianę straż, tak żeby każdy miał szansę się wyspać, a ja trzymałem ciągle w ręku pistolety laserowe. Większość towarzystwa i tak nie potrafiłaby z nich skorzystać a dwoje po prostu nie byłoby w stanie ich użyć z powodów czysto fizycznych. Poza tym, tak naprawdę to nie ufałem nikomu z wyjątkiem Darvy, która zresztą i tak nie umiała strzelać.

Następna noc była podobna do poprzedniej, tyle że przestało padać. To wielka ulga. Moja pasażerka nie odezwała się ani razu podczas całej podróży, za co zresztą byłem jej autentycznie wdzięczny. Zbyt byłem zmęczony, by podtrzymywać jakąkolwiek konwersację.

W połowie trzeciej nocy nagle wyszliśmy na piaszczystą plażę. Dotarliśmy do wybrzeża, jak się okazało, również południowego, tyle że w tym miejscu położonym jakieś sto kilometrów na zachód od Bourget.

Z ulgą stwierdziliśmy, że oznacza to kres naszej podróży. Nasza tajemnicza przewodniczka bezbłędnie doprowadziła nas poprzez gęstą dżunglę na właściwe miejsce, unikając zarazem tego, co jest najgorsze i w dżungli, i na bagnach.

– Teraz jesteśmy już bezpieczni – zapewniała nas. – Najwyższe czary chronią to obozowisko przed wszelkimi intruzami.

– Obozowisko? – rozejrzałem się.

– Chodźcie za mną – przywołała nas gestem dłoni i poszliśmy plażą do miejsca, w którym brzeg tworzył niewielką zatoczkę. Wyglądała na całkowicie pustą do momentu, w którym skręciliśmy w głąb lądu na, południowym ramieniu tej zatoczki. – Nagle znaleźliśmy się w dużej, dość prymitywnej osadzie, pełnej namiotów, ognisk i pochodni. Widok był tak zaskakujący, że kilkorgu spośród nas wyrwały się okrzyki zdumienia. Zatrzymałem się, odwróciłem, cofnąłem kilka kroków i proszę bardzo: prawdziwy obóz i setki obozujących, ludzi i odmieńców.

Frienta zatoczyła ramieniem koło i powiedziała:

– Znajdźcie sobie jakieś wygodne miejsce i ulokujcie się tam. Żywności jest pod dostatkiem, ale obawiam się, że brak dostatecznej liczby namiotów, i w ogóle są kłopoty z jakimś dachem nad głową. Jeśli nie uda wam się znaleźć, możecie korzystać z tego, co daje leżąca obok dżungla. Czar zabezpiecza cały teren na południe od zatoki, ale jedynie na głębokość dziewięćdziesięciu metrów od plaży. Jeśli zanurzycie się dalej w las, musicie być bardzo ostrożni.

Nasza niewielka grupka szybko się rozproszyła. Nasi towarzysze podróży prawie natychmiast odnaleźli znajomych w tłumie istot kłębiących się na plaży. Moja nerwowa pasażerka z wid – oczną ulgą przyłączyła się do grupy jej podobnych osób.

– I co teraz? – Darva popatrzyła na mnie.

– Chyba się prześpimy – wzruszyłem ramionami. – Jutro zastanowimy się, co dalej.

Przyglądałem się istotom na plaży; niektóre z nich wyglądały koszmarnie. Charon przyjął kryminalistów i szaleńców, i obdarzył ich wielką mocą. Pomyślałem sobie, że szaleństwo to znalazło swoje odbicie w ofiarach widocznych na plaży, tak jak znalazło je w wyglądzie naszych towarzyszy podróży. Wiedziałem, że Koril może okazać się człowiekiem bardzo współczującym; niemniej to polityk, zdetronizowany król, pragnący odzyskać swe dawne stanowisko i zdecydowany na bardzo wiele, by tego dokonać. Przecież ten sam system istniał już, kiedy on był u władzy, nawet przedtem, a on nie uczynił nic, by go zmienić. I ten fakt, naturalnie, umknie uwadze większości tych ludzi, szczególnie odmieńców; prawie wszyscy byli tubylcami, i już to samo tłumaczyło ich naiwność, do której teraz należało jeszcze dodać rosnącą ufność, zrodzoną z rozpacz i z nadziei.

Czym się różnimy od obcych, pytała mnie Darva... i ja rzeczywiście nie byłem pewien, czy znam odpowiedź na to pytanie. Jeśli ja jej nie znałem, to być może i Karil nie widział zbyt wyraźnie tych różnic. To mało prawdopodobne, by zechciał wyeliminować zagrożenie zewnętrzne, pozwalając jednocześnie na powstanie zagrożenia wewnętrznego. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ludzie ci są wykorzystywani, jak to zresztą zwykle bywa. Wiedziałem, że wcześniej czy później coś należy z tym zrobić.

Darva odeszła na parę minut, aby sprawdzić, czy nie spotka jakichś swoich znajomych. Kiedy zobaczyłem, że rozmawia z grupką osób w pobliżu dużego namiotu, postanowiłem się do niej przyłączyć.

Zauważyła, że się zbliżam, uśmiechnęła się, skinęła głową i ponownie zwróciła się do trójki rozmówców, grzejących się przy ognisku. W jednym z nich rozpoznałem człowieka – żabę, inny był jakąś ptasią istotą. Podszedłem wprost do nich. Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ktoś uchylił poły stojącego za moimi plecami namiotu i usłyszałem znajomy głos:

– Moje uszanowanie, Darvo! Cześć, Park! Naprawdę kapitalnie ci w tym nowym garniturku!

Zaskoczony, obróciłem się błyskawicznie na pięcie i... stanąłem twarzą w twarz z Tullym Kokulem.

Rozdział jedenasty

TWIERDZA KORILA

Spacerowałem z Tullym wzdłuż plaży.

– Powiedz mi – spytałem – czy to ty jesteś Korilem?

– Ależ skąd! – roześmiał się. – Nie godzien byłbym wiązać rzemyków u jego sandałów! Jestem bardzo prostym człowiekiem, Park. W czasach starożytnych byłbym zapewne wiejskim proboszczem, człowiekiem szukającym miejsca odpoczynku i miejsca do kontemplacji i eksperymentów z dala od zgiełku. Bourget było dla mnie takim spełnionym marzeniem. Nie miałem tam nad sobą nikogo, kto wydawałby mi rozkazy, mieszkałem w spokojnej wiosce, której mieszkańcy byli dobrymi, prostymi, nastawionymi na zysk ludźmi, a odległy rząd pozostawiał nas w spokoju. Byłem tam nadzwyczaj szczęśliwy.

– To dlaczego znalazłeś się tutaj? – spytałem. Chyba nie wybrałeś się tylko na przejażdżkę.

– Pewnie że nie – zachichotał. – Jestem jednak jak ten pacyfista, który zostaje w domu, zamyka się w nim na klucz, podczas gdy na zewnątrz szaleje wojna, a potem nagle odkrywa, że dwie wrogie armie maszerują i strzelają do siebie w jego własnym salonie. Jestem dość przeciętnym czarcem, ale także dobrym politykiem, Park. Wiedziałem, co się dzieje w wiosce i wokół niej. Wiedziałem też, iż ta idylla kiedyś się skończy, choć odkładałem podjęcie decyzji na ostatni moment. Przegrana była bardzo bolesna; jednak w momencie, kiedy sprawy przejęła Matuze, była to jedynie kwestia czasu. Ona jest naprawdę szalona, Park. Morah chroni ją przed Synodem dla swoich własnych powodów i dlatego stać ją na zaspokojenie najbardziej szalonego kaprysu. Jest sadystką, okrutnicą, ale ma olbrzymią wyobraźnię i nie mniejsze ambicje. Tak więc, kiedy przejęła kontrolę, ja uzyskałem listy uwierzytelniające, że się tak wyrażę, od tej tutaj grupy, choć prawie do ostatniej chwili zachowywałem się neutralnie. Tak naprawdę dopiero pojawienie się Moraha uświadomiło mi, że nadszedł koniec gry.

– Dlaczego więc nie przyłączyłeś się do niego i nie powróciłeś po tym wszystkim do poprzedniego życia? – spytałem. – Nie musiałeś odcinać się od niego i uciekać.

– Och, nic już nie wróci do poprzedniego stanu, nie po tym, co się wydarzyło na tym placu.

Morah został publicznie upokorzony. Matuze przejmie teraz osobiście sprawy. Jeśli ludzie z Bourget mają choć trochę rozsądku, a większość niestety go nie posiada, uciekną wszyscy. Chociaż nie udało się tam władzom przeprowadzić swoich zamiarów do końca, na pewno uczynią teraz z Bourget wielki i odstraszący przykład. Jestem przekonany, że zainstalują tam ma stałe oddziały wojska i synodalnego czarta. Nie będzie można kichnąć bez ich pozwolenia.

Powiedziałem mu o swoich podejrzeniach dotyczących Moraha.

– Hm. Morah – obcym: Nie pomyślałem o tym przedtem, a jest to wielce prawdopodobne, pod warunkiem jednak, że przyjmie kilka założeń. Jedno to takie, iż obcy również mogą zainfekować się „organizmem Wardena”; Morah jest aż naładowany mocą i potrafi jej używać lepiej od kogokolwiek. Jeśli jednak mogą się oni zainfekować w taki sam sposób jak my, jak to było możliwe, że ta delegacja sprzed pięciu lat przybyła tutaj i wyjechała bez wpadnięcia w tę pułapkę?

– Możliwe, że posiadają jakieś lekarstwo – zauważyłem. – Przecież cały ich układ z Czterema Władcami właśnie na tym się opiera. Czyż jest lepszy sposób, by udowodnić, że się czymś takim dysponuje?

– Być może masz rację – przyznał. – Ja jednak nie jestem tego taki pewien. To prawda, że nic nie wiem o Morahu, ale nie ma w tym fakcie nic nadzwyczajnego. A poza tym jest jeszcze problem tego przedstawienia, które nam zgotował na zakończenie.

– Masz na myśli potwora, w którego się zmienił?

– Czy dobrze mu się przyjrzałeś? – skinął głową.

– Raczej nie. Wszystko przebiegało tak szybko. Pamiętam tylko wielogłowego smoka. Trzy głowy. Praktycznie nic więcej.

– To i tak nieźle. W rzeczywistości głowy były cztery, a nie trzy, i każda z nich była całkowicie inna od pozostałych. Jedna była jaszczurza, druga owadzia, trzecia należała do jakiegoś morskiego stworzenia, a czwarta była z grubsza humanoidalna. Czy dostrzegasz jakieś szczególne znaczenie tego faktu?

– Raczej nie – pokręciłem przecząco głową.

– Charon, Lilith, Cerber, Meduza. Żywy znak Czterech Władców Rombu.

– Symbolika aż do samego końca – zagwizdałem. Końca prawie w sensie dosłownym – zauważył. – Posłuchaj, jedynym powodem, dla którego on nie został kompletnie usmażony był fakt, iż go tam w ogóle nie było. Ty nie byłeś w stanie tego wyczuć, ale ja to dostrzegłem. W momencie, kiedy padł pierwszy strzał, na nieszczęście chybiony, opuścił podwyższenie i zniknął w tłumie. W tej samej chwili przestałem go widzieć, otoczył się takim czarem, że nie byłem w stanie odróżnić go od ofiar.

– To mógłby i teraz być tutaj z nami – rozejrzałem się nerwowo.

– Mógłby, ale to mało prawdopodobne. Jest jedyną osobą zdolną do koordynowania działań związanych z tym polowaniem, nie wspominając już o możliwości bezpośrednich kontaktów z rządem. Poza tym nie udałoby mu się zmylić Korila. Nie przejmuj się więc tą sprawą. Mimo wszystko to było imponujące przedstawienie... a propos, skoro o przedstawieniach mowa... jak to się stało, że wyglądasz tak jak wyglądasz.

Opowiedziałem mu pokrótce moje przygody.

– Nieźle. A miałem nadzieję, że będziesz miał, do diabła, dość rozsądku i nie opuścisz ratusza i dlatego nie zwracałem uwagi na to, co się z tobą dzieje. Miałem sporo zajęcia i starając się nie znaleźć na linii strzału i jednocześnie mieć oko na Moraha; potem pomagałem zorganizować ucieczkę dla innych.

– Po czym więc poznałeś, że to ja?

– Twoje *wa*, wardenowski układ w twoim mózgu uśmiechnął się. – Jest jedyny w swoim rodzaju, posiada indywidualny charakter, tak zresztą, jak w przypadku każdej innej osoby. Naturalnie nie pamiętam ich wszystkich, ale z tobą spędziłem jednak kilka miesięcy w tym samym budynku.

– A co z tymi czarami, Tully? Czy one są już na stałe?

Zatrzymał się i popatrzył na mnie.

– Nic nie jest stałe, szczególnie na Charanie. Jednak o wiele łatwiej jest coś dodać niż odjąć. Kiedy rzuca się czar zamieniający kogoś w odmieńca, tworzy się we własnym mózgu zbiór instrukcji i rozkazów, które następnie przekazuje się „organizmom Wardena”, znajdującym się wewnątrz osoby poddanej czarom. Te zaś czynią to, co im nakazano. Czerpią skądś energię, na pewno z zewnątrz, choć nikt jeszcze nie odkrył jej konkretnego źródła. Pobierają więc tę energię, przekształcają ją w materię z niewiarygodną szybkością i przekonstruowują obiekt poddany działaniu czarów.

– No tak, ale nie mamy tu przecież do czynienia wyłącznie ze zmianą kształtów – odparłem. – Do diabła, mam przecież znacznie silniejszy kręgosłup, system trawienny lepiej dostosowany do sytuacji; inny układ równowagi... i miliony innych rzeczy, dużych i drobnych, które powodują, że ta istota, będąca nowym mną, sprawnie działa. Nie można przecież myśleć jednocześnie o tych wszystkich niezbędnych drobiazgach. Potrzebna by do tego była cała biblioteka biomedyczna i skomplikowane laboratoria projektowania biologicznego.

Przyglądał mi się bardzo poważnie.

– Chcesz znać prawdę? Ostrzegam cię, że nie zdradzamy jej pierwszemu lepszemu.

– Pewnie, że chcę.

– Nie mamy najmniejszego pojęcia, jak to się odbywa. I taka właśnie jest prawda. Pewne podstawowe materiały, jak sądzę, są po prostu pożyczane od innych „organizmów Wardena”, znajdujących się na tej samej planecie. Następuje wymiana niezbędnej informacji w sposób, którego nie rozumiemy... Jest to, jakby ginie było, całkowicie od nas odmienna forma życia. W ten sposób

zapewne pożyczone są tworzące się części bunhara, pigmentacja i tym podobne. Prawdę mówiąc, wiemy, że tak właśnie jest; można bowiem wyczuć prośbę o informację i jej przepływ do obiektu. Kiedy jednak nie ma w naturze odpowiedników nowej istoty albo kiedy łączy się razem bunhara i człowieka, a rezultat takiego działania jest zadawalający, no cóż, to już całkiem inna historia. „Organizm Wardena” nie myśli. Przypomina raczej maszynę czekającą na instrukcje. Jest zbyt prosty, by móc samodzielnie myśleć, nawet jeżeli potraktować je wszystkie na całej planecie jako jeden organizm. Bez instrukcji jest całkowicie bierny.

Nie pozostało mi nic innego, jak skinąć głową i zapamiętać sobie te informacje. Przynajmniej na razie. Nawiązałem za to do tematów aktualnych.

– W zasadzie więc, kiedy już cię zmieniano, nie masz drogi wyjścia.

– Mniej więcej. Bardzo niewiele czasu było potrzebne, by cię zamienić w to, czym jesteś, natomiast powrót do stanu pierwotnego może zabrać rak lub więcej, i może być bardzo skomplikowany. Po pierwsze – polega on na zniszczeniu środowiska, obecnego domu tych miliardów dodatkowych „wardenków”, a posiadają one silny instynkt samozachowawczy. Po drugie – ta dodatkowa masa musi gdzieś się podziać, a na ogół może ona jedynie zamienić się na powrót w energię. Mały błąd lub pośpiech, a rezultatem będzie błysk i huk i naturalnie twoja śmierć. O wiele łatwiej jest przeprowadzić tylko pewne modyfikacje. Uważam zresztą, że pewne takie modyfikacje są tu niezbędne. Przyglądając się tobie i Darvie, doszedłem do wniosku, że twój czar wymknął się nieco spod kontroli i jeśli się czegoś z tym nie zrobi, możesz mieć jeszcze większe problemy.

– Hm? Co macie na myśli?

– No cóż, sytuacja jest nieco niezwykła, ale widziałem już podobne. Oboje posiadacie wyjątkową wrażliwość na *wa*, a ono z kolei jest wam posłuszne. Bez odpowiedniej kontroli twoja podświadomość, twoja zwierzęcość zyska przewagę. Jeśli ten trend nie zostanie powstrzymany lub zmodyfikowany, oboje zmienicie się całkowicie w bunhary. Powiedz mi... czy ostatnio nie miałeś jakichś dziwnych, hm, problemów psychicznych, nie odczuwałeś dziwnych popędów?

Pełen zakłopotania opowiedziałem mu o naszych polowaniach w dżungli.

Pokiwał z powagą głową.

– Cóż, musimy coś z tym zrobić, i to natychmiast po tym, jak was dokładnie zbadam. Nie będzie to łatwe. To są twoje „wardenki”, a *wa* działa zgodnie z tym, co uważa za przejaw wali swojego nosiciela. Musimy je przekonać, że nie jesteś tym, kim jesteś... przekonując wpierw ciebie. Podczas tego procesu przemiany umysł odsuwany jest na bok nie tylko dlatego, iż jest zupełnie zbędny w dochodzeniu do ostatecznego celu, ale również dlatego, że po prostu często przeszkadza. Teraz ten proces jest bardzo powolny, ponieważ nie zachodzi on na poziomie świadomości... i ponieważ wokół są inni ludzie. Gdybyś jednak nie zjawił się tutaj i pozostał na pustkowiu, proces uległby znacznemu przyśpieszeniu. Po kilku miesiącach byłbyś bunharem biegającym w stadzie i nie różniącym się niczym od tych, które narodziły się już jako zwierzęta. Miałeś więc szczęście.

Wstrząsnął mną lodowaty dreszcz.

– Proszę cię, Tully, powiedz o tym Darvie. Ona właśnie tego chciała... i niewiele brakowało, a byłbym jej uległ.

Odmieńców ewakuowano w małych grupach morzem, albo od czasu do czasu – drogą powietrzną. Sieć organizmów Korila okazała się o wiele bardziej rozgałęziana i miała solidniejsze podstawy, niż przypuszczałem na początku.

Tully wykorzystał czas, jaki mieliśmy, na pracę z nami. Spędzaliśmy całe dni na bardzo precyzyjnych i często bardzo nudnych ćwiczeniach umysłowych, z których wiele powodowało u nas ból głowy. Aplikował nam również różne rodzaje skutecznych technik blokujących, opartych na autohipnozie, które pozwalały nam utrzymać pod kontrolą wzrastające w nas rozumienie wewnętrznej mocy.

Sprawy podstawowe były w zasadzie proste. Po pierwsze – można było zrobić coś z niczego. Musiały jedynie istnieć „organizmy Wardena”, z którymi można byłoby współpracować. Tym samym nie można było zmaterializować czegoś, ot tak z powietrza, to się po prostu nie zdarzało. Jednak wystarczyło coś niewielkiego, kamień czy kupka piasku, a już można było spowodować ich wzrost, mnożenie się i wreszcie transformację. Jednakże nie można było tchnąć życia Wardenowskiego w coś, co na początku w ogóle nie było ożywione. Można było stworzyć bardzo wiele obiektów ze zwykłego piasku, ale nie można było tych obiektów ożywić. Niemniej można było zmieniać ich kształty, kierować nimi, wytyczać im cel – jak kukielkom – za pomocą własnej koncentracji.

Darva uczyła się szybciej ode mnie, ponieważ kontynuowała ona jedynie to, co kiedyś, dawno temu, przerwała. Tully ostrzegał nas, że istnieje niewielka szansa, byśmy stali się czymś więcej niż tylko bardzo potężnymi czelami, ponieważ znacznie łatwiej opanowuje się Sztukę w młodym wieku. A przecież on sam poznał ją będąc niewiele młodszy ode mnie i fakt ten był dla mnie ogromnym bodźcem. Natomiast Koril, który stał się prawdopodobnie najpotężniejszym człowiekiem w tej dziedzinie, nauczył się wszystkiego dopiero po czterdziestce.

Wydawałoby się, że im więcej się ćwicy, tym łatwiejsze się to wszystko staje, w rzeczywistości było nam coraz ciężej w miarę czynionych postępów, ponieważ im większe były nasze ambicje, z tym większą ilością „organizmów Wardena” musieliśmy się kontaktować.

W końcu jednak, jakieś cztery tygodnie po naszym przybyciu do obozu, kiedy na miejscu pozostała ledwie garstka odmieńców, co oznaczało, że i my wkrótce wyjedziemy, Tully przyznał, że doprowadził nas tak daleko, jak to tylko było w tych warunkach możliwe. Naturalnie nie było to nazbyt wiele, jednak posiadaliśmy teraz dużo więcej samokontroli i mocy, niż mogliśmy kiedykolwiek przypuszczać, i niż byłaby to możliwe bez jego pomocy. Prawdę mówiąc, byliśmy już dojrzałymi, choć ciągle pomniejszych, czelami.

– Wyjedziecie za dwa dni – powiedział nam wreszcie Tully. – Udacie się na południe, do Gamush, zgodnie z moją rekomendacją. Powinno wam to pochwlebiać, bowiem wysyła tam się jedynie czek wykazujących duże potencjalne możliwości. Być może spotkacie tam nawet samego wielkiego człowieka.

– A co z procesem przemiany? – spytała nerwowo Darva.

– No cóż, udało wam się go ustabilizować. Sądzę, że zdążyliśmy w ostatnim momencie. W Gamush uzyskacie najlepszą profesjonalną pomoc, przejdziecie dodatkowe szkolenie i... kto wie?

– Jakim transportem się tam udamy?

– Mieliśmy ostatnio pewne problemy z transportem morskim kołnierze wchodzi na każdy statek i przeszukują go bardzo dokładnie. Dysponują też skutecznymi patrolami powietrznymi. Dotychczas wielokrotnie udawało nam się zmylić ich czujność, nie mają bowiem list z nazwiskami, nie mówiąc już o rysopisach odmieńców. Ale mimo to podróż jest powolna i ryzykowna. Dlatego polecicie drogą powietrzną. Obawiam się, że będzie to dość ryzykowny sposób, ale jednak najlepszy.

„Dość ryzykowny” – to było chyba za słabo powiedziane. Nasza budowa była zupełnie niedostosowana do kabin szybownika i okazało się, że wyłącznie ludzie mają być przewożeni na grzbiecie zmodyfikowanego i kierowanego przez czarta szybownika, podczas gdy znajdujący się już w powietrzu stwór ma zapikować i porwać nas oboje w swe chwytne łapy.

Mimo że zaaplikowano nam jakieś środki uspokajające przed „startem”, wspominam to wszystko jako najbardziej przerażające doświadczenie w moim dotychczasowym życiu. Przelot nad oceanem w uścisku szponów tej ogromnej latającej istoty nie gwarantował naturalnie nikomu wygody, chociaż okazał się znacznie wygodniejszy od ewentualnej podróży w kabinie. Nie działał też kojąco na nerwy, szczególnie kiedy z dużej wysokości oglądało się tysiące kilometrów kwadratowych otwartego oceanu, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, iż wystarczy, że potwora coś nagle zaswędzi, a spuści swych pasażerów w dół... I nikt tego nawet nie zauważy.

Nasze poczucie bezpieczeństwa nie zwiększyło się ani na jotę, kiedy kilka godzin później przelecieliśmy nad nagim wybrzeżem Gamush. Przede wszystkim wtedy właśnie, po raz pierwszy od wylądowania na Charonie, ujrzałem niebo i jasne słońce. Niebo, pokryte tu i ówdzie szarymi chmurami miało kolor czerwono-pomarańczowy i wyglądało bardzo dziwnie. Warstwa gazów była na tyle cienka, że wyraźnie było przez nią widać prawdziwe słońce systemu Wardenowskiego... A było to słońce bardzo gorące. Ponieważ temperatura naszych ciał rosła lub opadała w zależności od temperatury otoczenia, zacząłem się zastanawiać, do jakiej wysokości może ta temperatura dojść w naszych ciałach, nim zagotuje nam krew. Taki to był upał, a przynajmniej tak to odczuwałem, i tak niewiarygodnie było suche powietrze. Pod nami pomarańczowy i brązowy piasek, pofalowany i usypany w wydmy rozciągał się jak okiem sięgnąć.

Cóż za świat, pomyślałem sobie. Tropikalne lasy deszczowe na północy i południu, i wypalona pustynia pośrodku.

A przecież żyły tam jakieś stworzenia. Widzieliśmy jak krążą wokół; stwory o wyglądzie bezskrzydłych cylindrów, które nie zbliżały się jednak na tyle, by można im było się dokładniej przyjrzeć. Gdzieś w dole musiały bez wątpienia żyć inne stworzenia, stanowiące pożywienie dla tych w powietrzu. Mimo to podczas całej tej podróży nie dostrzegłem ani jednego drzewa, ani jednego krzaka, ani jednego zwierzęcia. Nic, tylko naga pustynia.

Łądowanie odbyło się dość brutalnie i to, pomimo że byliśmy na coś podobnego przy gotowaniu i mieliśmy nienajgorszą kondycję fizyczną, którą zresztą zawdzięczaliśmy ćwiczeniom. Na ziemi nie było dla szybownika odpowiedniego terenu, nadającego się do ponownego startu, brakowało wzniesień i twardego podłoża, poszybował więc bardzo nisko, maksymalnie wyhamował i spuścił nas z wysokości kilku metrów wprost w piach. Potem natychmiast nabrał wysokości, stając się szybko plamką na niebie, a my dwoje obserwowaliśmy pasażerów z kabiny pasażerskiej, w większości ludzi humanoidalnych odmieńców, opadających powoli na spadochronach na teren o powierzchni mniej więcej kilometra kwadratowego. Spadochroniarstwo nie było sztuką popularną na Charonie, ale przynajmniej dzięki „wardenkom” połamane kończyny zrastały się w kilka dni.

Oczekiwała nas grupa mężczyzn i kobiet, samych ludzi ubranych w grube żółte szaty i kapelusze o szerokich rondach. Wykazali oni ogromną skuteczność i kompetencję, gromadząc bardzo szybko w jedno miejsce jakiś tuzin ludzi i odmieńców, porozrzucanych wokół przez szybownika.

– Jak twoje samopoczucie – spytała mnie zaniepokojona Darva.

Obmacałem się.

– Jestem trochę poobijany i obtarłem się miejscami o ten piach, ale poza tym wszystko mam na miejscu – odpowiedziałem. – Ogólnie czuję się jednak podle i chce mi się pić. A ty?

Tak samo – odparła. – Zobaczymy, jak można się wydostać z tej dziury. Przecież to miejsce wygląda koszmarnie. Jak piekło.

Trudno mi było się z nią nie zgodzić, choć musiałem wziąć pod uwagę fakt, że dla niej było to pierwsze zetknięcie z pustynią i z pustynnym klimatem. I to, co ona kiedy indziej uważała za normalne, dla mnie wcale takie sympatyczne nie było.

Jeden z żółtoodzianych, mężczyzn sprawdził szybko nasze nazwiska na liście, a następnie zaprowadził nas do jakiegoś konkretnego punktu na tym piasku, nie różniącego się zresztą niczym od innych punktów na tej pustyni. Nasi gospodarze rozglądali się wokół, najwyraźniej coś sprawdzając i w pewnym momencie, dość nagle, zaczęliśmy się zagłębiać w piasku.

Było to niesamowite i nieco przerażające uczucie, chociaż w porównaniu z niedawnym lotem wydawało się całkiem łagodne. Wstrzymałem oddech, zagłębiając się wpierw po usta, a potem coraz niżej i niżej.

Przez krótką chwilę całe moje ciało zanurzone było w piasku i odczuwałem okropny lęk przed uduszeniem, który minął jednak bardzo szybko, kiedy chłodne powietrze owionęło dolne partie mojego ciała i uświadomiłem sobie, iż znajduję się już w jakiejś wolnej przestrzeni. Opanowałem się i, wypluwając piasek z ust i przecierając oczy, rozejrzałem się wokół.

To, co ujrzałem, zrobiło na mnie ogromne wrażenie: wielki, przypominający wyglądem hangar, budynek, jasno oświetlony i pełen biegających ludzi, najwyraźniej zajętych pracą i obsługą jakichś urządzeń. Najbardziej uderzył mnie fakt, iż gdyby sądzić po pracujących tutaj maszynach, miejsce to śmiało mogłoby się znajdować na którymkolwiek – z cywilizowanych światów. Było co najmniej tak

nowoczesne jak wahadłowiec; po raz pierwszy od momentu przybycia do Montlay, wydawało się, że już wieki temu, zobaczyłem coś na tak wysokim poziomie technologicznym.

Staliśmy na czymś w rodzaju przezroczystej platformy, umieszczonej na szczycie potężnego tłoka opuszczającego się powoli do poziomu podłogi. Zerknąwszy w górę ujrzałem, ku swemu zdumieniu, ogromny sufit, zbudowany całkowicie z piasku i nie posiadający żadnych przęseł czy podpór. Nigdy nie udało mi się dojść, jak tego dokonano, czy był to wynik Wardenowskich czarów, czy też jakieś pole siłowe. W każdym razie niewątpliwie to właśnie rozwiązanie zadecydowało, że ani potężni charonejczycy, ani ich przyjaciele – obcy nie byli w stanie odnaleźć tego miejsca. Do diabła, sam nie byłbym w stanie go odnaleźć i to niezależnie od kierujących mną pobudek.

Kiedy już znaleźliśmy się na dole, członkowie grupy, która nas przywitała i przywiodła tutaj, szybko pozbyli się swych szat zostawiając je na platformie. Rzut oka na nich i na pracujący tutaj personel wystarczył, by dojść do wniosku, że miejscowa moda na staje charakteryzowała się prawie całkowitym ich brakiem. Zastanawiałem się, jak to przyjmą co gorliwsi i moralizujący unitycy, którzy byli wśród nas.

Podeszła do nas inna, skąpo odziana grupa, w której składzie znajdowały się jednak osoby w typowych dla personelu medycznego fartuchach. Jedna z takich osób, kobieta podeszła do mnie i do Darvy.

– To wy jesteście tą dwójką z problemem przemiany? – spytała profesjonalnym tonem.

Skinęliśmy głowami.

– Jestem dr Yissim – przedstawiła się. – Proszę, pójdźcie za mną.

Szliśmy za nią w poprzek tej ogromnej hali aż do wejścia do tunelu i dalej tunelem w dół jakieś sto metrów, aż wreszcie weszliśmy do dużego, wygodnego pokoju, na którego podłodze leżały wielkie materace i praktycznie nic więcej.

– Kurację rozpoczniemy natychmiast – powiedziała nasza opiekunka. – W przeciwnym razie mielibyście tutaj spore kłopoty, chociażby ze świeżym mięsem. Usiądźcie proszę, każde na swoim materacu.

Popatrzyliśmy na siebie, wzruszyliśmy ramionami i zrobiliśmy to, co nam poleciła. Ona zaś stanęła przed nami, popatrzyła na nas kolejno, po czym dotknęła swych skroni i wydawało się, że zapadła w jakiś trans. Mimo iż znałem już tę technikę, ciągle mnie ona jeszcze zadziwiała. Ale cóż, przecież dopiero co tutaj przybyliśmy.

Stała nieruchomo przez kilka minut, a ja wyczuwałem jej moc Wardenowską, jej *wa* sięgające ku mnie. Wywoływało ono u mnie uczucie mrowienia i nagle poczułem się tak, jak gdybym znalazł się pod najdoskonalszym z mikroskopów. Darva odczuwała dokładnie to samo. Wreszcie nasza pani doktor wyszła ze swego transu, skinęła głową i zaczęła mamrotać coś do małego rejestratora głosu, którego przedtem w ogóle nie zauważyłem.

– Lirnik! – zawołała i ukazał się młody mężczyzna ubrany w strój szpitalny.

Nie traciła czasu na uprzejmości.

– Sześć litrów numeru czterdziestego – poleciła. – Dla każdego.

Młodzieniec skinął głową, wyszedł i po krótkiej chwili powrócił z dwoma dużymi dzbanami, pełnymi jakiegoś przezroczystego płynu. Odebrała od niego te dzbany i podeszła do nas; bez najmniejszego wzdrygnięcia i bez żadnego dziwnego chociażby spojrzenia, co odnotowałem z wielką satysfakcją – i wręczyła po dzbanie każdemu z nas:

– Wypijcie tyle, ile będziecie w stanie – poinstruowała nas doktor Yissim. W zasadzie jest to woda, która jest wam bardzo potrzebna, z pewnymi dodatkami. Jeśli możecie, wypijcie wszystko.

Nie było z tym najmniejszego problemu. Wydawało mi się, że mam w sobie jakiś pozbawiony dna zbiornik na wodę.

– Analiza was dwojga, przeprowadzona – przez Mistrza Kokula została nam dostarczana już wcześniej – powiedziała, kiedy skończyliśmy pić. – Jest bardzo dokładna. A teraz... poczujecie się nieco śpiący, odprężeni i ospali. Nie walczcie z tym uczuciem.. Te sesje i tak będą bardzo trudne. Jeśli nie trafimy dokładnie we właściwe miejsce na samym początku, możemy tylko przyspieszyć ten proces, a tego byśmy przecież nie chcieli. Wiem, że oboje jesteście bardzo głodni, ale niestety musicie nieć teraz puste żołądki.

Powiedziawszy to wszystko, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Darva popatrzyła na mnie śpiącym wzrokiem.

– To chyba najbardziej zimna osoba, jaką w życiu spotkałam. Traktu je nas, jakbyśmy byli dwoma kawałkami drewna.

– Spotkałem wiele podobnych do niej – skinąłem głową. – Nie przejmuj się tym. Typy z tego gatunku zawsze doskonale wiedzą, co robią. Spróbujmy jej po moc, zrelaksujmy się i pozwólmy im dobrze wykonać swoją robotę:

Korzystając z ćwiczeń koncentrujących i odprężających, których – nauczył nas Tully, bardzo szybko osiągnęliśmy stan półuśpienia. Byliśmy świadomi wszystkiego, co się wokół nas dzieje, ale unosząc się na chmurce spokoju i dobrego samopoczucia, zupełnie o to nie dbaliśmy. W dużym stopniu przypominało to stan, w jaki wprowadziła mnie tamta stara kobieta przed zamianą w odmieńca.

Ściana rozbliżyła się i stała się nagle przezroczysta. Ujrzałem za nią dr Yissim, a z nią dwóch mężczyzn i trzy kobiety, wszystkich siedzących przy jakiejś konsoli. Patrzyli na przemian to na nas, to na konsolę; my, oprócz nich, nie widzieliśmy nic.

Zaczęło się. Zaczęło się bez tego całego wirowania i bez tego całego bezsensownego bełkotu, stosowanego zawsze przedtem przez wszystkich innych. Można to było zobaczyć, postrzec, odczuć jako potężną ukierunkowaną koncentrację Wardenowską jej mocy, płynącą od ludzi za

przepierzeniem ku nam. Była ona oślepiająca, przepotężna, wszechogarniająca i w ciągu kilku sekund objęła kontrolę nad moim umysłem. Podświadomie stawiałem jej opór i wywiązała się mała potyczka, tym ostrzejsza, że – dzięki Tully’emu – poznaliśmy techniki blokujące.

Udało mi się odwrócić nieco głowę i spojrzałem na Darwę i, pomimo pewnego stanu otępienia, w jakim się znajdowałem, przeżyłem coś podobnego do fascynacji tym, co ujrzałem, fascynacji, która nie była ani wstrząsem, ani przerażeniem, ani niczym innym, ale właśnie czystą fascynacją. Stwierdziłem, że nie dbam, zupełnie o nic. Ciało Darwy falowało, poddane szybkim, ale płynnym zmianom. Wiedziałem, że to samo dzieje się z moim ciałem. Jej tułów stawał się grubszy, ramiona krótsze i mniejsze, a głowa przybierała powoli i płynnie całkowicie odmienny kształt.

„Organizmy Wardeny” w naszych ciałach, wspomagane zwierzęcą częścią naszych mózgów broniły się przed tą kuracją, walczyły skutecznie, stosując przyspieszenie i przemianę. Zmienialiśmy – się w autentyczne bunhary, a co gorsza, naszym tułowiom i głowom przybywało masy. Masy, której nie będzie – łatwo usunąć. Tu więc tkwiło to niebezpieczeństwo dla odmienia, tu tkwiła przyczyna, z powodu której powrót do postaci oryginalnej był niemal niemożliwy. Przemiana...

Byłem świadom zmian zachodzących w moim sposobie widzenia. Miałem trudności z ostrością widzenia tego, co znajdowało się blisko, choć ciągle wyraźnie widziałem Darwę, a ona mnie. Jak przez mgłę widziałem, że mam zwierzęcy pysk i zdałem sobie sprawę, że – podobnie jak ona – muszę mieć teraz znacznie większy rozstaw oczu. Coraz trudniej mi było myśleć. Mój umysł zamierał; wiedziałem o tym, a przecież, co było niesamowite, w chwili, gdy go straciłem, przestałem doświadczać uczucia jakiegokolwiek straty.

Darwa wyglądała teraz, jak bunhar i wydawało mi się, że tak jest naturalnie, normalnie. Tylko jej oczy, rozstawione szeroko po obydwu stronach tej wielkiej, uzębionej paszczy, zachowały dziwnie ludzki wygląd. W tym momencie byłem świadom tylko trzech rzeczy: byłem głodny, byłem śpiący, a obok była samica...

Następne kilka dni zatarły się w mojej pamięci i nie byłbym w stanie ich opisać. Trzymano nas na wybiegu z elektrycznym ogrodzeniem i ze zbiornikiem wody pośrodku; raz dziennie dostarczano nam jakieś duże, świeżo zabite zwierzę, które oboje – z Darwą łączywie pożeraliśmy. Po posiłku następował okres niespokojnego snu, w czasie którego znajdowaliśmy się w jakimś dziwnym, nieokreślonym miejscu. Potem ponowne przebudzenie na tym samym wybiegu. Oboje byliśmy bunharami i żyliśmy jak zwierzęta. Nie mieliśmy poczucia czasu, miejsca i czego tam jeszcze. Zaledwie byliśmy świadomi własnej egzystencji.

Jednak powoli wychodziliśmy z tego stanu. Bardzo, bardzo wolno. Wpierw wracała pamięć, ale ponieważ nie łączyła się ona ze świadomym myśleniem, była tym samym bezużyteczna. Wreszcie któregoś dnia przebudziliśmy się ze snu w tym dziwnym pomieszczeniu i po raz pierwszy byłem w stanie ponownie myśleć.

Z oddali wydawał się płynąć ku nam głos Yissim. – Jeśli mnie rozumiecie, zatupcie prawą nogą polecia.

Odwróciłem się i spojrzałem na Darwę, która ciągle miała wygląd stuprocentowego bunhara. Mimo to zatupała prawą nogą; zrobiłem więc to samo.

– Doskonale – pochwaliła nas pani doktor. – Nie próbujcie, proszę, mówić do mnie ani rozmawiać ze sobą. Nie posiadacie jeszcze odpowiedniego aparatu mowy i jedyne, co by wam się udało wyartykułować, to głośny ryk. Skromnie mówiąc, to była bardzo trudna i delikatna operacja. Aby uratować wasze umysły – i to w sensie dosłownym – musieliśmy pozwolić, by proces ten przebiegał do samego końca, przy odłączonej waszej świadomej jaźni. Wierzcie mi, było to posunięcie niezbędne... choć bardzo radykalne. Jesteście dopiero trzecią i czwartą osobą, wobec których zastosowaliśmy tę procedurę. Przed wami mieliśmy jeden sukces i jedną porażkę. Mam nadzieję, że w tym przypadku będziemy mieć do czynienia z podwójnym sukcesem.

– A teraz – kontynuowała – spróbujemy doprowadzić was do stanu oryginalnego, choć będzie to powolny i pełen mokołu proces. Przywróciliśmy wam już wasze umysły i wasze człowieczeństwo. Stopniowo, po kawałeczku, przywrócimy i resztę. Będziemy z wami współpracować, ale musicie dokonać tego samodzielnie. Badania pokazują, że nie możemy narzucić wam tych zmian. Gdybyśmy zastosowali nowy zestaw czarów, wasza reakcja na nie wywołałaby nieodwracalne zmiany w waszych mózgach. A w momencie, w którym wasze mózgi uległyby modyfikacji na modłę bunharowską, stalibyście się bunharami i nie udałoby się nam przywrócić wam pamięci, osobowości czy rozumu. Musicie więc nauczyć się kontrolować każdy pojedynczy „organizm Wardena”, znajdujący się wewnątrz waszych ciał. Każdy. Musicie uzyskać absolutną nad nimi kontrolę.

Najbardziej frustrujący w tym wszystkim okazał się fakt, że nie mogliśmy komunikować się ani z lekarzami, ani też pomiędzy sobą, tym bardziej że co szybko odkryłem – Darva okazała się analfabatką, a to w ogóle nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

Sytuacja była przedziwna i niesamowita. Nie tylko dla nas, ale i dla lekarzy. Wyobraźcie sobie bowiem codzienne prowadzenie skomplikowanych lekcji i ćwiczeń dla pary bunharów. Muszę jednak przyznać, że nigdy nawet nie mrugnęli okiem i traktowali nas zawsze jak parę inteligentnych, dorosłych ludzi. Jeśli chodzi o mnie, to zamierzałem zrobić absolutnie wszystko, by dojść do perfekcji w tym, co robiłem; nie miałem bowiem najmniejszej ochoty na powrót do stanu nieświadomości, stanu charakterystycznego dla tych prostych jaszczurów.

Niemniej ciągle prowadziliśmy bezustanną, psychiczną walkę z własnymi zwierzęcymi reakcjami i odruchami. Bez ustanku musiałem się powstrzymywać od ryku, atakowania wszystkich i wszystkiego, i w ogóle od zachowania typowego dla bunharów. Uzmysłowiłem sobie w pewnym momencie, że moim głównym zmartwieniem jest to, iż Davra może tę walkę przegrać. Pragnąłem całym sercem, byśmy oboje odnieśli sukces.

Dzień, w którym skoncentrowaliśmy się na naszych krtaniach, był jednym z najbardziej ekscytujących w moim życiu. Z dnia na dzień uzyskiwałem bowiem coraz większą kontrolę nad własnym ciałem i własnymi czynami... stając się, bez wątpienia, najbardziej inteligentnym i posiadającym największą nad sobą kontrolę bunharem w całej historii tej planety. Ten czar był bardzo złożony, ale w zasadzie sprowadzał się on do „rozkazania” „wardenkom”, by utworzyły taki aparat głosowy, który działałby w naszych bardzo prymitywnych gardłach. Nie miałem pojęcia, jak

coś takiego może wyglądać, ale czułem się jak dzieciak, który otrzymał nową zabawkę, kiedy poczułem, że coś rośnie i przybiera jakieś konkretne kształty wewnątrz mojego gardła... I wydałem pierwsze dźwięki, które nie były ani rykiem, ani warczeniem. Nie był to głos ludzki. Wydobywał się gdzieś z głębi mojego gardła i był niezależny od moich ust, które i tak nie byłyby zresztą w stanie wyartykułować żadnych słów. One nie mogły, a to coś nowego, ta narośl mogła.

Pełen podniecenia zauważyłem, że Darvie również się to udało, chociaż dźwięk, który wydała, przypominał bardziej beknięcie niż cokolwiek innego. Na tym etapie dano nam trochę czasu i możliwość ćwiczeń. W bardzo krótkim czasie zaczęliśmy tworzyć słowa i krótkie zdania. Był to przełom i to taki, który wskazywał, że podążamy we właściwym kierunku. Ile czasu jednak zabierze nam ta cała reszta?

Podczas rozmów wyszło na jaw, iż Darva toczyła o wiele cięższe ode mnie boje ze swą zwierzęcą jaźnią, a przecież ja sam ciągle jeszcze nie wygrałem tej bitwy do końca. Dr Yissim była świadoma sytuacji i podczas indywidualnej sesji, jaką z nią miałem, powiedziała:

– Jeśli mamy sprowadzić ją całkowicie do poprzedniego stanu, musimy zastosować jeszcze jedną rady kapną procedurę.

– Jakiego rodzaju? – wyskrzeczalem swym nowym głosem, który, choć brzmiał bardzo dziwnie, nawet dla mnie, to jednocześnie bardzo pasował do bunhara, o ile oczywiście bunhary mogłyby mówić.

– Poczyniłeś ogromne postępy, jeśli chodzi o zakres kontroli nad twoim ciałem. *Wa* w tobie jest potężne i umiesz je kontrolować. Gdybyśmy jednak usunęli was z tych laboratoryjnych warunków, oboje bardzo szybko uleglibyście przemianie regresywnej. U niej nastąpiłoby to znacznie szybciej niż u ciebie. Być może tobie udałoby się z tym walczyć, ale jej zapewne nie. Potrzebne wam jest wzmocnienie motywacji, a zyskać je możecie w obecnych warunkach jedynie od siebie nawzajem. Nazywamy je – to wzmocnienie „połączeniem *wa*” i ono może być dla niej jedyną nadzieją; jednak decyzja należy wyłącznie do ciebie.

– To znaczy, że istnieje jakieś zagrożenie. Skinęła głową.

– Wiesz, że *wa* jest jednością, pozostającą w stałej łączności z wszystkimi innymi *wa*.

– Tak.

– Jednak to twoja własna świadomość zawiera to *wa*, steruje nim i dzięki temu *wa* jednej świadomości może być przenoszone do innej świadomości i tam stabilizowane. Powstaje w ten sposób trwałe połączenie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nasze umysły „stapiają się” w jedno?

– Nie. *Wa* sterowane jest myślą; ono samo tą myślą nie jest. Nie, to wasze ciała stopią się w jedno na poziomie *wa*, to znaczy na poziomie metafizycznym. Cokolwiek uczyni się z jednym przy pomocy drugiego, może zostać odtworzone w tym drugim. Jej umysł dostarczyłby ci tej niewielkiej

ilości energii, niezbędnej nie tylko do kontrolowania, ale i do sterowania znajdującym się w twym ciele *wa*. I na odwrót, kiedy już osiągniesz ten stan, proces ów da się bez problemu odwrócić. Jednakże takie totalne połączenie, przypominające rzucanie czarą, ale o wiele bardziej skomplikowane, ma pewną wadę. Jeśli już zostanie skutecznie zapoczątkowane i jest w stanie działać na tym poziomie, nie może być zerwane. *Wa* jednego będzie *wa* obojga. Jeśli więc przejście do wyższego etapu w szkoleniu związanym z *wa*, zyskacie olbrzymią moc. Olbrzymią. Będziecie jednak wówczas absolutną jednością. Nawet skaleczenie, które przydarzy się jednemu z was, będzie odczuwane przez to drugie.

– A to zagrożenie?

– Gdyby jej instynkty *wa* zyskały nad tobą przewagę, pociągnęłyby cię za sobą w dół.

– A jeśli tego nie zrobimy?

– Wówczas będziemy w stanie za jakiś czas sprowadzić cię z powrotem; ona jednak będzie stracona na zawsze. Nie posiada po prostu tego psychicznego treningu, który ty wydajesz się skądś mieć.

– Wobec tego, zrobmy to.

Rozdział dwunasty

„WA UWAŻA WAS ZA JEDNOŚĆ”

Z oczywistych powodów od przybycia na miejsce niewiele widziałem z tej twierdzy Korila, ale bez wątpienia działały się tutaj rzeczy i sprawy, których – na podstawie dotychczasowego doświadczenia na Charonie – nie tylko nie mógłbym przewidzieć, ale w które nigdy bym wcześniej nie uwierzył. Zniknął bez śladu ów niezrozumiały, pseudomistyczny bełkot, a wszelkie odniesienia do czarów służyły raczej wyrażaniu rzeczy skomplikowanych prostym językiem niż jakiemuś mistycyzmowi. Była to po prostu autentyczna baza naukowa, gdzie kompetentni, świetnie wyszkoleni profesjonaliści prowadzili badania i powiększali do granic możliwości zasób wiedzy na temat mocy i osobliwości „organizmów Wardena”. Technologia, stanowiąca materialną podstawę tych badań, pochodziła głównie z Cerbera, jedyne go spośród czterech światów Wardena, ma którym istniał w miarę nowoczesny przemysł. Baza ta mogła działać nieprzerwanie dzięki swemu wyjątkowemu położeniu pod powierzchnią pustyni. Koril wybrał jedyne możliwe miejsce na całym Charonie i stworzył tam odpowiednie warunki do pracy.

Najwyraźniej jednak miejsce to nie zostało zagospodarowane podczas tych pięciu lat, które minęły od jego obalenia. Była to a wiele bardziej dalekosiężna i o wiele bardziej ambitna operacja niż taka, którą byłby wstanie przeprowadzić jakiś jeden buntownik, niezależnie od tego, jaką by dysponował mocą. Stacja była potajemnie zasilana i wspomagana z zewnątrz, nawet z innych światów Wardena. Ta twierdza – schronienie została wybudowana i wyposażona w latach, kiedy Koril był jeszcze władcą Rombu i ktoś, na pewno nie Czterej Władcy, dostarczał jej ciągle niezbędnych materiałów i części zapasowych.

Używane tutaj komputery nie dorównywały tym z Konfederacji, prawdę mówiąc, były wręcz niewiarygodnie prymitywne, ale niewątpliwie o niebo lepsze od kalkulatorów i liczydeł, z których musiałem korzystać jako miejski księgowy.

Poziom informacji, której nam udzielono, wskazywał na olbrzymi postęp w rozumieniu mechanizmów działania „organizmu Wardena”, choć pozostawało ciągle tajemnicą, skąd czerpią one moc i informacje. To tak jak z grawitacją – całe wieki po tym, jak ją odkryto i wykorzystano, ciągle jeszcze – nie całkiem była ona rozumiana. Nawet ci, którzy nie rozumieli, czym ona jest, byli w stanie korzystać z jej efektów, pomimo zasadniczej niewiedzy na jej temat.

Ćwiczenia były poważne, złożone i wymagały olbrzymiej ilości wiedzy z dużej liczby przeróżnych dyscyplin, jeśli miały w ogóle odnieść jakiś skutek. Dlatego właśnie najlepsze wyniki osiągnęli albo byli więźniowie z Konfederacji, albo tubylcy od bardzo wczesnej młodości kształceni na czelów. W mojej pracy posiadanie jak największej wiedzy, a przynajmniej rudymen tarnej znajomości wielu dziedzin – było absolutnie niezbędne i fakt ten dawał mi olbrzymią przewagę podczas całego szkolenia. Darva natomiast nie posiadała żadnego wykształcenia i niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o zachowanie ludzi spoza własnej grupy; i to stanowiło znaczne utrudnienie. Moje techniki kontrolowania umysłu i umiejętność autohipnozy bardzo się przydawały, a moje rozumienie zachowania ludzkiego, a w szczególności własnego zachowania, dawały mi wielką przewagę. Zarazem czar, za pomocą którego uczyniono ze mnie odmieńca, był czarem jedynie naśladowczym. Zostałem bowiem uwięziony w tym kształcie za pomocą tego samego czaru, który kiedyś zastosowano wobec Darvy i stąd jego słabości, jej słabości, zostały powtórzone we mnie. Ona nie była w stanie kontrolować swego *wa* i dlatego jej *wa* usiłowało obrać drogę jak najmniejszego oporu. A to, co robiło jej *wa*, było odtwarzane przez moje własne, skoro jej niedostatecznie wyszkolona prababka poszła na skróty, podłączając mój czar do jej czaru. Nie był to bowiem problem wykonania tylko pewnych określonych gestów i spowodowania, że krzesło ukazuje się czy znika; miałem tu do czynienia ze skomplikowaną wiedzą psychologiczną i biologiczną oraz zawirowaniami wywołanymi przez ten maleńki „organizm”, nie mający odpowiednika poza światem Wardena.

Dostarczono nam tyle podstawowej wiedzy i zaordynowano tyle ćwiczeń, ile tylko byliśmy w stanie znieść. Darva musiała być „wyleczona” przede mną, ale to ja byłem tym, który mógł panować nad wszystkim na tyle, żeby wykonać zadanie – a było to zadanie, którego nikt za nas wykonać nie mógł. Nie był to wyłączanie problem usunięcia oryginalnego czaru. To wystarczało w początkowym etapie; teraz jednak sprawy zaszły za daleko. „Wardenki”, uwolnione od wszelkich czarów, natychmiast i bez wahania wepchnęły nas z powrotem do świata zwierzęcego, najpierw Darwę, a za nią – mnie.

Po dwóch miesiącach poczyniłem postępy wystarczające, aby wykonać to zadanie, chociaż byłem świadom, że opanowanie zasad i maksymalne ich wykorzystanie to dwie zupełnie różne sprawy. Mogłem już rzucić czar, a nawet stworzyć odmieńca. Potrafiłem zrobić to wszystko, do czego był zdolny Korman i jego czele, a nawet jeszcze więcej, jednak opanowanie tego wszystkiego wymagałoby zapewne całych lat ćwiczeń i eksperymentowania. Bez trudu mogłem odczytać czar Isila i kopię tego czaru wewnątrz samego siebie, a nawet – dostrzec, w którym miejscu i dlaczego zboczył on z właściwej drogi. Myślałem nawet, że mogę się uwolnić, że mogę zerwać łączące mnie z Darwą połączenie... Jednak oznaczałoby to porzucenie jej przeze mnie. Zabawne. Dawny „ja” nie wahałby się ani przez moment; była użyteczna, była świetnym kompanem, ale nie była już przecież niezbędna. Stary „ja” porzuciłby ją w tym momencie i skoncentrował się na pełnym opanowaniu *wa* i na stworzeniu nowego, doskonalszego życia. Z logicznego punktu widzenia była to jedyna rozsądna droga postępowania.

A przecież nie umiałem porzucić Darvy. Po prostu nie mogłem tego zrobić. Przyznaję, że męczyłem się strasznie, podejmując decyzję, nie dlatego jednak, że była to tak trudna do podjęcia decyzja. Raczej dlatego, że mogłaby ona oznaczać fiasko mej własnej misji... O ile naturalnie ciągle jeszcze chciałem tę misję wypełnić. Wydawało się rzeczą równie logiczną, iż moje interesy związane

są z przyszłością Charona, a nie Konfederacji, chociaż tutaj interesy tych dwu sil mogły okazać się zbliżone. Aeolia Matuze musi naturalnie zostać usunięta, tak samo jak i Morah, o ile reprezentował on obcych. Ale czy to ja muszę do tego doprowadzić? Sądząc po wyglądzie tego miejsca, Koril był nieporównywalnie groźniejszy ode mnie.

I to oczywiście stanowiło ostateczny powód mojej decyzji. Przede wszystkim – lojalność wobec samego siebie i następnie – ocalenie Darvy. Jeśli to mogło w jakiś sposób zaszkodzić reszcie... cóż, trudno. Byłem tu zresztą ledwie częścią zespołu i nie mogłem nie zastanawiać się, po co w ogóle Konfederacja wysłała mnie do takiego miejsca jak Charon, gdzie przecież funkcjonowała doskonale przygotowana i wyposażona organizacja buntowników.

Chyba że Koril nie był dokładnie tym, kim się wydawał.

Tak często powtarzałem w ćwiczeniach te procedury, że kiedy doszło wreszcie do ich praktycznego zastosowania, wydały mi się czymś zupełnie zwyczajnym. Cały personel, Yissim i inni, byli zdumieni moimi błyskawicznymi postępami. Odkryłem, że istnieje pewien względny system klasyfikacji czarców, w którym I oznacza najsilniejszych (takich jak Koril i Morah), a V – najsłabszych. Niższą kategorię stanowią czelcy – VI do X. Tully Kokul, o którym nie miałem żadnych wiadomości od spotkania na tamtej plaży, należał do kategorii IV lub V; Korman do II. W normalnej sytuacji każdy mógł osiągnąć kategorię X, przechodząc jedynie odpowiednie szkolenie; zakładało się, że komuś takiemu jak ja, pochodzącemu z Zewnątrz i posiadającemu niezbędną kontrolę psychiczną, osiągnięcia kategorii VI zabrałoby od roku do dwóch, podczas gdy tubylcowi, szkolonemu od dzieciństwa na czelca, zajęłoby to około dziesięciu lat. W kategoriach powyżej VI nie stanowiło problemu zapoznanie się z procedurą, ale raczej jej rozumienie i stosowanie, rozwinięcie kontroli psychicznej, pewności siebie i zebrania takiej ilości wiedzy, która pozwoliłaby na zwiększenie zasięgu wpływu jednostki na otoczenie. Minęły zaledwie trzy miesiące od momentu, w którym w namiocie Kokula rozpocząłem ćwiczenia, a tutejszy personel już przypisywał mnie do kategorii V. Naturalnie fakt, że poza tym nie miałem nic do roboty, nic mi nie przeszkadzało, miałem najlepszych instruktorów i że była to sprawa – dosłownie – życia i śmierci zarówno dla Darvy jak i dla mnie – wszystko to bez wątpienia miało wpływ na szybkość opanowywania tej umiejętności, tak samo zresztą, jak i moje własne wychowanie, doświadczenie i praca w charakterze agenta.

To, co miałem uczynić, z mojego punktu widzenia było absurdalnie proste. Wspomniałem już, że zmysł Wardenowski przypominał otwarte linie energii, sieć łączności o nie skończonej złożoności, wiążącą mnie ze wszystkim wokół. Zamierzałem tedy wysłać złożone, przygotowane wcześniej przesłania – rozkazy do mózgu Darvy, do grupy sprawujących kontrolę „wardenków”, które odpowiadały za sytuację, w jakiej się znajdowaliśmy. Następnie zamierzałem kierować procesem jej samonaprawy, punkt po punkcie, obszar za obszarem. W tym zadaniu byłem wspomagany przez miejscowe komputery wykonujące dla mnie większość trudnych prac przygotowawczych. Stanowiło to, w pewnym sensie, miarę różnicy pomiędzy mną a takim, powiedzmy, Morahem, że ja nie dobrnąłbym tak daleko bez pomocy komputerów, a on – jak twierdzili wszyscy zainteresowani – dokonałby tego bez trudu.

Nauczyłem Darwę podstawowych technik hipnotycznych i teraz użyłem ich zarówno w stosunku do niej, jak i do siebie. Byłem świadom, że towarzyszyła nam w tym przedsięwzięciu jakaś

publiczność, choć nikogo nie widziałem. Eksperci mieli pojawić się w razie potrzeby, a poza tym trzymali się z dala od naszych oczu... i naszych umysłów. Wiedziałem, że wiele ważnych osobistości obserwuje nasze poczynania. Yissim powiedziała, że nasz przypadek dostarczył im mnóstwo nowego materiału, co w końcu tak naprawdę było jedynym powodem, dla którego to wszystko w ogóle się odbywało.

Największym problemem zawsze było pozbycie się dodatkowej masy ciała. Można ją było redukować bardzo powoli, przez całe lata, ale przecież nie o to nam chodziło. Miałem tutaj do czynienia z dwustu dwudziestoma kilogramami, co stanowiło niewątpliwie trudne zadanie. Co więcej, chciałem, aby z tamtego starego czaru nie pozostał najmniejszy ślad; nie chciałem bowiem, by kiedyś w przyszłości „wardenki” straciły nad sobą kontrolę i zredukowały nas ponownie do statusu zwierząt. Musieliśmy więc stać się czymś, co nie posiadało odpowiednika w rzeczywistości poza tym, co znajdowało się w moim mózgu.

Zacząłem pracę samotnie w tym tak dobrze mi znanym, białym pokoju. O wiele łatwiej było mi uzyskać kontrolę nad Darwą, kiedy znajdowała się w stanie hipnozy, jednak narzucenie moich dominujących czarów na stare w taki sposób, by te stare zostały kompletnie wymazane, wymagało z mojej strony olbrzymiej koncentracji i ogromnego psychicznego wysiłku. W rzeczywistości ten wysiłek był tak ogromny, że eksperci uważali, iż zamknięcie tych linii łączności ode mnie do niej i z powrotem – okaże się niemożliwe.

Rzuciłem czar, wykorzystując całą moc, jaką miałem do swej dyspozycji. Opór był wyjątkowo silny. Zaskoczyło mnie to. Natychmiast zorientowałem się, z czym mieli do czynienia tamci czarty podczas ich pierwszej próby. Jednak oni nie byli na to przygotowani i nie mogli wykorzystać tej siły woli, którą ja miałem – siły woli, wspartej totalnym zaangażowaniem się w przełamanie tego oporu za wszelką cenę. To, z czym mieliśmy tutaj do czynienia, stanowiło naturalnie problem psychologiczny – jej romantyczne fantazje na temat nas dwojga w dżungli – który mógłby być usunięty bez trudu przez każdego dobrego psychologa albo psychiatrę w cywilizowanym świecie. Tutaj natomiast należało z nim walczyć siłą. Musiałem więc spychać jej podświadomą kontrolę nad *wa* jej ciała, zmuszając ją do świadomej nad nim kontroli, a potem poprowadzić tę uzyskaną siłę woli do mojej własnej. Darwa formalnie zaliczana była do V kategorii czelów, jednak brakowało jej owego absolutnego zaangażowania się w przełamanie istniejącego układu. Ja jej go miałem dostarczyć.

Wywiązała się przedziwna walka psychiczna, będąca niemal skrzyżowaniem upartej kłótni ze zmianą ścieżek na diagramie obwodów. W tym ssanym bowiem momencie musiałem identyfikować i spychać na boczny tor kierowanie jej podświadomością *wa* i jednocześnie wspólnie z nią próbowałem odnaleźć ścieżki łączności, za pomocą których *wa* komunikuje się ze świadomym umysłem i z ciałem, powiązać je ze sobą, a nawet je zdominować, wyodrębniając równocześnie ten silny, prymitywny aspekt, izolując go i zmuszając do posłuszeństwa. Żadne z tych działań nie miało naturalnie najmniejszego wpływu na jej umysł czy proces myślenia; atakowaliśmy jedynie *wa*; atakowaliśmy wyłącznie te „organizmy Wardena”, które wysyłały niewłaściwe sygnały.

Kiedy stało się oczywiste, że nastąpił impas, zacząłem do niej przemawiać, zacząłem ją uspokajać, próbowałem nią pokierować; próbowałem ją przekonać, że nie wolno jej ulegać tej prymitywnej, zwierzęcej woli.

– Darvo... jeśli dbasz o mnie, jeśli w ogóle coś do mnie czujesz, musisz mi pomóc! Musisz z tym walczyć! – Robię to. Wiesz, że to robię – odparła.

– Darvo... jeśli... mnie... kochasz, odrzuć ją! Musisz to uczynić! – to słowo przed chwilą użyte zabrzmiało bardzo dziwnie w moich uszach, a przecież wydało mi się, że już je prawie rozumiem, a przynajmniej, pomyślałem sobie, potrafię go użyć. – Darvo... robię to, bo cię kocham. Jeśli wiesz o tym, i również mnie kochasz, odrzuć ją! Pozwól, żeby odeszła!

Dziwne było to wszystko, co mówiłem dla celów klinicznych. Czy ja ją naprawdę kochałem? Czy rzeczywiście dlatego robiłem to wszystko?

I nagle opór pękł, ustąpił; odsunął się w głąb jej umysłu. Stało się to tak raptownie i tak niespodziewanie, że nie byłem na to przygotowany i cała siła mej woli wpłynęła w nią, tak potężna, iż niemal pozbawiła ją przytomności. Błyskawicznie odzyskałem równowagę i cofnąłem się wzdłuż ścieżek, by zobaczyć, w jaki sposób czar został zawiązany i rozwiązany.

Reszta była już śmiesznie łatwa. Postępowałem zgodnie z modelami stworzonymi przez komputer, które zapamiętałem i wielokrotnie przećwiczyłem. W czasie, który wydawał się zaledwie kilkoma minutami – chociaż później powiedziano mi, że trwało to ponad siedem godzin – wszystko zostało zakończone.

Bez trudu pozbyłem się zbędnych odpadów i tłuszczów, i dokonałem zmian, ułatwiających pozbycie się dużej ilości wody i niepotrzebnej tkanki, przekonując *wa*, iż należy to wszystko traktować jak odchody i wyrzucić z naszych organizmów. Było tego ponad trzydzieści kilogramów, i wyglądało o i śmierdziało okropnie, ale w tym momencie nie byłem w stanie tego właściwie ocenić. Sto dziewięćdziesiąt kilogramów to ciągle jeszcze piekielnie dużo i każdy wyrzucony kilogram ułatwiał mi znacznie zadanie.

Diagramy, piktogramy, trójwymiarowe obrazy i schematy, zapamiętane podczas szkolenia, przelatywały przez mój mózg i docierały do jej mózgu, a tym samym do samego *wa*. Darva zaczęła się nareszcie zmieniać pod wpływem moich poleceń. Dosłownie to czułem, jak gdyby odbywało się wewnątrz mojego własnego ciała.

Kiedy wykonałem już całe zadanie, ciągle nie mogłem się jeszcze odprężyć, a to z powodu połączenia, jakie między nami istniało; w rzeczywistości bowiem moje ciało było pod każdym względem lustrzanym odbiciem jej ciała. To właśnie próba zróżnicowania naszych ciał zajęła mi tyle czasu. Popełniłem wiele falstartów, bowiem cokolwiek czyniłem ze sobą, natychmiast dublowane było w niej. Wiedzieliśmy, że tak się może zdarzyć i miałem nadzieję, że teraz ona mnie nie zawiedzie. Mogłem skoncentrować się jedynie na niej i dlatego to ona musi pokierować moją odbudową, podczas gdy ja będę utrzymywał ją w tym stabilnym stanie. Dokonanie tego nie było łatwe, ponieważ ja byłem silniejszy, w końcu jednak udało nam się wypracować taki system, który pozwalał na przepływ informacji w obydwie strony; niesamowite uczucie, jak próba robienia trzech rzeczy naraz, ale jednak ostatecznie opanowaliśmy tę sztukę.

A kiedy już było po wszystkim, oboje straciliśmy przytomność na przeszło trzy godziny.

Obudziliśmy się równocześnie i otworzyliśmy oczy. Dobiegł nas brzęczyk alarmu, możliwe że sygnalizował on komuś fakt naszego przebudzenia. Obrazy diagramów komputerowych i sygnałów elektrycznych pulsowały w mym mózgu i już wiedziałem, że będę miał poważne kłopoty, żeby się ich pozbyć.

– O Boże! To naprawdę zadziało! Spójrz tylko na siebie! – powiedziała Darva zdumionym głosem.

– A ty spójrz na siebie! – odparłem. – Jestem z ciebie taki dumny.

– Potrzebne nam lustro – zdecydowała. – Słuchaj... czy wyczuwasz pomiędzy nami *wa*?

Nie zwracałem na to uprzednio uwagi, ale teraz, kiedy o tym wspomniała, zorientowałem się, co ma na myśli. Połączenia między nami istniały w dalszym ciągu, linie łączności pomiędzy systemami nerwowymi pozostały nienaruszone.

Drzwi się otworzyły i weszła dr Yissim w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki, mocno zbudowany, miał ogorzałą cerę oraz śnieżnobiałe włosy i wąsy. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak ktoś, kto kiedyś należał do świata cywilizowanego. Ubrany był na białą, lecz nie był to strój lekarski, taki jak dr Yissim. Jego ubranie było doskonale skrojone, świetnie na nim leżało i przypominało mundur. Drugi mężczyzna był natomiast dziwny pod każdym względem: drobnej postury, miał kozią bródkę i nosił okulary w grubej, rogowej oprawie – prawdziwa anomalia w miejscu, gdzie „organizmy Wardena” dbają równie dobrze o oczy, jak i o całą resztę. Ubrany był w tweedową marynarkę i granatowe spodnie. To wszystko wystarczyłoby, by stać się obiektem zainteresowania, w nim jednak było coś o wiele bardziej niepokojącego.

Nagle uświadomiłem sobie, jak czuje się zwierzę które przecież ufa swemu wężowowi najbardziej ze wszystkich zmysłów – kiedy nagle ujrzy swoje odbicie w lustrze.

Mężczyzna ten bez wątplenia tam był... Mogłem go zobaczyć, dotknąć, i co tam jeszcze. Nie posiadał on jednak *wa*, nie było tam śladu po Wardenowskim zmyśle. Na poziomie, do którego uczyłem się mieć najwyższe zaufanie, na poziomie „organizmu Wardena”, on po prostu nie istniał.

– Jak się czujesz? – spytała mnie Yissim.

– Jestem nieco słaby, ale poza tym czuję się świetnie – odparłem. – Obojgu nam jednak przydałoby się lustro.

– Spodziewaliśmy się tego – powiedziała uśmiechając się, po czym skinęła głową w kierunku przeciwległej ściany, tej, za którą znajdowała się kabina techników. Tym razem ściana nie stała się przezroczysta, a tylko padające na nią pośrednie światło uczyniło z niej lustrzaną powierzchnię, poza którą widać było jedynie zarys konsoli. Obróciliśmy się i popatrzyliśmy na swoje odbicia.

Naturalnie oboje byliśmy olbrzymami. Było to nieuniknione. Obliczenia wskazywały na 228,6 centymetra – jako na wzrost odpowiedni dla pozostałej masy. Górowaliśmy nad obecnymi w pomieszczeniu ludźmi, a w szczególności nad tym niskim, którego tam w ogóle nie było.

Układ kostny, niezbędny dla podtrzymania takiego ciała – nawet przy tej nieco mniejszej grawitacji, jaka występowała na Charonie – różnił się znacznie od normy ludzkiej, chociaż na zewnątrz zupełnie tego nie było widać. Jeśli by nie brać pod uwagę rozmiarów, Darva była absolutnie piękną kobietą. Wykorzystałem bowiem moje wyobrażenie o tym, jak musiała ona wyglądać przed zmieniającym ją w odmieńca czarem Isila i na tej podstawie stworzyłem coś, co przyznaję, że było wersją wyidealizowaną. Prawdopodobnie przesadnie zaakcentowałem kobiecość jej figury, ale przyznaję się do winy bez uczucia wstydu. Do diabła, przecież ona uczyniłaby to samo dla mnie.

Prawdę mówiąc nie miałem najmniejszego pojęcia, do kogo – ja sam jestem podobny; było to w każdym razie jej wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać doskonały mężczyzna. Oboje naturalnie byliśmy mocno umięśnieni – był to w końcu najlepszy sposób na pożyteczne wykorzystanie tej dodatkowej masy jednak jej mięśnie uwidaczniały się jedynie wówczas, kiedy je napinała, podczas gdy moje były widoczne zawsze i praktycznie na całym ciele. Twarz miałem szeroką i przystojną i, ogólnie rzecz biorąc, oboje byliśmy świetnymi personifikacjami jakichś starożytnych boga i bogini z czasów prymitywnych. Oboje też mieliśmy bardzo długie włosy, a ja na dodatek miałem ogromną brodę – jeszcze więcej zużytej masy ale jakby nie było, dotyczyło to tych fragmentów, które da się przyciąć i przystrzyc.

A jednak nie byliśmy ludźmi. Ona nie powinna ważyć więcej niż jakieś sto pięć do stu dziesięciu kilogramów, a ja, być może sto dwadzieścia, tymczasem mieliśmy do zagospodarowania po około sto osiemdziesiąt kilogramów, z czego na włosy nie mogło przecież przypaść zbyt wiele. Nadwyżki umieściłem więc w ogonach; jej był nieco dłuższy od mojego. Jeśli chodzi o ogólną kolorystykę to, za aprobatą Darvy, wybrałem kolor ciemnobrązowy dla całego ciała i czerwono-brązowy dla włosów. Tak naprawdę, to było jej wszystko jedno; oboje jednak byliśmy zgodni, że nie może to być kolor zielony.

Trudno było nie zauważyć, że jej wyidealizowany mężczyzna jest hojnie obdarzony w jednych partiach ciała, tak jak moja wyidealizowana Darva w innych. Mimo że znajdowałem się, jakby nie było, w obecności lekarza, czułem się nieco zażenowany. Cóż, trzeba będzie coś wymyślić, uwzględniając na dodatek ten włączający w paradę ogon... W tej chwili jednak nic nie można było zdziałać.

Trudno nam było oderwać wzrok od naszego odbicia w lustrze, w końcu jednak odwróciliśmy się od niego i stanęliśmy twarzą w twarz z obecną w pokoju trójką, która przyglądała się nam z wielkim zainteresowaniem.

– Ogoniaści bogowie – skomentował miłym, głębokim głosem ubrany na biało starszy mężczyzna. Fascynujące. Wy dwoje moglibyście dać początek jakiejś całkowicie nowej religii.

– Myślę, że tych tutaj nie brakuje – zachichotałem.

– Rzeczywiście – przyznał i spojrzał znacząco na dr Yissim.

– Och, bardzo przepraszam – powiedziała Yissim, wyjątkowo, jak na nią, podekscytowana. – Park, Darva... ten dżentelmen to Tulio Koril.

Poczułem jak wstrząsa mną fala wewnętrznego szoku. Koril! Nareszcie!

Yissim zwróciła się do drobnego mężczyzny, którego tam w ogóle nie było.

– A to jest dr Dumonia. Jest Cerberejczykiem.

Mieliśmy pewne problemy z przechodzeniem przez drzwi przystosowane do ludzi niższego wzrostu, a i sufit od czasu do czasu okazywał się także zbyt nisko. Darva uderzyła się w głowę, gdy wychodziła z laboratorium, a ja odczułem to uderzenie. Sam nie wpadłem na nic, a jednak czułem ten sam ból, co ona. Bardzo szybko okazało się, że w tej wymianie, która między nami zaszła, było coś więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka, o czym zresztą nas wcześniej informowano. Linie łączności były trwałe i nienaruszone, jak twierdziła teoria, a to oznaczało, że to, co odczuwało jedno z nas, musiało być również odczuwane przez drugie. Niby drobna niedogodność, a przecież stanowiąca potencjalny sztylet wymierzony w moje gardło. Cokolwiek czyniono jej, czyniono i mnie, niezależnie od tego, gdzie się w danym momencie znajdowałem. Musiało istnieć jakieś ograniczenie, związane z zasięgiem tego oddziaływania, albowiem kanały łączności były zbyt wąskie, by przenosić informację na duże odległości. Jednak tak długo, jak znajdowaliśmy się wystarczająco blisko siebie, by wyczuwać *wa*, to *wa* jednego ciała uważało się za ciało tego drugiego.

– *Wa* uważa was za jedność – przyznała Yissim. Musicie być bardzo ostrożni. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście zależy wam na sobie, powinniście też doświadczać z tego powodu wyjątkowych, pozytywnych przeżyć fizycznych.

Zauważyłem jak Darva unosi brwi, a na jej ustach pojawia się lekki uśmiech. Nie pomyśleliśmy wcześniej o tym aspekcie całej sprawy... a właśnie on nas nie zawiódł, że tak się wyrażę.

Zaprowadzono nas do dużego biura, typowego w pewnym sensie dla osobistości na wysokich stanowiskach, z personelem pomocniczym, recepcjonistkami i całą tą resztą, i muszę powiedzieć, że nie szczędzono nam zaciekawionych spojrzeń. W gabinecie wewnętrznym nasze ogony po raz pierwszy wykazały swoją przydatność. Niewiele tam było foteli dostosowanych do naszych rozmiarów, i dzięki ogonom mogliśmy się doskonale bez nich obyć.

Koril zasiadł za wielkim biurkiem stojącym pośrodku pokoju; Dumonia usiadł obok niego, twarzą zwrócony w naszą stronę. Yissim zostawiła nas już wcześniej w sekretariacie zapewniając, że kiedy wrócimy, wszystko już będzie przygotowane – zostaniemy przebadani i odprowadzeni do odpowiedniej dla nas kwatery. Zaproponowała także usługi fryzjera, ale Darva poprosiła tylko o narzędzia fryzjerskie, nie było sensu, żeby ktoś musiał używać drabiny wyłącznie po to, żeby nas ostrzyć.

Koril przyglądał nam się przez chwilę w milczeniu. – Cóż, muszę przyznać, że staliście się tu dość znanymi osobistościami – powiedział w końcu.

– Nie wątpię – odparłem. – Mimo wszystko, miło jest znów znaleźć się pomiędzy żyjącymi, a może nawet mieć szansę zwiedzić to imponujące miejsce, które tu stworzyłeś. Zdumiewa mnie to wszystko wokół.

– Duża w tym zasługa obecnego tutaj szanownego doktora – powiedział Koril, skłaniając głowę przed tym drobnym mężczyzną. – Bo widzicie, dr Du – mania jest tym człowiekiem, który zapewnia nam dostawy wyprodukowanych na Cerberze towarów... i odpowiednie szkolenie pozwalające na ich właściwe użycie. Na ogół nie zjawia się tu osobiście. Prawdę mówiąc, to chyba twój pierwszy pobyt w tym miejscu?

Dumania skinął głową i uśmiechnął się.

– Sprawy idą dobrze w całym systemie. Są coraz bliższe rozwiązania. Dlatego trzeba było koniecznie skoordynować wszelkie działania z naszymi przyjaciółmi w różnych odległych miejscach, a to mogłem jedynie uczynić osobiście. Muszę przyznać, że obecna podróż była fascynująca i... pouczająca.

– O co tu chodzi? I co to wszystko ma wspólnego z nami? – patrzyliśmy na niego nic nie rozumując. Koril zerknął na Dumonia, który skinął głową i westchnął.

– Trzy dni temu, całkiem przypadkiem Marek Kreegan, Lord Lilith, został pozbawiony życia.

Serce zamarło we mnie na moment, a Darva spojrzała na mnie z niepokojem.

– Co takiego?! – krzyknąłem, nieświadom, że serce Darvy, z nieznanym dla niej powodem, zareagowało podobnie jak moje.

Cerberejczyk skinął głową.

– Pomimo przypadkowej natury tego wydarzenia, coś podobnego nie mogłoby się w ogóle zdarzyć bez bezpośredniego udziału skrytobójcy z Konfederacji.

Nie byłem w stanie skryć podniecenia. Więc jednak tego dokowałem! Ja, czy ktoś inny. Miałem nadzieję, że to jednak ten drugi „ja” z Lilith.

– Wraz ze śmiercią Kreegana zginął też mózg, stojący za spiskiem obcych – kontynuował Dumania. Jednak był on doskonałym strategiem i świetnie wszystko miał zaplanowane, tak że jego śmierć sama w sobie niewiele zmieni. Bowiem jego zastępca, Kobe, i tak nadzorował cały ten system, i nie tylko świetnie się we wszystkim orientował, ale i zgadzał się ze strategicznymi celami Kreegana, choć niewątpliwie brak mu jest wyobraźni nieżyjącego szefa. Niezależnie od wszystkiego, jest to jednak dla nich bolesny cios. Jeśli chodzi o Cerbera, to mam nadzieję, że w ciągu najbliższych miesięcy, a może i tygodni, przejmę kontrolę nad jego władcą. To sprawa dość skomplikowana, jednak zawiązałem kilka intryg i jestem przekonany, że któraś z nich przyniesie sukces. Bo widzicie, jestem psychiatrą władcy Cerbera.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Wydajesz się jednoosobową armią – powiedziałem.

– Chciałbym, żeby tak było – odpowiedział Cerberejczyk zmęczonym głosem. – Tutaj na Charonie jesteście w tej dobrej sytuacji, bo posiadacie dobrze zorganizowane i dobrze wyposażone

siły, będące w opozycji do władzy centralnej... Chociaż macie też i dodatkowy problem. Ten czart, bo tak ich chyba nazywacie, o imieniu Kokul, który was dobrze zna, powiedział mi, iż jesteś przekonany, że obcy znajdują się tutaj w sensie fizycznym i dosłownym, i że to oni stoją za działaniami całego charonejskiego rządu. Poinformował o tym obecnego tu mojego przyjaciela Korila i teraz obaj bardzo chcielibyśmy wiedzieć, czy jest to wyłącznie twoje przypuszczenie, czy też masz jakieś bardziej konkretne podstawy, by tak twierdzić.

– Tak naprawdę mam takie odczucie – powiedziałem całkiem szczerze. – A im dłużej tu przebywam, tym bardziej jestem przekonany, że mnie ono nie myli. Obracałem się tutaj pomiędzy ludźmi z różnych warstw społecznych, byłem też wśród odmieńców. I nawet najbardziej monstrualny spośród odmieńców zachowuje jednak swe podstawowe cechy ludzkie, coś nienamacalnego, ale co jednak czyni go człowiekiem.

– Duszę – wtrąciła Darva. Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem pewien, czy jest dusza, ale w tym przypadku to słowo jest równie dobre jak każde inne. Nawet zwierzęta posiadają pewną taką iskierkę. Wszyscy i wszystko... z wyjątkiem tego jednego człowieka, Yatka Moraha.

– Chcesz przez to powiedzieć, że przypomina mnie... Wardenowskie zero? – spytał Dumonia. – Tak zresztą, jak ja widzę was wszystkich?

– Nie, to nie to – pokręciłem przecząco głową. Pod względem fizycznym jest on człowiekiem, lecz... wewnątrz... nie wiem jak wyrazić to inaczej... tam go prostu nie ma. Ta dusza, to jestestwo, to coś, co jest niematerialne i niedotykalne... tego tam po prostu nie ma. Nie byłem jedyną osobą, która to zauważyła. Tully spostrzegł to również.

– To prawda – wtrąciła ponownie Dania. – Widziałam go ledwie przez moment i z daleka, ale nawet wtedy byłam w stanie wyczuć coś... innego.. w jego osobie.

– Jakby był robotnikiem? – podpowiedział Cerberejczyk.

Te słowa mnie zaskoczyły, przypomniałem sobie bowiem, że było to dokładnie to samo słowo, którego ja wówczas użyłem.

– Tak. To dobre określenie.

Dumonia spojrział na Korila, a ten odpowiedział mu podobnym spojrzeniem; obaj westchnęli. Wreszcie były władca Charona odezwał się:

– No cóż, wobec tego, to właśnie jest to.

Cerberejczyk skinął głową.

– Jednak ginie z Cerbera – zwrócił się do nas. Bo widzicie. Cerber jest źródłem pochodzenia tych fantastycznych robotów – sobowtórów, które sprawiają tyle kłopotów Konfederacji. Nieważne w tej chwili, jak to w ogóle jest możliwe... Nasza moc jest całkowicie odmiennego charakteru od

waszej. Morah jednak nie pochodzi z planety Cerber.

– Nie, na pewno nie – zgodził się z nim Koril, po czym zwrócił się bezpośrednio do nas. – Wyobraźcie sobie, że ja znam Yateka Moraha. A przynajmniej znałem go kiedyś. Urodził się na Takannie, jednym z cywilizowanych światów. Zesłano go tutaj w tym samym czasie co mnie, tak że mieliśmy okazję dobrze się poznać. Było to naturalnie przeszło czterdzieści lat temu, ale swą obecną pozycję zawdzięcza mi. Jest zimnym, okrutnym człowiekiem... Ale jednak jest człowiekiem.

– Był nim – dodał Dumonia. – Teraz jest czymś znacznie więcej.

– Tak – Koril westchnął. – Obecni tu nasi przyjaciele wydają się to potwierdzać. To by wiele wyjaśniło. A właściwie wyjaśniłoby niemal wszystko.

– Mnie to nie wyjaśnia absolutnie niczego – wtrąciła Darva, pokazując swój dawny uparty charakter.

Mnie, po prawdzie, to również niczego nie wyjaśniło, ale byłem zbyt zajęty próbą uchwycenia czegoś, co ciągle mi się jakoś wymykało. Takanna... Cóż takiego, do diabła, znajomego było w tej nazwie?

– Roboty obcych są wyjątkowo wyrafinowane technologicznie – powiedział Dumonia. – Ten ich rodzaj jest zupełnie nieznanym Konfederacji, chociaż teoretycznie jest on możliwy do stworzenia. Krótko mówiąc, są to quasi – nieśmiertelni supermeni z pamięcią i osobowością żyjących w rzeczywistości ludzi.

– A ten Morah... czy on też jest czymś takim? – spytała Darva.

– Na to wygląda – odparł Cerberejczyk. – Choć to zupełnie niesłychane. Z tego, co wiem, mógłby on działać wyłącznie za pośrednictwem Cerberejczyka. Cerberejczycy bowiem potrafią dokonywać wymiany umysłów... albo ciał, jeśli wolicie, ale jedynie pomiędzy sobą i między sobą a tymi robotami. Nie znamy sposobu, za pomocą którego mógłby czegoś takiego dokonać Charonita... czy też ktokolwiek inny.

Odstawiłem Takannę w sam kącik pamięci, żeby tam sobie pobulgotał i przyłączyłem się do dyskusji.

– Jest taki sposób – powiedziałem. – Nawet Konfederacja go zna. Nazywa się go Procesem Mertona. Zarówno Dumonia jak i Koril wyglądali na zaskoczonych, ale Dumonia chyba bardziej.

– Merton! Skąd znasz to nazwisko? To przecież Cerberejka!

To była dla mnie zupełnie nowa informacja.

– Nieważne. W każdym razie znają ten proces, pozwalający na całkowity transfer umysłu i osobowości z jednego ciała do drugiego. Jest on wielce marnotrawny, jeśli chodzi o ciała, ale mimo to skuteczny. Wiem, że jest skuteczny.

Przyszła kolej na Korila, by wdać się w ten spór.

– A skąd niby o tym wiesz?

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i podjąłem decyzję. Dlaczego by nie? Jeśli nie tym dwóm... to komu?

– Ponieważ sam zostałem mu poddany. Nie jestem i nigdy nie byłem Parkiem Lacochem. On zmarł... a ja wziąłem jego ciało.

Chociaż Darva wiedziała, że jestem agentem, to jednak nie miała pojęcia o tej wymianie umysłów i dlatego teraz przyglądała mi się dość dziwnie.

Z kolei Dumonia rozpromienił się cały i zwrócił się do Korila.

– A widzisz? – powiedział z wyraźną satysfakcją w głosie.

Koril westchnął i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, skąd mogłeś o tym wiedzieć.

– Wiedzieć, co? – spytała Darva.

– Że twój przyjaciel i partner jest skrytobójcą z Konfederacji i przybył tu z oczywistą misją zamordowania Aeolii Matuze – odpowiedział jej Dumonia.

– Ach, zatem o to chodzi – powiedziała Darva, zaskakując i zdumiewając obydwu mężczyzn.

– Ja też chciałbym to wiedzieć – odezwał się. – W końcu nie obnosiłem się z tym, że jestem agentem.

– To proste – odparł Dumona. – Kiedy już odkryłem, że na Cerberze jest agent, zacząłem podejrzewać, iż są również inni. Gdy wyszło na jaw, iż jeden powiązany jest ze śmiercią Kreegana na Lilith, musiałem założyć, że wysłano co najmniej po jednym agencie na każdą planetę Rombu Wardena. Sprawdziłem, kogo zesłano, przeczytałem raporty dotyczące zachowania zesłańców i podjąłem decyzję. Jedyne, co mnie zdziwiło to fakt, że już się tutaj znajdujesz. Myślałem, że mój przyjaciel Koril będzie zmuszony cię szukać po całej planecie, żeby cię tu sprowadzić.

Skinąłem głową, czując pewną ulgę.

– I to dlatego tu jestem.

– Tak... i ja zresztą też – odparł Cerberejczyk. Bo widzisz, wydaje mi się, że zaczyna nam brakować czasu. Jestem przekonany, podobnie jak władze Konfederacji, że ad wojny dzieli rias niecały rok. Wojny na ogromną skalę. Nawet teraz może już być za późno, by jej zapobiec. Musimy jednak spróbować. Odsunięcie Cerbera wydaje się niemożliwe, ale tam przynajmniej mamy pewną kontrolę nad wydarzeniami. Jednakże obcy przejawiają niezwykle wręcz zainteresowanie Charonem.

Jak już zauważyłeś, nie odgrywa on najważniejszej roli w tym wszystkim... a jednak z jakichś – powodów posiada żywotne znaczenie dla obcych... W przeciwnym razie, po cóż by wprowadzali Moraha i obalali Korila dla Aeolii Matuze? Cóż, musimy odsunąć to zagrożenie. Ty musisz. W obecnych układach mogę jedynie służyć ci pomocą techniczną i poparciem moralnym.

– A one są nieocenione, mój przyjacielu – Koril poklepał go po ramieniu. – W przeciwnym razie byłbym teraz zwariowanym pustelnikiem na pustyni. Musimy zacząć stąd i to jak najszybciej. Choć z drugiej strony... jak zabić kogoś takiego jak Morah? Jest równie potężny jak ja, jeśli chodzi o kontrolę nad *wa*... a na dodatek jest o wiele mniej śmiertelny.

– Można go zabić – oznajmił Dumonia. – Tyle że wymaga to skoncentrowanego ognia z ciężkiej broni. Trzeba go dokładnie usmażyć... stopić go. Albo wysadzić w powietrze za pomocą najpotężniejszego środka wybuchowego, jakim dysponujecie. Nic innego nie będzie skuteczne. Promieniowanie takie, jak z pistoletów laserowych nie tylko jest w stanie zaabsorbować, ale jeszcze wykorzystać jego energię. Stopić go albo rozerwać na strzępki – to jedyne sposoby. Opisałem ci już przedtem, do czego są zdolne te roboty.

– To duży problem – Koril westchnął. – Poza tym Morah podporządkował sobie Synod, a Aeolia korzysta z jego mocy, by rządzić Charonem. Nie dziwota, że nie mogłem go pokonać! Nie przypuszczasz chyba...? Ile może być tych robotów?

– Właściwie każda liczba – odparł Dumonia. Kto to wie? Może Matuze. Nie zapominaj wszakże o własnej mocy. Ich umysły są ciągle takie same, a ich Wardenowska moc nie może być większa, niż gdyby byli ludźmi.

– To okropny problem... tutaj – Koril skinął głową. – Broń ciężka może zawieźć. Coś jednak wymyślimy. Będziemy działać.

– Wkrótce?

– Tak szybko, jak to będzie tylko możliwe. Jeśli tylko będziemy mieć ułamek szansy na zwycięstwo. – Musimy się tedy tym zadowolić – powiedział Dumonia.

I nagle, ni stąd ni zowąd wrzasnąłem:

– Zala! Zala Embay!

Wszyscy odwrócili się do mnie i patrzyli jak na wariata. Wyraz twarzy Darvy był najmniej przyjemny z całej tej trójki.

– A skąd ci ona przyszła do głowy? – rzuciła ostrym głosem.

W ogóle nie rozpoznałem w tym pytaniu nuty zazdrości.

– Ona jest z Takanny! Z tego samego świata, co Morah!

– O kim mówisz? – Koril utkwiał we mnie nieruchomy wzrok.

– O kobiecie, która wraz ze mną przybyła na Charona – odparłem. – Mieszkaliśmy przez jakiś czas razem w Bourget przed tamtymi pamiętnymi wydarzeniami.

Opowiedziałem pokrótce całą resztę... Włącznie ze sprawą jej oczywistego zaangażowania w grupę Niszczyciela i sprawą jej podwójnej osobowości.

– Prawdę mówiąc – dodałem – Korman był przekonany, że to ona jest tym skrytobójcą z Konfederacji.

– Czy to możliwe? – Koril spojrzał na Dumonię. – Dwoje z nich... tutaj?

– Możliwe. – Dumonia wzruszył ramionami. – Nic jednak o tym nie wiem, choć mówiąc szczerze, Konfederacja i ja ufamy sobie w równym stopniu... A wiesz, co to oznacza.

– Wobec tego, ta kobieta... – czarc zachichotał cichutko. – Możliwe, że ona tu jest.

– Nie widziałem jej w obozowisku Tully’ego i w ogóle jej nie widziałem od czasu tamtej strzelaniny powiedziałem. – Skoro jednak ona tu może być, czy też jest, przyszedł chyba czas, żeby poszukać paru odpowiedzi na pewne pytania.

– Całkowicie zgadzam się z tobą – Koril skinął głową.

Rozdział trzynasty

KIRA

Ogromny kompleks pod powierzchnią pustyni Gamush robił równie wielkie wrażenie po bliższym zapoznaniu się z nim, jak i na pierwszy rzut oka. Nowoczesny, świetnie wyposażony i z kompetentnym personelem był potężną twierdzą, całkowicie, podstępnie skrytą przed najpotężniejszym wzrokiem. Wybudowany jako nowoczesne laboratorium a zarazem odosobnione schronienie, w czasach kiedy Koril znajdował się jeszcze u władzy, celowo nie był nigdy dokładnie zaznaczony na żadnych mapach. Tych, którzy go z jakichś powodów odwiedzili, dezorientowano za pomocą czarów tak, że nie tylko nie byli w stanie zdradzić jego lokalizacji, ale i sami nie mogli powtórnie tam trafić bez pomocy odpowiednich osób. Na tej samej zasadzie tamtejszy personel techniczny był całkowicie bezradny bez dostaw zapewnianych przez Korila i nie mógł go zdradzić czy uciec, jeśli by nawet miał na to ochotę. Dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych wypalanej słońcem pustyni, wyglądającej tak samo we wszystkich kierunkach, zamieszkałej przez niewielkie, lecz groźne drapieżniki piaskowe stanowiły potężną i praktycznie nieprzekraczalną barierę. Poza tym nad pustynią krążyły posiadające całkiem wysoką inteligencję narile, gotowe rzucić się i pożreć wszystko, co żyje.

Jeśli przeto Zala tu dotarła, to prawdopodobnie ciągle się tu znajdowała. Urzędnicy Korila znaleźli ją bardzo szybko. Przybyła tu jeszcze przede mną i została przydzielona do służb obsługi. Biedna Zala... nawet w twierdzy, będącej kwaterą główną buntowników, skazana była na mycie podłóg.

– Nie może być przecież najmniejszego związku pomiędzy tą kobietą a Morahem – protestowała Darva, kiedy szliśmy oboje długim korytarzem. – To znaczy – ona ma nie więcej niż dwadzieścia kilka lat... a Morah przybył tu co najmniej piętnaście lat przed jej urodzeniem. To, że pochodzą z tej samej planety musi być czystym przypadkiem.

– Koril sądzi podobnie – powiedziałem. – Ale mnie to nie przekonuje: Za dużo tajemnic wiąże się z jej osobą, nawet jeśli nie weźmiemy pod uwagę tych nowych danych. Dodaj do tego jeszcze jej związki z kimś postawionym bardzo wysoko we władzach charonejskich, a trudno ci będzie przyjąć wersję przypadku. Za dużo jest światów, a – za mało zesłańców; by się na taką wersję zgodzić.

– Nic do niej nie czujesz, prawda?

– Tym nie musisz się zupełnie przejmować – nie mogłem powstrzymać śmiechu. – Nigdy tak naprawdę nic do niej nie czułem. Och, na początku byłem nieco zafascynowany... no wiesz, te dwa umysły, cała ta tajemnica. Kiedy jednak była ciągle tą samą prostą, myszowatą, małą Zalą, bardzo szybko stała się nudna. A poza tym, nie należymy teraz nawet do tej samej rasy.

– Mimo wszystko, wolałabym iść tam z tobą.

– Nie! To musi być spotkanie sam na sam. Nie zapominaj, że ja nie wyglądam teraz tak jak przedtem i jeśli ona nie dysponuje wyjątkowo świetnymi szpiegami, to w żaden sposób nie skojarzy sobie mnie z Parkiem Lacochem. A to daje mi ogromną przewagę. I ponieważ ciągle nie wiemy, co się może wydarzyć, nie chcę dodatkowo martwić się o ciebie.

Doszliśmy do naszego celu. Pocałowałem Darwę i uśmiechnąłem się.

– Życz mi powodzenia.

– To zależy – powiedziała bez przekonania, ale pozwoliła mi wejść do pokoju bez dalszych protestów. Pokój został przygotowany zgodnie z moimi instrukcjami, co oznaczało, że było w nim jedno krzesło, mały stolik, i nic poza tym. W drzwiach schyliłem nisko głowę, co stało się już niejakim przyzwyczajeniem, i wszedłem do środka.

Zala podniosła na mnie wzrok. Jej twarz wyrażała połączenie zdumienia i strachu, które nie mogło być udawane... tak mi się przynajmniej zdawało. Jakby nie było, naprawdę robiłem imponujące wrażenie. Stałem przez chwilę w milczeniu i przyglądałem się jej. Drzwi zamknęły się bezszelestnie za moimi plecami.

Muszę przyznać, że nie wyglądała źle. Gdyby nie luźne, niebieskie spodnie i koszula, świadczące o jej statusie pracownicy obsługi, nie różniłaby się niczym od tamtej dziewczyny, którą ujrzałem na ulicy tyle miesięcy temu. Ciągle też miała na sobie znak Moraha, ale te dwa różki tak do niej pasowały, że wydawały się elementem całkiem naturalnym.

– Zala Embuay? – spytałem, najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mnie było stać.

Skinęła głową i przełknęła nerwowo ślinę, ale się nie odezwała.

– Zala, na samym początku zapoznam cię z najbardziej podstawowymi regułami – kontynuowałem. – Po pierwsze, zauważyłaś być może te dwa małe urządzenia w kącie pokoju. Jedno to kamera; to, co się tutaj dzieje jest rejestrowane. To drugie, to automatyczna broń laserowa, która będzie zawsze wymierzana w ciebie, niezależnie od sytuacji. Drzwi pozostaną zamknięte, chyba że ja udzielę pozwolenia na ich otwarcie, a może je otworzyć wyłącznie osoba obsługująca kamerę. Rozumiesz?

Skinęła ponownie głową, ale...

– O... o co tu chodzi? Co ja takiego zrobiłam? – zebrała się na odwagę i zapytała drżącym głosem.

– Sądzę, że wiesz. Na początku myśleliśmy, że nie wiesz, ale uświadomiliśmy sobie, że musisz wiedzieć, a przynajmniej powinnaś podejrzewać.

– Nie... nie wiem, o czym mówisz.

– Myślę, że wiesz. Powiedz mi, czy byłaś członkiem kultu Niszczyciela w Bourget?

Skinęła z wahaniem głową.

– Kto był przywódcą tego kultu?

– Nie... nie mogę tego powiedzieć. To zabronione. – Zalo, jak dobrze wiesz, to my jesteśmy przełożonymi tej organizacji. Doskonale znamy to imię. – To dlaczego mnie o nie pytasz?

Uśmiechnąłem się. Nie była aż tak przestraszona, jak udawała.

– Ponieważ chcę sprawdzić, czy ty wiesz.

– Oczywiście, że wiem. Powiedziałam już przecież, że jestem członkiem.

– Wobec tego, podaj to imię.

Widziałem, jak za tymi przestraszonymi oczami zachodzi szybki proces myślenia.

– Nie... nie mogę. Rzucano na nas czar, który nam nie pozwala tego odkryć, nawet gdybyśmy bardzo chcieli. To taka forma ochrony.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – nieźle, pomyślałem sobie. – Podaj to imię. Nie wyjdiesz stąd, jeśli tego nie uczynisz.

– Na... naprawdę nie mogę – potrząsnęła głową. Naprawdę rzucano ten czar. Byłam przerażona...

– Nie możesz mi powiedzieć – uśmiechnąłem się. – To prawda, ale nie z powodu jakiegoś czaru. Nie możesz mi powiedzieć bo po prostu nic nie wiesz. Nie pamiętasz nawet tych zebrań, prawda?

– Ja... oczywiście, że pamiętam! To niedorzeczne!

– Gdybyś rzeczywiście pamiętała, wiedziałabyś, że przywódca kultu występował pod zmienioną czarem postacią, tak jak i większość wyznawców. Nie mogłaś więc znać przywódcy... niepotrzebny był żaden czar, by cię powstrzymać od wyjawienia jego imienia. Kłamiesz, Zalo Embuay. Nigdy nie byłaś członkiem tamtej grupy.

– Ja... oczywiście, że byłam! Popatrz! – wskazała dłonią na rogi. – A jakże inaczej mogłabym je mieć?

– Właśnie na to pytanie usiłujemy tu odpowiedzieć. Widzisz bowiem, w tym całym zamieszaniu nie było dość czasu i możliwości, by sprawdzić tożsamość każdego i porównać ją z listą członków. Musieli zabrać wszystkich, którym nagle wyrosły rogi. Już wykryliśmy kilku szpiegów.

To było kłamstwo, chociaż myśl taka przyszła do głowy Korila i jego personelu i zaczęto sprawdzać historie każdego po kolei. Prawdą natomiast było, że nie można było mieć pewności i dlatego umieszczono pod obserwacją wszystkich i nie pozwolono nikomu wyjechać, ani też nie dopuszczano żadnej z tych osób, z Zalą włącznie, na teren lądowiska i magazynów.

– Przekonali się, że tutaj, najłagodniejszą z kar dla szpiega jest śmierć.

W tym momencie sięgnąłem ku niej i nawiązałem kontakt z jej *wa*, bez trudu narzucając mu łagodny czar. Zala krzyknęła przeraźliwie i wstała. Musiałem zastosować lekkie paralizujące uderzenie w jej nogi, w przeciwnym bowiem razie nie mogłaby się powstrzymać od bezsensownej szamotaniny i prób ucieczki. Musiałem zastosować dramatyczne efekty – jednocześnie zachowując ostrożność, jeśli chodzi o masę jej ciała ponieważ miał to być tylko krótkotrwały czar. Normalnie mijały całe dni, a nawet tygodnie nim *wa* dokonało całkowitej zmiany wyglądu fizycznego, jednak postrzeganie takich zmian było natychmiastowe.

Zala obserwowała, jak kurczą się jej dłonie i ramiona, zmieniają się, przybierają kolor plamistej zieleni i brązu, po czym robią się coraz większe i cięższe, i przekształcają w ohydne, wyposażone w przyssawki macki, które dla niej miały ciężar co najmniej pół tony.

– Nie! – zawyła.

– Chcesz lusterko, żeby się obejrzeć w całości? prowokowałem, choć nie było to dla mnie przyjemne, mimo, że zdawałem sobie sprawę z konieczności takiego postępowania. Korman powiedział przecież, że załamie się ona dopiero w sytuacji maksymalnego stresu, a to niewątpliwie taka sytuacja.

– Nie! Nie! Nie! – zawołała. – Kira! Pomóż mi, proszę! Kira! Kira!

Nagle poczułem się trochę lepiej. A jednak wiedziała! Obserwowałem ją i czekałem, co będzie dalej. Korman powiedział kiedyś, że pewnego dnia będę postrzegał *wa* równie dobrze jak on... A ja znajdowałem się już przecież poza tak określonym punktem. Widziałem wyraźnie obydwie mózgi Zali Embuay, całkowicie oddzielone i bardzo dziwne. Ze skrzywianego nieco punktu widzenia *wa* wyglądały na równe sobie wielkością, każdy mniejszy od normalnego ludzkiego mózgu. Jeśli dana osoba dysponowała mocą, można było dostrzec przepływ informacji z *wa* do *wa*... Zala nią nie dysponowała... Ale ktoś ją posiadał. Ktoś bowiem zaczął nagle czynić to, co jest niemal niemożliwe.

Rozbłyśki z przekazem informacji, potwornie silne, przepływały z mózgu do ciała i z powrotem, mierząc, sprawdzając ten czar, który miał formę pajęczyny z energii *wa*, a potem rozwikłując go w podobny sposób, w jaki ja rozwikłałem czar Darvy i własny. Ktokolwiek to robił – a musiała to być sama Zala był silniejszym czarcem niż ten czar, który, choć prosty, to jednak należał do kategorii VI lub nawet VII. Zacząłem się zastanawiać, czy umysł ten nie jest być może potężniejszy od mojego i doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie po prostu będę zmuszony to odkryć. Jedną rzeczą była

oczywista – nie tylko był to umysł potężny, ale również świetnie wyszkolony. Kiedy? Przez kogo?

Nie uczyniłem żadnego wysiłku, by bronić tego czaru i dlatego pękł on bez trudu, pozwalając Zali powrócić do poprzedniego wyglądu. Przez króciuteńki moment widziałem obraz tamtej silniejszej, przypominającej Amazonkę Zali, Zali z ulic Bourget podczas pamiętnych wydarzeń. Obraz ten jednak bardzo szybko zniknął. Najwyraźniej Kira nie miała jeszcze ochoty spotkać się twarzą w twarz ze mną.

Zala usiadła, osłabiona i wstrząśnięta. Nie zamierzałem pozwolić jej wyslizgnąć się tak łatwo.

– Kim jest Kira? – spytałem.

Potrząsała tylko głową, nie patrząc na mnie.

– Jest w tobie, prawda? – naciskałem. – Kira i ty dzielicie to samo ciało, prawda? I dlatego jesteś tu na Charonie... Z powodu Kiry? Czyż tak właśnie nie jest? Zala, czym jest Kira?

Zakryła uszy dłońmi, usiłując nie słyszeć mojego głosu, ale nie było to takie łatwe.

– Kiro, jeśli mnie słyszysz, jeśli mnie rozumiesz, to lepiej będzie, jeżeli się ukazesz – powiedziałem ostro. – Twe czary są niezłe, ale nawet dla mnie są niezbyt silne, a ja na pewno nie jestem tutaj najpotężniejszym z czartów. Każda próba unieruchomienia tego lasera za pomocą czaru, zostanie natychmiast wykryta i otworzy on wówczas ogień. Utkanie czaru przez *wa* zajmuje jakiś czas. Nie sądzę, by ktokolwiek był szybszy od światła. Będziesz tu siedzieć dopóty, dopóki się nie pojawi, Kiro. Będziesz tu siedzieć bez jedzenia, bez picia, w pustym pokoju, w takim miejscu na pustyni, z którego nie ma ucieczki.

Głowa Zali odwróciła się i spojrzała ona w kierunku kamery – lasera, jednak nie podjęła żadnej próby, by ją zneutralizować. Wreszcie zwróciła się do mnie.

– A niech cię szlag! Kim ty, do diabła, jesteś? Uśmiechnąłem się.

– Alei Zalu, mój skarbie, przecież to twój stary, kochający mąż, najdroższy Park, w nowym garniturku odmieńca. Czyżbyś mnie zapomniała?

To nią wstrząsnęło bardziej niż groźby, bardziej niż wszystko inne.

– Park? – wykrztusiła z trudem. – Czy to naprawdę... ty?

– To rzeczywiście ja – złożyłem jej głęboki ukłon. – I jeśli to może być dla ciebie jakąś pociechą, to odkryto cię na samym początku. Korman wręcz wyznaczył mnie, żebym się trzymał blisko ciebie i składał raporty. Uważał, że jesteś jakimś nowym typem skrytobójcy z Konfederacji. Obawiam się, że twój jedyny w swoim rodzaju umysł świeci tak mocno jak latarnia morska dla kogoś, kto potrafi postrzegać *wa*.

Widać było, że aż wstrzymała oddech. Najwyraźniej informacja ta stanowiła dla niej nowość... A podejrzewam, że również dla jej odpowiedniczki. Przecież niezależnie od stopnia naszej

samokontroli, nigdy nie widzimy sami siebie w kategoriach *wa*. *Wa* nie odbija się w lustrach.

– To, co ci mówię, jest prawdą – zapewniłem ją. – Koril stworzył niewielką grupę badawczą, pracującą nad tą unikatową częścią twego mózgu już od momentu twojego przybycia. Dyskutowano twój przypadek w środowisku naukowym i w urzędzie ochrony. Zostawili cię na wolności, żeby zobaczyć, co się wydarzy... I nie wydarzyło się nic. Dlatego sami prowokujemy wydarzenia. Nie sądzisz, że już najwyższy czas, żeby prawda wyszła na jaw? Jeśli pracujesz dla Moraha, możesz się do tego przyznać i będzie to stanowiło punkt startowy. Jeśli pracujesz dla kogoś innego, chcemy to wiedzieć. A jeśli nie pracujesz dla nikogo, to chcemy wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Potrząsała głową, jak gdyby chciała zebrać myśli. – Ja... och, niech to wszyscy diabli. Jakiż ma sens kontynuowanie tego? Powiem ci... chyba że zostanę powstrzymana.

– Przez Kirę?

– Przez Kirę – skinęła głową.

– Zala, kim jest Kira?

– Ona... ona jest moją siostrą. To, co ci powiedziałam... Naprawdę jesteś Parkiem? To, co ci powiedziałam na początku jest z grubsza prawdą. Przeprowadzono na mnie eksperyment. – Na nas. Powiedzieli, że to całkowicie inny rodzaj mózgu. My dwie. Dwoje ludzi w jednym ciele. To dziwne uczucie, kiedy tak mówię, ponieważ tak naprawdę nie mam pojęcia, jak to jest, kiedy się nie ma takiego mózgu.

– Ale dlaczego? – pokręciłem w zdumieniu głową. – Jaki był tego cel? Na pewno nikt nie podjąłby tego rodzaju ryzyka dla samego eksperymentu? To nie było warte tak wielkiego ryzyka.

– Ryzyko – roześmiała się, ale jakoś bez przekonania. – Jakie ryzyko? Masz bardzo dobre mniemanie o Konfederacji, Park. To twoja wada. Widzisz wyłącznie to, co jest na wierzchu, na pokaz, i dajesz się na to nabrać, podobnie jak większość frajerów. Myślisz, że ci czterej władcy siedzą sobie tutaj spokojnie i jedynie rządzą swoimi planetami. Tylko dlatego, że są tutaj uziemieni? To śmieszne. Oni mają wpływ na bardzo wiele spraw wewnątrz Konfederacji. Są nowym uosobieniem tego, co istniało przez całe tysiąclecia... a może i zawsze. Przykładem biznesu. Sprzedającego produkty i usługi, których nikt inny nie posiada. Rzeczy, o których ludzie mówią, że są im niepotrzebne, podczas gdy tak naprawdę, to chcą je mieć: perwersje, hazard poza oficjalnymi kasynami, specjalne pożyczki, nawet – poparcie polityczne. Bizuteria, dzieła sztuki i tym podobne, kradzione i kupowane na obszarze Konfederacji, w dużej części trafiają tutaj, do Rombu. Ci ludzie są wszędzie i we wszystkim mają swój udział. Narkotyki dla znudzonych ludzi z pogranicza i astronautów podróżujących w przestrzeni przez rok i dłużej. Wszystko możesz od nich otrzymać... i wszędzie... za właściwą cenę.

– Nie jestem aż tak naiwny, jak sądzisz – odparłem. – Mów jednak dalej. Zostałaś więc wyhodowana przez ten syndykat?

– Ja... i inni – skinęła głową.

To była interesująca informacja.

– Inni? Wielu?

– Kto wie? – wzruszyła ramionami. – Nie chowano nas razem.

– Taak... Ale po co? W jakim celu?

– Konfederacja posiada korpus elitarny wyhodowany w celu wypełnienia założonego zadania. Zwią ich skrytobójcami, choć nie często zabijają. Wiedziałaś o tym?

– Tak, wiem coś o nich – potwierdziłem wymijająco.

– A jak sądzisz, dlaczego ci czterej władcy utknęli tu na dobre? Dotyczy to zresztą większości ludzi. Zmusili ich do tego owi skrytobójcy. Jak powiedziałam, są oni hodowani do swych zadań i dlatego praktycznie nie można ich przekupić ani skorumpować. Kochają swą pracę i nie robią nic poza nią. Ich prawdziwa tożsamość jest nieznana nawet biurom, które ich zatrudniają, a kontakt z nimi jest rzadki i bardzo krótki. Po wykonaniu przez nich zadania, cała pamięć z nim związana jest wymazywana z umysłów ludzi z bezpieczeństwa i wszelkich rejestrów. Ich anonimowość jest jedyną rzeczą, której nie udało się złamać czterem władcom. Ci mężczyźni i te kobiety są jedynymi ludźmi, których członkowie Bractwa, jak ta organizacja nazywa samą siebie, bardzo się obawiają. Jedynymi. Jak do tej pory wykryto i skorumpowano tylko jednego z nich... I jest on jednym z tych czterech władców!

– Marek Kreegan z Lilith – wtrąciłem. – Już nie żyje.

– Nie żyje! Jak to się stało? – aż podskoczyła.

– Wygląda na to, że dopadł go skrytobójca z Konfederacji.

– Rozumiesz więc teraz?

– Nie, nic nie rozumiem – pokręciłem głową. Do czego to wszystko prowadzi?

– Czterej Władcy, całe Bractwo potrzebuje ludzi, którzy mogliby zidentyfikować i zabić owych skrytobójców, nim ci zabiją ich. Próbowali już wszelkich możliwych sposobów, by złamać ten system i za każdym razem ponosili klęskę. Nawet Kreegan nie był w stanie im pomóc, ponieważ żaden ze skrytobójców wystarczająco dobrze nie zna systemu obrony. Zresztą, i tak jest on bezustannie zmieniany. Tak więc Bractwo wymyśliło sobie, że jeśli nie mogą poradzić sobie z tym systemem, to stworzą własny. I ludzi w tym systemie przygotowanych można by nazwać zabójcami skrytobójców.

– Ty jesteś zabójcą skrytobójców? – nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Nie – potrząsnęła głową. – Ja nie. Kira. Ona jest niesamowita, Park. Niesamowita. Uczy się wszystkiego natychmiast i nigdy tego nie zapomina. Posiada całkowitą kontrolę nad swoim... naszym... ciałem. Całkowitą. Jest maszyną do zabijania, ale maszyną wybitną i błyskotliwą.

Mówiła to wszystko z podziwem, jednak odniosłem wrażenie, jak gdyby mówiła o kimś zupełnie innym. To bardzo dziwne. Naturalnie, wywoływało to więcej problemów i pytań, niż ich rozwiązywało.

Jeśli bowiem Zala mówiła prawdę, to Koril już wiedział, kim ona jest... musiał wiedzieć. I prawdopodobnie Korman też to wiedział. Dlaczego więc mimo wszystko nie wiedzieli? A jeśli wiedzieli, to po co ta cała maskarada? Coś tu zdecydowanie śmierdziało, a Zala była pierwszą podejrzaną. Przecież już w przeszłości nie można było na niej polegać.

– Zalo, dlaczego obie? Dlaczego i ty, i Kira?

– Och, to miało być pewne zabezpieczenie w przypadku schwytania. Psychiatrzy nie poradziliby sobie z Kirą; jedynie daliby radę ze mną. Nie mogliby wymazać jej pamięci, a moją – tak.

– To ma tylko sens, kiedy ty sama nic nie wiesz o jej istnieniu – zauważyłem. – A ty, naturalnie, musiałaś przecież wiedzieć.

– No, jasne. Tyle że ona jest naprawdę silna. Nie bardzo to rozumiem, ale Kira twierdzi, że naprawdę to jest nas tylko jedna, przynajmniej jeśli chodzi o pamięć i tym podobne sprawy. Potrafi mnie odciąć od siebie i czasami to robi. Raz pamiętam wiele rzeczy, a innym razem nie pamiętam... A czasami nie wiem nawet tego, co kiedyś widziałam, dopóki jakoś znowu tego nie wiem... Jeśli w ogóle to, co mówię ma jakiś sens.

Choć to może wydać się dziwne, ale był w tym pewien sens i robiło to wrażenie prawdy. Nie miałem pojęcia, jakie były podstawy – biologiczne takiej sytuacji; bez wątpienia sam uznałbym, że istnienie dwóch takich osobowości w jednym mózgu jest niemożliwe, gdyby nie fakt, że miałem przed sobą przykład takiego właśnie przypadku. W jakiś sposób biologom z syndykatu udało się tego dokonać. Mistrzowski skrytobójca, co najmniej tak dobry jak ci z Konfederacji. Być może lepszy, pomyślałem z goryczą. Bez wątpienia śmiertelność w moim zawodzie byka wysoka i czasami dość trudna do wytłumaczenia. Jeśli jednak ta dominująca osobowość Kiry posiadała klucz do pamięci, całkowite zrozumienie i kontrolę nad tym, co tam się działo – a było to znacznie więcej niż posiadał ktokolwiek inny – mogła ona dosłownie zarezerwować całe jej sekcje tylko do własnego użytku. A nawet w razie potrzeby dodać nowe sekcje, pomyślałem. Można więc było poznać dobrze Zalę, zahipnotyzować ją i poddać kontroli psychicznej, i tak nic by to nie dało.

– Wygląda jednak na to, że Kira pozwala ci żyć własnym życiem – zauważyłem. – Przez większość czasu wydaje się tylko towarzyszyć tobie.

– To prawda – Zala skinęła głową. – Niemniej ona nie śpi. Jest cały czas ze mną. Powiada, że w taki sposób zostaliśmy... no cóż, zaprojektowane, chociaż czyni to z nas jakiś rodzaj obrzydliwej maszyny. Skinąłem głową.

– Tak więc, kiedy ja mówię do ciebie, to w rzeczywistości mówię do was obojgu... Kiedy jednak ty mówisz do mnie, to możesz być tylko ty.

– Tak to z grubsza wygląda – przyznała.

– Jak się więc znalazłaś tutaj, na Charonie?

– Cóż, Kira twierdzi, że wyglądało to na przypadek, ale teraz tak tego nie widzę. Nigdy nam zresztą nie powiedzieli. Po prostu przyszli pewnego dnia i aresztowali mnie, to wszystko. Och!

Podskoczyła nagle, po czym stałem się świadkiem zadziwiającej transformacji.

W przeciwieństwie do tego, co postrzegałem poprzednio, tym razem miało to raczej charakter umysłowy a nie fizyczny, a mimo to można było bardzo wyraźnie widzieć, co się dzieje. To, co nastąpiło, było bowiem czymś więcej niż tylko całkowitą zmianą osobowości ukrytej za tymi wielkimi, brązowymi oczyma. Ukryte cechy osobowości Zali wyraźnie się uwidoczniły. Jako Zala wyglądała krucho i zwyczajnie; będąc Kirą wydawała się posiadać potężne mięśnie, z jej oczu biła moc. Choć tak naprawdę nie zaszły żadne zmiany, transformacja ta robiła duże wrażenie.

– Witaj, Kiro – powiedziałem.

– Lacocho – odparła głosem niskim i lodowatym, omal nieludzkim ze względu na brak intonacji. Uważam, że nadszedł już czas, byśmy porozmawiali bezpośrednio.

Wsparłem się na swoim ogonie.

– To mi odpowiada. Hm... powiedz mi, czy Zala wie, co się dzieje, kiedy ty jesteś tobą?

– Kiedy jej na to pozwolę – odparła. – Teraz właśnie pozwalam. Nie ma powodu, bym nie miała pozwolić.

– A kiedy nie... pozwalasz?

– To tak, jak gdyby spała.

– Tak. Czy jesteś skłonna odpowiedzieć na resztę pytań?

– Zobaczymy. Pytanie nic nie kosztuje.

Miałem dziwne uczucie, że to ja jestem uwięziony w tym pokoju, a nie ona. Od samego początku wywierała na mnie niepokojący wpływ.

– Po pierwsze, czy Zala powiedziała prawdę spytałem.

– Nie skłamała – odparła Kira, co ściśle biorąc, nie było odpowiedzią na moje pytanie. Zapamiętałem to sobie i kontynuowałem.

– Ta hodowla specjalnych agentów, takich jak ty... odbywała się wyłącznie na Takannie?

Skinęła głową.

– Rozszerzenie operacji na większy obszar zawsze zwiększa ryzyko wykrycia. Teraz już,

naturalnie, nie ma potrzeby kamuflażu, skoro operacja ta została wykryta i prawdopodobnie zlikwidowana.

To była wielce interesująca informacja.

– Czy wiesz, jak ją odkryto?

Pokręciła przecząco głową.

– Podejrzewam, że nikt jej nie odkrył i nikt do niej nie przeniknął. Sądzę, iż nastąpiły celowe przecieki... i została zlikwidowana przez samych czterech władców. Żali nikt nie zdemaskował. Zostaliśmy wszyscy zdradzeni. Garstka naszych została wysłana tutaj wcześniej przez Konfederację. Jednak Konfederacja nie powinna była wiedzieć o moim istnieniu. Operacja została zakończona i całkowicie zniszczona wiele lat przed tym, nim mnie pochwycono. Zakończona osobiście przez czterech władców. Nie mam na to bezpośrednich dowodów, jednak uważam, że znajduję się tutaj również z polecenia Lordów Rombu. Całkiem prawdopodobne, że wszyscy pozostali, tacy jak ja także.

Zastanowiłem się nad jej słowami.

– W sumie więc wezwano cię do szefa w jedyny możliwy sposób?

– To jedyne sensowne wyjaśnienie.

– W porządku. Powiedz mi... jeśli to jest prawdą, dlaczego obecny czy poprzedni władca Charona nic o tobie nie wiedział? Korman myślał, że jesteś skrytobójcą z Konfederacji. Koril twierdzi, że nic o tobie nie wiedział, dopóki ja nie zwróciłem na ciebie uwagi. A personel Korila twierdzi, że i owszem bardzo się tobą interesował, ale nie miał najmniejszego pojęcia na temat twojej prawdziwej natury. Dlaczego oni nic nie wiedzieli, Za... Kiro?

– W tej chwili przychodzą mi do głowy tylko trzy możliwości – odparła. – Albo Koril rzeczywiście nie wiedział, albo też Matuze nie wiedziała, i jedno z nich tylko udawało; albo nie wiedzą oboje i wówczas albo ta operacja z jakiegoś powodu nie została udostępniona nowym władcom – którzy, od tamtej pory objęli władzę – albo właśnie istniał jakiś konkretny powód, by im tej informacji nie przekazywać.

– Nikt się z tobą nie skontaktował?

– Owszem, skontaktowano się ze mną. W Bourget.

– Kto?

– Yatek Morah.

Poczułem, że krew znów zaczyna mi płynąć szybciej w żyłach. Teraz wreszcie do czegoś dochodzimy.

– Kiedy to miało miejsce?

– W niecałe dwa dni po naszym przyjeździe.

– Niecałe dwa dni! Przecież spędziliśmy tam pięć miesięcy, nim on się pojawił!

Skinęła głową.

– W czasie, kiedy ty pracowałeś, poinstruował mnie jak korzystać z *wa*. Na początku przychodził codziennie, potem, kiedy lekcje zmieniły się w ćwiczenia; rzadziej.. Zresztą sam wiesz, jak to przebiega.

Jasne, że wiedziałem.

– Czy pytałaś go, po co to wszystko?

– Spytałam, czy ma dla mnie jakąś misję do spełnienia. Odpowiedział, że czas misji nadejdzie, a na razie mam tylko ćwiczyć.

– I nigdy go nie naciskałaś w tej sprawie?

– Nie podaję w wątpliwość rozkazów przełożonych! – to nie była jej chętność, lecz jedynie stwierdzenie faktu, wygłoszone takim samym, pozbawionym intonacji i emocji głosem, jak cała reszta.

– Tamtego ranka w Bourget nie posiadałaś więc żadnych instrukcji?

– Nie. Spodziewałam się jakiegoś kontaktu, a nawet sama próbowałam nawiązać kontakt z Morahem, ale zbył mnie. Do tej chwili pozostaję bez rozkazów.

– Nie należałaś do kultu?

– Nie. Próbowałam, owszem, ale bez powodzenia. Nikt nawet nie przyznał, że coś takiego istnieje, i przecież był on doskonale zakonspirowany. Naturalnie nie byłaby aż tak wielką sztuką określenie, kto jest z nim związany i gdzie odbywają się spotkania, jednak ponieważ ja dopiero uczyłam się mocy, nie chciałam nim nie poczuć, że jestem gotowa – spotkać wśród nich kogoś silniejszego ode mnie.

Kiwałam głową, głównie zresztą sam: do siebie: Wszystko to w jakiś szalony sposób miało sens, ale jednak nie wszystkie kawałki pasowały do siebie. Do diabła, czy Koril wiedział, czy też nie? A przede wszystkim, czy Korman wiedział, przynajmniej na samym początku? Morah niewątpliwie wiedział. Potrzebowałam więcej informacji... I to jak najszybciej!

– Powiedz mi, Kiro, dla kogo teraz pracujesz? Czyich poleceń musisz słuchać?

Natychmiast zorientowała się, jaki był cel tych pytań.

– Na Charonie nie jest to takie proste i dlatego właśnie czekam i żyję poprzez Zalę. Tutaj, podobnie jak na rodzimej planecie, istnieją pewne frakcje w Bractwie, ale tam wiedziałam przynajmniej dokładnie, po której jestem stronie. Tutaj te dwie istniejące siły wydają mi się mniej więcej równe. Matuze pozbawiła władzy Korila, kiedy był jednym z władców. Przejęła kontrolę, ale może nie móc jej utrzymać. Morah pomógł mi, pracując dla frakcji Matuze: Praktycznie jednak rzecz biorąc, muszę służyć lordowi Korilowi. Jestem tutaj. Nie mam od Moraha żadnych rozkazów ani instrukcji i prawdopodobnie ich nie otrzymam, Jeśli nie sprzymierzę się z lordem Korilern przeciwko lordowi Matuze, zostanę zabita. Logika dyktuje przeto, bym służyła lordowi Korilowi. Jestem więc na jego usługi.

Oświadczenie to było tak chłodne i tak pozbawione wszelkich emocji, że z trudem powstrzymałem dreszcz. Miałem przed sobą kogoś bez poczucia moralności, bez skrupułów, a nawet lojalności. Było jej absolutnie wszystko jedno, dla kogo pracowała.

Nadszedł czas, żeby porozmawiać z Korilem.

– Widziałeś zapis – powiedziałem. – Jakie odniosłeś wrażenia?

Koril usiadł wygodnie w fotelu i wyglądało, jakby się zastanawiał.

– Z trudem sobie przypominam tę operację – odparł po dłuższej przerwie. – Jak przez mgłę. Jej początki, naturalnie, sięgają czasów na długo przed tym, nim mnie tu zesłano. Nigdy jednak nie uważano jej za sukces. Przysięgam ci, że sądziłem, iż już dawno temu ją porzucono i zlikwidowano. A ta sprawa podwójnego umysłu... do diabła, według mnie to brzmi niewiarygodnie.

Mówił chyba szczerze, a ja chciałem mu wierzyć. Bardzo chciałem.

– A jednak ktoś wiedział – zauważyłem. – Ona... i inni... pracowali dla Bractwa przez całe lata. Któż wie; ilu ich było, i jak długi – o pracowali? Wreszcie ktoś nakazał zamknięcie tej operacji. Praktycznie oddał ją w ręce władz i spowodował, by ją tu zesłano.

Koril siedział pogrążony w myślach i tylko część swojej uwagi poświęcał rozmowie ze mną.

– Im dłużej o tym myślę, tym wyraźniej widzę prawdopodobny scenariusz. Operację zlikwidowano, bo, o ile dobrze pamiętam, jej efekty napawały lękiem czterech władców, a już szczególnie przerażały co ważniejsze osobistości z tamtej, rodzimej planety. Maszyny do zabijania... To, co powiedziała Zala, jest znaczące. Żadnych emocji. Żadnej lojalności. I co z tego wynika – żadnej kontroli. Coś, co jest tak... nieludzkie... mogłoby być użyte nie tylko przeciwko Konfederacji, ale również przeciwko ośrodkom władzy samego Bractwa. Do diabła, ta operacja została rzekomo zakończona w czasie, kiedy mnie tu zesłano. Dowiedziałem się o niej dopiero od pewnego starego, lubiącego wspominki władcy jednej z planet, który zasiadał ze mną w Synodzie.

– Ale przecież to było co najmniej czterdzieści lat temu – zauważyłem. – A ona pewnie ma niewiele ponad trzydziestkę.

Skinął głową.

– A to, mój przyjacielu, oznacza, że ktoś kontynuował działania już po wydaniu rozkazu zaprzestania tej operacji. Ktoś, kto utrzymywał ten fakt w tajemnicy przed wszystkimi, z wyjątkiem swej najbliższej rodziny. Dawało to tej osobie niesamowitą przewagę.

– Wspomniała coś o rodzinie Triana – powiedziałem.

– Nie znam jej – wzruszył ramionami. – Jednak równie dobrze może to być prawdziwa rodzina, a nie rodzina wchodząca w skład Bractwa. Rozumiesz však, co to oznacza? Że istnieje jakiś lord, pozostający w cieniu i uczestniczący w tej grze od czterdziestu już lat.

– Morah. To musi być Morah.

– Zgadzasz się z tobą. Choć z drugiej strony, to właśnie Morah zakończył tę operację i ujawnił co najmniej jednego, a może nawet wszystkich pozostałych agentów. Dlaczego?

– Przyszedł mi do głowy jeden powód – odparłem.

– Hm?

– Mając organiczne superroboty i całą potęgę obcych za sobą, nie potrzebował ich dłużej. W każdym razie nie tam.

– Być może. Ale po co mu byli potrzebni tutaj? I dlaczego, skoro już nimi tutaj dysponował, nie użył ich?

Zastanowił się przez chwilę.

– Może jeszcze nie był gotowy, by jej użyć.

– Hm?

– Załóżmy, że niewiele jest tych... ludzi. Załóżmy, że jest ich, powiedzmy, czworo. Pamiętasz, jak Morah wy dostał się z tamtego placu?

– Jako czterogłowa hydra.

– A teraz Kreegan nie żyje. Nie zapominaj, iż Dumonia powiedział, że to nie skrytobójca go dopadł. Nazwał to przypadkiem.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– A Morah, widział, spotkał się, rozmawiał z tymi obcymi twarzą w twarz.

Wreszcie zorientowałem się, do czego zmierza.

– Korman tedy mógł rzeczywiście nie wiedzieć. Podobnie jak Aeolia Matuze.

– Możliwe – skinął głową. – Może Konfederacja nie jest jedyną siłą, która chce zlikwidować czterech władców. W rzeczywistości Konfederacja być może czyni wielką przysługę Yatekowi Marahowi.

– Nie czterech Władców Rombu... tylko jeden.

Rozdział czternasty

WYMUSZONE DECYZJE

Ta dziewczyna... Zala, czy też Kira, czy kto tam ona jest... niepokoi cię, prawda? – spytała Darva.

– Nie ta część; która jest Zalą – skinąłem głową.. – Jest w niej bowiem coś sympatycznego. Jednak ad momentu, w którym Korman powiedział mi o tej jej drugiej połowie, chciałem ją spotkać... A teraz, kiedy do tego doszło, nie jestem przekonany; że powinienem był to wymusić.

– Chyba cię nigdy nie zrozumiem – westchnęła. – Zmuszasz ją do ujawnienia się, a potem z tego powodu jesteś cały nieszczęśliwy. Dlaczego? Czy Kira nie należy mniej więcej do tego samego typu ludzi, co ty sam?

Zakręciłem się na pięcie i poczułem jak rośnie – mi ciśnienie krwi. Znieruchomiałem na chwilę, by – się uspokoić. Miałem bowiem już zamiar rzucić jakąś okropną uwagę i zaprzeczyć ostro jej słowom, ale prawdę mówiąc Darva trafiła w samo sedno. Przyznanie tego przed samym sobą pozwoliło mi się uspokoić.

– Tak, w pewnym sensie, Przypomina mnie takiego, jakim byłem, chociaż nigdy nie byłem tak zimny i pozbawiany uczuć, jak – ona. Jednocześnie odarła mnie ze złudzeń i sprowadziła do najniższego wspólnego mianownika. Żadnej moralności, żadnej walki o sprawę, żadnych uczuć. Dokładnie to samo, co biotechnologom udało się stworzyć w przypadku tej istoty o dwu umysłach. Ona potrafi przekazać Zali wszystkie swe emocje, skrupuły i uczucia. Tym samym Kira może posiadać umysł komputera, nie obarczonego żadnymi, śladowymi nawet ilościami... człowieczeństwa. Zala może być głupia, płytka i niewiele warta, ale jest człowiekiem z ciałem i z umysłem. A przecież, kiedy patrzę na Kirę, rozmawiam z nią, widzę... siebie. Widzę człowieka, którym kiedyś byłem, siedzącego tam w górze, jedną trzecią roku świetlnego od systemu Wardenowskiego – dopowiedziałem sobie w myślach.

Bo tak naprawdę, czym różni się Kira od tamtego „mnie” w górze? Pomiędzy misjami, z zablokowaną i prawie całkowicie wymazaną psychiką, nie różnił się wiele od Zali, tyle że od tej Zali posiadającej pieniądze. Playboy obracający się w środowisku ludzi bogatych i potężnych, niewiele dający z siebie i całkowicie hedonistyczny. Jediną różnicą pomiędzy Kirą i tamtym „mną”, głęboko

ukrytą różnicą, był fakt, że kiedy oddawano mi całą informację przed następną misją – tak jak teraz – to u podstaw mojej osobowości tkwił ten drugi, ten playboy, ten miłośnik zabawy. Kira natomiast doświadczała wszystkiego z drugiej ręki i nigdy nie odczuwała, że jej obecna postać mogłaby być czymś więcej niż tylko przykrywką... Na pewno nie uważała jej za część samej siebie.

Technika, za pomocą której ukształtowano Zaleę – Kirę pozostawała dla mnie tajemnicą. Tutejsi eksperci sondowali i badali ją, i niczego nie znaleźli. Jej mózg, nie licząc dziwnego rozkładu „organizmów Wardena”, wyglądał normalnie. Wiedza medyczna nie była w stanie wskazać na nic konkretnego. A przecież nie była to technika psychiczna czy jakaś aberracja umysłowa... *wa* jasno ukazywało rzeczywisty biologiczny podział, który gdzieś tam występował.

Patrzenie na nią jak w lustro, na ten wizerunek doskonałego skrytobójcy i dostrzeganie w całej jego brzydocie tej doskonałości cech, z których zawsze byłem tak dumny, stanowiło dla mnie poważny problem. Fakt, że znajdowałem się po właściwej stronie, że broniłem słuszności, sprawiedliwości i dobra... nie podbudowywało mojej wiary i pewności moralnej. Charon z jego poglądami i moje własne tutaj doświadczenia zabiły tę pewność i chociaż ciągle znajdowałem się po tej stronie, to tylko dlatego, że przeciwna napawała mnie wstrętem, a nie z powodu jakichś resztek lojalności w stosunku do ideałów Konfederacji. Zastanawiałem się, czy coś podobnego przydarzyło się również moim odpowiednikom na Lilith, Cerberze i Meduzie. Wiedziałem jedno: byłem teraz pełniejszym człowiekiem niż kiedykolwiek przedtem. I z tego powodu byłem słabszy, a jednocześnie stanowiłem całość, którą Kira nie była i być może nigdy nie będzie.

Wyjaśnienie tego wszystkiego Darvie nie było rzeczą łatwą. Chociaż dzielenie się informacją i rozmowa o tym wszystkim były przydatne, to jednak pozostawało faktem, że nie była ona w stanie wielu rzeczy zrozumieć. Nie wychowano jej tak, by wierzyła.

I to w końcu okazało się zasadniczą różnicą pomiędzy Kirą i mną. Ja byłem wierzącym, który utracił swą wiarę, ale zyskał człowieczeństwo. Ona nigdy w nic nie wierzyła i dlatego nie mogła ani odnaleźć, ani w pełni pojąć swego własnego człowieczeństwa. Ja zostałem na Charonie dosłownie zredukowany do zwierzęcia i odrodziłem się człowiekiem. Kira została zredukowana do statusu maszyny, w której na zawsze została uwięziona.

W pewnym sensie ona zmusiła mnie do dokładnego przyjrzenia się sobie samemu... czego rezultatem było to, że odzyskałem wolność. Ostatnie więzy zostały zerwane. Podobnie jak ten drobny Cerberejczyk Dumonia, zerwałem ostatnie, łączące mnie z przeszłością więzy, a pozostawałem z nią w sojuszu tylko dlatego, że w tym momencie nasze interesy były zbieżne.

Po raz pierwszy spojrzałem wstecz i zadałem sam siebie i ku swemu zdumieniu udało mi się zlokalizować, za pomocą *wa*, tę maleńką, organiczną grudkę wewnątrz mojego mózgu. Ciągle tam tkwiła. Przetrwiała jakoś transformację Lacochoa w odmieńca, odmieńca w bunhara i bunhara w odmieńca. Ciągle więc słuchasz, mój bracie? Ciągle słuchasz... moja Kiro.

Koril miał poważny wyraz twarzy i zawziętą minę. Jego gabinet zawałony był raportami i zdjęciami, a on nie wyglądał na zachwyconego tym, co one przedstawiały, cokolwiek to było.

– Odkryto nas – natychmiast przeszedł do sedna sprawy. – Po tych wszystkich latach zostaliśmy wykryci.

– Komu udało się przesłać informację na zewnątrz?

– Jakoś tego dokonał – skinął głową. – Nie jestem pewien, jak. Ale ten kompleks skazany jest na zagładę. Park. To wyłącznie kwestia czasu. Och, on jest zabezpieczony przeciwko atakom z ziemi, ale skoro jego lokalizacja jest znana, mogą ściągnąć ciężką broń spoza naszej planety i wszystkich nas usmażyć.

– To dlaczego tego dotychczas nie uczynili?

– To zabawne – uśmiechnął się. – Ale podstawowym powodem jest to, że Konfederacja również prowadzi stałą obserwację systemu. Ci na Charonie nie mają ciężkiej broni, a jeśliby ją usiłovali sprowadzić, zostaliby rozwaleni na kawałki w przestrzeni kosmicznej. Żeby uderzyć w nas odpowiednio mocno, musieliby sprowadzić jeden ze statków swoich przyjaciół obcych, a to by ich zmusiło do ujawnienia się. Jednak to i tak tylko kwestia czasu, dopóki nie wymyślą jakiegoś sposobu na zmylenie naszych „wardenków”.

– Ile mamy czasu?

– Kto to wie? Dzień? Tydzień? Miesiąc? A może minutę? Tyle, ile im zajmie wymyślenie sposobu. Nie możemy zakładać, że potrwa to dłużej.

Usiadł wygodnie w fotelu i po raz pierwszy robił wrażenie bardzo starego, starego i niewiarygodnie zmęczonego.

– Cóż, może tak będzie lepiej. Zakończyć to wszystko w ten czy inny sposób, raz na zawsze – spojrzał na mnie, a na jego twarzy widoczny był ciężar podejmowanej decyzji.

– Wiesz, Park, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak bardzo się przez te wszystkie lata oszukiwałem. Bardzo lubiłem to miejsce. Kochałem badania naukowe, spokój, brak bezpośredniego zagrożenia. Nawet przewodzenie rebeliantom sprawiało mi ogromną przyjemność. Bardziej chodziło w nim o wyzwanie rzucone przeciwnikom, niż o rządzenie tym miejscem. To zabawne... ciągle przygotowania i żadnego działania. O tym właśnie ongiś mówił Dumonia... ten sukinsyn.

– O co chodzi?

– Stary drań! Nie licząc ludzi znajdujących się pod moją bezpośrednią kontrolą, był jedyną osobą, która wiedziała, jak ustalić dokładnie położenie tej bazy. Musiał to wiedzieć... Jego ludzie ją zaopatrywali. Do diabła, powinienem... – twarz mu poczerwieniała i zacząłem obawiać się, że wpadnie w furję, on jednak dość szybko się uspokoił.

No, trudno – powiedział. – Miał pewnie prawo. Bez niego – nie miałbym tego wszystkiego.

– Chcesz powiedzieć, że zdradził cię ten Cerberejczyk?

– Musiał – skinął głową.

– Ale dlaczego?

– Żeby sprowokować mnie do jakiejś akcji. Do diabła, Park, jestem przecież gotów. Od roku już jestem gotów. Widziałeś Bourget... To był tylko mały sprawdzian. Stąd zresztą obecność Dumonii. Gadaliśmy, i gadaliśmy, i podałem mu ze sto wymówek, ale ten gość jest przecież i psychiatrą, i psychologiem. Wiedział, że będzie mnie trzeba popchnąć we właściwym kierunku. I właśnie to uczynił.

– A kim on w ogóle jest? – zmarszczyłem brwi. Skąd bierze środki i władzę, z których korzysta?

– Jest prawdopodobnie najgroźniejszym człowiekiem Rombu, a to już coś znaczy – odparł Koril. Gdyby zechciał – mógłby być lordem. Jest absolutnie genialny; jeśli chodzi o powodowanie, by inni potężni ludzie robili to, czego od nich oczekuje: W tej chwili Konfederacja i kto wie, jak duża część Rombu, postępuje tak, jak on chce. Nie znam jego motywów; ale wiem, że nie idzie mu o władzę dla samej władzy. Gdyby chciał rządzić, już by rządził. Spytałem go kiedyś, dlaczego mi pomaga i wiesz, co odpowiedział? Powiedział, że pozwala mu to złagodzić nudę! Dość jednak o nim. Dał mi kopniaka... I nie pozostaje mi wic innego; jak tylko działać.

– Spróbujesz więc przejąć na powrót kontrolę? – Słuchaj – skinął głową. – Nie chciałbym lekceważyć pewnych problemów. Ty jesteś tutaj ciągle jeszcze nowy... masz za sobą chyba niewiele ponad rok pobytu. Nie zdajesz więc sobie sprawy z tego, na co się porywamy.

Zatoczyłem ramieniem koło.

– To miejsce jest tak wyposażone, że można by przejąć cały system, a twoje podziemne siły są skuteczne na całej planecie. Nie rozumiem, dlaczego na tym etapie miałbyś mieć problemy.

– No tak – uśmiechnął się ponuro. – Ale ty widzisz tylko powierzchnię spraw. Przede wszystkim nie możemy polegać na broni, którą tu posiadamy. Nie zastanowiło cię, dlaczego żołnierze w Bourget używali broni wystrzeliwującej pociski? Podjąłem olbrzymie ryzyko pozwalając na użycie tam laserów. Jeden słaby wichur tabor, a rozniosłoby nas na strzępy...

Wiesz, odkąd tylko znalazłem się na Charonie ciągle słyszałem o wichurach tabor – powiedziałem. A przecież muszą one być bardzo rzadkie. Nigdy nie widziałem żadnego i nie spotkałem nikogo, kto by go widział.

– Wystarczy jeden, żeby wystraszyć cię na całe życie. Jest to wirująca, elektryczna burza, sięgająca od powierzchni ziemi do warstwy jonowej, otaczającej całą planetę. Nikt nie wie, co je wywołuje, ale wyglądają jak coś z tych piekieł, w które wierzą różni fanatycy. Nie uwierzysz, ale jest nawet cała religia, która się na nich opiera. Po prostu się pojawiają... Nie stwierdziliśmy żadnych konkretnych przyczyn ich – występowania. Mogą być wszędzie; tylko z jakiego powodu nie występują tutaj na – tych terenach, w samym centrum Gamush. Nie przebiegają zgodnie z jakimiś stałymi regułami – czy logiką i znikają równie szybko, jak się pojawiają. Może być spokój nawet przez cały rok, a potem mogą być ich dziesiątki, a nawet setki. Poza bezpośrednią furią samej burzy,

wszystko, co jest zasilane elektrycznością w promieniu dziesięciu i więcej kilometrów po prostu szaleje. Przeciżenia i eksplozje mają często siłę niewspółmierną do mocy wybuchającego urządzenia. Żadne czary, żadna siła woli nie są w stanie się im przeciwstawić. Energia elektryczna działa na nie jak magnes.

– Wygląda to na coś, czego w ogóle nie muszę doświadczać – oznajmiłem szczerze.

– I występują znacznie powszechniej niż sądzisz – ciągnął Koril. – W tej chwili trzy takie burze szaleją na północy – a właśnie tam musimy się udać.

– Rozumiem – westchnąłem. – Jednak w sytuacji ograniczenia się do tej dość prymitywnej broni, liczba ludzi zaczyna nabierać większego znaczenia... A ludzi, jak sądzę, ci nie brakuje. Gdyby opierać się na doświadczeniach z Bourget, masom tutaj jest tak naprawdę zupełnie obojętne, kto nimi rządzi.

– Jak zresztą wszędzie – przyznał Konl. – Och, na pewno bylibyśmy w stanie bez większych problemów opanować jakieś siedemdziesiąt procent obszarów na północy i kilka osiedli na Gamush. Tukyaną, która jest bardzo prymitywna, nie przejmowalibyśmy się w ogóle. Mam wystarczającą liczbę potężnych czarców, wychowanych i wyszkolonych tutaj, aby przy ich pomocy zdobyć kilka rządowych fortec, takich jak Montlay czy Cubera. Jednak nie miałyby to większego znaczenia. Tak długo, jak długo są oni w posiadaniu Zamku, kontrolują jeden z dwu istniejących na tej planecie portów kosmicznych, czyli mają rzeczywistą władzę, wymianę handlową, administrację, całą gospodarkę. Dzierżąc to w garści mogą doprowadzić do załamania ekonomicznego na skalę planetarną. Sprawy zaczną iść źle, ludzie będą głodni lub wściekli. I podczas, gdy my będziemy tracić siły na naszych siedmiu dziesiątych, oni spokojnie poczeka ją na posiłki albo od trzech pozostałych władców, albo, być może, bezpośrednio od obcych. Krótko mówiąc zajęcie terenu bez Zamku to zajęcie czegoś, czego nie potrafimy utrzymać. Wzięcie Zamku natomiast prowadzi do tego, że reszta automatycznie wpada w nasze ręce.

– Wobec tego musimy zdobyć Zamek. Tulio Koril roześmiał się.

– Łatwiej to powiedzieć, niż tego dokonać, mój zapalczywy młody skrytobójco. O wiele łatwiej.

Siedzieliśmy w niewielkiej sali odpraw: nas ośmioro i Koril. Rozglądałem się po twarzach obecnych, ale prócz dwu, wszyscy pozostali byli obcy. Te dwie to naturalnie Darva i Zala Embuay. Powodów obecności tej ostatniej nikt nam nie wyjaśnił. Była to jednak niewątpliwie Zala, a nie Kira, choć wiedzieliśmy, że Kira również się tu znajduje.

Sala była przyciemniona i na ekranie ukazał się obraz ogromnej, kolistej, czarnej, kamiennej budowli, usytuowanej na szczycie imponującej góry. Ciąg kamiennych portyków w regularnych odstępach prowadził prawie do samego, nie całkiem płaskiego dachu budowli, upodabniając ją tym samym nieco do pagody.

– To jest Zamek – oznajmił Koril. – Ma osiemdziesiąt metrów wysokości licząc od powierzchni

gruntu, a dodatkowe czterdzieści metrów mieści się pod powierzchnią. Dzieli się na piętnaście poziomów i wyposażony jest w doskonały system wodociągowe – odwadniający. Mury Zamku są wykonane z litego kamienia, wzmocnionego stalowymi płytami i siatkami.

Poniżej niego, wewnątrz góry, istnieje cała sieć tuneli prowadzących do odległych, podziemnych zbrojowni. Można by wywiercić w nim niezłą dziurę laserem, ale nigdy nie udało się powtórzyć tej sztuki. I tak trzeba chyba być geniuszem, żeby wypalić tę pierwszą dziurę, skoro zewnętrzna powierzchnia skały jest pokryta bardzo zmyślnym chemicznym środkiem zbrojeniowym, wymyślonym i wyprodukowanym na Cerberze. Odbija on promienie lasera, a jak nie jest się dostatecznie ostrożnym, odbije je wprost w strzelającego. Z powodu tej warstwy izolacyjnej *wa* Zamku wykazuje w stosunku do nas pełną inercję. Zachowuje się, jak prawdziwa bariera fizyczna dla zmysłu *wa*. Nie można rzucić czarnej rozpraszającego na znajdujących się za nią ludzi czy przedmioty. Naturalnie oni też tego nie mogą uczynić, ale nie zapominajmy, że oni tego robić nie muszą. Wystarczy, że będą tam siedzieć i czekać na odsiecz albo z innych terenów, albo z kosmosu. Na samym szczycie budowli mieści się lądowisko wahadłowca.

Musiałem przyznać, że miejsce to robiło duże wrażenie, choć znałem co najmniej ze dwa tuziny rodzajów broni, które by sobie z nim poradziły. Naturalnie, żadna z nich nie była dostępna na planetach Rombu Wardena... a dwa rodzaje przy okazji zniszczyłyby całą planetę.

– Poziom najwyższy służy do przyjmowania wahadłowca – kontynuował Koril. – Znajduje się tam duża liczba wind osobowych i towarowych do przewożenia ludzi i towarów w dół i w górę, w większości wykorzystujących bardzo zmyślny system przeciwwagi. Piętro czternaste to apartamenty lorda Rombu Wardena i kwatery mieszkalne służby i tych członków „dworu”, którym lord pozwala tam przebywać. Osiem pięter poniżej zajmuje specjalna gwardia i służby obrony, najwyżsi urzędnicy rządowi i ich personel oraz centrum informacji. Najniższe pięć pięter, poniżej poziomu gruntu, to dział zaopatrzeniowy i magazyny połączone z systemem tuneli, specjalne więzienie, znane jako loch, poziom recepcyjny i biurowy, stacjonują tam także dodatkowe oddziały obronne. Na wielu z górnych poziomów mieszczą się ponadto biura rządowe, laboratoria i tym podobne. W sumie, ogromny kompleks.

Koril nacisnął przycisk i na ekranie ukazał się schemat budowli.

– Musicie się z tym zapoznać. Wszyscy dostaniecie kopie tego planu i chciałbym, żebyście poznali, każde przejście, każdy służbowy korytarz, każdy widoczny na nim zakręt. Za dwa dni przeprowadzę test za pomocą symulacji komputerowej, pokazując wam białe plamy w różnych punktach tego planu. Powinniście orientować się dokładnie w rozkładzie budowli, w przeciwnym razie bardzo łatwo możecie się zgubić. Szybkość gra tu ogromną rolę, a nie chciałbym was stracić w jakikolwiek sposób, włącznie z możliwością utraty przez was obecnego kształtu czy formy.

Nastąpiła zmiana obrazu i ujrzelśmy poziom najniższy wraz z systemem tuneli.

– To słaby punkt Zamku, o ile w ogóle można powiedzieć, że takowe posiada – ciągnął czart. – Jeśli dobrze się przyjrzyjecie, zauważycie, że jest to coś więcej niż tylko kompleks tuneli i jaskiń wewnątrz góry. To prawdziwy labirynt. Istnieje możliwość wejścia do tego labiryntu w odległości około dwóch kilometrów od Zamku, jednak dopiero po wnikięciu do środka zaczynają się

prawdziwe problemy. Wszędzie tam działają czary i czujniki. W miejscu, gdzie jest pusta przestrzeń, ujrzyjecie litą skałę, a są tam dosłownie setki takich skalnych zatyczek, które mogą być – i które są – regularnie przemieszczane, zmieniając tym samym cały układ labiryntu. Dosłownie nie ma sposobu, by wiedzieć, jaka w danym momencie jest konfiguracja tego labiryntu. Kiedyś, kilka lat temu, udało – mi się odkryć klucz do niego i wysłałem tam wielu ze swych najlepszych ludzi. Większość przedostała się do Zamku, ale ledwie garstka go opuściła... A i ci nie żyli wystarczająco długo, by do mnie powrócić. Rozumiecie, co to oznacza. Wielu z nich było czartami najwyższej kategorii. Najlepszymi. Dlatego też, jeśli uda nam się dostać do środka, to znaczy, że nie ma dla nas drogi powrotu. Albo zdobędziemy Zamek, albo umrzemy. Innych możliwości nie ma.

Przyszłość rysowała się ponuro, ale wszyscy rozumieliśmy jego punkt widzenia. Ktoś jednak miał pytanie... nie zauważyłem kto.

– Jak rozwiążemy problem labiryntu? – zapytał sensownie.

– Moja jedyna przewaga polega na tym, że znam cały teren. Wiem, co zostało zainstalowane, a co nie, i potrafię zachować orientację nawet w zmieniających się warunkach. W zasadzie bazuję na tym, że potrafię rozwiązać problem labiryntu w oparciu o moją wcześniejszą wiedzę. Jeślibym tego nie potrafił dokonać, to wszystko byłoby skończone.

Po tych słowach w pokoju dało się słyszeć szmer i nerwowe szuranie nogami. Żądano od nas, byśmy wkładali głowy w stryczek przygotowany dla samego Korila i zarazem polegali całkowicie na tymże Korilu, wierząc, że nie dopuści on do zaciśnięcia się pętli.

– Wydaje się, iż potknięcia i tym samym zaalarmowanie żołnierzy, są nieuniknione – ciągnął Koril. – Ale mnie to nie martwi i nie powinno również was niepokoić. Żaden z nich nie należy do wyższej kategorii czartów, co najwyżej reprezentują oni VII kategorię czeków, a najprawdopodobniej należą do IX. Najślabi spośród was należą do VII, a większość do znacznie wyższych. Naturalnie utrzymują ich celowo w tak niskich kategoriach, by zapobiec wewnętrznym buntom. Nie oszukujcie się jednak... W Zamku znajdują się bardzo potężni czarcy. Sama śmietanka. Najlepsi, jakich znam. Jeśli dopisze nam szczęście, nie napotkamy tam więcej niż czterech czy pięciu członków Synodu... Większość czasu spędzają oni bowiem na podróżach. Wszystko wskazuje na to, że może ich tam być właśnie taka liczba, ale nie możemy zapominać o Morahu. Miejmy nadzieję, że go akurat tam nie będzie... I spróbujmy przeprowadzić to wszystko na naszych warunkach.

– A co z Matuze? – spytał ktoś inny.

– Ona na pewno będzie na miejscu. Rzadko wyjeżdża i nigdy na dłużej. Naturalnie bez niej Zamek jest bezwartościowy, czuję jednak, że los w tym wypadku nam sprzyja. Jeśli zaś chodzi o Moraha, to w południowym regionie, tak daleko od Zamku jak to tylko możliwe, wywołamy rozruchy. Przy odrobinie szczęścia on tam wyruszy. Wówczas my wchodzimy do Zamku. Wreszcie, dla odwrócenia uwagi, nastąpi powszechne powstanie i dobrze skoordynowany, choć bezskuteczny, atak na sam Zamek. Nasze własne ruchy będą zależały zarówno od wydarzeń wewnątrz jak i od rozkładu lotów wahadłowca, który dobrze znamy. Ląduje on o czwartej po południu i pozostaje na miejscu przez godzinę. Oznacza to, że akcja na południowym wybrzeżu zacznie się na dzień przed naszą akcją. Wchodzimy do niej o piątej następnego dnia. Kiedy nas odkryją, nie mamy już odwrotu.

Musimy osiągnąć nasze wszystkie cele przed powrotem wahadłowca następnego popołudnia. Jeśli tego nie uczynimy, jeśli nas zatrzymają na dolnych poziomach, wówczas wystarczy, że Aeolia odleci tym wahadłowcem na stację kosmiczną, a my wszyscy będziemy martwi – zamilkł na moment, po czym dodał: – Nie zapominajcie, że bierzecie w tym udział na ochotnika.

Być może tak było... jednak jego propozycja zawierała trochę za wiele tych „jeśli”. Jeśli wszystkie ataki będą skoordynowane. Jeśli uda się odciągnąć stamtąd Moraha. Jeśli nie będzie na miejscu większej liczby członków Synodu, niż jesteśmy w stanie pokonać. Jeśli wahadłowiec będzie się trzymał rozkładu lotów.

Jeśli Aeolia Matuze będzie na miejscu. I jeśli my będziemy w stanie myśleć, walczyć i „przeczarzyć” się przez tę ogromną budowlę w jeden dzień.

Popatrzyłem w panującym półmroku na Darwę, wiedząc, że myśli to samo, co ja.

– Naprawdę wolałbym, żebyś nie brała w tym udziału – powiedziałem do niej. – Nie jesteś dość silna, by walczyć z czarcami, a jednocześnie jesteś sztyletem przytkniętym do mego gardła. Zabiją cię, to dopadną i mnie.

– Ale posiadam pewne inne umiejętności – przypomniała. – Znajomość broni nabyta tutaj także się liczy. I nie bardziej jestem sztyletem przystawionym do twego gardła, niż ty do mojego. Wolałabym nie otrzymać śmiertelnego ciosu gdzieś z dala od akcji.

– W porządku – uśmiechnąłem się i ścisnąłem jej dłoń. – Wobec tego tworzymy zespół.

W odpowiedzi uśmiechnęła się słabo. Wiedziałem, że sądzi, iż zginiemy, i rozumiałem jej chęć udziału, w wyprawie szczególnie dlatego, że chodziło o sprawy ważne.

Sądzę, że ona mnie też rozumiała. Do diabła, przecież do samego końca nie spodziewałem się, że będą w tym wszystkim brać udział, w każdym razie nie bezpośrednio. A teraz wyglądało na to, iż będę miał więcej zabawy niż w ciągu ostatnich dziesięciu latach.

Rozdział piętnasty

PRZEJŚCIE PRZEZ MROK

Przygotowania do tej misji mogłyby nam zająć nawet cztery miesiące; Koril dał nam cztery dni. Kiedy już podjął decyzję, chciał natychmiast rozpocząć działania. Powiedział, że każdego z nas wybrał z jakiegoś konkretnego powodu, jednak niektórych z tych jego powodów można się było znacznie łatwiej domyślić niż innych.

Wydawało się, iż ja zostałem włączony do grupy, dlatego że Koril, tak jak i wielu członków Bractwa, na których polowałem przez większą część swego życia, miał bardzo dobrą opinię na temat skuteczności skrytobójców z Konfederacji, opinię, którą w rozmowach z nim starałem się jeszcze umocnić. Zaskoczyło mnie nieco, iż pozwolił Darvie iść z nami, jednak ona zwróciła mi uwagę na to, że swoją słabość w dziedzinie czarów rekompensuje umiejętnościami wykorzystania broni i walki wręcz. Ciężko pracowała nad rozwinięciem tych umiejętności i nie chciałem znaleźć się na jej drodze kiedy była zdecydowana dokądś iść. Jeśli jej przeciwnik byłby równy lub słabszy od niej w kontrolowaniu siły *wa*, lub któreś z nas nie pozwoliłoby mu tej siły użyć, byłby na pewno martwym przeciwnikiem. Zala, czy raczej Kira była znacznie ciekawszym przypadkiem; wiedziała, że Koril nie ufa jej bardziej niż ja sam. Jeśli postępowałyby szczerze, byłaby oczywiście nieoceniona, ale równie dobrze mogła okazać się koniem trojańskim wewnątrz naszej grupy, gotowym nas zdradzić, kiedy już się znajdziemy wewnątrz Zamku.

Reszta członków wyprawy to najlepsi czarty Korila, o czym świadczyła głoska „K” występująca przed ich imionami, którą to głoskę przyjmowali, kiedy dopuszczano ich do bractwa najlepszych. Była ona jak tytuł czy odznaka, świadcząca o randze... i kiedy sobie z tego zdałem sprawę, wiele rzeczy stało się dla mnie jasnych. Z nich wszystkich jedynie Morah nigdy nie przyjął czarcowego imienia.

Grupa nasza nie była pozbawiona pewnych interesujących umiejętności. Prócz mnie i Darvy znajdował się w niej Ku, jeszcze jeden odmieniec, choć o prawie całkowicie ludzkim wyglądzie; drobny, ciemny człowieczek o szurzej twarzy. Prowadził on raczej nocny tryb życia i wyposażony był w sonar, który mógł się okazać dla nas wielce użyteczny. Ponadto posiadał trochę irytującą umiejętność czepiania się ścian i sufitów na podobieństwo muchy. Było oczywiste, że niezależnie od tego, czy ktoś inny uczynił z niego odmienca, czy też nie, przyswoił on sobie kilka bardzo przydatnych umiejętności:

Kaigh był potężnym, owłosionym, niedźwiedziowatym mężczyzną o groźnym wyglądzie i być może odpowiadającej temu wyglądowi złośliwej naturze. Kiedyś podobno był oficerem Konfederacji, stacjonującym na pograniczu. Nie umiał się powstrzymać od brania łapówek i wymuszania na różne sposoby pieniędzy od innych. Kamil był dość typowym przedstawicielem światów cywilizowanych; młodszy ad Korila, nie wyróżniał się niczym specjalnym. Kindel była drobną, żylastą kobietą z obrzydliwie długimi paznokciami i ogoloną głową. Jej zimne, czarne oczy wydawały się nieproporcjonalnie duże i pozostawały w jakimś ciągłym, nerwowym ruchu. Krugar miała wygląd kobiety ze światów cywilizowanych. Była w średnim wieku i nie posiadała żadnych widocznych, wyróżniających ją cech. Uświadomiłem sobie, że z nas wszystkich wyłącznie Darva jest na Charonie autochtonką.

Od początku też zdawałem sobie sprawę z tego, iż Darva i ja jesteśmy największymi i najbardziej oczywistymi celami. W ciągu tych kilku miesięcy udało nam się zmaleć do dwustu czterech centymetrów, ale i tak górowaliśmy wzrostem nad pozostałymi. Naturalnie nasz wygląd, choć w ogromnym stopniu ludzki, ciągle zdradzał, że jesteśmy odmieńcami. Oboje dysponowaliśmy wielką siłą fizyczną i zadziwiającą zwinnością. Ćwiczyliśmy bardzo dużo, by cechy te zachować.

Opuściliśmy twierdzę Korila drogą powietrzną, dokładnie tak samo, jak tam przybyliśmy, tyle że tym razem – w kabinie pasażerskiej na grzbiecie tego wielkiego stworzenia, a nie w jego szponach. Zala wzbraniała się naturalnie przed tą podróżą, ale w jakiś sposób została uspokojona przez Kirę. Doszedłem do wniosku, że ta podróż była równie niewygodna jak tamta pierwsza, tak samo nami trzęsło, ale zniosłem ją bez trudu. Musieliśmy się przecież trzymać harmonogramu.

Naturalnie nie ośmieliliśmy się lądować w pobliżu samego Zamku. Ponieważ nie było w okolicy odpowiednich terenów nadających się do bezpiecznego lądowania dla tych ogromnych stworzeń, wykorzystaliśmy miejsce oddalone, ponad czterdzieści kilometrów na południowy zachód od siedziby charonejskiego rządu, a potem wspólnymi siłami pomogliśmy zwierzęciu wystartować.

Nasze wyposażenie było zadziwiająco skromne. Koril zaryzykował wzięcie kilku pistoletów laserowych, z założeniem jednakże, że z różnych powodów, wcześniej lub później i tak będziemy musieli się ich pozbyć. Mieliśmy ze sobą również broń palną i amunicję, której użycie przeciwiczyliśmy wcześniej bardzo dokładnie na strzelnicy w bazie. Darva nigdy nie opanowała do końca obsługi pistoletów laserowych, ale była prawdziwą ekspertką, jeśli chodzi o broń palną; zupełnie odwrotnie niż ja. Ponadto kilkoro z nas, włącznie z Darwą, niosło ze sobą tę najbardziej starożytną ze wszystkich rodzajów broni – miecze, inni zaś mieli niewielkie, ale zabójczo niebezpieczne sztylety. Potężnie zbudowany Kaigh posiadał też kuszę, starożytną broń, o której tylko czytałem. Nigdy wcześniej nie miałem okazji oglądać tej fascynującej broni.

Nie mieliśmy przy sobie żadnych papierów ani dokumentów. Wszystkie niezbędne informacje zostały zapisane za pomocą hipnozy wprost w naszych umysłach, co oszczędzało i ciężaru, i ewentualnych problemów. Wszyscy byliśmy ubrani w rodzaj zielonych mundurów, jakich żołnierze używają w lasach. Strój Darvy i mój własny miały specjalny krój, dostosowany do naszych kształtów. Prócz sprasowanej żywności w specjalnych opakowaniach i manierek, nie mieliśmy już nic więcej.

W drodze odżywiający się przez transmutację. To fascynująca metoda. Tak, jak Garal zamienił

kiedyś poncz owocowy w kwas, a Korman przywrócił go do stanu pierwotnego, tak teraz nasi czarcy zamieniali praktycznie każdy materiał roślinny występujący w lesie w tę potrawę, której zażądaliśmy. Do dzisiaj nie jestem pewien, czy rzeczywiście spożywalimy materiał poddany transmutacji, czy po prostu jedliśmy liście, a tylko wmówiono nam, że jemy smaczne i wybrane przez nas pożywienie. W końcu to żadna różnica. Nasze ciała nie tylko przyjmowały ten pokarm, ale też potrafiły zrobić z niego właściwy użytek.

Na dojście do Zamku mieliśmy dwa i pół dnia, a to oznaczało, że marsz nie musiał być nazbyt forsowny. Niemniej droga prowadziła przez trudny teren dżungli, a nawet Darva i ja nie najlepiej czuliśmy się w tym środowisku. Kiedy zbliżyliśmy się do gór, dżungla ustąpiła miejsca gęstym lasom, a następnie lasy się przerzedziły, było coraz więcej polan i nagich skał. Szło się teraz ciężko, tym bardziej że musieliśmy się trzymać z dala od uczęszczanych dróg. Większość otwartych przestrzeni pokonywaliśmy nocą. Po raz pierwszy wykorzystaliśmy też czary Korila związane z nocnym widzeniem, ale tak naprawdę, to doskonale oczy Ku ratowały nas przed skręceniem sobie karku.

Rankiem wyznaczonego dnia dotarliśmy do miejsca, w którym mieliśmy zanurzyć się w jaskinie. Było to zupełnie niezłe miejsce. Opodal, za niewielkim laskiem, znajdowała się opadająca stromo w dół skała, z której rozciągał się świetny widok na leżącą poniżej dolinę. Zamek, groźniejszy w rzeczywistości niż na zdjęciach, widoczny był z każdego punktu.

Rozłożyliśmy się, czekając na późne popołudnie, kiedy to miała się zacząć prawdziwa robota. Zmiany warty były krótkie i każdy próbował wykorzystać tyle snu, ile tylko zdołał. Zauważyłem, że Zali nie było wśród pełniących wartę.

Spąłem z przerwami, jednak nie potrafiłem się odprężyć. Byłem zbyt napięty, choć zdawałem sobie sprawę z tego, że to problem wyłącznie amatorów, który mnie dotyczyć nie powinien. Wczesnym popołudniem, tuż przed jednym z tych nie kończących się charonejskich deszczów, poszedłem przez lasek na skraj skały i popatrzyłem, być może po raz ostatni, na rozciągający się poniżej krajobraz.

I wreszcie ujrzałem wicher tabor. Widoczność była na jakieś piętnaście czy dwadzieścia kilometrów i to pomimo padającego deszczu. Pokrywa chmur znajdowała się powyżej linii wzgórz, otaczających dolinę, pozwalając widzieć daleko, choć – ze względu na spowodowaną deszczem małą rozdzielczość obrazu – bez możliwości dostrzeżenia szczegółów na ziemi. Nie miałem jednak najmniejszych wątpliwości, co widzę... Obserwowałem przecież, jak to powstaje!

Wpierw mały teren na wschodzie wydał się oświetlany potężnymi błyskawicami. Zamiast jednak przerywanych i nieregularnych błysków wśród chmur; wystąpiło ciągłe i bardzo silne światło, tak silne, że wydawało się, iż w centrum chmury znajduje się jego pojedyncze i potężne źródło. Z chmury jednak nie wynurzyło się nic. Potem nagle pobliski teren zaczął wirować. Widziałem kiedyś coś podobnego, chociaż bez owego centralnego i potężniejszego wciąż źródła światła. Zwano to tornadem, a czasami cyklonem.

Z jasnego centrum w kierunku ziemi wystrzeliły długie jęzory elektryczności, a w chwilę później seria potężnych gromów, odbijających się echem od ścian doliny oznajmiła ich dotarcie do powierzchni ziemi. Nie byłem w stanie dostrzec, co znajdowało się w miejscach uderzenia tych

wylądowań, czułem jedynie ulgę, że mnie tam nie było.

Potem z tego jaskrawego, świecącego centrum zaczęło się wydobywać coś na kształt leja, nie takiego jednak, jak przy tornadzie; ten był wprost geometrycznie regularny. Stożek naładowany... czym?... opuszczał się ku ziemi pośród szalonego tańca błyskawic. Wraz ze zbliżaniem się do ziemi i wreszcie w zetknięciu z nią, ten żółtawy stożek począł się zmieniać, ciemnieć i nabierać kolorów. Czerwienie, pomarańcze i fiolety wirowały wewnątrz, nie mieszając się jednak ze sobą.

Mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie prości przypisywali czemuś takiemu moc nadprzyrodzoną. Kiedy go teraz obserwowałem, ten wir kolorów i potężnych sił spłaszczył się niemal do formy cylindrycznej, i zaczął posuwać się naprzód.

Inni, słysząc grzmot, dołączyli do mnie w moim punkcie obserwacyjnym. Burza, choć odległa, budziła grozę i wszyscy wydawali się przyciągani jak magnesem jej nieubłaganym, choć kapryśnym marszem przez dolinę. Wszyscy, z wyjątkiem Korila.

– Myślę, że na nas już czas – powiedział spokojnym głosem.

Kilkoro spośród nas zwróciło ku niemu zdumione twarze.

– Nie ma jeszcze piątej – zauważyłem.

Skinął głową.

– Nie zaryzykują lądowania wahadłowcem, kiedy w pobliżu szaleje wichur tabor. Systemy automatyczne wyłączą się całkowicie na czas jego trwania, by nie przyciągać burzy. A to oznacza brak elektryczności i automatycznych wartowników, żadnych lądowań, kompletny spokój. Zresztą w tej chwili wszelkie pojemniki z ładunkami energii dla laserów odciągane są tymi tunelami, byle jak najdalej od Zamku. A to z kolei oznacza, że znajdziemy się pomiędzy tymi ładunkami a ludźmi, którzy mogliby ich użyć. To mi bardzo odpowiada. Burza to wspaniałe zrzędzenie losu! Ruszajmy!

Niemal hipnotyczny wpływ, jaki wywierał wichur tabor, utrudniał nam odejście, jednak wszyscy doskonale rozumieliśmy pośpiech Korila. Zarzuciliśmy na ramiona nasze skromne bagaże i skierowaliśmy się w kierunku niczym nie wyróżniającego się lasu, odległego zaledwie o jakieś sześćdziesiąt metrów od naszego biwaku.

– Warta się wycofała – powiedział zadowolony Koril. – To nam ułatwi zadanie. Jeśli uda się nam jeszcze cichaczem przejść obok straży wewnętrznych, znajdziemy się w środku, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów.

Ryk wichru tabar rozległ się bardzo blisko.

– Czy nie należałoby pozbyć się pistoletów laserowych? – spytał nerwowo Kimil.

– Raczej nie – odparł główny czarc. – Jestem skłonny zaryzykować. Jeśli nadal szczęście będzie nam sprzyjało, to może się okazać, że będziemy jedynymi, którzy są wyposażeni w tę broń.

Czar rzucony w lasku był doskonale wykonany, bardzo precyzyjny i niemal niemożliwy do wykrycia. Przede wszystkim bardzo niewielu wiedziało o tym, że Zamek posiada jakieś tylne wejścia i wyjścia, choć przecież nikt nie buduje fortecy bez odpowiedniego systemu ucieczki i tajemnej drogi zaopatrzenia. To było jedno z takich miejsc; drugie, jeśli chodzi o odległość od Zamku, ale za to najbardziej bezpośrednio. Najbliższe i najczęściej używane, prowadziło faktycznie od Zamku do podziemnych magazynów, mieszczących się w naturalnych górskich jaskiniach. Choć było ono zapewne najłatwiejsze do odkrycia, siły nieprzyjacielskie mogłyby nigdy nie być w stanie znaleźć stamtąd drogi do samego Zamku.

Koril w asyście dwóch innych czartów rozpoczął pracę nad czarem. Ich umiejętność i lekkość działania były fascynujące i godne pozazdroszczenia, Być może i ja posiadałem potencjalnie ich moc, lecz do ich umiejętności było mi jeszcze bardzo daleko.

Dwa spośród otaczających nas drzew wydały się marszczyć i usychać na moich oczach, po czym wygięły się do tyłu ukazując solidne, metalowe drzwi. Wiedziałem, że jest to metal meduzyjski, a ten był dla nas biologicznie i chemicznie obojętny. Zarówno same drzwi, jak i ich zamek nie poddałyby się naszej mocy; nie dotyczyło to jednak skały, w której te drzwi były osadzone. Obserwowałem, jak nasza awangarda czartów uderza swą połączoną energią w skałę i wokół niej, i ujrzałem jak *wa* skały, na podobieństwo żywej istoty, reaguje na ten atak cofając się od mechanizmu zamkowego. W kilka chwil w drzwiach ukazała się dziura, wystarczająco duża, by dało się w nią włożyć ramię. Koril skinął głową, podszedł bliżej, włożył ramię aż do łokcia i przesunął drzwi. Widzieliśmy, że mechanizm zamka przesuwa się razem z drzwiami, choć pozostaje ciągle na swoim miejscu. Ponieważ nie manipulowano przy zamku, żaden alarm nie zakłócił ciszy.

Szybko weszliśmy do środka i czekaliśmy, aż drzwi powrócą do poprzedniej pozycji, a nasi czarodzieje odtworzą złamane przy wejściu czary, umieszczając drzewa i skały na dawnych miejscach. Czarc kategorii I byłby w stanie wykryć tego rodzaju manipulacje, jeśli miałby podstawy do podejrzeń. Ja tego nie potrafiłem.

Kiedy drzwi się zamknęły, znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach. Nie byliśmy jednak ślepi i bezsilni. Ku pomaszerował po ścianie i uwiesił się mocno u stropu jaskini. Miał w ten właśnie sposób podróżować i być naszą polisą ubezpieczeniową. Jeśli zaś chodzi o nas, to widzieliśmy nasze indywidualne *wa*. Szczególnie widoczny był podwójny umysł Zali, pozwalało nam to orientować się we własnym położeniu i postrzegać równocześnie *wa* skał samej jaskini. Takie widzenie, nie zakłócanie obrazami widzianymi zwyczajnie – przez oczy, było niesamowite, ale pożyteczne... Choć nie tylko dla nas. Mogliśmy równie dobrze być widziani przez innych.

Ku wyprzedzał nas o jakieś pięć metrów. Tak cicho, jak to tylko było możliwe w tej sytuacji, zaczęliśmy podążać tym długim, ciemnym tunelem, koncentrując swą uwagę na Ku. Koril szedł przodem, Darva zamykała pochód, zwracając baczność uwagę na Zalę, a nie na Idu, jak zresztą było umówione. Było to jedno z tych mistrzowskich posunięć Korila. Najsłabsze pod względem mocy *wa* Darvy połączone było na stałe z moim. Jeśliby ujrzała coś niezwykłego, zasygnalizowałaby to mnie za pomocą ustalonego wcześniej kodu. Gdyby ktoś próbował ją zaatakować, natychmiast wiedziałbym o tym. Zrozumiałem, iż decyzje Korila oparte były na solidnych, logicznych podstawach, włącznie z decyzją włączenia nas dwojga w skład tej grupy.

Wyszliśmy z zakrętu w tunelu i nagle zobaczyliśmy przed sobą jakieś światło. Migotliwe błyski pochodni dochodziły nie tyle z samego korytarza, co z jakiegoś bocznego pomieszczenia. Ku miał tupet, muszę mu to oddać. Popędził po stropie jaskini wprost do drzwi i zajrzał od góry do środka. Następnie ostrożnie wrócił do Korila.

– Dwóch żołnierzy – wyszeptał głosem tak cichym, że z trudem słyszałem jego słowa. – Broń samopowtarzalna z pociskami eksplodującymi. Zasilanie wyłączone.

Koril skinął głową, robił wrażenie zadowolonego z uzyskanej informacji. Po czym, kiedy już Ku ruszył dalej, wówczas ten człowiek, do którego kiedyś należała i ta jaskinia, i ci żołnierze, podszedł niemal do otwartych drzwi i uniósł ramiona w geście, o którym wiedziałem, iż jest gestem mocy. Wydawał się stać nieruchomo, w zastygłej lecz majestatycznej pozycji, jedynie wskazujący palec jego wyciągniętej prawej dłoni poruszał się znacząco, polecając byśmy szli dalej.

Pojedynczo, cichutko podchodziliśmy do niego, potem do drzwi i szliśmy dalej. Przechodząc, widzieliśmy owych dwóch mężczyzn w pokoju. Wyglądali na znudzonych, od czasu do czasu zerkali na jakieś urządzenie znajdujące się poza zasięgiem naszego wzroku. Żaden z nich nas nie zauważył.

Kiedy Darva przeszła obok otwartych drzwi, ruszył wreszcie i Koril. Najpierw wyprostował się, potem zrobił dwa kroki w bok, a następnie cofnął się pod drugą ścianę jaskini, i dalej, aż dołączył do was, czekających na niego pod wiszącym u stropu Ku. Dopiero wówczas się odprężył i podążył naprzód, znów pozwalając Ku nieco nas wyprzedzać. Poprowadził tunelem aż do następnego zakrętu, za którym ponownie weszliśmy w ciemność. Nie było potrzeby wyjaśniać, czego przed chwilą dokonał. Wszyscy wiedzieliśmy, że stworzył dla tamtych dwóch iluzję spokoju i ciszy, aby ułatwić nam przejście.

Przebyliśmy dalsze czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów docierając do dużej, otwartej, kolistej przestrzeni, która bez wątplenia była punktem węzłowym systemu korytarzy: Problem polegał na tym, że kiedy już się tam znaleźliśmy, wszędzie wokół nas zajaśniało *wa*, wskazując, że mamy do czynienia wyłącznie z litą skałą. To więc pierwsza z owych pułapek labiryntu! Wyglądała na bardzo skuteczną.

Pamiętałem dzięki godzinom spędzonym nad planami i wykresami, że system tuneli posiadał skomplikowaną formę, przypominającą diagramy obwodów elektrycznych. Choć wydawało się sprawą oczywistą dla każdego, kto tutaj dotarł, iż lita skała tej wielkiej komory jest tylko kamuflażem, to jednak nie było żadnych realnych wskazówek, które pozwoliłyby dokonać właściwego wyboru wyjścia, nawet jeżeli się takowe odkryło. Z pięciu odchodzących od tego miejsca tuneli, jedynie jeden prowadził do Zamku: Drugi, naturalnie, był tym, którym tu przybyliśmy. Pozostałe trzy naszpikowane były niebezpiecznymi pułapkami i prowadziły do magazynów usytuowanych z dala od samego Zamku.

Zbliżyłem się do Darvy.

– Wszystko w porządku? – wyszeptałem.

– Świetnie, tyle że chce mi się siusiu – odpowiedziała równie cichym głosem. Poklepałem ją

współczująco po ramieniu i wróciłem na swoje miejsce.

Koril rozejrzał się wokół, po czym nakazał nam się cofnąć i ponownie wyciągnął ramiona. Powoli obracał się w miejscu i wykonawszy w ciągu minuty trzy pełne obroty, w końcu zatrzymał się. Wreszcie odezwał się cichym głosem:

– Ktoś wykonał tu niezłą robotę. Wszystko jest pełne przeróżnych pułapek, a ponadto w odległości dziesięciu metrów dodano jeszcze jeden tunel poprzeczny. No dobrze... idźcie tuż za mną i nie wyprzedzajcie mnie. Ku, powoli, nie więcej jak dwa trzy metry na raz.

Powiedziawszy to, podjął decyzję, wskazał palcem i część *wa* po jego lewej stronie rozrzedziła się nieco. Ostrożnie przeszedł tamtędy, pozwolił przejść Ku i poczekał na resztę grupy. Kurtyna *wa*, zbudowana z cienkich pasemek czegoś, co symulowało skałę, ale było łatwo przenikalne, wróciła na swoje miejsce.

Powoli, ostrożnie uformowaliśmy właściwy szlak i ruszyliśmy dalej nową ścieżką. Nie przeszliśmy więcej niż trzy metry, kiedy Koril gestem dłoni zatrzymał nas.

– A to dranie – mruknął. – Żeby tak sobie stosować pułapki pozaplanetarne.

Wskazał palcem na skalne podłoże, a my wyczuliśmy natychmiast, co miał na myśli. Wszędzie wokół nas było *wa* – w nas, w ścianach, w podłożu i w stropie korytarza. Wszystko świeciło owym szczególnym światłem *wa* – wszystko, z wyjątkiem czterometrowej szerokości pasa, biegnącego w poprzek naszej drogi, a zaczynającego się tuż przed Korilem. Materia neutralna oznaczała metal meduzjski, a brak w niej *wa*, czynił jej zarys doskonale widocznym.

Ku nie potrzebował zachęty; już był na stropie i działał. Widziałem, jak laserowa wiertarka wgryza się w skałę i wkrótce potem obserwowałem, jak Ku przymocowuje do stropu pierścień za pomocą błyskawicznie krzepnącego cementu. Darva i ja jako najwięksi nieśliśmy różne pakunki. Darva znajdowała się teraz przede mną. Lina, skręcona z jakichś leśnych winorośli, w laboratorium Korila wytrzymywała obciążenia nawet pięciuset kilogramów. Mieliśmy nadzieję, że zachowała swoje właściwości.

– Cóż byśmy zrobili bez Ku? – Wyszeptałem do stojącej najbliżej mnie Kindel.

– Po prostu zamienilibyśmy jedno z was w kogoś, kto by go przypominał – odpowiedziała obojętnym tonem.

– O! – jęknąłem i odwróciłem się, aby popatrzeć na postęp prac. System był prosty: chwycić linę i przerzucić swe ciało na drugą stronę ponad wrażliwą na nacisk płytą. Nie było to takie całkiem łatwe, bo strop jaskini znajdował się na wysokości około trzech metrów, a płyta miała cztery metry szerokości. Ponieważ lina nie mogła dotknąć płyty, oznaczało to, że potrzebna była spora prędkość początkowa, a po niej niewielki już tylko skok. Dość trudna sztuczka.

Wydawało mi się, iż przeprawa trwa całą wieczność; wszyscy jednak byliśmy dobrze wyszkolonymi zawodowcami. Oprócz jednego przypadku, wszystkim poszło to bardzo sprawnie. Ku

mojemu zdumieniu przeskoczyłem na drugą stronę bez najmniejszych kłopotów i wówczas przyszło mi do głowy, że jeśli Kira jest podwójnym agentem, gotowym nas zdradzić, to teraz mogłaby to uczynić nie budząc niczyich podejrzeń. Nic takiego jednak się nie wydarzyło, a Kira zademonstrowała świetne wycucie momentu i siłę, które to umiejętności tak bardzo starała się przed nami ukryć.

W rzeczywistości tylko filigranowa Kindel musiała wykonać kilka wahaniec, nim odważyła się skoczyć, ale nawet i wówczas jedynie natychmiastowa reakcja Ku, który pchnięciem od góry pomógł jej przebyć te kilka ostatnich, cennych centymetrów, uratowała sytuację.

Potem czekaliśmy wszyscy na Ku, który użył swojego małego lasera, by przeciąć węzeł, zabrać linę, a potem przeciąć sam pierścień i również zabrać go ze sobą. Ktoś przechodzący tamtędy musiałby więc przeprowadzić celowe przeszukiwanie, aby stwierdzić ślady naszej bytności.

Pułapki, łatwiejsze i trudniejsze do wykrycia, znajdowały się na całej długości tunelu. Te, które były zasilane z zewnątrz, oczywiście nie działały, większość jednak oparta była na prostych, mechanicznych zasadach. Każda z nich wywoływała u nas przyspieszone bicie serca i każda powodowała właściwą reakcję kogoś z naszej małej grupy, jednak żadna nas nie odstraszyła.

Natykaliśmy się ciągle na ślepe węzły i odnogi tunelu. W tych przypadkach zmuszeni byliśmy polegać na wielkim doświadczeniu Korila i na umiejętności sondowania naszych najlepszych czartów. Zbliżyliśmy się do jednego z takich węzłów i Koril powstrzymał nas przed zapuszczeniem się do jego wnętrza. Znajdowaliśmy się bowiem już bardzo blisko Zamku i teraz dopiero mogły się zacząć prawdziwe problemy.

Przede wszystkim w tym węźle panował ruch; sądząc po odgłosach, całkiem spory kołnierze i personel obsługi, jak się wydawało, pchali tam i z powrotem jakieś wózki i inne przedmioty. Przerwy w tym ruchu nie były jednakże dłuższe niż jakieś trzy minuty, to zbyt krótki czas, by tam wejść, znaleźć właściwą drogę i jeszcze zdążyć opuścić to miejsce.

Koril pogrążony był w myślach, kiedy nagle przywrócono zasilanie. Przyćmione światła zapaliły się wzdłuż korytarza i oświetliły węzeł. Cofnęliśmy się w głąb naszego korytarza, w ostatniej chwili unikając spotkania z czwórką ubranych na czerwono ludzi, którzy wynurzyli się z wylotu innego tunelu pchając wielki wózek wypełniony jakimiś pudłami i kierując się do wlotu przeciwległego korytarza. Nawet nie spojrzeli w naszym kierunku.

– No cóż, doszliśmy dalej niż sądziłem, a to dzięki wichrowi tabar – westchnął Koril. – Teraz dopiero się zacznie prawdziwa zabawa. Znajdujemy się nie dalej niż jakieś pięćdziesiąt metrów od najniższego poziomu Zamku. Te tunele prowadzą do magazynów dzieł sztuki, cennych metali i tym podobnych rzeczy. Ten, tam na prawo, na godzinie drugiej, wiedzie do Zamku.

Zamilkł, a my wszyscy zastygliśmy nieruchomo, słysząc następną grupę, tym razem poruszającą się jakimś pojazdem o napędzie mechanicznym. Kiedy umilkły ostatnie dźwięki Koril ciągnął dalej:

– Pułapek nie powinno już być zbyt wiele. Nie sądzę, aby ktoś się spodziewał, iż jacyś intruzi dotrą aż tutaj. W każdym razie, ja na pewno nie spodziewałbym się czegoś podobnego. W ciągu

ostatnich trzech godzin przeszedłem przeciw doskonale szkolenie w za kresie bezpieczeństwa i ochrony. Wiem, że jesteście zmęczeni, ale musimy przeć naprzód: Domyślam się, że cały ten ruch związany jest z atakiem, który niewątpliwie już nastąpił i że za moment rozpęta się istne piekło. Oznacza to, iż za chwilę będą oni przechodzić właśnie tędy w górę lub w dół. Nie możemy tu zostać i nie możemy iść dalej. Myślę, że...

Kiedy wymawiał te słowa, mały ciągnik z przyczepą wjechał na skrzyżowanie, zatrzymał się, po czym skręcił wprost na nas.

Wyciągnęliśmy pistolety i Koril ledwie zdołał wyszeptać: „Nie chybić” kiedy pojazd ukazał się naszym oczom. Jechała na nim tylko dwoje ludzi, oboje ubrani w czerwone kombinezonu pracowników obsługi: Zastrzeliliśmy ich tak szybko, że nie byłbym nawet w stanie powiedzieć, jak wyglądali. Ku opuścił się ze stropu do otwartej kabiny kierowcy, wyrzucił ciała i zatrzymał ciągnik.

– Szybko! – instruował Koril. – Park. Darva. Kaigh. Jesteście najwięksi i najsilniejsi. Zrzućcie natychmiast te skrzynie z przyczepy!

Rzuciliśmy się, by wykonać polecenie. Cholerstwa były ciężkie, ale w krótkim czasie przyczepa została opróżniona. W czasie tej pracy staraliśmy się nie zwracać uwagi na dźwięki świadczące o ruchu trwającym za naszymi plecami. Mieliśmy nadzieję, że jesteśmy dostatecznie daleko za zakrętem, by nie zostać dostrzeżonymi przez kogokolwiek, chyba że ktoś zamierzałby właśnie skorzystać z naszego korytarza.

Koril nie marnował czasu na czary. Włączył laser na całą moc i zamienił skrzynie w kupkę białego popiołu, licząc na to, że elektroniczny dźwięk, przypominający odgłos sprężyny, nie zostanie usłyszany lub też zostanie przytłumiony przez panujący wszędzie hałas. Następnie wszyscy szybko wsiedliśmy do przyczepy. Ku włączył bieg wsteczny, cofnął się ostrożnie do rozjazdu, zakręcił i ruszył w kierunku Zamku. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co było w tych skrzyniach.

Ku gnał jak szalony i nie zawahał się ani na moment, kiedy napotkaliśmy na swej drodze żołnierzy czy personel techniczny. Ku mojemu zdumieniu, wszyscy oni cofali się pod ściany, nie obdarzając nas na wet jednym spojrzeniem. Kawalek dalej spotkaliśmy podobny ciągnik zdążający w przeciwnym kierunku. Ku pomachał ręką, ubrany na czerwono kierowca odpowiedział mu takim samym gestem, choć mijaliśmy się w odległości zaledwie kilku centymetrów.

– Głupcy! – Koril roześmiał się głośno. – Biorą nas za żołnierzy. Cóż, jesteśmy nimi! Przygotować broń! Za moment może być gorąco!

Po chwili znaleźliśmy się na najniższym poziomie Zamku, na ogromnej; otwartej przestrzeni, poprzecinanej rzędami skalnych kolumn. Były tam setki ubranych na czerwono mężczyzn i kobiet, a także wiele wózków i przyczep.

Ku zatrzymał nasz pojazd pomiędzy namalowanymi na podłodze liniami. Koril, promieniujący pewnością siebie, mrugnął do nas.

– A teraz pokażę wam, dlaczego biurokracja jest takim złem. – Zeskoczył z przyczepy, włożył

pistolet do kabury i energicznym krokiem poszedł w kierunku żołnierza ubranego w czarny, zdobiony złotym szamerunkiem mundur, zapewne oficera i – sądząc po jego *wa* – całkiem potężnego osobnika.

Były lord Rombu podszedł wprost do niego i zaczął coś mówić. Żołnierz skinął głową, wskazał na coś palcem i powiedział kilka słów. Koril zasalutował i powrócił do nas, z trudem kryjąc uśmiech.

– W porządku... wysiadać! Nie musimy iść na górę. Pojedziemy Windą 4.

Szliśmy za nim, pomiędzy jakimiś zajętymi swoimi sprawami ludźmi, do drzwi ogromnej, odkrytej windy. Nie byłem przyzwyczajony do takich prymitywnych urządzeń, przypomniałem sobie jednak, że Koril powiedział kiedyś, iż działają one na zasadzie przeciwwagi i nie jest im potrzebny napęd elektryczny. Musiały być tak skonstruowane, w przeciwnym razie w przypadku odcięcia energii elektrycznej, byłyby zupełnie bezużyteczne.

Staliśmy rozglądając się nerwowo, nie całkiem wierząc w realność tego, co robimy i z uczuciem, że z powodu naszych zielonych mundurów odstajemy wyglądem od wszystkich innych. Nie mogłem znieść napięcia, przysunąłem się więc do Korila.

– No dobrze... jak, do diabła, tego dokonałeś?

Uśmiechnął się i mrugnął wesoło.

– Podszedłem po prostu do tamtego oficera operacyjnego, powiedziałem, że jesteśmy specjalnym oddziałem ochrony, mającym rozkaz zajęcia pozycji obronnych, i spytałem go o najszybszą i najkrótszą drogę na wyznaczone nam miejsce.

– I on ci udzielił potrzebnej informacji?

– Jasne. Dlaczegoż by nie?

Nie tylko ja kręciłem z podziwu głową. Tymczasem winda opuściła się i wpasowała w zagłębienie w podłodze. Znajdowało się w niej kilka ręcznych wózków, przeważnie pustych, a także grupa żołnierzy i personelu technicznego. Nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Przyznaję, że przynajmniej ja, a prawdopodobnie większość z nas, w tym momencie była istnym kłębkim nerwów. A przecież był to ten rodzaj zagrywki, którą ja sam zaimprovizowałbym w podobnej sytuacji, gdybym znajdował się w swoim własnym, dawnym terenie działań. Wiedziałem, że do chwili opuszczenia windy największe niebezpieczeństwo grozi nam z naszej własnej strony, ze strony kogoś, kto nie wytrzyma nerwowo i wyda nas wszystkich.

Kiedy winda opustoszała, wchodziliśmy do niej niespokojnie, a po nas wsiadło również kilku żołnierzy pchających wózki ze skrzyniami czegoś, co wyglądało na amunicję do broni palnej i magazynki energii dla pistoletów laserowych. Ledwie wsiedli, nad naszymi głowami rozległ się głośny gong i ruszyliśmy w górę, piętro po piętrze. System najwyraźniej zakładał wolną jazdę i w górę, i w dół. Winda zatrzymywała się po prostu na każdym poziomie, niezależnie od okoliczności.

Następne piętro, a także większość innych – nie było otwartą przestrzenią, jak poziom

magazynowy, zamiast tego z windy widoczne były korytarze podążające w pierw kilka metrów w dół, a następnie rozgałęziające się w prawo i w lewo. Na każdym poziomie widać też było strażników wyposażonych w zakodowane kolorami przepustki – odznaki, których my przecież nie mieliśmy.

Żołnierze jadący z nami nie zauważyli niczego, kiedy jednak jeden z wózków opuszczał windę, ochrona sprawdziła odznakę pchającego ten wózek osobnika. Na siódmym piętrze, gdzie wysiedli pozostali, odznaki ich zostały poddane bardzo gruntownemu sprawdzeniu.

– Odznaki! – zawołałem do Korila.

Ten skinął tylko głową i poklepał tkwiący w kaburze pistolet. Było oczywiste, iż pod jego przewodnictwem będziemy zmuszeni zastosować brutalną siłę, a kiedy już do tego dojdzie, rozpęta się piekło. Kiedy mineliśmy Poziom 9 wyszeptał do nas:

– Wyciągnąć broń i strzelać natychmiast, kiedy to tylko będzie możliwe!

Na Poziomie 10, najwyższym, jaki można było osiągnąć tego rodzaju windą bez pełnego sprawdzania tożsamości przybywających, czekało na nas ośmiu uzbrojonych strażników, wyposażonych w groźnie wyglądającą broń palną. Nawet gdyby nas nie podejrzewali, a na to nie mogliśmy liczyć, gotowi byli, przy najmniejszej prowokacji, zastrzelić każdego przybywającego tą windą.

Kiedy nasze głowy wynurzyły się powyżej poziomu podłogi, zawołałem:

– Czekajcie! Nie strzelać!

Naturalnie strażnicy zawahali się słysząc te słowa, a to nam wystarczyło. Ledwie nasze ramiona znalazły się na odpowiednim poziomie, otworzyliśmy szybki i gwałtowny ogień z naszych pistoletów laserowych. Żaden z nich nie miał najmniejszej szansy przeżyć takiej koncentracji ognia.

– Wysiadać... szybko! – krzyknął Koril. – Jeśli nie dadzą sygnału zezwalającego: na dalszą jazdę, to pudło zwali się w dół jak kamień! – Nie potrzebowaliśmy dalszych zachęt; ostatni z nas opuścił kabinę, zanim winda zrównała się z poziomem podłogi... i nie było to ani o sekundę za wcześnie. Najwyraźniej strażnicy dysponowali mechanizmem stopującym, a skoro nie było nikogo, kto mógłby go wyłączyć, platforma z łomotem zniknęła nam z oczu opadając bezwładnie w dół.

Kaigh zajrzał do ziejącego pustką szybu i pokręcił głową.

– Niewiele brakowało.

Wszyscy teraz skupiliśmy całą naszą uwagę na Korilu, który rozglądał się krytycznie wokół.

Wreszcie Koril odezwał się:

– To jest pierwsze piętro ochrony dla poziomów wyższych. Będzie tu pewnie jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, nawet jeżeli tamten atak z zewnątrz odciągnął większość z nich. Nie sądzę, aby udało nam się dojść do głównej klatki schodowej bez ryzyka masakry. Park, Darva, Kira...

trzymajcie się środka naszego kręgu. Żadnego strzelania, nawet jeżeli będą strzelać do nas. Bluff, tupet i broń konwencjonalna nigdzie już nas nie doprowadzą.

Domyśliliśmy się, o co mu chodzi i błyskawicznie sformowaliśmy właściwy szyk, pozwalając otoczyć się czarcom. Jednak ani Darva, ani ja sam nie wypuściliśmy broni z rąk. Zawsze przecież lepiej mieć coś, niż nic. Z drugiej strony, tego rodzaju procedury przećwiczyliśmy już wcześniej i chętnie zgadzałem się teraz na to, by zawodowcy robili to, co potrafili robić lepiej. Niepokoił mnie natomiast fakt, iż oni zamierzali utworzyć krąg, podczas kiedy znajdowaliśmy się w ruchu. Gdyby bowiem ktoś z tego kręgu padł, zrywając tym samym kontakt z resztą, jedno z nas szybko musiałoby zająć jego miejsce, by dopełnić połączenia. W przeciwnym bowiem razie, zamiast połączonej mocy najlepiej wyszkolonych czarców kategorii I, mielibyśmy do czynienia jedynie z grupą jednostek... być może zdolnych do chronienia siebie samych, ale zapewne już nie mnie...

Krąg utworzono bardzo szybko, jednak nie ruszyliśmy natychmiast. Koncentracja niezbędna do połączenia *wa* tylu potężnych umysłów była ogromna. Darva, Kira i ja sam rozglądaliśmy się nerwowo. Obydwie kobiety zastanawiały się, dlaczego nie zostaliśmy jeszcze zaatakowani przez niewidocznego nieprzyjaciela. Ja bez trudu domyśliłem się przyczyny. Korytarz wejściowy kończył się ślepo po jakichś dwudziestu metrach i należało skręcić albo w prawo, albo w lewo. Z planów pamiętałem, iż musimy skręcić w lewo, by dojść tam, dokąd dojść zamierzaliśmy... ale to samo dotyczyło również obrońców. Mając za sobą szyb od windy; żołnierzy na wszystkich dolnych piętrach i blokady bezpieczeństwa na górnych, nie mogliśmy się wycofać, nie mogliśmy iść w górę czy w dół, nie mogliśmy również pozostać dłużej na miejscu, bowiem winda mogła powrócić w każdej chwili przywożąc prawdziwie nieprzyjemne i niebezpieczne niespodzianki. Każdy obrońca woli raczej urządzać zasadzki na drodze, którą napastnik musi się poruszać, niż atakować w ograniczonej przestrzeni, szczególnie wówczas, kiedy ten napastnik dysponuje sporą siłą – ognia.

– Jest jedno *wa* – zaintonował Karil.

– Jest jedno *wa* – pozostali powtarzali za nim te słowa, wielokrotnie aż do pełnej synchronizacji.

Było to dość niesamowite. Choć z drugiej strony, pamiętaliśmy przecież Tully'ego Kokula, czarta zaledwie kategorii IV; lub V, zmieniającego kierunek promieni lasera mierzących wprost w niego. A ta grupa czartów była nieskończenie potężniejsza – połączona wola i moc najlepszych ludzi Charona poza Synodem. Zdałem sobie nagle sprawę z tego, iż Synod był właśnie czymś podobnym i że to był powód, dla którego wszyscy ci czarty znaleźli się tutaj. Oni utworzą przecież nowy Synod... O ile przeżyjemy nawałę ognia i tego, co tam jeszcze nas czeka, i o ile dotrzemy do samego Synodu, oczekującego niewątpliwie naszego przybycia na następnym piętrze.

Nawet ja byłem w stanie wyczuć ogromną moc stworzoną przez Korila i jego towarzyszy. Otaczała nas ściana *wa*, działająca na zasadzie odpychania magnetycznego. Mogliśmy wszyscy dostrzec jej skuteczność... Zaczęliśmy bowiem poruszać się do przodu.

Naturalnie w obydwu korytarzach czekali na nas żołnierze. Ledwo skręciliśmy w lewo, po czym od razu w prawo, trzymając się blisko siebie, żołnierze z prawego skrzydła natychmiast zajęli pozycje za nami. Muszę przyznać, że zachowywali się spokojnie i profesjonalnie. Pozwolili nam

przejsć jakieś dziesięć metrów w głąb tego długiego, siedemdziesięciometrowego, prostego korytarza, zanim otworzyli do nas ogień. Oboje z Darwą zastygliśmy w tym momencie, o mało nie powodując śmierci nas wszystkich... krąg bowiem posuwał się równo naprzód.

Wystrzelono tak ogromną ilość tych prymitywnych, ale śmiertelnie niebezpiecznych pocisków z dalszej odległości i z pozycji wzdłuż korytarza, że farba i tynk fruwały wokół, w ścianach ukazały się setki dziur, a powietrze stało się gęste jak woda. My jednak parliśmy do przodu; wyglądało na to, że żaden z pocisków nie jest w stanie w nas uderzyć, czy to bezpośrednio, czy rykoszetem.

Krąg, zachowujący się jak jedna osoba, zatrzymał się mniej więcej w połowie korytarza. Tworzący go czarty znajdowali się w stanie przypominającym trans i najwyraźniej nie zauważali nawet tej potwornej nawałnicy ognia, która na nas spadła. Natomiast nasza trójka znajdująca się we wnętrzu kręgu nie mogła się powstrzymać od drgnięć i uników, a całą siłę woli skupiła na dostosowaniu swoich ruchów do ruchów wykonywanych przez krąg.

Wkrótce stało się jasne, dlaczego się zatrzymaliśmy. Potężna ściana siły *wa*, mająca swe źródło w kręgu rozszerzyła się we wszystkich kierunkach na zewnątrz. Była ona oślepiającą i ogłuszającą siłą i mocą – mocą potężniejszą od wszystkiego, czego dotychczas doświadczyłem. Była nieomal żywą, jak wicher tabar, ale jednocześnie całkowicie niewidoczną dla kogoś, kto nie był w stanie wyczuwać *wa*. Uderzyła ona w tych, którzy dzierżyli broń, poszerzyła swój płomień i zakres działania, dotknęła broni i przejęła nad nią kontrolę.

Kiedyś być może dowiem się, jakie prawa fizyczne leżały u podstaw tego, co czynili, zasadniczo jednak zrobili oni z bronią to, co mogło się przydarzyć Darwie i mnie, gdybyśmy spróbowali w sposób znaczący zredukować gwałtownie naszą masę po ostatniej transformacji. Reakcja była bardzo podobna i wytworzyła się przy tym duża ilość ciepła... a w broni palnej amunicja zawsze zawiera jakiś materiał wybuchowy.

Jedna po drugiej, kiedy ta moc do niej dotarła i objęła nad nią kontrolę, broń zaczęła wybuchać. Żołnierze wrzeszczeli z bólu, a kilku spośród nich zaatakowało nas w ślepej furii z nadzieją przerwania kręgu samą swą masą i siłą fizyczną. Nasza broń jednak nie została zneutralizowana. Celując uważnie pomiędzy ramionami tworzących krąg czartów, powaliliśmy atakujących. Nie pozostało ich zresztą zbyt wielu po tych dwóch atakach, z przodu i z tyłu. Żeby nie mieć żadnych problemów z czarami, wszyscy użyliśmy pistoletów laserowych. Z tej odległości nawet Darwa nie mogła chybić, a wydawała się ona teraz szczególnie dumna z siebie, bo nawet w którymś momencie puściła do mnie szelmowskie oko. Zerknąłem na Kirę. Była opanowana i zachowywała się w pełni profesjonalnie. Do diabła z nią! Cóż z tego, że jest się w czymś bardzo dobrym, jeśli nie ma żadnej przyjemności z wykonywanej pracy?

Znów zaczęliśmy się poruszać; teraz już jednak wiedzieliśmy, jak się zachowywać. My, wewnątrz kręgu, pilnowaliśmy, by mieć wolne pole ostrzału, nie tylko dlatego, że mogliśmy się spodziewać dalszych furiackich ataków, ale również dlatego, iż mijaliśmy stanowiska ogniowe i biura. Ktoś znajdujący się blisko nas mógł bowiem wskoczyć bezpośrednio do wnętrza kręgu.

Nikommu się to jednak nie udało. Dotarliśmy do opuszczonego stanowiska ogniowego, umieszczonego na platformie u podnóża szerokiej klatki schodowej. Szerokiej... ale nie na tyle

szerokiej, by pomieścić krąg tych rozmiarów, co masz, i ze schodami tak stromymi, że nie byliśmy w stanie dostrzec tego, co się znajduje na następnym piętrze. Ten, który zaprojektował to miejsce, włożył w swą pracę wiele wysiłku.

Sięgnąłem do swego bagażu i wyjąłem cztery małe, srebrzyste kule, z których każda owinięta była pośrodku cienkim, metalowym pierścieniem. Prawie jak na komendę, krąg rozpadł się, a czarty zajęli pozycje obronne na końcu korytarza, ledwie przed chwilą bronionego przez żołnierzy. Musieli nawet odsunąć na bok ich ciągle dymiące zwłoki. Prawie w tej samej chwili schodami w dół zbiegł żołnierz i otworzył ogień. Usłyszałem jakieś krzyki, jednak Kira zareagowała z oszałamiającą szybkością, przecinając nieszczęśnika niemal na pół. Jego martwe ciało padło zakrwawione na schody i zsunęło się na podest.

Nie oglądając się na ewentualne ofiary, dopadłem pierwszego stopnia, przekręciłem pierścień na pierwszej kuli i rzuciłem ją na szczyt schodów. Nie czekając na rezultat postąpiłem tak samo z drugą kulą. Pierwsza wybuchła, nim uporałem się z trzecią. Wywołała taki huk i taką falę uderzeniową, że o mało nie zwała mnie z nóg. Nie ryzykowałem już rzucenia trzeciej, nim druga nie wybuchła, a czwartej pozbyłem się, kiedy odzyskałem ponownie równowagę. Dopiero wówczas rozejrzałem się wokół siebie.

Mima iż byli czartami kategorii I, to byli przecież także i ludźmi, a ten żołnierz ich zaskoczył. Kaigh był bez wątpienia martwy, a Krugar przyciskała dłonie do zakrwawionego boku. Pozostało nas teraz siedmioro... W tym tylko czworo dobrych czartów, ale czy, do diabła, mieliśmy jakiś wybór?

I tak już zbyt długo zwlekaliśmy czekając, aż granaty wywołujące silną falę uderzeniową odniosą stuprocentowy skutek i musieliśmy się teraz śpieszyć. Kira pobiegła przodem. Nie mieliśmy więc innego wyjścia, jak tylko porzucić Krugar i z bronią gotową do strzału pędzić za Kirą. Jedyna optymistyczna myśl, jaka mogła mi w tej sytuacji przyjść do głowy to, cóż, myśl, że przynajmniej to miejsce nie jest na tyle szczelne, żeby mogło być wykorzystane jako pułapka gazowa.

Nie spodziewałem się ujrzeć Kiry, kiedy znajdę się na następnym piętrze, a przecież tam ją zastałem. Z dwoma martwymi żołnierzami u stóp. Teoretycznie znajdowaliśmy się jeszcze trzy poziomy od Aeolii Matuze – jeśli tam w ogóle była – ale przekroczyliśmy już główny Korilon ochrony i wtargnęliśmy na teren biur, gabinetów, apartamentów mieszkalnych i laboratoriów Synodu i najwyższych urzędników.

Piętro jedenaste, ze swoimi zamkniętymi drzwiami do wszystkich pomieszczeń, przypominało kompleks hotelowy, ładnie umeblowane, nowoczesne, wygodne pokoje były głównie gabinetami i kwaterami mieszkalnymi, dlatego też trudno było się zorientować, co jest czym. Jak należało oczekiwać, w ostatnich latach zaszły tam spore zmiany.

Koril zatrzymał się, by zaczerpnąć oddechu.

– Krugar jest na tyle w dobrym stanie, iż może spróbować „samonaprawy”, a może i nawet powstrzyma ewentualnych napastników, idących z dołu – powiedział dysząc ciężko. – Uff! Nie jestem już najmłodszy, to pewne. – Westchnął. – Cóż, nie obawiam się już żołnierzy. Prawdopodobnie możemy przejść tym korytarzem bez najmniejszych problemów; strzelajcie jednak

do wszystkiego, co się porusza.

– Sądziś, że nie podejmą dalszych prób ataku? – spytałem pełen niepokoju.

Pokręcił głową.

– Wiedzą, że ten, kto dotarł aż tutaj, nie jest niedołągą. Nie. Ewentualni członkowie Synodu już dawno wycofali się na trzynaste piętro. Tam będą na nas czekać.

– Czy wasza czwórka wystarczy? – popatrzyłem na pozostałych.

– Zależy, ilu ich jest i kim są – wzruszył ramionami. – Do tej pory szczęście nam dopisywało. Miejmy nadzieję, że teraz nas nie opuści.

Dotarliśmy tu dzięki odpowiedniemu przygotowaniu, świetnemu wyszkoleniu czartów, informacjom uzyskanym z wnętrza Zamku, a także dzięki umiejętnościom, odwadze i tupetowi, jednak w sumie Koril miał rację. Szczęście nam dopisało. Miał też niewątpliwie rację, jeśli chodzi o dalszy rozwój wypadków. Żadne drzwi się nie otworzyły i nikt nie przeszkadzał nam w drodze poprzez jedenaste i dwunaste piętro. Słyszeliśmy jednak wszyscy, jak poziomy, które opuszczamy, są natychmiast zajmowane przez naszych przeciwników. Jakby nie było, dysponowali windami. Po prostu nie chcieli dopuścić do strzelaniny w – kwaterach należących do wysokich dostojników. Żołnierze zresztą zawiedli i przyszedł czas na ich szefów. Podejrzywałem, że w jakimś sensie żołnierze, a szczególnie oficerowie, są teraz po naszej stronie. Jeśli nam się uda, oni będą musieli odpowiadać za własne niepowodzenia przed tymiż szefami. Pomyślałem sobie, że bardziej z tego powodu, niż z jakiegokolwiek innego będą się trzymać jak najdalej od pola walki.

Koril zatrzymał się u schodów prowadzących na trzynaste piętro.

– No, dobrze. Ku, Kimil, Kindel! Trzymajcie się blisko mnie. Wiecie, co macie robić. Pozostali mają iść za nami, ale trzymać się z dala od wydarzeń. Wasza broń na nic się tu nie zda.

Rozumieliśmy, co chce przez to powiedzieć. Nasz udział, przynajmniej teoretycznie, zakończył się. Jedynie, co mogliśmy uczynić, to stać na straży przy wejściu. Niepotrzebnej zresztą.

Kovil zaczerpnął głęboko powietrza, wypuścił je powoli z płuc, odwrócił się i ruszył powoli schodami w górę. Czarty szli za nim pojedynczo, a za nimi Kira, Darva i ja sam. Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć na górze, ale na pewno nie była to wytwornie umeblowana, pusta sala.

Wielka komnata cała tonęła w karmazynowej czerwieni. Fotele i krzesła w starym stylu pokryte były jakimś jedwabistym materiałem i zdobione metalowymi ćwiekami w jaskrawożłocistym kolorze, świecącymi jasno na tle ciemnego, miejscowego drewna; stoliki o antycznych kształtach wy polerowane były do lustrzanego połysku. Dywan był także karmazynowy, utkany z jakiegoś gęstego i miękkiego włosia, o którym *wa* informowało, że nie pochodzi z Charona. W jego centrum znajdowała się żłocista ścieżka, zaznaczona dwoma żłocistymi pasami z kolorowej przędzy, wplecionej w całość materii, prowadząca ku podwyższeniu. Samo podwyższenie przypominało scenę, ze stojącym pośrodku wielkim, drewnianym tronem, zbudowanym z tego samego drewna, co reszta mebli i

pokrytym tą samą materią w kolorze głębokiej czerwieni, jednak inkrustowanym czymś, co wyglądało jak ogromne, drogocenne kamienie pochodzące z całej znanej galaktyki, i co okazało się nimi rzeczywiście. Po bokach tronu, lekko cofnięte, stały dwa osobne, nieco mniejsze fotele. Z tyłu, za tymi trzema stało w półkolu jedenaście prawie identycznych siedzisk. Cała scena ozdobiona była złoto haftowaną, karmazynową draperią, zwisającą swobodnie z tyłu, a zebraną i związaną od przodu.

Staliśmy wszyscy gapiąc się na tę salę. Nie mogłem powstrzymać cichego westchnienia podziwu.

– Jak w starożytnej baśni – zauważyłem.

Koril rozejrzał się wokół płonącymi oczyma.

– Jest tutaj więcej mocy, niż mieli jej owi starożytni królowie – odparł poważnym tonem. – To siedziba rządu Charona. Siadywałem kiedyś na tym tronie. Znam dobrze to miejsce. – Z głosu jego zniknął ten nieco rozmarzony, senny ton. – Zmieniła wystrój. W pewnym sensie, szkoda. Miałem tu, na tych ścianach, wielkie dzieła sztuki zrabowane z najlepszych muzeów Konfederacji. Mimo wszystko, nie wygląda to najgorzej.

– Daruj sobie uwagi na temat dekoracji wnętrz wtrąciła Kira. – Gdzież, do diabła, podziwiasz się nieprzyjaciel?

W tym momencie wyczułem jakiś ruch za tronami i zobaczyłem, jak pistolet Kiry unosi się do góry. Koril powstrzymał natychmiast jej dłoń.

– Nie ma sensu palić tego miejsca – powiedział. – A im nie jesteś w stanie uczynić żadnej krzywdy tą zabawką.

Za foteli wynurzyło się pięć postaci. Wszystkie miały na sobie wyszywane złotem szaty w tym samym karmazynowym kolorze, co wystrój komnaty. Wszystkie postaci miały na głowach szkarłatne kaptury. Wyglądały niesamowicie i robiły olbrzymie wrażenie, co zresztą zapewne było ich celem.

Koril uśmiechnął się lekko i ruchem dłoni przywołał współtowarzyszy, z którymi utworzył jedną złączoną rękoma linię.

Postaci podeszły na skraj sceny – i tam się zatrzymały. Również i one utworzyły linię, jednak nie dotykając jedna drugiej.

Troje z nich było kobietami. Zauważyłem, że jedną z tych osób był Karman... jedyna znajoma mi twarz. Żadne z nich nie wyglądało na szczególnie przejęte zaistniałą sytuacją.

– Tylko pięcioro? – zapytał Koril uprzejmie. Jestem wstrząśnięty.

– I tak za wiele jak dla was – odparł Korman w imieniu grupy. – Nie spędzamy tu tyle czasu, jak to bywało za twoich czasów, Tulio. Nie musimy..

Po tych słowach cała piątka uniosła się na wysokość mniej więcej metra i przesuwała do przodu poza krawędź sceny. Wstrzymaliśmy oddech, bowiem zdaliśmy sobie sprawę, że nie jest to żadna Wardenowska sztuczka. Oni naprawdę to robili.

– Sztuczki kuglarskie, Dieter? – spytał Koril pogardliwie. – Sądziłem, że już dawno mamy je za sobą.

– To nie sztuczki – odpowiedziała jedna z kobiet.

– Nie jesteśmy już tacy, jakimi nas znałeś. Tulio. Jesteśmy nieśmiertelni, równie potężni ciałem, jak i naszym *wa*, z umysłami sprawniejszymi od waszych ludzkich umysłów.

– W taki więc sposób zapewniła sobie waszą lojalność – powiedział Koril. – Za pomocą nowego modelu obcych robotów. Służycie jej teraz, bo jesteście zaprogramowani na służenie! Nie jesteście już ludźmi... jesteście jedynie maszynami.

– Nie jesteśmy „jedynie maszynami”, Tulio – odparł Korman. – Przyznaję, że nigdy przedtem nie słyszałem słowa „zaprogramowani” użytego w formie obelgi, jednak mimo wszystko mylisz się. Byliśmy wśród tych, którzy z własnej woli zdecydowali się wyrzucić cię stąd, Tulio. Z własnej woli. I żadne z nas nigdy tej decyzji nie żałowało. Gdybyśmy zechcieli, sami moglibyśmy opuścić to miejsce. Opuścić w sensie jak najbardziej dosłownym. *Wa* w naszym wnętrzu umiera – tak jak i umarłoby w tobie – ale pozostawia nas żywymi i pełnymi... i w jeszcze większym stopniu niż przedtem – ludźmi.

– Czy moglibyśmy... zbadać te wasze nowe, fantastyczne stroje? – spytał Koril, a my wszyscy domyśliliśmy się bez trudu, że nie chodzi mu o stroje w sensie dosłownym.

– Proszę bardzo. Jesteśmy w stanie oszukać każdy skaner, przejść pozytywnie każdy test... spójrz jednak na nas takich, jakimi rzeczywiście jesteśmy. Nie krępuj się, Tulio... i także wy, pozostali. Niewątpliwie jesteście potężni, skoro doszliście aż tak daleko. Jednak bez żadnych sztuczek!

– Nigdy bym sobie nie pozwolił na coś takiego. Koril zrobił obrażoną minę.

Po tych słowach cała czwórka sięgnęła swym Wardenowskim zmysłem do piątki unoszącej się w powietrzu:

– Dostrzegasz naszą wyższość – ciągnął Korman, nie tyle się chełpiąc, co jedynie stwierdzając oczywisty fakt. Jesteś dobrym człowiekiem, Tulio. Służyłeś kiedyś dobrze i Charonowi, i Bractwu. Czy nie widzisz, że właśnie teraz odbywa się rewolucja? Czyż jesteś talk stary i ślepy, i tak pełen uprzedzeń, że nie możesz dostrzec, że twoje ideały stają się teraz rzeczywistością?

Pomyślałem sobie, że byli bardzo, ale to bardzo pewni siebie. Niepokojąco pewni siebie. Wiedziałem jednak, iż taka pewność siebie bywa przyczyną klęski. Nie miałem pojęcia, co takiego mógł Koril ukrywać w rękawie, jednak na wszelki wypadek dałem znak Darvie i wycofaliśmy się pod ścianę, jak najdalej od tej przestrzeni pomiędzy dwiema grupami czarców. Przyszedł mi do

głowy pewien pomysł; nachyliłem się przeto do niej i wyszeptalem:

– Widzisz tę wnękę, tę tam alkowę, po lewej stronie sceny? Założę się, że to wszystko dociera do... wiesz, kogo.

– To wielce prawdopodobne – skinęła głową. Kiedy zamierzasz spróbować?

– Dzielna dziewczyna! Nie wcześniej niż oni zaczną robić to, co zamierzają zrobić. Prawdopodobnie całkowicie zignorują naszą obecność; przynajmniej mam taką nadzieję. Nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia.

– Ruszę za tobą – szepnęła, i ponownie zwróciliśmy całą naszą uwagę na rozgrywające się wypadki.

– No i co, Tulio? – mówił Korman. – To wszystko może być również twoje. I całej waszej czwórki. Nieśmiertelne, doskonałe ciała, w każdej chwili zdolne do opuszczenia tego więzienia. Zdolne rządzić imperium.

– To teraz jest już i imperium, co? – Koril uśmiechnął się. – A kimże ja w nim byłbym? Lordem... czy zaprogramowanym sługą?

Korman wzruszył ramionami.

– Naturalnie, twoje stare stanowisko jest już zajęte. Mógłbyś jednak przewodzić Synodowi w sposób, że tank powiem, naturalny. I tak przecież nigdy nie byłeś zachwycony swą rolą władcy.

– To prawda – Koril westchnął. – A jednak nie mogę przyjąć twej propozycji, i to z dwóch powodów. Nie ufam tym twoim obcym przyjaciołom w stopniu takim jak ty wydajesz się im ufać... Choć jestem przekonany, że zapewne doszłoby i do tego, po otrzymaniu przeze mnie takiego nowiutkiego, udoskonalanego ciała. Bez gwarancji, której ty mi dać nie możesz, że nikt nie będzie ingerował w mój umysł, nie mogę przyjąć twej propozycji. Jeśli zaś chodzi o powód drugi... pamiętasz Jatika?

Korman wydawał się zastanawiać przez moment, po czym twarz jego nagle się rozjaśniła.

– Naturalnie. Ten lisek. Czarc z Diamentowej Skały. Najbardziej dziwaczny z psychopatów, jakich mieliśmy tu na Charonie. O ile pamiętam, zginął na pustyni.

– Zabity w drodze do mnie. – Koril skinął głową. – Jednak zdążył złożyć raport przed śmiercią, Dieter. Widział tych twoich przyjaciół, tych obcych. Powiedz mi Dieter... Cóż mogło być tak przerażającego dla człowieka takiego, jak Jatik, że nazwał to złem wcielonym? Przez kilka ostatnich lat pytanie to dręczy mnie i stanowi bodziec do działania. Jest również głównym powodem, dla którego tu jestem.

– Zło? – Korman roześmiał się. – Lord Szatana, Agent Niszczyciela pyta mnie o zło? A cóż ten drobny psychopata mógł wiedzieć na temat zła? Inni, tak... niewiarygodnie inni. Obcy w wielu znaczeniach tego słowa. Ale „wcielone zło”? Były Władca Rombu, Lord Najświętszego Zakonu

Bractwa mówi o złu? – ponownie się roześmiał.

– Teraz! – krzyknął Koril.

W tej samej chwili śmiech ucichł, bowiem fala Wardenowskiej mocy, co najmniej równa siłą tej, jaką widziałem na niższym poziomie, runęła z osłepiającą prędkością wprost na Kormana. Zaskoczony – a wyposażony jedynie w prosty, osobisty ekran – na naszych oczach wybuchnął płomieniem tak jasnym i intensywnym, że nie mogłem nań patrzeć.

Pozostali, nie zaangażowani w rozmowę z Korilem i mniej pewni swej macy niż ich przywódca – jakby nie było, żadne z nich nie zdołałoby zabić Korila, czy chociażby doprowadzić do jego uwięzienia – odpowiedzieli całą swą mocą. Nie zwracając uwagi na Kormana, który tymczasem padł na podłogę i zamienił się w cuchnącą kałużę, każdy z naszych czarców wziął na siebie jednego z przeciwników.

Nie byłem pewien, w jaki sposób udało im się stopić robota tego typu – robota, który był w stanie przeniknąć do Dowództwa Systemów Militarynych i przechytrzyć wszystkie urządzenia zabezpieczające, jakimi dysponowała Konfederacja. Nie miałem jednak zamiaru stać bezczynnie i zadawać pytań. Przesunąłem się powoli i ostrożnie w kierunku owej alkowy, a Darva poszła za mną. Tak, jak przypuszczaliśmy, nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

Mimo to, po dojściu do alkowy zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Teraz to już nie było jedynie aa, siła woli przeciw sile woli. Czarcy Synodu parli naprzód, jednak czwórka pod kierunkiem Korila poczęła skręcać i kluczyć, tworząc przy tym jakiś skomplikowany wzór geometryczny. Jego natura i złożoność były tego rodzaju, iż począł on zakłócać równowagę powietrza pomiędzy dwiema grupami przeciwników. Choć brzmi to niewiarygodnie, ujrzałem tam drgania i falowanie, a potem wyładowania autentycznej, widzialnej energii – tworzące się elektryczne pioruny, wpierw nieuporządkowane, a następnie rozgałęziające się pionowo i... celowo.

– Na bogów! Oni tworzą swój własny wicher tabar! – krzyknęła Darva.

– Zabierajmy się stąd! Natychmiast! – zawołałem do niej i zanurkowaliśmy do alkowy.

Szczerze mówiąc, miejsce to zupełnie nie pasowało do tego, co znajdowało się na zewnątrz. Było ciemne, wilgotne i cuchnące. Stały tam jakieś meble i inne przedmioty, a poza tym urządzenia do operowania zasłonami i tym wszystkim, co znajdowało się w komnacie. Z tyłu pomieszczenia zobaczyłem korytarz rozwidlający się w dwu kierunkach; jeden prowadził wprost do widocznej nawet stąd windy. Najwyraźniej było to przejście dla personelu technicznego. Wybraliśmy ten drugi i zanurzyliśmy się w nim, słysząc za sobą huk, grzmoty i trzaski wyładowań potężnej energii. To, co się działo w tamtej komnacie, na pewno stanowiłoby widok najciekawszy w naszym życiu, jednocześnie mogło to nasze życie... znacznie skrócić.

Na końcu korytarza ujrzeliśmy, prowadzące w górę, drewniane schody. Zawahaliśmy się. Darva spojrzała na mnie.

– A gdzie jest Kira, czy Zala, czy jak tam ona się, do diabła, nazywa?

– Nie wiem – pokręciłem głową. – Nie zauważyłem. Przypuszczam, że jest tam, skąd przyszliśmy. Zapomnij o niej... na razie.

Poszedłem przodem, powoli i ostrożnie, trzymając w dłoni gotowy do użytku pistolet laserowy.

Doszedłem do szczytu schodów, zatrzymałem się i poczekałem na Darwę. Nie wiem, kogo lub co spodziewałem się tam spotkać, ale na pewno nie miał to być Yatek Morah.

Rozdział szesnasty

MEANDRY I ZAWIROWANIE

Darva wypaliła, nim zdołałem ją powstrzymać, ale Morah za pomocą jedynie nieznacznego ruchu dłoni odchylił tor ognia i rozproszył energię. Ciągle był w tym samym stroju, w którym go zapamiętałem – w czarnym mundurze żołnierza, choć tym razem uzupełnił go o czapkę z czerwonym otokiem. Oczy miał równie niesamowite, jak przedtem.

– Odłóżcie te zabawki – powiedział, wskazując na nasze pistolety. – Są tu zupełnie bezużyteczne... i zupełnie niepotrzebne.

Westchnąłem i wsunąłem swą broń do kabury. Darva, niepewna, zrobiła to samo. Popatrzyłem na niego, potem na Darwę i oceniłem sytuację.

– Czy mówi ci coś termin „Mroczne Poszukiwania”?

Darva wydawała się nic nie rozumieć, jednak Morah zachichotał ponuro.

– A gdzież to poznałeś to wyrażonko?

– Jestem Park Lacoeh. Ten sam, którego rok temu Korman rzucił wilkom na pożarcie.

Morah wyglądał na autentycznie rozbawionego. – I po cóż mi teraz ta informacja? I tak już znam prawdziwą naturę Embuay, a także – lokalizację bazy Korila.

– Bardzo możliwe, ale to zupełnie nie moja sprawa – odparłem spokojnie. – Dano mi zadanie do wykonania i wykonałem je przy pierwszej sposobności.

I moje słowa, i mój spokój wydawały się robić na nim wrażenie.

– Być może masz rację.

– Posłuchaj... mogłem wydostać się z Bourget bezpieczną drogą, ale tego nie uczyniłem. Celowo pozwoliłem się schwytać i na dodatek zostałem odmieńcem. To chyba jakoś o mnie świadczy, niezależnie od tego, czy jest ci jeszcze potrzebna ta informacja, czy już jej nie potrzebujesz. Zbyt

wysoką cenę zapłaciłem, by stać się zbędną ofiarą.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – Darva patrzyła na mnie dość dziwnym wzrokiem.

– Przykro mi, skarbie. Tak naprawdę, jestem pragmatykiem. Wyjaśnię ci wszystko później. Powiedzmy, że Morah i ja niekoniecznie musimy być takimi przeciwnikami, na jakich wyglądaliśmy.

Popatrzyła na Moraha z nieukrywany niesmakiem.

– Wiesz, ta twoja dziewczynka, Zala, nie okazała się dla ciebie zbyt pomocna.

Morah skinął głową, a ja poczułem niejaką ulgę, że przynajmniej na razie Darva trzyma ze mną.

– To prawda, że jak do tej pory, dziewczyna mnie nieco rozczarowała – przyznał SzeF Ochrony.
– Czy ona jest z wami?

– Jest tam... gdzieś – odpowiedziałem. – Nie czekaliśmy na pełne fajerwerki.

– Tak, rozumiem doskonale – odparł troszkę niespokojnym głosem. – Ilu ich tam jest?

– Koril trójka innych czarców; wszyscy bardzo dobrzy powiedziałem zgodnie z prawdą. – Plus, naturalnie, twoja dziewczyna, o ile udało jej się przeżyć to, co tam się działo.

– Hmm... Tak. Rozumiem.

Wyglądał na zmartwionego, co wielce mnie satysfakcjonowało, tym bardziej że nie podejrzewałem go o posiadanie jakichkolwiek emocji. Jego wygląd, sposób bycia i te przeklęte oczy świadczyły o takiej mocy, że przysięgłbym: jest wolny od takich ludzkich odruchów.

– A dlaczego nie pomagasz swoim współtowarzyszom... czy jak ich tam nazwać? – spytała Darva, wyczuwając to samo, co ja.

– Nikt tego ode mnie nie oczekuje – odparł rzeczowo: – Nie jestem członkiem Synodu.

– Co takiego?! Przecież Koril powiedział... – zacząłem, ale przerwał mi natychmiast.

– Powiedziałem ci już kiedyś, że jestem SzeFem Ochrony. Nie powiedziałem natomiast czyjej.

– O bogowie! – jęknęła Darva. – On pracuje bezpośrednio dla tamtych!

Morah przekrzywił głowę.

– Bitwa na dole już się zakończyła – oznajmił obojętnym tonem. – Za chwilę będziemy mieć gości. Proponuję, żebyśmy udali się do tamtego pokoju i siedzieli tam bardzo cicho.

– Kto zwyciężył? – zawałem się.

– Gdyby zwyciężył Synod, nie musielibyśmy chować się w tamtym pokoju, prawda?

To mnie przekonało. Poszedłem za nim. Darva wzruszyła ramionami i dołączyła do nas. Wiedziałem, że usiłuję dojść do tego, po czyjej stronie jesteśmy w tej chwili. Jeśli chodzi o mnie, próbowałem odgadnąć, jakie motywy kierują Morahem. Wydawało się rzeczą oczywistą, że jako przedstawiciel obcych na Charonie powinien uważać, iż w jego interesie leży utrzymanie na tronie Matuze. A przecież wyglądało na to, że za chwilę pozwolimy Korilowi zająć jej miejsce.

Nie było jednak czasu na zbędne pytania; ledwie zdążyliśmy zamknąć drzwi, kiedy usłyszeliśmy, jak ktoś powoli wspina się na schody. Nowoprzybyły robił wrażenie zmęczonego, być może był słaby i ranny, jednak krok po kroku zbliżał się. Jeden człowiek. Tylko jeden. Wiedziałem, kim on musi być.

Usłyszeliśmy jak zatrzymuje się u szczytu schodów. Wyobraziłem sobie, że rozgląda się ostrożnie wokół. Wreszcie przeszedł obok naszych drzwi i wkrótce jego kroki ucichły w głębi korytarza.

– Pozwalasz, by ją dopadł? – odwróciłem się do Moraha.

– Być może. A być może nie. Chwileczkę... Cicho!

Na schodach usłyszeliśmy delikatniejsze, cichsze kroki. Kimkolwiek była ta osoba, na pewno była lżejsza i ostrożniejsza od tej pierwszej. Powstrzymaliśmy na chwilę oddech, po czym Morah westchnął cichutko i gestem dłoni wskazał, byśmy przeszli do tyłu pomieszczenia. Na ścianie ujrzałem tam całkiem ładny obraz przedstawiający krajobraz z jakiegoś świata, którego nie znałem. Morah nacisnął ukryty przycisk i malowidło bezszelestnie opadło w dół, odkrywając jednostronne lustro.

Zobaczyliśmy ogromny, wygodny salon, pięknie umeblowany i z doskonale wykorzystaną wolną przestrzenią. Wszędzie dookoła stały rzeźbi i wisiały obrazy, wśród których rozpoznałem zaginione skarby sztuki naszej rasy. Czuję instynktownie, iż mam do czynienia z oryginałami.

Na kanapie, odziana w spodnie, sandały i purpurową koszulę bez rękawów, siedziała Aeolia Matuze. Była to bez wątpienia ona; wyglądała dokładnie tak samo, jak na obrazach i zdjęciach. Bardzo swobodna, z nogą założoną na nogę, siedziała i paliła papierosa w długiej cygarniczce. Nie wyglądała ani na szczególnie zmartwioną, ani nawet na zaniepokojoną.

– Mam nadzieję, że to pomieszczenie jest dźwiękoszczelne – odezwałem się cicho do Moraha.

– Absolutnie dźwiękoszczelne – skinął głową. Mam jednak połączenie i mikrofon działający w jedną stronę.

– Wygląda doskonale, jak na swój wiek – zauważyłem. – Robot?

– Ależ nie. Po prostu stosuje odpowiedni czar. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani na robota w roli Lorda Rombu.

– Po co robić ze wszystkich roboty? – powiedziała Darva złośliwym tonem. – Przecież w ten sposób twoje stanowisko stanie się zbędne.

– Niewłaściwie pojmujesz nasze motywy – odparł Morah, nie zwracając uwagi na jej sarkazm.
– Roboty są bronią i w pewnym sensie, łapówką; mają one jednak swoje ograniczenia. Jako broń i jako łapówka są cenne ze względu na doskonalsze umiejętności, jakie oferują. Jednocześnie jednak oznaczają dla ludzi śmierć, a z powodu tego, co zabierają, oznaczają także śmierć ludzkiej cywilizacji. Być może kiedyś to zrozumiesz. Teraz jednak... patrz uważnie.

– Czy wiesz, co się wydarzy? – spytała Darva.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – pokręcił głową. – Powinno to jednak być... interesujące. Bo widzisz, te apartamenty są obojętne pod względem *wa*. Nie tylko nie ma *wa* w niczym, co tu się znajduje, to na dodatek odpowiednie środki chemiczne tłumią zmysł *wa*, jeśli ktoś takowy w ogóle posiada. To bardzo złożony proces i musi on być... importowany, jeśli wiesz co mam na myśli.

Skinąłem głową.

– I dlatego nie możecie stosować go wszędzie w tym budynku.

– Także dlatego, że bardzo trudno go wyprodukować, i że nie działa on w przypadku wszystkich powierzchni. Niemniej... teraz uważajcie.

Aeolia Matuze nachyliła się do przodu i strząsnęła popiół z papierosa do bogato zdobionej popielniczki, po czym odwróciła się w kierunku znajdujących się po prawej stronie drzwi. Pojawiła się w nich jakaś postać, którą ledwie z wielkim trudem mogliśmy rozpoznać.

Jej ubranie było spalone, a twarz – cała nie osłonięta niczym skóra – była szerniała jak u kogoś, kto przebywał zbyt długo pod palącymi promieniami słońca na pustyni. Widok był okropny. Postać stała niepewnie w drzwiach wpatrując się w kobietę.

Aeolia Matuze zrobiła zaskoczoną minę.

– Tulisiu! Mój ty biedaku! Cóż oni ci zrobili?

– Dawno się nie widzieliśmy, Aeolio – powiedział Tulio Koril zmęczonym głosem.

– Ojej! Chodź tutaj! Usiądź w fotelu i odpręż się! Napijesz się czegoś?

Scena ta wprawiła nas w osłupienie, ale usłyszeliśmy suchy śmiech Korila.

– Masz jeszcze to wino? To dobre, białe?

Wstała, podeszła do barku, sięgnęła po butelkę, nalała pełen kielich wina i zaniósła mu do fotela. Przyjął kielich, wypił kilka dużych łyków, a następnie sączył powolutku resztę napoju. Rzeczywiście wino wydawało się wpływać na niego odprężająco.

Aeolia Matuze usiadła ponownie na kanapie naprzeciw niego, i obserwowała go w milczeniu. Nie okazywała trwogi; nie była ani wstrząśnięta wizytą swego poprzednika, ani też wizyta ta nie

wydawała się jej przerażać, co oznaczało, że musiało być w tym wszystkim coś, czego nie rozumieliśmy, a przynajmniej było tam coś, o czym sam Koril nie miał do końca pojęcia. Przypomniała mi się uwaga Moraha, która wskazywała, iż w tym pomieszczeniu są oni sobie równi, jeśli chodzi o *wa*, bowiem żadne z nich go tam nie posiada.

Aeolia Matuze robiła wrażenie autentycznie zatroskanej.

– Powiedz mi... te oparzenia. Czy bardzo bolą?

– Nie jest tak źle. – Koril wzruszył ramionami. Cały jestem trochę zeszywniały. Sądzę, że to wpływ szoku, ale nie jest to nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

Skinęła głową, robiąc przy tym zadowoloną minkę. – Wiesz, kochałam cię przez całe lata, jednak nigdy bardziej niż dziś. To, czego dokonałeś, jest niewiarygodne, Tulisiu. Żaden inny człowiek nie byłby w stanie tego dokonać.

– Wiedziałaś, że wrócę.

Skinęła głową.

– Wiedziałem, że jeśli ktokolwiek mógłby to uczynić, to ty byłbyś tym kimś. Powiedz mi, jak ci się udało pokonać Synod? Jego członkowie potrafili rwać stalowe sztaby, wystrzeliwać się w próżnię... robić rzeczy, w które trudno by ci było uwierzyć. A poza tym posiadali swe pełne moce!

– I na tym polegał twój problem – rzekł Koril, pociągając z kielicha. – Gdyby nie zachowali swej mocy *wa*, byliby jako członkowie Synodu bezużyteczni. A skoro ją zachowali, musieli posiadać to *wa* w swoich molekułach, tak jak i ty, i ja. A *wa* jest *wa*.

– Ale przecież oni byli praktycznie niedostępni i nieprzenikalni!

– Wiesz Aeolio, z czego jesteśmy zbudowani? roześmiał się. – Ze związków chemicznych. Wiesz, z czego obudowana jest skała? Również ze związków chemicznych. Zasadą jest bowiem, że jeśli się jest materia, to musi się być z czegoś zbudowanym. Ze związków chemicznych. Ze szczególnej mieszanki związków chemicznych. A skoro już się wie, jak coś jest zbudowane i wie się również, że *wa* znajduje się w każdej molekułce, to ten materiał, czymkolwiek on był, nie różnił się od normalnego ciała ludzkiego. Nie różnił się. A ja miałem jego próbkę odpowiednio wcześniej. Kazałem ją poddać analizie. Muszę przyznać, że wynik mnie zaskoczył. Przetawienie jednego tylko małego atomu w jego podstawowej strukturze powodowało, że całość zmieniała się w inną, równie niesamowitą substancję... taką jednak, którą można było całkiem niezłe palić i topić. Czy to nie miło, Aeolio, wiedzieć, że czary to nic innego jak podstawowa chemia?

Roześmiała się, na pozór zachwycona jego wyjaśnieniami.

– Jakież to inteligentne z twojej strony! Założę się, że sala przyjęć wygląda jak śmietnik.

– Rzeczywiście, dekorator wewnątrz tam nie wystarczy – przyznał. – Cieszę się, że przynajmniej zabrałaś stamtąd te malowidła.

– Rozmawiają, jak starzy kumple! – Darva kręciła w zdumieniu głową. Czy nie po to tu przybył, żeby ją zabić?

– Być może – odparł Morah. – Byli jednak małżeństwem przez dwadzieścia siedem lat.

Zarówno Darva, jak i ja otworzyliśmy szeroko usta ze zdumienia.

– ..dwoje żyło jeszcze – mówił Koril. – Byli w znacznie gorszym stanie ode mnie. Znajdują się za sceną, ale powiedziałem im, żeby na razie tu jeszcze nie przychodzili.

Matuze robiła wrażenie zadowolonej.

– Powiedz mi, Tulisiu, dlaczego akurat teraz? Sądziłam, że utknąłeś już na zawsze w tej swojej pustynnej kryjówce, szczególnie że miałeś te wszystkie smakowite zabawki, które pozwalaliśmy, by do ciebie docierały.

– Pozwalaliśmy? – czarę aż podskoczył.

– Tulisiu! – uśmiechnęła się słodko. – Któż zna cię lepiej ode mnie? Czy rzeczywiście sądzisz, że mogłeś otrzymywać te wszystkie materiały z innych planet bez naszej pomocy? O wiele taniej i łatwiej było pomagać ci zajmować się tym, co najbardziej kochałeś, niż prowokować walkę na dużą skalę. I tak za kilka miesięcy twój powrót tutaj stałby się problemem czysto akademickim. Nasza smakowita wojenka już bowiem trwa.

Koril wyglądał na kompletnie ogłuszonego tą oczywistą prawdą, którą ona mu przedstawiała. Kiedyś zresztą przyznał się wobec mnie do swoich słabości. Teraz byłem prawie pewien, iż Dumonia zorientował się w intrydze i dlatego parł do konfrontacji. Koril jednakże – muszę mu oddać sprawiedliwość – nie zamierzał wspomnieć nic o Cerberejczyku.

– Tu chodzi o zło, Aeolio. Zło!

– Zło? – roześmiała się. – O czym ty, do diabła, mówisz?

Jeszcze raz powtórzył te słowa, które wydawały się prześladować go od czasu, kiedy usłyszał je po raz pierwszy od nieszczęsnego Jatika.

Słuchała z wielką uwagą, ale nie widać było po niej żadnej reakcji. Wreszcie, kiedy zakończył swą opowieść, powiedziała:

– To największy nonsens, jaki w życiu słyszałam! Oni są...dziwni... przyznaję, ale nie są złem. Czymże zresztą więcej jest zło jak którymś arbitralnym wyobrażeniem czegoś moralnie niewłaściwego? Czyż nie o to walczyłeś z Konfederacją? Czyż nasze własne ideały nie kojarzą się innym, stosującym odmienne standardy, ze złem? Czy ty, Tulisiu, czujesz w sobie zło? Bo ja nie.

Koril nie odpowiadał. Wydawał się wpiern sztywnieć powoli, a potem równie wolno odprężyć. Kielich wypadł mu z dłoni i potoczył się po dywanie, a z jego wnętrza wypłynęło zaledwie kilka kropel wina.

– Tulisiu – odezwała się słodziutkim głosem. – Tulisiu?

Nie uzyskawszy żadnej reakcji, wstała i podeszła do niego, nachyliła się i przyjrzała mu się bardzo dokładnie. Usatysfakcjonowana, skinęła do siebie głową i rozejrzała się po pustym pokoju.

– Morah! – rzuciła ostro, głosem nagle lodowatym i władczym. – Wiem, że szpiegujesz skądś wszystko, co się dzieje! Posprzątaj tu i zabierz tego śmiecia z mojego salonu!

– Ona go otruła – jęknęła Darva. – Po tych wszystkich przejściach pozwala jej się otruć!

– Nie – powiedziałem. – On się poddał. Po przebyciu całej tej drogi na szczyt, nie mógł jej zabić. I ona o tym wiedziała. Niewątpliwie wyśmienicie go znała!

– W taki prosty sposób. – Darva kręciła ze smutkiem głową. – Takiego potężnego, takiego mądrego człowieka.

– Może to i dziwne, ale to są te cechy u ludzi, które warto zachować – powiedział tajemniczo Morah. – Przekonacie się. Chwileczkę... poczekajcie. To jeszcze nie koniec przedstawienia.

Aeolia Matuze chodziła po salonie w tę i z powrotem jak szalona.

– Morah! Jest tam ktoś? Przyjść tutaj natychmiast! Trzeba przeprowadzić egzekucję tych na dole i tych wszystkich żołnierzy, którzy mnie zawiedli! Gdzie, do diabła, wszyscy się podziali?

– Tutaj. – Zza jej pleców dobiegł lodowaty, kobiecy głos. Aeolia zakręciła się w miejscu zaskoczona, a także i nieco poirytowana.

– A kimże, do diabła, ty jesteś? – rzuciła ostro. – Jesteśmy nową Królową Charona – odparła Zala – Kira, oddając trzy strzały do Aeolii Matuze.

Lord Charona padł na dywan ze zdumieniem i zaskoczeniem zastygłym na zawsze na jej twarzy.

– Spodziewała się twojej ochrony – popatrzyłem na Moraha.

Skinął głową.

– Nigdy nie chciała dopuścić do swej świadomości prawdy o tym, dla kogo ja naprawdę pracuję – odparł, a my z Darwą obserwowaliśmy jak kobieta, którą oboje znaliśmy, podchodzi, sprawdza ciało Korila, a następnie ciało Matuze.

Yatek Morah westchnął i odwrócił się od szyby. Uczyniliśmy to samo.

– Co teraz? – spytałem.

– To zależy od ciebie – uśmiechnął się. – Ci ludzie Korila z kategorią I, którzy przeżyli, utworzą Synod.

Darva odwróciła się i wskazała ręką – na lustro.

– Przecież ona nie posiada odpowiednich kwalifikacji, by rządzić Charonem! Zala jest słaba i bezsilna, a Kira to mechaniczny zabójca!

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Morah. Pomyśl o tym, Laco. Jesteś skrytobójcą z Konfederacji. Nie zaprzeczaj. Nikt poza tobą w tamtej grupie nie wyróżniał się niczym szczególnym. Zresztą opierając się na tym założeniu, zaaranżowałem całe to przedstawienie w Bourget. – Wskazał dłonią w czarnej rękawiczce na lustro. – Typ taki, jak ona, wyszedł już z użycia. Spełnił już swoje zadanie. Te, które jeszcze istniały, sprowadziłem na Romb. Roboty są lepsze, bardziej niezawodne i trudniejsze do likwidacji.

– Koril sądził, że chcesz być Pierwszym Lordem Rombu – powiedziałem.

– Przyszło mi to na myśl wiele lat temu, kiedy na Tokannie moi agenci prowadzili na niewielką skalę operację konstrukcji bioagentów – przyznał. – Jednakże ta sprawa już mnie nie interesuje. Stała się ona zbyt... mała. Zbyt drobna. Nie warta zachodu. Już zresztą od dłuższego czasu.

– A Zala?

– To zależy od ciebie – roześmiał się. – Kira jest wyjątkowo kompetentna w tym, co robi, ale to zarazem wszystko, do czego jest zdolna. Zala... No cóż, ona ci ufa. A będzie potrzebowała pomocy od ludzi, którym ufa, jeśli na nowo ma utworzyć rząd i doprowadzić wszystko do ładu. Jesteś skrytobójcą. I ona jest skrytobójcą. Ciekawym będzie zobaczyć, kto w końcu okaże się lepszy.

– Oferujesz mi możliwość zostania Lordem Charona – powiedziałem nieco wstrząśnięty.

– Pamiętasz nasze marzenia? – zwróciłem się do Darvy. – O zmianie na lepsze, o przeznaczeniu dziewiczego kontynentu dla osiedlenia odmieńców?

Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem.

– Sugerujesz, że byś był skłonny to uczynić? Przecież odbyłaby się to na jego warunkach, i zależałoby od jego kaprysu?

– Z tego, co widziałem wynika, że moja kadencja mogłaby być bardzo krótka – zwróciłem się ponownie do Moraha.

– Wiesz, ona była szalona na punkcie władzy. Miała właśnie zamiar ogłosić się Najwyższą Boginią nowej, prawdziwej i jedynej religii. Brakowało jej już rozsądku, by robić to, co do niej należało: by rządzić Charonem. Jeśli zaś chodzi o mnie i o moich pracodawców, to jest nam zupełnie obojętne, w jaki sposób ludzie na Charonie są rządzeni. Nasze motywy... jednak nie, na to jeszcze za wcześnie. Wiem z raportów z Lilith, że masz w sobie rodzaj organicznego nadajnika. Musisz go zlikwidować, bo jeśli nie, to ja to zrobię. Wówczas dopiero możesz wysłuchać całej historii. I wówczas podejmiesz decyzję. Teraz muszę już iść i zająć się naszą nową królową.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Wreszcie Darva spytała:

– I co? Czy po tym wszystkim zamierzasz jednak to zrobić? A może nie?

Uśmiechnąłem się i ucałowałem ją, a potem odwróciłem się do lustra. Była tam teraz – Zala – nie Kira – tańcząca pomiędzy dwoma ciałami na dywanie. Przyglądałem się jej, nie całkiem pewny, co robić dalej.

Wreszcie westchnąłem i powiedziałem:

– Cóż, w tej sprawie mój umysł jest jakby rozdwojony...

Epilog

Mężczyzna w fotelu powoli dochodził do siebie. Zdjął hełm i odsunął go od siebie, ale pozostał na miejscu, odczuwał bowiem coś w rodzaju zawrotów głowy.

– Czy dobrze się czujesz? – spytał komputer głosem, w którym pobrzmiwała autentyczna troska. – Tak. Przypuszczam zresztą, że lepiej się nie będę czuł już nigdy. Jest coraz gorzej. Teraz już nawet rozważam przejście na stronę wroga!

– Zmienne okoliczności, dodatkowy rok w obcym środowisku w niesprzyjających warunkach, nie ma w tym nic zaskakującego. Oni nie są tobą. To jednak inni ludzie.

– Być może – mężczyzna roześmiał się bez przekonania. – Być może. W każdym razie... widziałeś i słyszałeś?

– To oczywiste. Czy chcesz teraz przesłać raport i swoje zalecenia?

– Hm? – mężczyzna robił wrażenie zaskoczonego. – Nie. Oczywiście, że nie! Ciągłe brakuje nam pewnych elementów i, chociaż jestem przekonany, że wiem, co się dzieje, to jednak nie jestem pewien czy wiem, jak to powstrzymać.

– Czas jest teraz bardzo istotnym czynnikiem przypomniał mu komputer. – Słyszałeś, co powiedziała Matuze. Kwestia miesięcy. Oznacza, to, że już teraz są prawdopodobnie na miejscu.

– A my ciągle jeszcze musimy odnaleźć tych obcych. Ciągłe jeszcze nie wiemy, jak oni wyglądają.

Musimy ustalić ich siły defensywne i ich położenie. Podejrzewam, iż znajdują się całkiem blisko.

– Widzę, że nie zamierzasz podjąć działania – odparł komputer. – Wiesz, dlaczego obcy są tutaj, wiesz, dlaczego interesują się szczególnie Rombem Wardena, znasz sposób, w jaki zamierzają zaatakować Konfederację i znasz mniej więcej termin ataku... Istnieje więc więcej niż niezbędna liczba powodów i dowodów, by działać.

– Dowody! Dedukcja! Ani kawałka prawdziwego dowodu!

– Jeśli uwzględnimy ekstremalne okoliczności i zgodność ze sobą dedukcji przeprowadzonych na podstawie danych z tych trzech światów, uważam, że masz coś więcej niż tylko teoretyczne podstawy do działania.

– Nie! – zaprotestował mężczyzna. – Muszę być absolutnie pewien! Stawką jest życie milionów ludzi! – W Rombie Wardena. Gdzie indziej jednak ta stawka jest tysiące razy wyższa.

– To nie takie proste, jak wydajesz się sugerować. Dlatego właśnie nie pozwalają tobie podejmować decyzji. Ciągłe mamy jeszcze trochę czasu. Być może wymyślimy taki sposób, który pozwoli, by nikt nie musiał umrzeć.

– Rzeczywiście zmieniłeś się – strofował go komputer. – Czuję się zobowiązany do złożenia krótkiego raportu nadzwyczajnego. A ty dodasz swoje wnioski.

– Jeszcze nie. W porządku... posłuchaj. Pozwól mi spędzić jakiś dzień w bibliotece i w laboratorium statku. Chcę także sprawdzić łączność. Czuję, że będę w stanie wykryć położenie floty obcych.

– Nie wierzę ci. Chcesz tylko odwlec całą sprawę. Upodobniłeś się do swoich odpowiedników tam, na dole.

– Trzy dni. Nawet ty musisz przyznać, że trzy dni zwłoki niczego nie zmienia. Poza tym rozwiązanie jest tak niesamowite, że i tak teraz nikt by mi nie dał wiary. Nawet ty musisz to przyznać.

Przez krótką chwilę komputer wydawał się wahać.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Trzy dni. Cóż jednak takiego według ciebie może się wydarzyć w ciągu tych trzech dni?

– Zobaczysz. A poza tym, zanim skończymy, chcę jeszcze odtworzyć zapis z Meduzy.

– Ale przecież ten zapis nie jest kompletny.

– Nie szkodzi. Meduza jest kluczem do tego wszystkiego. Bądź gotów do działania, kiedy wrócę.

Przeszedł na zaplecze, wziął prysznic, ubrał się i podszedł do specjalnie zabezpieczonych drzwi, które łączyły go z ogromnym statkiem, a jednocześnie całkowicie go od niego izolowały. Nacisnął płytę identyfikacyjną; drzwi pozostały zamknięte. Wściekły odwrócił się i wrzasnął w kierunku pustego pomieszczenia:

– No dobrze już! Wypuść mnie, ty draniu! Zawarliśmy przecież umowę!

– Czy naprawdę wiesz, co zamierzasz zrobić, czy jedynie czepiasz się nadziei? – spytał beznamiętny głos komputera.

– Słuchaj... Kimże ja w końcu tu jestem; więźniem czy odpowiedzialnym za całość spraw

agentem? rzucił gniewnie.

– Ale wrócisz?

– Naturalnie, że wrócę! A gdzie niby mógłbym stąd uciec?

– Co planujesz?

– Ja... och, powiedzmy, że w tej chwili mój umysł jest jakby rozdwojony.

– No, cóż...

– Czy mógłbym cię okłamywać?

Ponownie nastąpiła krótka przerwa, po czym drzwi otworzyły się bezgłośnie.

KONIEC tomu 3